



IAN RANKIN

NA KRAWĘDZI CIEMNOŚCI

Rankin przebojem wdarł się do czołówki światowego kryminału
POLITYKA

Ian Rankin

Na krawędzi ciemności

Pamięci Davida Thompsona

I

1

– Nie ma go – odparł sierżant dyżurny.

– A gdzie jest?

– Pojechał na wezwanie.

Fox przeszył go wzrokiem, wiedząc, że nie wróży to nic dobrego. Sierżant należał do starych wiarusów, którzy uważali, że wszystko już widzieli i ze wszystkim dadzą sobie radę. Fox zerknął na następne nazwisko na liście.

– A Haldane?

– Na zwolnieniu lekarskim.

– Michaelson?

– Na wyjeździe z inspektorem Scholesem.

Tony Kaye stał tuż za lewym ramieniem Foxa i Fox wiedział, co kolega powie, zanim ten zdążył otworzyć usta.

– Jaja z nas sobie robią.

Fox zgromił go wzrokiem. Wiadomość rozniesie się teraz po całym posterunku: sprawa załatwiona. Skarżypyty przyjechały, nikogo nie zastały i wkurzyły się, w dodatku publicznie. Sierżant przestąpił z nogi na nogę, próbując ukryć zadowolenie.

Fox rozejrzał się. Przypięte do ścian karteczki były czymś zupełnie normalnym. Posterunek należał do tych nowoczesnych i hol równie dobrze mógł być holem gabinetu lekarskiego czy wydziału spraw socjalnych, pod warunkiem że ominęłoby się wzrokiem tablicę z napisem, że stan pogotowia podniesiono z NISKIEGO na UMIAR-

KOWANY. Nie miało to nic wspólnego z Foxem i jego ludźmi: były doniesienia, że pod Lockerbie doszło do wybuchu. Pewnie jacyś gówniarze, no i gdzie Lockerbie, gdzie Kirkcaldy. Niemniej powiadomiono wszystkie posterunki w kraju.

Obok guzika na ladzie leżała karteczka z odręcznym napisem, żeby dzwonić po dyżurnego – co Fox zrobił przed trzema, czterema minutami. Na ścianie za ladą było lustro fenickie i sierżant na pewno widział, jak wchodzi, on, inspektor Malcolm Fox, sierżant Tony Kaye i posterunkowy Joe Naysmith. Komendanta uprzedzono, że przyjadą. Mieli przesłuchać inspektora Scholesa i detektywów sierżantów Haldane’a i Michaelsona.

– Myśli pan, że pierwszy raz ktoś próbuje z nami tej sztuczki? – spytał Kaye. – A może tak zaczniemy przesłuchanie od pana?

Fox przerzucił kartkę w teczkę.

– A pana szef, inspektor Pitkethly?

– Szefowa. Jeszcze jej nie ma.

Kaye wymownym gestem podniósł rękę i spojrzał na zegarek.

– Ma spotkanie na komendzie – wyjaśnił sierżant.

Naysmitha, który stał po prawej stronie Foxa, bardziej interesowały ulotki na ladzie. Demonstrował w ten sposób spokojną pewność siebie, przekonanie, że przesłuchają ich tak czy inaczej, że taktyka opóźniająca nie jest dla Skarg niczym nowym – bardzo się to Foxowi podobało.

Skargi: nazwa była już nieaktualna, chociaż on

i członkowie jego zespołu często jej używali, przynajmniej między sobą. Do niedawna nazywali się oficjalnie Wydziałem Skarg i Dyscypliny. Teraz mieli być Wydziałem Etyki i Standardów Zawodowych. A za rok pewnie czymś innym; zastanawiano się nad Wydziałem Standardów i Wartości, chociaż nazwa ta nikomu się nie podobała. Pracowali po prostu w Skargach, byli gliniarzami, którzy patrzą na ręce innym gliniarzom. Dlatego ci inni nigdy nie cieszyli się na ich widok.

I rzadko kiedy chętnie z nimi współpracowali.

– Na komendzie, czyli w Glenrothes? – upewnił się Fox.

– Zgadza się.

– Ile się tam jedzie? Dwadzieścia minut?

– Chyba że się zgubicie.

Zadzwoił telefon na ladzie.

– Zawsze możecie poczekać. – Sierżant odwrócił się, odebrał i stojąc tyłem do Foxa, wdał się w przyciszoną rozmowę.

Joe Naysmith trzymał w ręku broszurę o bezpieczeństwie wewnętrznym. Opadł na krzesło pod oknem i zaczął czytać. Fox i Kaye wymienili spojrzenia.

– Co ty na to? – spytał w końcu Kaye. – Pozwiedzamy? Całe miasto jest nasze...

Kirkcaldy: nadmorskie miasteczko w hrabstwie Fife. Kaye przywiózł ich samochodem z Edynburga. Jechali czterdzieści minut, głównie zewnętrznym pasem. Minąwszy Forth Road Bridge¹, wymienili kilka uwag na temat

długiego sznura pojazdów, które wraz z początkiem kolejnego dnia pracy zmierzały w przeciwną stronę, do stolicy.

– Jada, żeby zabrać nam pracę – zażartował Kaye, wciskając klakson i machając ręką.

Najlepiej wprowadzonym w miejscowe realia okazał się Naysmith.

– Linoleum – powiedział. – Kirkcaldy kiedyś z tego słynęło. I z Adama Smitha.

– Gdzie grał? – spytał Kaye.

– Był ekonomistą.

– A Gordon Brown2? – rzucił Fox.

– Kirkcaldy. – Naysmith potwierdził to skinieniem głowy.

A teraz, stojąc przed ladą oficera dyżurnego, Fox zastanawiał się, co robić. Mogli tu siedzieć, czekać i coraz bardziej się wkurzać. Albo mógł zadzwonić do Edynburga i poskarżyć się szefowi. Szef przekreśliłby na komendę w Fife i w końcu coś by się zaczęło dziać, ale Fox wyszedłby wtedy na małego chłopca, który biegnie do tatusia, ilekroć jego większy kolega zrobi coś nie tak.

Albo...

Fox spojrzał na Kaye'a. Kaye uśmiechnął się i wierzchem dłoni trzepnął broszurę w rękę Naysmitha.

– Wkładaj hełm, młodzieńcze – rzucił. – Dzicz czeka.

* * *

Zaparkowali na nabrzeżu i stali przez chwilę, patrząc na zatokę w kierunku Edynburga.

– Słońce tam chyba mają – mruknął Kaye, zapinając palto. – A ty znowu w tej kurteczce, pewnie teraz żałujesz.

Joe Naysmith zdążył się już uodpornić na komentarze na temat swego ostatniego designerskiego nabytku, mimo to postawił kołnierz. Znad Morza Północnego wiał silny wiatr. Woda była wzburzona, a kałuże na promenadzie świadczyły o tym, że fale przelewają się czasem przez falochron. Mewy z trudem utrzymywały się w powietrzu. Nabrzeże zaprojektowano w dziwny sposób, prawie zupełnie go nie wykorzystując. Niemal wszystkie domy stały tyłem do morza i przodem do centrum miasta. Fox zauważył, że jest tak w całej Szkocji: od Fort William po Dundee, architekci zdawali się zaprzeczać istnieniu wybrzeża. Nie mógł tego zrozumieć, ale wątpił, żeby Kaye czy Naysmith mogli mu pomóc.

Joe zaproponował spacer po plaży, ale Tony szedł już w stronę ścieżek na wzgórze, w kierunku sklepów i kafejek, i to Naysmith musiał wygrzebać z kieszeni osiemdziesiąt pięć pensów na parking. Na wąskiej głównej ulicy trwały roboty drogowe. Kaye przeszedł na drugą stronę i zaczął piąć się na skarpe.

– Gdzie on lezie? – jęknął Naysmith.

– Tony ma nosa – odparł Fox. – Pierwsza z brzegu stara knajpka go nie zadowoli.

Kaye stanął pod drzwiami, obejrzał się, by sprawdzić, czy go widzą, i wszedł do środka. Naleśnikarnia była jasno

oświetlona, przestronna i niezbyt zatłoczona. Usiedli przy stoliku w kącie, udając, że przychodzą tu od lat. Fox zastanawiał się często, czy to prawda, że gliniarze na całym świecie zachowują się tak samo. Lubił stoliki w kącie sali, bo widział stamtąd, co się dzieje i co może się wydarzyć. Naysmith jeszcze się tego nie nauczył i usiadł beztrąsco tyłem do drzwi. Fox wcisnął się obok Kaye'a, powiódł wokoło wzrokiem i dostrzegł tylko pograżone w rozmowie kobiety, których przybycie trzech nowych gości zupełnie nie zainteresowało. W milczeniu przejrzeni menu, złożyli zamówienie i pięć minut później nadeszła kelnerka z tacą.

– Wygląda pysznie. – Naysmith wziął nóż i zaczął smarować babeczkę niskokalorycznym masłem.

Fox przyniósł ze sobą teczkę.

– Żeby nie było wam za dobrze – powiedział, wykładając kartki na stół. – Zanim herbata się ostudzi, odświeżycie trochę pamięć.

– Warto tak ryzykować? – spytał Tony Kaye.

– Ryzykować?

– Możesz zatłuścić masłem okładki. Scholes i reszta zobaczą i wyjdziemy na ćwoków.

– Dzisiaj mam ochotę na odrobinę lekkomyślności – odparł Fox. – Zaryzykuję.

Kaye westchnął i zaczęli czytać.

Przyjechali do Fife z powodu niejakiego Paula Cartera. Detektyw posterunkowy Carter, lat trzydzieści osiem, od piętnastu lat w policji, pochodził z policyjnej rodziny: zarówno jego ojciec, jak i wuj służyli w okręgu Fife.

I nagle wuj złożył skargę na swego bratanka, w dodatku jako pierwszy. Twierdził, że Paul jest narkomanem, że wymusza usługi seksualne i przymyka oko na ciemne sprawy. Zaraz po nim skargę złożyły dwie kobiety, które Carter aresztował za zakłócanie porządku publicznego w stanie upojenia alkoholowego, proponując, że odstąpi od zarzutów, jeśli będą mu „powolne”.

– „Powolne”? – wymamrotał Kaye w połowie strony.
– Czy ktoś jeszcze tak mówi?

– W sądach i gazetach – odparł Naysmith, strzepując okruszki z kartek.

Fox miał przed sobą wycinki z gazet. Były tam zdjęcia Paula Cartera wychodzącego z sądu po rozprawie, na której złożył zeznania. Ostrzyżony pod garnek, twarz pokryta dziobami po trądziku. Łypał spode łba na fotoreporterów.

Minęły cztery dni, odkąd uznano go za winnego i odkąd szeryf oświadczył, że koledzy detektywa postępowego Cartera „albo rozmyślnie postępują głupio, albo są rozmyślnie współwinni”. Innymi słowy: od lat wiedzieli, że Carter jest złym gliniarzem, mimo to chronili go, kłamali, żeby go kryć, a może nawet próbowali fałszować zeznania świadków i wywierać presję na tych, którzy chcieli je złożyć.

Wszystko to razem spowodowało do miasta funkcjonariuszy wydziału wewnętrznego, czyli ich. Władze okręgu Fife chciały poznać prawdę i aby uspokoić opinię publiczną (a przede wszystkim media) i zapewnić mieszkańcom, że śledztwo będzie wnikliwe, poprosiły służby

policyjne z sąsiedniego okręgu, żeby to one się tym zajęły. Foxowi przekazano egzemplarz *Regulaminu zawieszania funkcjonariuszy w pełnieniu obowiązków służbowych*, egzemplarz *Procedur zawieszania funkcjonariuszy w pełnieniu obowiązków służbowych* oraz pisemny raport komendanta głównego wyjaśniający, dlaczego trzech policjantów, przeciwko którym toczy się śledztwo, wciąż pracuje – komendant uważał, że „leży to w interesie policji”.

Fox wypił łyk herbaty i przewrócił kartkę. Niemal każde zdanie było podkreślone lub zakreślone. Na marginesach roilo się od pospiesznie nagryzmołonych pytań, odnośników i wykrzykników. Prawie cały raport znał na pamięć, mógłby zaraz wstać i wyrecytować go siedzącym w naleśnikarni gościom. Niewykluczone, że i tak już o tym plotkowali. W miasteczku tej wielkości każdy trzymał czyjaś stronę, każdy miał wyrobioną opinię. Carter był gnidą, szmatą i ostatnim łotrem. Albo wrobiła go rynsztokowa ćpunka i dwie tanie dziwki. Czy w tym, co zrobił, było coś złego? I w ogóle, co takiego zrobił?

Nic, nie licząc tego, że skompromitował policję.

– Przypomina mi się Colin Balfour – powiedział Tony Kaye. – Pamiętacie go?

Fox kiwnął głową. Colin Balfour, edynburski gliniarz, który lubił odwiedzać w celi zatrzymane na noc kobiety. Oskarzenie się załamało, ale po wewnętrznym śledztwie i tak wyrzucono go z policji.

– Ciekawe jest to, że Cartera sypnął jego własny wuj –

zauważył Naysmith, sprowadzając ich do rzeczywistości.

– Ale dopiero po tym, jak przeszedł na emeryturę – dodał Fox.

– Wszystko jedno... Rodzina musiała być trochę wstrząśnięta.

– Może coś się za tym kryje – wtrącił Kaye. – Zła krew.

– Może – zgodził się z nim Naysmith.

Kaye klepnął ręką leżący przed nim plik kartek.

– Ale co z tego wszystkiego wynika? Ile dni będziemy tak kursować?

– Tyle, ile będzie trzeba. Może uda nam się załatwić to w parę tygodni.

Kaye przewrócił oczami.

– Tylko po to, żeby ci z Fife mogli powiedzieć, że mają jedno zgniłe jabłko, a nie całą fabrykę cydru?

– Cydr robi się w fabryce? – spytał Naysmith.

– A gdzie?

Fox się w to nie włączył, nie chciał zawracać sobie głowy. Znowu zastanawiał się nad główną postacią afery, czyli Paulem Carterem. Nie było sensu go przesłuchiwać, chociaż by mogli. Uznano go za winnego i przetrzymywano w areszcie, choć – jak na razie – bez wyroku. Szeryf wciąż „deliberował”. Fox uważał, że Carter pójdzie siedzieć. Na parę lat, może wpiszą go również do Rejestru Przestępców Seksualnych. Ale niemal na pewno wysmaruje z adwokatem wniosek o apelację.

Tak, z adwokatem Carter chętnie by pogadał, ale nie

z funkcjonariuszami wydziału wewnętrznego. Nic by nie zyskał, wydając kumpli z posterunku, tych, którzy przy nim stali. Fox nie mógł zaproponować mu żadnego układu. Mogło mu się tylko coś wypsnąć. Gdyby w ogóle zechciał z nimi rozmawiać.

A na pewno nie zechce.

Tak jak pozostali. Fox wątpił, czy będą mówić. A raczej, czy powiedzą coś wartego wysłuchania. Od dawna wiedzieli, że ten dzień nadejdzie. Scholes. Haldane. Michaelson. Szeryf wybrał ich, bo złożyli sprzeczne i poplątane zeznania, bo próbowali mącić i mieli dziwne zaniki pamięci. Ich bezpośredni przełożony, detektyw inspektor Laird, szef wydziału śledczego, uniknął krytyki, podobnie jak detektyw posterunkowy nazwiskiem Forrester.

– Forrester – rzucił nagle Kaye, przerywając sprzeczkę z Naysmithem. – Oto z kim powinniśmy porozmawiać.

– Dlaczego?

– Bo ma na imię Cheryl. A z wieloletniego doświadczenia wiem, że to kobieta.

– I co z tego?

– To, że jeśli jej kolega jest maniakiem seksualnym, na pewno się tego domyślała. Zaczynają krążyć plotki, faceci zwierają szyki... Ona musi coś wiedzieć. – Kaye wstał. – Ktoś chętny na dolewkę?

– Zaczekaj, najpierw coś sprawdzę. – Fox wyjął telefon i odszukał numer posterunku. – Może Scholes wrócił już z przejażdżki. – Wybrał numer i przytknął komórkę do

ucha, a Kaye przesunął palcem po tyle głowy Naysmitha, proponując, że go ostrzyże.

– Halo? – Głos jakiejś kobiety.

– Z inspektorem Scholesem poproszę.

– Kto mówi?

Fox rozejrzał się po sali.

– Dzwonię z naleśnikarni. Inspektor był tu i chyba coś zostawił.

– Chwileczkę, już go daję.

– Dziękuję. – Fox rozłączył się i zaczął zbierać papiery.

– Ładnie rozegrane – pochwalił go Kaye. Spojrzał na Naysmitha. – Wkładaj kurteczkę, Joe. Wiertarka czeka.

Detektyw inspektor Ray Scholes przeczesał ręką krótkie czarne włosy. Siedział w jedynym na posterunku pokoju przesłuchań. Fox proponował mu spotkanie w dowolnym, wybranym przez niego miejscu, pod warunkiem że będzie tam stół i cztery krzesła.

– I gniazdko – dodał Joe Naysmith.

Bez gniazdka nie miałby gdzie wetknąć „złodziejki”. Ustawił już kamerę i właśnie podłączał magnetofon. Były dwa mikrofony, jeden na stole przed Scholesem, drugi między Foxem i Kaye’em. Kaye siedział z założonymi rękami i nachmurzonym czołem. Powiedział już Scholesowi, co myśli o jego małym podstępie.

– Oficjalna sprawa służbowa to nie „podstęp” – odwarknął inspektor. – Ale to prawie na pewno czysta strata czasu.

– Tylko „prawie”? – Fox rozłożył papiery.

– Gotowe – rzucił Naysmith.

– Możemy zaczynać?

Scholes kiwnął głową i w tym samym momencie zapiszczał telefon. Inspektor odebrał, przedstawiając się jako „Ray Scholes, wróg publiczny numer jeden”. Wyglądało na to, że dzwoni jego dziewczyna; prosiła, żeby kupił coś na kolację. Ale wiedziała o gościach z wewnętrznego.

– Tak, są tu – mówił przeciągle Scholes, patrząc na Foxa.

Fox przeciągnął palcem po gardle, ale inspektor się nie spieszył. Kiedy wreszcie skończył rozmawiać, Fox poprosił go o wyłączenie komórki. Scholes pokręcił głową.

– Może wyskoczyć coś ważnego, nigdy nie wiadomo.

– Kiedy zadzwoni znowu? – spytał Fox. – Będzie dzwoniła tylko ona, czy zaangażował pan i kolegów? – Spojrzał na Kaye’a. – Co ile zwykle dzwonią? Co pięć minut czy dziesięć?

– Co dziesięć – odparł zdecydowanie Tony.

Fox przeniósł wzrok z powrotem na Scholesa.

– Wątpię, czy wymyśli pan coś, czego nie próbowano z nami co najmniej sto razy. Może więc lepiej od razu to wyłączyć?

Scholes uśmiechnął się lekko i wyłączył komórkę, a Fox podziękował mu skinieniem głowy.

– Czy według pana detektyw posterunkowy Carter był dobrym policjantem?

– Wciąż jest.

– Obaj dobrze wiemy, że już nie wróci.

– Dlaczego wy tak bardzo nie lubicie gliniarzy?

Fox przyjrzał mu się uważniej. Scholes miał trzydzieści kilka lat, ale wyglądał młodziej. Upstrzona piegami twarz, mlecznoniebieskie oczy – Foxowi przypomniało się nagle coś dziwnego: duża torebka szklanych kulek, które miał jako dziecko. Jego ulubioną była mlecznoniebieska, która ujawniała swoje wady tylko wtedy, kiedy patrzyło się na nią, obracając ją powoli między palcami...

– Bardzo oryginalne pytanie – zauważył Tony. –

Wątpię, czy zadają je nam więcej niż kilkadziesiąt razy miesięcznie.

– Po prostu nie rozumiem, dlaczego chcecie ukarać wszystkich, którzy pracowali z Paulem.

– Nie wszystkich – poprawił go Fox. – Tylko tych, o których wspomniał szeryf.

– Nazywa go pan szeryfem? – prychnął inspektor. – Spytajcie, kogo chcecie, pierwszego z brzegu gliniarza: to jego powinniście zapudłować. W ilu sprawach robił wszystko, żeby tylko podstawić nogę oskarżonemu...

– Zawsze się taki znajdzie – zgodził się z nim Kaye.

– Czy między szeryfem Cardonaldem i detektywem posterunkowym Carterem były jakieś niesnaski?

– Owszem, były.

– A między sędzią i panem? – Fox czekał, ale odpowiedź nie padła. – Twierdzi pan, że szeryf Cardonald wybrał tych funkcjonariuszy, bo żywił do nich urazę?

– Bez komentarza.

– Skargę na Paula Cartera złożono prawie rok temu, prawda? Jego własny wuj przyznał, że Carter molestował kobietę. Sprawę zbadano i... – Fox udał, że szuka odpowiedniej kartki.

– I nic z tego nie wyszło – dokończył za niego Scholes.

– Nie od razu, to prawda, ale potem Teresa Collins uznała, że ma dosyć... – Fox zrobił pauzę. – Zna pan jego wuja?

– Był policjantem.

– Rozumiem, że go pan zna. Jak pan myśli, dlaczego

złożył doniesienie?

Scholes wzruszył ramionami.

– Znowu jakieś urazy? A te trzy kobiety, ta pierwsza i te, które poszły do sądu po niej, one też żywiły do niego jakąś urazę? Dużo tego, jak na pańskiego przyjaciela, „dobrego gliniarza” Paula Cartera. – Fox odchylił się do tyłu, udając, że zainteresowało go kilka kartek z teczki.

Na biurku leżały wycinki z gazet i Scholes dobrze je widział. Kaye i Naysmith wiedzieli, że milczenie bywa przydatne i że Foxowi bynajmniej nie zabrakło pytań. Naysmith zaczął sprawdzać sprzęt. Kaye przyglądał się swojemu zegarkowi.

– Przystawki się skończyły? – spytał w końcu Scholes.

– Przechodzimy do mięska i warzywek?

– Do mięska i warzywek?

– Tak, spróbujecie mnie teraz pograżyć jak Cartera. Powiecie, że w sądzie kłamałem, że zastraszałem świadków...

– Teresa Collins zeznała, że był pan w samochodzie razem z Carterem, kiedy ten zatrzymał się przy niej i zapowiedział, że wieczorem wpadnie do niej na seks.

– Nieprawda.

– Że kiedy złożyła doniesienie, zadzwonił pan do niej i próbował nakłonić ją do wycofania zeznań.

– Nie.

– Pański numer był w jej telefonie. Z datą, godziną i czasem trwania rozmowy.

– Powtórzę to, co mówiłem w sądzie: to była pomyłka.

Ile trwała ta rozmowa?

– Osiemnaście sekund.

– Właśnie. Kiedy okazało się, że to pomyłka, od razu się rozłączyłem.

– Po co był panu jej numer?

– Znalazłem go na karteczce na którymś z biur.

– Zaciekawilo to pana i postanowil pan zadzwonic?

– Otóz to.

Tony Kaye powoli pokręcił głową, dając do zrozumienia, że mu nie wierzy.

– A więc zaprzecza pan, że kazał jej... – Fox znowu zajrzał do notatek – „się odpierdolić”?

– Zaprzeczam.

– Widywał się pan z Carterem poza służbą?

– Czasem chodziliśmy na piwo.

– Do klubów też... W Edynburgu i Glasgow.

– To żadna tajemnica.

– Fakt. Wszystko wyszło na rozprawie.

Scholes głośno prychnął.

– Gliniarze trzymają się razem i chodzą czasem na drinka, wielkie mi co.

– Carter był detektywem posterunkowym, pan jest detektywem inspektorem.

– I co z tego?

– To, że ani razu nie dostał awansu. Pracował w policji tyle, co pan, a był najniższy stopniem.

– Nie każdy chce awansować.

– I nie każdy na to zasługuje – odparł Fox. – Paul

Carter nie chciał, czy nie zasługiwał?

Scholes już otwierał usta, żeby odpowiedzieć, gdy nagle otworzyły się drzwi. W progu stała kobieta w mundurze.

– Przepraszam, że przerywam – powiedziała, chociaż nic nie wskazywało na to, że jest jej przykro. – Pomyślałam, że wpadnę się przywitać. – Zobaczyła, że Naysmith wyłącza kamerę i magnetofon. Wyciągnęła rękę przez biurko i przedstawiła się: inspektor Isabel Pitkethly.

Fox wstał, aczkolwiek niechętnie, i wyciągnął swoją rękę.

– Inspektor Malcolm Fox.

– Wszystko w porządku? – Pitkethly rozejrzała się po pokoju. – Niczego wam nie brakuje?

– Nie, jakoś sobie radzimy.

Była prawie trzydzieści centymetrów niższa od Focha, ale miała chyba tyle samo lat, czterdzieści kilka, sięgające kołnierzyka brązowe włosy i niebieskie oczy, błyszczące za okularami. Była w regulaminowej białej bluzce z pagonami. I w ciemnej spódnicy przed kolana.

– Ray jest grzeczny? – Roześmiała się nerwowo i Fox zauważył, że ostatnie tygodnie odcisnęły na niej wyraźne piętno. Myślała pewnie, że jest kapitanem solidnego statku, tymczasem statek ten pękał od środka.

– Dopiero co zaczęliśmy – odparł Kaye, nie próbując nawet ukryć, że przerwa im nie w smak.

– Zabawne – skontrował Scholes – myślałem, że jesteśmy już przy serze i krakersach.

– Niestety, za pięć minut inspektor Scholes ma spotkanie – powiedziała Pitkethly. – Prokurator przygotowuje jakąś sprawę...

Scholes nie tracił czasu i szybko wstał.

– Panowie, było przemilo.

– Kiedy będziemy mogli z nim porozmawiać? – spytał Fox.

– Myślę, że dopiero po południu.

– Chyba że prokurator przedłuży spotkanie. – Scholes włączył komórkę i spojrzał na ekran.

– Kilka nieodebranych połączeń? – rzucił Fox.

Inspektor zerknął na niego z uśmiechem.

– Jak się pan domyślił?

Wyglądało na to, że Pitkethly też się nad tym zastanawia.

– Inspektorze, mogę prosić pana na słowo?

– Właśnie miałem to pani zaproponować – odparł Fox.

Chwilę później Kaye i Naysmith zostali w pokoju sami.

– Spakować to? – spytał Naysmith z ręką na trójnogu kamery.

– Lepiej spakuj. Scholes skrzyknie kumpli, przyjdą tu i wysmarują wszystko fiutami.

* * *

– Niech pan siada – rzuciła zza biurka.

Fox nie usiadł. Biurko było puste. Pod kątem prostym

stało przy nim drugie z komputerem i wypełnioną po brzegi tacką na dokumenty. Okno wychodziło na parking. Na parapecie nie było żadnych bibelotów ani zdjęć bliższych. Ściany też były nagie, nie licząc kalendarza i znaku zakazu palenia.

– Od dawna w Kirkcaldy?

– Od kilku miesięcy.

– A przedtem?

Widział, że jest zdenerwowana, bo jakimś cudem to on zadawał pytania. Ale grzeczność wymagała odpowiedzi.

– W Glenrothes.

– W komendzie głównej?

– Nie szybciej by było, gdyby zajrzał pan do moich akt?

Fox przeprasząco podniósł ręce i gdy ruchem głowy wskazała mu krzesło, tym razem postanowił nie odmawiać.

– Przepraszam, że się spóźniłam. Miałam nadzieję odbyć tę rozmowę, zanim zaczniecie...

Brzmiało to jak przygotowane przemówienie i tak najpewniej było. Pitkethly miała pewnie znajomych na komendzie i pojechała do nich po radę, jak gadać z tymi ze Skarg. Fox mógłby napisać dla niej skrypt. W większości spraw, które prowadził, było tak, że ktoś z szefostwa wzywał go do gabinetu i mówił mu zawsze to samo.

Mamy tu dobry zespół.

Praca czeka.

Odrywanie ludzi od obowiązków nie leży w niczyim interesie.

Oczywiście nikt z nas nie chce się wybielać.

Ale...

– Tak więc jeśli chciał pan czymś się ze mną podzielić... – Miała czerwone policzki. Musiała się ucieszyć, kiedy dostała awans i kiedy zaproponowano jej pierwszy w życiu posterunek. A tu nagle to.

Powiedziano jej, co ma mówić, ale nie miała czasu na próbę. Urwała i odchrząknęła, mało brakowało, a dostałaby ataku kaszlu. Podobała mu się ta niezdarność. Zdał sobie sprawę, że być może nie pojechała do Glenrothes po radę, tylko że ją tam wezwano.

„Powie mu pani tak, pani inspektor...”.

– Może przyniosę coś do picia? – zaproponował. – Trochę wody? – Ale tylko machnęła ręką. Nachylił się w jej stronę. – Nie wiem, czy to pani pomoże, ale postaramy się załatwić to dyskretnie. I szybko. Co nie znaczy, że pójdziemy na skróty: obiecuję, że będziemy dokładni. I że nic pani nie zdradzimy. Raport trafi bezpośrednio do komendanta głównego. Tylko od niego zależy, co z nim zrobi.

Pitkethly zdołała się uspokoić. Patrzyła mu w oczy i kiwała głową.

– Nie chcemy tu żadnego zamieszania – ciągnął. On też wygłaszał tę przemowę wiele razy, w takich pokojach jak ten. – Szukamy tylko prawdy. Chcemy sprawdzić, czy przestrzegano procedur i czy nikt nie stawia się ponad prawem. Gdyby zechciała pani powtórzyć to podwładnym, byłoby wspaniale. A jeszcze wspanialej, gdyby znalazł się

dla nas jakiś pokój. Musi być zamykany i chciałbym dostać wszystkie klucze. Myślę, że za... tydzień będzie miała pani nas z głowy.

Uznał, że o dwóch lepiej nie wspominać.

– Za tydzień... – powtórzyła.

Trudno było powiedzieć, czy jest to dla niej dobra wiadomość, czy zła.

– Powiedziano mi rano, że detektyw sierżant Haldane jest na zwolnieniu lekarskim.

– Ma grypę – potwierdziła.

– Grypa, porażenie mózgowe czy czarna ospa, musimy go przesłuchać.

Znowu kiwnęła głową.

– Dopilnuję, żeby się dowiedział.

– I przydałoby się nam trochę wiedzy miejscowej, na przykład gdzie moglibyśmy zjeść porządny lunch albo kanapkę. Ale nie tam, gdzie jadają pani ludzie.

– Będę musiała pomyśleć. – Pitkethly wstała, dając mu do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca.

Fox nie wstał.

– Nigdy nie miała pani żadnych przeczuć co do Cartera?

Chwilę trwało, zanim zdecydowała, czy odpowiedzieć, wreszcie pokręciła głową.

– A inne pracujące tu kobiety? – dążył.

– Ale co?

– Wie pani, plotki w toalecie, ostrzeżenia przed wszędobylskimi rękami...

– Nie.

– Żadnych wątpliwości? Nigdy?

– Nigdy – odparła zdecydowanie, podchodząc do drzwi i otwierając je.

Fox się nie spieszył i minął ją z uśmiechem. Kaye i Naysmith czekali na końcu korytarza.

– No i? – spytał Kaye.

– Tak jak się spodziewałem.

– Michaelson może tu być. Bierzemy go?

Fox pokręcił głową.

– Wracajmy do miasta, zjedzmy coś i pokręcmy się trochę.

– Żeby wczuć się w atmosferę?

– Żeby wczuć się w atmosferę.

Kirkcaldy mogło pochwalić się stacją kolejową, klubem piłkarskim, muzeum, galerią sztuki i college'em imienia Adama Smitha. Ulica za ulicą, widziało się tam wiele solidnych, zamożnych wiktoriańskich willi, z których część przekształcono w biura i punkty handlowo-usługowe. Na skraju miasta zobaczyli osiedle mieszkaniowe, tak nowe, że były tam jeszcze działki do kupienia. Do tego dwa parki, co najmniej dwa ogólniaki i kilka bloków z lat sześćdziesiątych. Lokalny dialekt był w miarę zrozumiały, a kupujący zatrzymywali się przed piekarniami i kioskami, żeby porozmawiać ze znajomymi.

– Zasypiam – rzucił w pewnej chwili Tony Kaye. Był pasażerem we własnym samochodzie, bo prowadził Naysmith, a Fox siedział z tyłu. Na lunch zjedli kanapki i chipsy. Fox zadzwonił do swego szefa i złożył mu wstępny raport. Rozmowa trwała nie dłużej niż trzy minuty.

– No i co? – Kaye odwrócił się w fotelu, żeby nawiązać z nim kontakt wzrokowy.

– Podoba mi się – odparł Fox, patrząc w okno.

– Powiedzieć ci, co tu widzę, Foxy? Widzę ludzi, którzy powinni być teraz w pracy. Pasożytów, obiboków, dekowników, pijaków i chuliganów.

Joe Naysmith zaczął nucić melodię piosenki *What a Wonderful World*.

– Nie minęliśmy ani jednego samochodu – ciągnął niezrażony Kaye – którego kierowca nie byłby albo dilem, albo którego by właśnie nie skradziono. Chodniki trzeba by wyszorować, połowę dzieciaków też. Jeśli największy miejscowy sklep nazywa się Rejects3, nie musicie wiedzieć nic więcej. – Zrobił pauzę, tak dla efektu. – A ty mówisz, że ci się tu podoba?

– Widzisz to, co chcesz zobaczyć, puszczasz wodze fantazji.

Kaye spojrział na Naysmitha.

– Kiedy Armstrong zaczął to śpiewać, nie było cię jeszcze na świecie, więc lepiej się wyłącz.

– Mama miała tę płytę. A może kasetę. Albo CD.

Kaye znowu patrzył na Foxa.

– Czy moglibyśmy wrócić, przesłuchać ich, zapisać, cokolwiek powiedzą, i się stąd wynieść?

– Kiedy pojawiły się pierwsze płyty kompaktowe? – spytał Naysmith.

Kaye przyłożył mu pięścią w ramię.

– Za co?

– Za okrucieństwo wobec mojej skrzyni biegów. Czy ty w ogóle jeździłeś kiedyś samochodem?

– Dobra – zdecydował Fox. – Niech ci będzie. Joe, wracamy na posterunek.

– Na następnym skrzyżowaniu w lewo czy w prawo?

– Dość tej zabawy. – Tony otworzył schowek na mapy. – Włączę nawigację.

* * *

Detektyw sierżant Gary Michaelson wychował się w Greenock, ale od osiemnastego roku życia mieszkał w hrabstwie Fife. Ukończył college Adama Smitha, potem odbył szkolenie policyjne w Tulliallan. Trzy lata młodszy od Raya Scholesa, był żonaty i miał dwie córki.

– Dobrze macie tu szkoły? – spytał go Fox.

– Niezłe.

Michaelson chętnie opowiadał o Fife, Greenock i swojej rodzinie, ale kiedy zmienili temat i zaczęli rozmawiać o Paulu Carterze, miał do powiedzenia tyle, co Scholes.

– Gdybym nie wiedział – rzucił w pewnym momencie Fox – pomyślałbym, że pana przeszkolono.

– Jak to?

– Że ktoś powiedział panu, czego nie mówić, na przykład inspektor Scholes...

– Nieprawda – odparł zdecydowanie Michaelson.

Nieprawdą było również to, że ingerował w treść notatek służbowych – albo w ogóle je usuwał – z przesłuchania Teresy Collins w jej domu i pokoju, w którym teraz siedzieli. Fox odczytał mu fragment jej zeznania:

– „Możesz oskarżyć mnie, o co chcesz, Paul. Nie myśl tylko, że znowu będziesz mnie macał”. Nie powiedziała tak?

– Nie.

- W orzeczeniu napisano, że powiedziała.
- Nic na to nie poradzę.
- Ale między Carterem i panią Collins było coś osobistego. Nie mógł pan o tym nie wiedzieć.
- To ona twierdzi, że było.
- Sąsiedzi widzieli, jak Carter wchodzi do jej domu i z niego wychodzi.
- A połowa z nich jest dobrze znana policji.
- Twierdzi pan, że kłamią?
- A jak pan myśli?
- To ważne? A ta kartka? Ta, która zniknęła z pańskiego notesu.
- Zalałem ją kawą.
- Te pod spodem są czyste.
- Nic na to nie poradzę.
- Ciągłe pan to powtarza...

Prowadząc przesłuchanie, Fox wiedział, że lepiej nie nawiązywać kontaktu wzrokowego z Tonym Kaye'em. Jego sporadyczne odzywki wskazywały na to, że coraz bardziej się irytuje. Zmierzali donikąd i było niemal pewne, że będzie tak dalej. Scholes, Michaelson i jakoby chory na gripę Haldane nie tylko mieli dużo czasu na przygotowanie odpowiedzi, ale i przetestowali te bajeczki w sądzie.

Teresa Collins kłamie.

Te dwie pozostałe to cwaniaczki.

Sędzia pomagał oskarżeniu dosłownie na każdym kroku.

– Sęk w tym – powiedział powoli i spokojnie Fox, upewniwszy się, że Michaelson na niego patrzy – że kiedy wasz Wydział Etyki i Standardów Zawodowych przeanalizował wszystkie zarzuty, doszedł do wniosku, że może coś w tym być. I proszę nie zapominać o jednym: to nie pani Collins uruchomiła cały proces.

Zaczekał, aż to do niego dotrze. Michaelson siedział ze wzrokiem wbitym w ścianę nad jego lewym ramieniem. Żyłasty i przedwcześnie wyłysiały miał złamany nos. I dwuipółcentymetrową bliznę na policzku. Pewnie kiedyś boksował.

– Zrobił to policjant – ciągnął Fox. – Wuj Paula Cartera. Jego też nazwie pan kłamcą?

– On nie jest już policjantem. Jest byłym policjantem.

– Co to za różnica?

Michaelson wzruszył ramionami i skrzyżował ręce.

– Zmiana baterii. – Naysmith wyłączył kamerę.

Michaelson rozprostował kręgosłup. Fox usłyszał ciche trzask kręgów. Tony Kaye wstał i zaczął potrząsać nogami, jakby chciał przywrócić w nich krążenie.

– Długo jeszcze? – spytał Michaelson.

– To zależy od pana – odparł Fox.

– Cóż, i tak nam zapłacą, nie?

– Nie spieszy się pan do biurka?

– Biurko, nie biurko, co to za różnica? Załatwisz jedną sprawę, dostajesz dwie kolejne.

Naysmith grzebał w kieszeniach pokrowca na sprzęt. Wiedząc, że na niego patrzą, podniósł wzrok i był na tyle

mądry, żeby zrobić skruszoną minę.

– Zapasowa bateria jeszcze się ładuje – powiedział.

– Gdzie? – spytał Tony.

– W biurze... – Naysmith zawiesił głos. –

W Edynburgu.

– Co znaczy, że skończyliśmy. – Michaelson spojrział na Foxa.

– Na to wygląda – mruknął niechętnie inspektor. – Tymczasem...

* * *

– Kompletna strata czasu. – Tony powiedział to nie pierwszy raz. – Cały dzień do tyłu.

Wrócili do Edynburga tą samą trasą i tak jak poprzednio, jechali głównie zewnętrznym pasem. Tym razem większość pojazdów zmierzała w kierunku Fife i na przewężeniu przed Forth Road Bridge zrobił się korek. Jechali na Fettes Avenue, na komendę. Szef, detektyw inspektor Bob McEwan, był jeszcze w pracy. Wskazał ładowarkę leżącą obok czajnika i kubków.

– Zastanawiałem się, skąd to.

– To może pan już przestać – odparł Fox.

Pokój nie był duży, ponieważ w Biurze Antykorupcyjnym pracowało niewiele osób. Funkcjonariusze Wydziału Skarg – a przynajmniej ich większość – zajmowali przestronniejsze pomieszczenie w głębi korytarza, gdzie rozpracowywano najważniejsze sprawy etyczno–

zawodowe. W tym roku McEwan najwięcej czasu spędzał na naradach poświęconych restrukturyzacji biura. Jak to kiedyś ujął:

– Praktycznie rzecz biorąc, likwiduję własne stanowisko. Nie, żebyście musieli zawracać tym sobie swoje małe, śliczne główki.

Kaye rzucił palto na oparcie krzesła i usiadł przy biurku, a Naysmith zmienił baterię w ładowarce.

– Dwa przesłuchania – zameldował Fox. – Obydwa skrócone.

– Rozumiem, że byli oporni.

Foxowi drgnęły usta.

– Tony uważa, że rozmawiamy nie z tymi, co trzeba. Chyba się z nim zgadzam.

– Nikt nie oczekuje cudów, Malcolm. Rano dzwonił do mnie zastępca komendanta głównego. Skończycie, kiedy skończycie.

– Jeśli potrwa to ponad tydzień – wymamrotał Kaye – podłączę wąż do rury wydechowej.

– Skończycie, kiedy skończycie – powtórzył McEwan specjalnie dla niego.

W końcu usiedli, żeby przejrzeć materiał. W połowie nagrania szef zerknął na zegarek i powiedział, że musi iść. Zaraz potem Kaye dostał SMS-a.

– Pilne spotkanie z żoną i butelką wina – wyjaśnił, klepiąc Foxa w ramię. – Daj znać, co dalej, okay?

Przez następne pięć minut Fox czuł, że Naysmith nie może usiedzieć na miejscu. I tak było już po piątej, dlatego

kazał mu spadać.

– Na pewno?

Fox wskazał mu drzwi i kiedy tylko został sam, pomyślał, że powinien był pochwalić go za nagranie: zarówno obraz, jak i dźwięk były wyraźne i ostre. Na kolanach miał notes, ale kartka była pusta, nie licząc spiral, gwiazdek i kilku trudnych do określenia bazgrołów. Przypomniały mu się słowa Scholesa, że chcą go pogrążyć tak jak Cartera. Carter należał już do przeszłości. Na jakiej podstawie podejrzewali, że Scholes i pozostali będą dalej łamać przepisy? Tak, na pewno będą o siebie dbali i się wspierali, to oczywiste, ale może dostali już nauczkę? Wiedział, że mógłby włączyć tempomat, zadawać pytania i beznamiętnie notować odpowiedzi, które doprowadziłyby go do mało konkretnych wniosków. Rezultat dopuszczalny tak jak każdy inny. Więc jaki jest sens wypruwać z siebie flaki? Czuł, że to podtekst całego dnia pracy, coś, co Tony Kaye przez cały czas chciał z siebie wyrzucić. Trzech policjantów wymieniono z nazwiska i zrobiono im wstyd w sądzie. Zostali poddani wewnętrznemu śledztwu. Czy to niewystarczająca kara?

W naleśnikarni Kaye wspomniał o Colinie Balfourze. Funkcjonariusze Wydziału Etyki i Standardów Zawodowych zebrali wystarczająco dużo dowodów, żeby wyrzuceno go z policji, ale trzech policjantów, którzy próbowali go kryć, już nie oskarżyli. Ludzie ci wciąż pracowali, nie sprawiali żadnych kłopotów.

Żadnych skarg, jak powiadano.

Fox pstryknął pilotem i wyłączył nagranie. Wszystko to razem dowodziło, że robili to, czego się po nich spodziewano. Bardzo wątpił, żeby szefowie okręgu Fife czekali na ciąg dalszy złych nowin – chcieli tylko móc powiedzieć, że nie zlekceważyli uwag sędziego. Scholes, Haldane i Michaelson musieli jednemu wszystkiemu zaprzeczać. Co z kolei znaczyło, że Tony Kaye miał rację. Powinni porozmawiać z innymi policjantami – jeśli chcieli być naprawdę sumienni. I co z wujem Cartera? Nie warto by było sprawdzić, co ma do powiedzenia? Intrygowały go jego motywy. Zeznawał w sądzie krótko, lecz skutecznie. Twierdził, że bratanek odwiedził go kiedyś po kilku kieliszkach. Był gadatliwy, mówił, że policja teraz i policja za czasów wuja to dwie różne instytucje. Że nie można już chodzić na skróty, przynajmniej nie tak często jak kiedyś, i że dodatkowych korzyści jest mniej.

„Mam za to coś, czego ani wuj, ani ojciec chyba nie mieliście...”.

Foxowi przypomniało się, że od paru dni nie rozmawiał z ojcem. Odwiedzał go na zmianę z siostrą. Jude pewnie teraz u niego siedziała. Personel prosił, żeby nie przychodzić w porze posiłków, a wieczorem większość „klientów” (tak ich tam nazywano) szykowano do snu. Podeszedł do okna i spojrzał na ciemniejące miasto. Ile razy Edynburg jest większy od Kirkcaldy? Dziesięć? Na pewno był większy. Wrócił do biurka, włączył komputer i usiadł, żeby poszperać trochę w sieci.

Niecałą godzinę później jechał samochodem do

Oxgangs. Tuż pod domem miał supermarket i wpadł tam po curry, butelkę appletisera i wieczorną gazetę. Na pierwszej stronie był artykuł o dilerze narkotyków, którego właśnie osądzono i posłano za kratki. Fox znał detektywa, który prowadził to śledztwo: przed dwoma laty był przedmiotem dochodzenia Wydziału Skarg. A teraz uśmiechał się do kamer i aparatów. Sprawa załatwiona.

„Dlaczego wy tak bardzo nie lubicie gliniarzy?”. Pytanie Scholesa. Funkcjonariusze Wydziału Śledczego mogli kiedyś naginać prawo, wiedząc, że wyjdą z tego suchą stopą. Fox miał pilnować, żeby tego nie robili. Ale nie zamierzał pracować w wewnętrznym do końca życia – za parę lat chciał wrócić do śledczego, by kolegować się z tymi, których teraz kontrolował, i w obawie przed pracownikami Wydziału Skarg, którymi będzie oczywiście pogardzał, bez łamania przepisów posyłać za kratki dilerów narkotykowych. Zastanawiał się, czy dałby radę.

Pracować z policjantami, którzy znali jego przeszłość. Prowadzić sprawy powszechnie uważane za „prawdziwe”...

Wcisnął gazetę na dno prawie pełnego koszyka.

Bungalow tonął w ciemności. Fox myślał o zakupie timera, który zapalałby światło o zmierzchu, ale wiedział, że włamywaczy to nie odstraszy. Zresztą nie miałoby co u niego kraść, najwyżej telewizor i komputer, nic poza tym. Przed miesiącem dwa domy dalej było włamanie. Odwiedził go nawet posterunkowy, pytając, czy Fox widział coś albo słyszał. Fox nie przedstawił się, nie powie-

dział, że też jest gliniarzem, bo i po co? Pokręcił tylko głową i posterunkowy poszedł dalej.

Rutyna.

Curry siedziało w mikrofalówce sześć minut. Fox przełączył telewizor na kanał z wiadomościami i podkręcił głośność. Na świecie nic, tylko wojny, głód i klęski żywiołowe. Tu trzęsienie ziemi, tam tornado. I rozmowa z ekspertem od zmian klimatycznych, który ostrzegał, że wszyscy powinni przywyknąć do tych zjawisk, do powodzi, susz i upałów. Prowadzący zdołał jakimś cudem zakończyć wywiad z uśmiechem na twarzy. Może przekazawszy pałeczkę do studia, zaczął biegać, krzyczyć i wyrywać sobie włosy z głowy, ale Fox w to wątpił. Wcisnął guzik pilota i przejrzał wiadomości ze Szkocji. Wybuch pod Lockerbie, nic nowego. Stan gotowości na Fettes Avenue wciąż był umiarkowany, w Kirkcaldy też. Znowu to nieszczęsne Lockerbie, jakby nie dość już przeżyło... Przełączył się na kanał sportowy i dojadając curry, oglądał rzutki.

Właśnie kończył, kiedy zadzwonił telefon. Siostra.

– Hej, co słychać? – spytał. Dzwonili do siebie na zmianę. Dzisiaj była jego kolej, nie jej.

– Właśnie wróciłam od taty. – Jude pociągnęła nosem.

– Jak się czuje?

– Ciągle ma kłopoty z pamięcią.

– Wiem.

– Dziś rano nie zdążył do ubikacji, opiekun mi powiedział. Założyli mu pieluchę.

Fox zamknął oczy.

– Czasem zapomina, jak mi na imię i który mamy rok.

– Ale ma i dobre dni.

– Niby skąd o tym wiesz? To, że płacisz rachunki, nie znaczy, że możesz umyć ręce!

– Ja umyвам ręce?

– Nigdy cię tam nie widzę.

– Dobrze wiesz, że to nieprawda. Odwiedzam go, kiedy tylko mogę.

– Ale za rzadko.

– Nie wszyscy mogą się obijać.

– Myślisz, że nie szukam pracy?

Fox zacisnął powieki: znowu dałeś się wpuścić w kanał, Malc.

– Nie to chciałem powiedzieć.

– Właśnie, że chciałeś!

– Nie zaczynajmy, Jude, dobrze?

Zapadła cisza. Siostra westchnęła.

– Zniosłam mu dzisiaj pudełko ze zdjęciami. Pomyślałam, że je razem przejrzymy. Ale tylko go zdenerwowały. Ciągłe powtarzał: „Oni już nie żyją, wszyscy nie żyją. Jak to możliwe, że oni nie żyją?”.

– Pojadę do niego. Nic się nie martw. Może warto najpierw do nich dzwonić i jeśli powiedzą, że nie ma sensu przyjeżdżać...

– Nie o to mi chodzi! – Jude znowu podniosła głos. – Myślisz, że nie chcę do niego jeździć? To nasz ojciec!

– Wiem. Próbuję tylko... – Urwał i zadał pytanie, na

które pewnie czekała. – Chcesz, żebym do ciebie wpadł?

– To nie mnie powinieneś odwiedzić.

– Masz rację.

– A więc pojedziesz?

– Oczywiście.

– Chociaż jesteś zajęty?

– Kiedy tylko skończymy rozmawiać.

– I potem zadzwonisz do mnie? Powiesz, co myślisz?

– Na pewno nic mu nie jest.

– Tylko chcesz, żeby tak było, bo wtedy miałbyś czyste sumienie.

– Odkładam słuchawkę, Jude. Odkładam słuchawkę i jadę do taty...

Ale personel domu opieki Lauder Lodge stanął okoniem, przynajmniej początkowo.

Kiedy tam przyjechał, było po dziewiątej. W świetlicy głośno grał telewizor. Wszędzie kręcili się jacyś ludzie, pewnie przyszli akurat opiekunowie z nocnej zmiany.

– Pański ojciec już leży – powiedziała pielęgniarka. – Pewnie śpi.

– Nie będę go budził. Chcę tylko trochę przy nim posiedzieć.

– Nie przeszkadzamy klientom, kiedy już leżą.

– Przecież zawsze oglądał dziennik o dziesiątej, prawda?

– To było kiedyś.

– Dostaje jakieś nowe lekarstwa? Coś, o czym nie wiem?

Chwilę trwało, zanim pielęgniarka uznała, że to jednak nie oskarżenie. Westchnęła z rezygnacją i spytała:

– Ale tylko na chwilę, tak?

Fox kiwnął głową, ona mu odkiwnęła. Czego się nie robi dla świętego spokoju...

Pokój ojca mieścił się w nowej przybudówce wiktoriańskiej willi. Po drodze Fox minął pokój, w którym jeszcze przed paroma miesiącami mieszkała pani Sanderson. Pani Sanderson i ojciec bardzo się zaprzyjaźnili. Fox zawiózł go na jej pogrzeb, do kaplicy przy krematorium,

gdzie przyszło ledwie kilkanaście osób. Z rodziny nie było nikogo, bo nikogo nie odnaleziono. Teraz na drzwiach jej starego pokoju widniało inne nazwisko: D. Nesbitt. Fox czuł, że gdyby oderwał naklejkę, zobaczyłby pod nią tę z nazwiskiem pani Sanderson, a pod nią kolejną, z czyimś innym.

Nie zawracał sobie głowy pukaniem do drzwi, po prostu przekręcił gałkę i po cichu wszedł. Zasłony były zaciągnięte, a lampka zgaszona, ale mimo to do pokoju wpadało sporo światła z latarni ulicznej. Pod kołdrą dostrzegł zarys ciała. Dochodził prawie do krzesła, gdy ojciec oschłym głosem spytał, która godzina.

– Dwadzieścia po – odparł Fox.

– Po której?

– Po dziewiątej.

– To co ty tu robisz? – Mitch Fox zapalił lampkę i spróbował usiąść. Syn pospieszył mu z pomocą. – Coś się stało?

– Jude się trochę martwiła.

Fox zobaczył na krześle pudełko na buty ze starymi rodzinnymi zdjęciami. Podniósł je i postawił sobie na kolanach. Włosy ojca, rzadkie i rozwichrzone, niemal jak dziecka, były lekko żółtawe. Twarz miał jak nigdy dotąd wychudzoną, skóra przypominała pergamin. Ale oczy wciąż były jasne i spokojne.

– Obaj wiemy, że twoja siostra lubi dramatyzować. Co ci nagadała?

– Że pamięć masz już nie tę co dawniej.

– A kto ma taką samą? – Ruchem głowy ojciec wskazał pudełko. – Tylko dlatego, że nie wiem dokładnie, gdzie zrobiono to czy inne zdjęcie? Pięćdziesiąt lat temu?

Fox otworzył pudełko i wziął garść fotografii. Niektóre były podpisane, z tyłu widniały nazwiska, daty i nazwy miejsc. Ale było tam również wiele opatrzonych znakiem zapytania. Znak zapytania tu, znak zapytania tam i coś, co wyglądało na plamę po łzie. Fox potarł ją palcem i odwrócił zdjęcie. Matka z dziećmi; huśtała je na kolanach. W ogródku skalnym.

– To ma tylko trzydzieści – zauważył, pokazując zdjęcie ojcu.

Mitch zmrużył oczy.

– Nie wiem, może w Blackpool? Ty i Jude...

– I mama.

Ojciec powoli kiwnął głową.

– Jest tam woda? – Fox rozejrzał się, ale na stoliku nie było dzbanka. – Przyniesiesz mi?

Fox wszedł do sąsiadującej z pokojem łazienki. Stały w niej dzbanek i plastikowy kubek. Domyślił się, że personel nie chce, żeby ojciec w nocy pił i rano miał kłopoty. Obok umywalki leżała paczka pieluchomajtek dla dorosłych. Fox napełnił wodą dzbanek i kubek i wrócił do pokoju.

– Grzeczny chłopiec – mruknął Mitch. Kiedy pił, po podbródku ściekło mu kilka kropli, ale kubek odstawił sam, bez pomocy. – Powiedz Jude, żeby się nie martwiła.

– Dobrze. – Fox usiadł.

– I się z nią nie pokłócisz?
– Postaram się.
– Do kłótni trzeba dwóch. Albo dwojga.
– Tak uważasz? Moim zdaniem Jude świetnie poradziłyby sobie nawet w pustym pokoju.
– Możliwe, ale nie zawsze jej pomagasz.
– Czy my się właśnie kłócimy? – spytał Fox i ojciec posłał mu zmęczony uśmiech. – Może już pójdę, a ty zaśniesz?

– Ja nie śpię. Po prostu leżę tu i czekam.

Fox znał odpowiedź na następne pytanie, więc go nie zadał. Zamiast tego powiedział, że spędził w Fife bezowocny dzień.

– Kiedyś bardzo ci się tam podobało.
– Gdzie?
– W Fife.
– Byłem kiedyś w Fife?
– U mojego kuzyna Chrisa, czasem go odwiedzaliśmy.
– Gdzie mieszkał?
– W Burntislandzie. Plaża, otwarty basen, błonia...
– Ile miałem lat?
– Chris młodo umarł. Poszukaj, powinien gdzieś tam być.

Fox zdał sobie sprawę, że ojciec mówi o pudełku na buty. Wysypali więc zdjęcia na łóżko. Niektóre były pojedyncze, inne w pakietach razem z negatywami. Kolorowe wymieszane z czarno-białymi, w tym kilka ślubnych. (Fox nie zwracał uwagi na te jego i Elaine, ich małżeństwo

szybko się rozpadło). Niewyraźne fotki z wakacji, świąt Bożego Narodzenia, urodzin i wycieczek. Ojciec podał mu w końcu zdjęcie Chrisa.

– To on. Jude siedzi mu na barana. Krzepki, wysoki, kawał chłopca.

– To Burntisland? – Fox przyjrzał się fotografii. Szczerbata Jude miała szeroko otwarte usta. Trudno było powiedzieć, czy śmiała się, czy była przerażona, że jest tak wysoko. Chris uśmiechał się do aparatu. Fox próbował go sobie przypomnieć, lecz nie mógł.

– W jego ogródku – powiedział Mitch. – Chyba.

– Jak umarł?

– Zabił się na motorze, dureń. Spójrz na nich. – Ojciec zatoczył ręką łuk nad porozrzucanymi zdjęciami. – Martwi, pochowani i prawie wszyscy zapomniani.

– Ale niektórzy jeszcze żyją – powiedział Fox. – I bardzo się z tego cieszą.

Ojciec poklepał go po wierzchu dłoni.

– Naprawdę mi się tam podobało?

– Pod Saint Andrews był taki park, z pociągiem dla dzieci. Kiedyś tam pojechaliśmy. Poszukaj, może znajdziesz tu zdjęcie, jak w nim siedzimy. Plaża przy plaży, a raz do roku targ w Kirkcaldy...

– W Kirkcaldy? Dzisiaj tam byłem. Dlaczego tego nie pamiętam?

– Raz wygrałeś złotą rybkę. Biedactwo zdechło jeszcze tego samego dnia. – Ojciec przeszył go wzrokiem. – Uspokoisz Jude?

Fox kiwnął głową, ojciec znowu poklepał go po ręce i opadł na poduszkę. Fox siedział przy nim półtorej godziny, przeglądając zdjęcia. Przed wyjściem zgasił lampkę.

II

– To żart, prawda?

– Niczego innego nie mamy – odparł sierżant dyżurny. Robił wrażenie równie zadowolonego jak poprzedniego dnia, gdy poinformował ich, że praktycznie nikogo nie mogą przesłuchać. – W drzwiach jest zamek, klucz jest wasz.

– To magazyn – skonstatował Joe Naysmith, zapalając światło.

– Z czterdziestowatową żarówką – dodał Tony Kaye.
– Trzeba przywieźć latarki.

Na środku małego pomieszczenia ktoś ustawił trzy rozchwierutane krzesła, tak że nie było tam już miejsca na jakiegokolwiek biurko. Półki były zastawione pudłami – z aktami starych spraw oznaczonymi datą i kodem – oraz zepsutym i przestarzałym sprzętem biurowym.

– Moglibyśmy porozmawiać z inspektorem Pitkethly? – spytał Fox.

– Jest w Glenrothes.

– Co za niespodzianka.

Na palcu sierżanta wymownie kołysał się klucz.

– Można by tu przynajmniej zostawiać sprzęt – mruknął Naysmith. – Zawsze to coś.

Fox głośno wypuścił powietrze przez nos i szybkim ruchem ręki chwycił klucz.

Naysmith poszedł do samochodu po sprzęt, a oni stali

na korytarzu, oglądając magazyn. Na korytarzu zaroilo się nagle od mundurowych i cywilów, którzy mijali ich, z trudem powstrzymując szyderczy uśmiezek.

– Ja tam nie wchodzę – oświadczył Kaye, powoli kręcąc głową. – Będę wyglądał jak cieć.

– Ale Joe ma rację. Można by tu chociaż przecho-
wywać sprzęt między przesłuchaniami.

– Malcolm, nie da się tego przyspieszyć?

– Ale jak?

– Moglibyśmy przesłuchiwać ich oddzielnie, ty i ja, i załatwić to dwa razy szybciej. Na taśmie musimy mieć tylko Scholesa, Haldane'a i Michaelsona. Z pozostałymi wystarczy pogadać, tak?

Fox kiwnął głową.

– Ale mają tu tylko jeden pokój przesłuchań.

– Nie wszyscy pracują na posterunku...

Fox zmrużył oczy.

– Ty naprawdę chcesz mieć to jak najszybciej z głowy.

– Podstawy zarządzania czasem – odparł Kaye z błyskiem w oku. – Ciężko pracujący podatnicy na pewno to docenią.

– Więc jak się podzielimy? – Fox skrzyżował ręce.

– Masz jakichś faworytów?

– Chciałbym zamienić kilka słów z wujem Cartera.

Kaye zastanowił się i powoli kiwnął głową.

– Weź mój wóz. Ja spróbuję pogadać z Cheryl Forrester.

– Dobra. A co zrobimy z Joem?

W tym samym momencie otworzyły się drzwi na końcu korytarza i wszedł Naysmith z ciężką torbą na ramieniu.

– Rzucimy monetą. – Kaye wyjął z kieszeni pięćdziesięciopensówkę. – Zabiera go ten, kto przegra.

Kilka minut później Fox wyszedł na parking bez Naysmitha. Ustawił fotel kierowcy w fordzie mondeo Kaye'a, wyjął ze schowka GPS, podłączył go i przymocował do deski rozdzielczej. Kod pocztowy Alana Cartera był w aktach i musiał pogrzebać trochę w papierach, zanim go znalazł. GPS szybko wyszukał trasę, wskazał odpowiedni kierunek i Fox znalazł się wkrótce na nadbrzeżnej drodze. Jechał na południe, do Kinghorn. Według znaków następnym miastem za Kinghorn było Burntisland. Znowu pomyślał o Chrisie, kuzynie ojca. Może rozbił się właśnie tutaj, na tym odcinku szosy? Wijąca się łagodnie wstęga asfaltu, po jednej stronie morze, po drugiej strome wzgórze – była wprost wymarzona dla motocyklistów. Na wodzie coś podskakiwało – głowa foki? Zwolnił. Ktoś jadący za nim błysnął światłami i wyprzedził go, rycząc klaksonem.

– Dobra, już dobra – mruknął Fox, zerkając na ekran GPS-u.

Minał kemping dla przyczep turystycznych i wrzucił prawy kierunkowskaz. Droga była stroma i zryta koleinami, spod kół buchały kłęby pyłu. Bojąc się uszkodzić przedmiot dumy i radości Kaye'a, jechał na jedynce, osiem kilometrów na godzinę. Droga cały czas wiodła pod górę.

Według GPS-u, zabłądził, minął punkt docelowy. Zatrzymał się i wysiadł. Miał stąd ładny widok na brzeg: rzędy przyczep po lewej stronie, hotel po prawej. Spojrzał na adres: Gallowhill Cottage. Kilkadziesiąt metrów dalej droga znikwała w lesie. Nagle coś przykuło jego uwagę: smużka dymu nad wierzchołkami drzew. Wsiadł i ostrożnie wrzucił jedynekę.

Domek stał prawie na szczycie wzniesienia, kilka kroków od miejsca, gdzie droga dochodziła do bramy na łąkę. Na łące pasło się kilka owiec. Między drzewami bezszelestnie krążyły wrony. Wiał przenikliwy wiatr, chociaż zza gęstych chmur wychynęło słońce.

Z komina wciąż snuł się dym. Przy domu, obok starannie ułożonego stosu rozłupanych kłód, parkował oliwkowy land rover. Z trzaskiem otworzyły się drzwi. Stojący w progu mężczyzna przywodził na myśl postacie z filmów parodiujących typ postawnego wesołego policjanta. Miał rumianą twarz, a jego policzki i nos były oplecione siateczką cienkich, czerwonych żyłek. Do tego błyszczące oczy, wielki brzuch, żółty rozpinany sweter, naciągnięty do granic wytrzymałości guzików i rozpięta pod szyją kraciasta koszula, spod której wystawała kepa gęstych, siwych włosów. Choć prawie zupełnie łysy, miał krzaczaste bokobrody, niemal stykające się na jednym z podbródków.

– Wiedziałem, że będę miał gości – zadudnił Carter, trzymając pulchną rękę na futrynie. – Ale powinien był pan mnie uprzedzić. Nigdy dotąd nie byłem bardziej zajęty.

Fox podszedł bliżej i uścisnęli sobie ręce.

– A więc nie należy pan do wolnomularzy?

– Nie.

– Kiedyś prawie wszyscy policjanci, których się spotykało, byli masonami. W takim razie zapraszam, chłopcze, wchodź.

Korytarz był krótki i wąski, w większości zajęty przez półki z książkami, wieszak i długi rząd kaloszy. W salonie było gorąco, bo w kominku płonął wysoki stos polan.

– Jimmy Nicholl musi mieć ciepło – powiedział Carter.

– Kto?

– Pies.

Kaprawymi oczami z kosza pod kominkiem zamrugał do Foxa stareńki border collie.

– Po kim go pan tak nazwał?

– Po menedżerze Raithów⁴. Teraz są kiepscy, ale swego czasu wprowadził nas do Europy... – Carter urwał i zmrużył oczy. – Piłką nożną też się pan nie interesuje?

– Kiedyś się interesowałem. Tak przy okazji, nazywam się Fox. Inspektor Fox.

– Brygada cichociemnych, co? Ciągle was tak nazywają?

– Tak, i „tymi ze Skarg”.

– Gorzej pewnie też, za waszymi plecami.

– Nie tylko za plecami.

– Zrobić herbatę czy woli pan coś mocniejszego? – Ruchem głowy Carter wskazał butelkę whisky na półce.

– Wystarczy herbata.

– Fakt, chyba trochę za wcześnie – zgodził się z nim Carter. – Zaraz wracam.

Poszedł do kuchni. Fox słyszał, jak nalewa wodę do dzbanka. Z korytarza niósł się jego głos.

– Kiedy przeczytałem wnioski Cardonalda, od razu wiedziałem, że będzie wewnętrzne śledztwo. Ale pan nie jest stąd. Miejscowy znałby nazwisko Jimmy’ego Nicholla. Poza tym przyjechał pan z Edynburga.

Carter wrócił do salonu. Miał zadowoloną minę.

– Rejestracja? – spytał Fox.

– Naklejka z edynburskiego salonu na tylnej szybie – poprawił go Carter. – Siadaj, chłopcze. – Wskazał mu fotele. – Z mlekiem i cukrem?

– Tylko z mlekiem. Wciąż zajmuje się pan ochroną?

– Teraz to pan chce mi pokazać, że odrobił lekcje? – spytał z uśmiechem Carter. – Tak, firma wciąż należy do mnie.

– W czym się właściwie specjalizujecie?

– Zapewniamy bramkarzy dla klubów i barów, strażników, ochronę dla dygnitarzy...

– Dużo ich przejeżdża przez Kirkcaldy?

– Teraz nie, ale kiedy Gordon Brown był premierem, całkiem sporo. No i wciąż lubią grać w golfa w Saint Andrews.

Carter poszedł po herbatę, a Fox stanął przy oknie. Był tam stół, na którym leżał stos papierów i czasopism. Papierzy były w teczkach. Leżała tam również mapa hrabstwa Fife z pozakreślanymi na czarno miejscowościami. Cza-

sopisma pochodziły z lat osiemdziesiątych, a gdy podniósł jedno, zobaczył gazetę. Z 29 kwietnia 1985 roku.

– Myśli pan pewnie, że jestem nałogowym zbieraczem. – Wrócił Carter z tacą. Postawił ją na rogu stołu i nalał im herbaty. Na wzorzystym talerzu leżało kilka kruchych ciasteczek.

– I kawalerem?

– Niedokładnie pan sprawdził. Moja żona uciekła z gachem dwadzieścia lat temu, a gach był tyle samo lat młodszy ode mnie.

– Musiała lubić bardzo młodych chłopców.

Carter pokiwał palcem.

– Mam sześćdziesiąt dwa lata. Jessica miała wtedy czterdzieści, a ten gówniarz dwadzieścia jeden.

– I od tamtej pory nie ma pan nikogo?

– Chryste, to jest rozmowa z funkcjonariuszem z wewnętrznego czy serwis randkowy? Zresztą ona już nie żyje, świeć Panie nad jej duszą. Miała z nim dzieciaka.

– Ale z panem nie. – Carterowi drgnęły usta. – Zabolalo?

– Nie, dlaczego? A gdyby syn albo córka skończyli jak mój bratanek?

Carter wskazał mu fotel i usiedli z kubkiem herbaty w rękę. Foxa piekły trochę oczy i szybko zamrugał.

– Dym z kominka – wyjaśnił Carter. – Nie widać go, ale tu jest. – Nachylił się i dał psu połowę ciasteczka. – Tylko to może już jeść, ma słabe zęby. Zresztą moje nie są dużo lepsze.

– Jest pan na emeryturze od piętnastu lat?
– Tak, to już piętnaście lat.
– Pana brat był policjantem w tym samym czasie co pan?

– Byłem rok przed emeryturą, kiedy serce mu nie wytrzymało.

– Mniej więcej wtedy, kiedy pana bratanek wstąpił do policji?

Carter kiwnął głową.

– Nie wiem, może właśnie dlatego wstąpił. Nigdy nie miał do tego smykałki, nie miał... Brakuje mi słowa...

– Powołania.

– Otóż to. Tego właśnie nie miał.

– Nie chciał pan, żeby kontynuował rodzinną tradycję?

Carter milczał przez chwilę, potem postawił kubek na kolanie i nachylił się w stronę Foxa.

– Paul nigdy nie był dobrym synem. Zameczył matkę i w końcu zjadł ją rak. Potem przyszła kolej na ojca. Na pogrzebie interesowało go tylko to, ile wart jest dom i ile roboty trzeba będzie włożyć w jego opróżnienie.

– A więc raczej się nie przyjaźniliście, tak? Mimo to przyjechał do pana...

– Pewnie całą noc balował. Było parę minut po dwunastej. Nie wiem, jakim cudem nie rozwalił samochodu na tej drodze... – Carter zapatrzył się w ogień. – Chciał się pochwalić. Ale i trochę się rozkleił, wie pan, jak to po kielichu.

– Między innymi dlatego nie piję. – Fox pociągnął łyk

herbaty. Była czarna, mocna, pozostawiała osad na języku i w gardle.

– Przyjechał się popisać. Powiedział, że jest lepszym gliniarzem niż my. Że Kirkcaldy „należy do niego”, że do mnie nie należałoby nawet wtedy, gdybym schował się za plecami armii wykidajłów.

– To chyba cytat.

– Mam dobrą pamięć. Ilekroć musiałem zeznawać, zawsze mówiłem bez kartki. Nie ma to jak zaimponować przysięgłym.

– I to on powiedział panu o Teresie Collins?

– Tak. – Carter kiwnął głową, wciąż patrząc na trzaskający, strzelający iskrami ogień. – Podał tylko jej nazwisko, ale powiedział, że były też inne. Myślałem, że policja już się takich pozbyła, pewnie jest pan za młody, żeby pamiętać, jak to kiedyś było.

– Sami rasiści i seksiści? – Fox zrobił pauzę. – I masoni?

Carter stłumił śmiech.

– Dalej tak jest – ciągnął Fox. – Może nie na taką skalę, ale jest.

– Wy, z wewnętrznego, musicie widywać takich częściej niż inni...

Fox wzruszył ramionami, postawił pusty kubek na podłodze i podziękował za dolewkę.

– Kiedy tu przyjechał, wspominał też o innych, o Scholesie, Haldanie i Michaelsonie?

– Zdawkowo.

- Nie mówił, że łamią przepisy?
 - Nie.
 - Nie słyszał pan żadnych plotek na ten temat?
 - Nie. Czeka pana trudne zadanie.
 - Uhm... – mruknął Fox, jakby się z nim zgadzał.
 - Góra będzie chciała jak najszybciej to zamknąć.
 - Też tak myślę. – Fox poprawił się na krześle. Krzesło zaskrzypiało. – Mogę spytać o coś jeszcze?
 - Śmiało.
 - Jedną rzeczą jest czegoś nie pochwalać...
 - A zupełnie inną pójść z tym dalej? – Carter ściągnął usta. – Nie zrobiłem nic, początkowo zupełnie nic. Ale leżąc w nocy w łóżku, często myślałem o Tommym, jego ojcu. To był dobry człowiek, naprawdę dobry. Jego matka też, urocza kobieta. Zastanawiałem się, co by na to powiedzieli. No i była ta Collins. Nie znałem jej, ale nie podobało mi się, jak o niej mówił. Dlatego po cichu zamieniłem z kimś kilka słów.
 - A tym kimś był...
 - Inspektor Hendryson. Już go tu nie ma. Chyba przeszedł na emeryturę.
 - Teraz jest kobieta, inspektor Pitkethly.
- Carter skinął głową.
- To Hendryson uruchomił całą maszynę.
 - Ale nic z tego nie wyszło, tak?
 - Teresa Collins nie chciała mówić. Przynajmniej początkowo. A bez niej ci ze Skarg nie mieli tu nic do roboty.

– Domyśla się pan, dlaczego zmieniła zdanie?

– Może też nie mogła spać, tak jak ja.

– Nie ma pan już przyjaciół w policji?

– Wszyscy są na emeryturze.

– A inspektor Hendryson?

– Też. Przeszedł zaraz po mnie.

– A więc porozmawiał pan z Hendrysonem. Hendryson ściągnął tu zespół z wewnętrznego, miejscowych. Ci daleko nie zaszli. Ale potem zgłosiły się te dwie kobiety i Teresa Collins postanowiła pójść na współpracę. Tak?

– Mniej więcej.

Fox posiedział jeszcze chwilę. Carter go nie wypędzał, ale nic go tam już nie zatrzymywało, nie licząc ciepłego kominka i kojącego milczenia.

– To nie Edynburg, inspektorze, prawda? – rzucił cicho Carter. – To prowincja, a na prowincji sprawy załatwia się po cichu.

– Żałuje pan, że bratanka to dotknęło? Całe to zamieszanie, zainteresowanie mediów...

– Wątpię, czy coś go „dotknęło”. – Carter postukał się w głowę. – Na pewno nie tutaj.

– Siedzi w areszcie. Rodzinie musi być ciężko.

– To ja jestem jego rodziną, nikogo więcej nie ma. – Carter zrobił pauzę. – Pana rodzice żyją?

– Tylko tata.

– Ma pan braci, siostry?

– Siostrę.

– Jesteście sobie bliscy?

Fox nie odpowiedział.

– Jeśli tak, ma pan więcej szczęścia niż inni. Czasem trzeba wytyczyć granicę między sobą i tymi, których jakoby się kocha. – Carter narysował w powietrzu poziomą linię. – Przez jakiś czas będzie bolało, ale to nie znaczy, że nie powinno się tego zrobić.

Chwilę później Fox wstał i gospodarz domu poszedł w jego ślady. Zaklinował się w fotelu, ale Fox wątpił, czy przyjąłby jego pomoc.

– Ser z makaronem, to moja zguba. Prawda, Jimmy?

Na dźwięk swego imienia pies zastrzygł uszami. Fox przystanął przy stole.

– Gdybym miał pana scharakteryzować – zaczął – powiedziałbym, że lubi pan porządek. Ubrania na wieszaku. Równiutko ustawione buty. Ciasteczka na talerzu, nie z torebki. Dlatego zastanawia mnie to... – Wskazał stolik. – To nie jest zwykłe zbieractwo, prawda? Jest w tym jakiś porządek.

– Małe badania historyczne.

– Wydarzeń z osiemdziesiątego piątego?

– Mniej więcej.

– Z końca kwietnia?

– Śmiało, niech pan strzela: co się wtedy wydarzyło?

– W kwietniu osiemdziesiątego piątego? – Fox wyteńczył pamięć. W końcu się poddał.

– Dennis Taylor wygrał ze Steve'em Davisem w snookera – powiedział Carter, odprowadzając go do drzwi.

Detektyw posterunkowa Cheryl Forrester lubiła zadawać pytania. Pytania w rodzaju: jak długo pracuje pan w wewnętrznym? Jest jakiś specjalny nabór? Ilu was tam pracuje? To praca do końca życia czy tylko na określony czas? Dlaczego nie nazywają was detektywami, chociaż macie takie same stopnie jak my? Jaka sprawa najbardziej wami wstrząsnęła? Jak wygląda nocne życie w Edynburgu?

– To niedaleko – odparł Joe Naysmith. – Wystarczy wsiąść do pociągu.

– Och, byłam tam wiele razy.

– Więc na pewno zna je pani lepiej niż my – uciał Tony Kaye.

– Ale ja pytałam o miejsca, gdzie chodzą edynburczycy...

– Pani detektyw, nie jesteśmy agencją turystyczną...

– Mnie się podoba w Voodoo Rooms – przerwał mu Joe. I zobaczywszy minę kolegi, szybko zrezygnował z dalszych wywodów.

Problem polegał na tym, że entuzjazm detektyw Forrester był niemal zaraźliwy. „Pełna życia” – zdawało się, że określenie to ukuto specjalnie dla niej. Miała kręcone brązowe włosy, obsypaną piegami okrągłą twarz, duże brązowe oczy i była opalona. Służyła w policji od sześciu lat, od dwóch w Wydziale Śledczym. Już na samym po-

czątku oświadczyła, że jest zbyt zajęta, by mieć chłopaka.

– Pewnie wielu próbowało... – powiedział Kaye, chcąc nawiązać do Paula Cartera, ale Cheryl zmieniła temat, pytając Naysmitha, czy w Skargach pracuje się od dziewiątej do piątej, na co Joe opowiedział jej o furgonetce nadzoru elektronicznego, nadmieniając, że jedna operacja może trwać nawet rok.

– Cały rok wykreślony z życia? Oby nie na próżno!

I tak to szło, wreszcie Kaye głośno zapukał w stół. Znowu siedzieli w pokoju przesłuchań, ale bez sprzętu rejestrującego. Wyczuwając, że to coś w rodzaju upomnienia, Cheryl zacisnęła usta i mocno splotła dłonie.

– Jak pani wie – zaczął Tony – kilku pani kolegom postawiono pewne zarzuty. Może nam pani powiedzieć, co pani o nich myśli?

– O zarzutach czy kolegach?

– Może o jednym i drugim?

Detektyw Forrester wydeła policzki.

– Byłam wstrząśnięta, kiedy o tym usłyszałam. Chyba tak jak wszyscy. Pracowałam z detektywem Carterem prawie przez półtora roku i nigdy... Hm, nigdy nie pomyślałabym, że może taki być.

– Jeździła z nim pani na wezwania?

– Tak.

– Jednym samochodem?

– Tak.

– I nigdy nic nie powiedział? Ani razu nie poprosił, żeby pani chwilę zaczekała, bo musi wpaść do jakiegoś

domu czy mieszkania?

– Nie, ani razu.

– Każdy posterunek to łęgowisko plotek...

– Ale ja naprawdę nic nie słyszałam. – Cheryl popatrzyła na Kaye'a dużymi, niewinnymi oczami.

– Pani koledzy, Scholes, Haldane, Michaelson...

– Tak?

– Kiedy Carterowi postawiono zarzuty i rozpoczęło się śledztwo, musieli coś o tym mówić.

– Chyba tak.

– Nic pani nie zauważyła? Nie rozmawiali, nie naradzali się?

Cheryl zrobiła skupioną minę i pokręciła głową, powoli, lecz stanowczo.

– Nie czuła się pani odtrącona? Może chodzili razem do pubu?

– Tak, chodzimy do pubu, wieczorem.

– Więc musieliście o tym rozmawiać.

– Tak, ale nie o tym, jak manipulować dowodami.

– Michaelson zalał kawą notes. Widziała to pani?

– Nie.

– I ani razu nie widziała pani Teresy Collins ani nie rozmawiała z nią pani przez telefon?

– Nie.

– Jak to się stało, że nie wezwano pani na świadka? Przysłużyłaby się pani Carterowi jak mało kto.

– Naprawdę nie wiem. Ale powiedziałabym to samo co wam.

– Carter nigdy nie próbował pani poderwać?

W pokoju zapadła cisza. Detektyw Forrester spojrzała na ręce i podniosła głowę.

– Nie, nigdy.

– I mówi pani prawdę, a nie to, co ktoś pani kazał. Tak?

– Tak. Przynieście mi Biblię, to przysięgnę.

– Jeśli nie znajdziemy Biblii – wtrącił Naysmith – czy wystarczy lista koktajli?

Cheryl roześmiała się, demonstrując idealne perłowe zęby.

Pod koniec przesłuchania Joe oświadczył, że odprowadzi ją do wydziału.

– Przecież nikt jej tu nie napadnie – burknął Kaye, ale Naysmith puścił to mimo uszu.

Kaye postanowił się trochę przewietrzyć. Na parkingu omal nie zbombardowała go mewa. Chybiła o centymetry, obryzgując przednią szybę stojącego krok dalej MG. Wciąż ani śladu mondeo i Foxa. Kaye wyjął komórkę i sprawdził wiadomości. Miał trzy, jedną od Malcolma. Wrócił na posterunek, nacisnął dzwonek i nie puścił, dopóki za ladą nie pojawił się jak zwykle ponury sierżant.

– Chcę przesłuchać inspektora Lairda.

– Nie wiem, czy jest.

– Dobra, nieważne.

Kaye ruszył w stronę korytarza i wszedł na piętro. Wydział Śledczy składał się z kilku biur. W jednym z pokoi siedziała Cheryl Forrester, a w drzwiach,

z założonymi rękami i skrzyżowanymi stopami, stał rozgadany Naysmith. Mijając go, Kaye dał mu kuksańca w plecy, po czym wszedł do dużego, otwartego biura kilkoro drzwi dalej. Scholes i Michaelson spojrzeli na niego znad biurka. Scholes rozmawiał przez telefon, Michaelson wodził kursorem myszki po ekranie monitora. Na środku pokoju stał jakiś mężczyzna, trochę starszy od nich. Był bez marynarki, w koszuli z podwiniętymi rękawami. Woskowa oliwkowa cera, posiwiałe na skroniach włosy, worki pod oczami – trzymał w ręku plik dokumentów i coś czytał.

– Detektyw inspektor Laird? – Kaye wyciągnął do niego rękę.

Laird nawet na niego nie spojrział. Napisał parę słów na marginesie kartki i schował długopis.

– Fox? – rzucił.

– Sierżant Kaye – poprawił go Tony, zabierając rękę.

– A gdzie Fox?

– Pewnie sprawdza, czy pan Haldane rzeczywiście ma grype.

– Proszę, proszę... – Laird zaszczyił go wreszcie spojrzeniem. – Mały, bezczelny pyskacz, co?

– Zależy od sytuacji, panie inspektorze.

Kaye wyczuł, że stoi przed nim ktoś, kto wierzy w służących pod jego dowództwem funkcjonariuszy i kto będzie ich bronił do ostatniej kropli krwi. Cheryl Forrester im nie pomogła, bo po prostu nie była w stanie, ale w przypadku Lairda chodziło zupełnie o coś innego. Laird

nie powie im nic, bo tylko na to zasługiwali. Biło to z jego głosu, jego zachowania, z tego, jak stał z szeroko rozstawionymi nogami. Kaye spotkał wielu takich jak on. Można było się do nich dobrać, ale wymagało to czasu i wysiłku. Wielu tygodni i nieustających prób.

Fox przesłał mu SMS-a: *Spytaj Lairda, dlaczego ściągnęli tu Pitkethly.*

Pytanie było rozsądne i Kaye domyślał się, dlaczego lepiej nie pytać o to samej pani inspektor. Boby pewnie nie wiedziała, po prostu. Usłyszała o tym posterunku dopiero wtedy, kiedy dostała przydział. Natomiast Laird służył tu za poprzedniej władzy. Był starym wyjadaczem. I jeśli coś się pod tym kryło, na pewno o tym wiedział.

Ale kilka sekund w jego towarzystwie przekonało Kaye'a, że inspektor nic nie powie.

– Mój szef – dodał – chciał, żebym o coś pana spytał.

– To niech pan pyta.

Ale Kaye tylko pokręcił głową.

– Chyba to sobie daruję.

Odwrócił się i wyszedł. W połowie korytarza chwycił za kołnierz Naysmitha i pociągnął go za sobą.

Na miejscu mondeo stała astra z włączonym silnikiem. Jedynym wolnym miejscem było to z napisem „Inspektor Pitkethly”, więc tam zaparkował. Idąc do drzwi, zerknął na siedzącego w opłu kierowcę. Znał tę twarz.

– Najwyższa pora. – Z posterunku wyszedł Kaye, za nim Naysmith. – Dostałem twojego SMS-a, ale uznałem, że nic z Lairda nie wyciągnę.

– Za to detektyw Forrester była bardzo miła i pomocna – dodał Joe.

Kaye przeszył go wzrokiem.

– Pomocna? – powtórzył. – Śmiała się tylko jak głupia. – Spojrzał na Foxa. – Powiedz, że poszło ci gorzej niż nam. Że kilka razy zabłądziłeś. Że znalazłeś wuja, ale jest stuknięty... Foxy? Czy ty mnie słuchasz?

– To Paul Carter.

– Co?

Fox zawrócił do samochodu. Astra wycofała i ruszyła w stronę wyjazdu. Fox pobiegł za nią, ale po kilku krokach stanął. Kaye dogonił go i obydwaj patrzyli, jak opel odjeżdża z rykiem. Musiał mieć zmodyfikowaną rurę wydechową.

– Carter? Na pewno?

Fox łypnął na niego spode łba.

– Dobra – ustąpił Kaye. – Na pewno.

Fox wyjął komórkę i zadzwonił do prokuratury. Łą-

czono go to z tym, to z tamtym, wreszcie znalazł kogoś, kto mógł odpowiedzieć na kilka pytań. Paul Carter wyszedł za kaucją kwadrans po ósmej rano na podstawie decyzji szeryfa.

– Cele są zatłoczone – usłyszał. – Szeryf Cardonald uznał, że Carter jest najmniej niebezpieczny. Ma ograniczone ruchy, zakaz zbliżania się do tych kobiet.

– Kto wpłacił kaucję?

– Nie była wysoka.

– I to szeryf wpadł na ten pomysł? Szeryf Colin Cardonald?

– Chyba tak.

– Sędzia, który nie lubi gliniarzy?

– Spokojnie...

Ale Fox już się rozłączył.

– Wyszedł – rzucił do Kaye'a i Naysmitha.

– Ściągnąć go na pogawędkę? – spytał Joe.

Fox pokręcił głową.

– Co on tu, do diabła, robił? – dodał Tony.

– Przyjechał odwiedzić kumpli. – Fox spojrzał na okna na pierwszym piętrze posterunku. W jednym z nich stał Ray Scholes z kubkiem herbaty w ręku. Podniósł go jak do toastu i się odwrócił.

– To niczego nie zmienia – zawyrokował Kaye.

– Fakt – zgodził się z nim Fox.

– Nie powiedziałaś, jak poszło z wujem.

– Miły gość. Podoba mi się.

– Na pewno nie tak, jak Joemu pani detektyw Forre-

ster. – Kaye rozejrzał się po parkingu. – Gdzie mój wóz?

– Musiałem zaparkować na miejscu szefowej.

– To lepiej go przestawmy, co? – Tony wyciągnął rękę po kluczyki.

– A jeszcze lepiej wyskoczmy gdzieś na lunch – odparł Fox. – Ja stawiam.

Kaye podejrzliwie zmrużył oczy.

– Gdzie jest haczyk?

Foxowi drgnęły usta.

– Najpierw pojeździmy trochę po mieście.

– Wypatrując srebrzystej astry? – domyślił się Tony.

Fox oddał mu kluczyki.

Trzydzieści bezowocnych minut później wylądowali w naleśnikarni. Ponieważ Fox stawiał, Kaye zamówił zupę i naleśnik z zapiekaną rybą. Stolik, przy którym ostatnio siedzieli, był wolny, więc go zajęli.

– Gdzie mieszka Carter? – spytał Naysmith.

– Na osiedlu Dunnikier – odparł Fox. – Wczoraj tamtędy przejeżdżaliśmy.

– Wczoraj przejeżdżaliśmy przez wiele osiedli.

– Bliźniaki. Kamyczki na ścianach, anteny satelitarne na dachu.

– Dalej nie wiem.

– Moglibyśmy tam podskoczyć – zaproponował Kaye.

– Zobaczymy, jak zareaguje, kiedy postoiemy tam parę godzin.

– Ale po co? – spytał Fox.

– Żeby nas zauważył. A może ściągniemy tu furgo-

netkę? I założymy podsłuch na telefon i komputer, co?

Naysmith robił wrażenie zainteresowanego.

– Musielibyśmy dostać pozwolenie z komendy – ostudził ich Fox. – A komenda nam go nie da.

– Dlaczego? – Joe zmarszczył brwi.

– Bo przyjechaliśmy tu w sprawie Scholesa, Halदानe’a i Michaelsona. Carter nie leży w naszej gestii.

– To może założymy podsłuch u nich? – zaproponował Naysmith.

Fox spojrział na niego i odparł:

– Nadzór elektroniczny to zupełnie inna liga, Joe. Wątpię, żeby ci z komendy uznali, że tych trzech to grube ryby i na to zasługują. Poza tym, nie jesteśmy stąd. To musiałyby być operacja zorganizowana przez Fife, przez miejscowy Wydział Spraw Wewnętrznych.

Naysmith przemyślał to i zajął się szkockim krupnikiem na baraninie. Zadzwoiła komórka i Fox odebrał. Pani inspektor Isabel Pitkethly.

– Paul Carter wyszedł – zaczęła.

– Wiem.

– Wygląda na to, że szeryf trochę mu ufa.

– Tak.

– Jeśli się odwoła, zarzuty przeciwko moim funkcjonariuszom mogą zostać podważone.

– To nie moja sprawa, pani inspektor.

– Jak to?

– Nie pracuję dla sądu ani dla prokuratury. O wszystkim decydują pani szefowie z Glenrothes, a jak

dotąd nie kazali mi przerwać śledztwa. – Fox zrobił pauzę.

– Rozmawiała pani z Carterem?

– Oczywiście, że nie.

– Godzinę temu był przed posterunkiem.

– Nie wiedziałam.

– Ale Scholes wiedział. Może warto go spytać, dlaczego zatrzymał to dla siebie.

– Jestem na komendzie, późno wrócę.

– Widzę, że spędza tam pani dużo czasu. Informuje ich pani na bieżąco? Osobiście?

Pitkethly puściła to mimo uszu.

– A więc jeszcze nie skończyliście?

– Dopiero co zaczęliśmy.

– W takim razie do zobaczenia. Aha...

– Tak?

– Proszę nie parkować na moim miejscu.

* * *

Popołudnie zmarnowali na przesłuchanie inspektora Petera Lairda – w tym, że inspektor Hendryson przeszedł na emeryturę, nie było nic niezwykłego, nadeszła jego pora, i tyle – oraz na wizytę u chorego detektywa sierżanta Haldane’a. Haldane leżał pod kołdrą na sofie w salonie, a matka raczyła go herbatą, środkami na przeziębienie i mądrymi radami. Nie omieszkała ich złąć.

– Nie można z tym poczekać, aż wydobrzeje?

W końcu ustalili, że za parę dni Haldane stawi się na

posterunku, żeby mogli go oficjalnie przesłuchać.

– Co teraz? – spytał Kaye, kiedy wsiedli do samochodu.

– Osiedle Dunnikier – zdecydował Fox.

Tony uśmiechnął się lekko, jakby tego się właśnie spodziewał. Musieli przejechać przez całe miasto, a ruch był coraz większy.

– Lekcje się skończyły – zauważył Naysmith, spoglądając na idących chodnikiem uczniów.

– A ty kto? – mruknął Kaye. – Herkules Poirot?

Wreszcie skręcili w ulicę Cartera.

– To tamten dom – powiedział Fox.

– Ten ze srebrzystą astrą na podjeździe? – ironizował Tony. – Kumpluje się z Herkulesem Poirot i Sherlockiem Holmesem.

– A ten drugi wóz to czyj? – spytał Naysmith.

– Raya Scholesa – odparł Fox.

– Jesteś pewny?

– Jeśli to on właśnie wychodzi z domu, to jestem.

I rzeczywiście. Scholes objął kolegę, przytulił go krótko i po męsku, potem Carter zniknął w środku i zamknął drzwi. Scholes spojrzał na ich wóz, ale nie robił wrażenia zaskoczonego czy zaniepokojonego. Otworzył drzwi czarnego golfa i wsiadł. Fox obserwował go przez tylne okno.

– Złożymy mu wizytę? – spytał Kaye, gdy zwolnili przed skrzyżowaniem.

– Nie.

– To co robimy?
– Wracamy do Edynburga.
– Nareszcie gadasz do rzeczy.
– I żeby zabić czas, zrobimy mały kwiz. – Fox nachylił się do przodu, wtykając głowę między przednie fotele. – Który z was pamięta coś z roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego? Zwłaszcza z końca kwietnia...

* * *

Przed rozstaniem Kaye uparł się na drinka i żeby postawić na swoim, pojechał prosto do Mintera i zaparkował przed pubem.

– Ja stawiam – powiedział, zamawiając duże piwo dla siebie, małe dla Naysmitha i sok pomidorowy dla Foxa. Barman z doświadczenia wiedział, że „małe” to tylko żart i bez pytania nalał im po dużym kuflu caledoniana 80. Usiedli przy stoliku i Tony spytał, kiedy ostatni raz Fox pozwolił sobie na porządnego drinka.

– Przestałem liczyć dni.
– Jasne. – Kaye wytarł pianę z górnej wargi.
– Wiecie co? – powiedział Joe. – Podśłuch i nadzór to niezły pomysł.

– Hej. – Kaye pogroził mu palcem. – Już po służbie.

– Mówię tylko, że tak zwykle robimy.

– Już ci tłumaczyłem... – zaczął Fox.

Naysmith kiwnął głową.

– Ale, popraw mnie, jeśli się mylę, inaczej nic z tego

nie wyjdzie, prawda? A gdybyśmy tak poprosili McEwana o pozwolenie i przygotowali wszystko bez wiedzy tych z Fife? A kiedy już byśmy coś mieli...

– „Jeśli”, Joe – poprawił go Fox. – Nie „kiedy”, tylko „jeśli”.

– Niech ci będzie. Więc jeśli już byśmy coś mieli...

– „Jeśli” przez wielkie „J” – dodał Tony.

– Tak, ale potem przedstawiłibyśmy im wyniki jako *fait accompli*.

– To po hiszpańsku? – mruknął do Foxa Kaye. – Bo nie chwytam.

– Dlaczego McEwan miałby się na to zgodzić? – spytał Fox.

– Bo ładnie byśmy go poprosili.

– O tak – prychnął Kaye. – On uwielbia czułe słówka.

– Już mówiłem, Joe – powtórzył Fox. – To musiałyby być operacja zorganizowana przez Fife.

– Więc co szkodzi ich spytać? Musisz tam kogoś znać, nie?

Fox zawahał się i kiwnął głową.

– Ale wątpię, czy mamy u nich dobre notowania. Robimy to, co powinni robić oni.

– Ale znasz tam kogoś, tak? – drażył Naysmith.

– Znam. – Fox spojrzał na Kaye’a.

Ten wzruszył ramionami.

– Moim zdaniem nie wypali.

– Bo?

– Taka operacja wymaga zgody samej góry. A my

przez cały czas powtarzamy, że ci z Glenrothes nie chcą, żebyśmy coś znaleźli. Tak?

– Tak – nie ustępował Joe – ale jeśli zabronią działać własnemu Wydziałowi Spraw Wewnętrznych, to też będzie kiepsko wyglądało.

Kaye wciąż patrzył na Foxa.

– Co ty na to?

– To protokolarne pole minowe.

– Ale może z pierwszym krokiem nas nie rozwali?

– Telefony, domowe i komórki – dodał Joe. – Tylko po to, żeby sprawdzić, co Carter mówi kumplom ze śledczego.

– Będę musiał to przemyśleć – powiedział w końcu Fox.

Kaye klepnął Naysmitha w kolano.

– Co znaczy, że Foxy to robi. Dobrze to rozegrałeś, Joseph. A tak przy okazji: stawiasz.

Teraz twoja kolej.

* * *

W domu znowu odgrzał coś w mikrofalówce i zjadł przy stole. Nie włączył telewizora. Był zamyślony. Potem sprzątnął, zadzwonił do siostry i przeprosił ją, że odzywa się dopiero teraz.

– Nie mów, byłeś zajęty?

– Tak się złożyło. – Fox ścisnął grzbiet nosa.

– Ale byłeś u niego?

– Wczoraj wieczorem, tak jak obiecałem. Kiedy przyjechałem, zachowywał się całkiem normalnie.

– Tak?

– Przejrzeliśmy te zdjęcia.

– Nie zdenerwował się?

– Nie, chyba nie.

– W takim razie może tylko ja go denerwuję? To chcesz powiedzieć? Uważasz, że przesadzam?

– Nie, Jude, na pewno nie. Widziałem pieluchy w łazience.

– Jeśli zacznie się moczyć, wyrzucą go stamtąd.

– Wątpię.

– Powiedzą, żebyśmy go zabrali, ty albo ja.

– Posłuchaj...

– Ale ja nie mogę, Malcolm! Jak bym sobie poradziła?

– Nikt go nigdzie nie wyrzuci.

– Dlaczego? Bo płacisz za jego spanie i utrzymanie?

Jak zacznie im przeszkadzać, to nie wystarczy.

– Uspokoilibyś się, gdybyśmy z nimi porozmawiali?

– Ty porozmawiaj. Oni mnie nienawidzą.

– Nieprawda.

– Traktują mnie jak ostatniego śmiecia. Ty tego nie widzisz, bo to ty wymachujesz im przed nosem książeczką czekową. Ale wszystko jest w porządku, prawda? Bo to ty dostaniesz lwią część spadku. To ciebie ojciec lubi, o tobie ciągle gada, kiedy przychodzę. Nigdy o mnie, ja jestem tylko od przynieś, podaj, pozamiataj. Jak, kurwa, sprzą-taczka jakaś!

– Jude, posłuchaj samej siebie...

Ale w końcu to on wysłuchał jej, jej coraz większych, przeciągających się narzekań i pretensji. Przypomniało mu się zdjęcie, to, na którym tryskając beztroską energią, jako mała dziewczynka siedziała na ramionach Chrisa. Energią, z której zostało tylko to.

„Czasem trzeba wytyczyć granicę...”.

Powoli opuścił telefon i włożył go do ładowarki. W tym momencie połączenie zostało przerwane. Fox zagryzł dolną wargę. Patrzył na telefon i zastanawiał się, czy zadzwoni, czy w słuchawce znowu odezwie się głos rozwścieczonej Jude.

Ale nie, nie zadzwoniła, więc robiąc herbatę, myślał, czy mógł powiedzieć jej coś, co polepszyłoby ich relacje. Bo może gdyby obiecał, że będzie częściej odwiedzał ojca, gdyby w któryś weekend zabrał ich na lunch... „To ciebie ojciec lubi...”. „Ja jestem tylko od przynieś, podaj, pozamiataj...”.

Z ciężkim westchnieniem podszedł do komputera i włączył go, zastanawiając się, co wyszukiwarka powie mu o 1985 roku. Pamięć o przykrew rozmowie z siostrą zaczynała się powoli zacierać.

III

8

– A więc nie jesteś duchem?

– Kiedy sprawdzałem ostatni raz, byłem człowiekiem z krwi i kości.

Wyciągnął do niej rękę, ale zobaczył, że ona wyciąga obie. Chciał je uścisnąć i nagle zrozumiał, że to wstęp do przytulenia. Niezdarnie objął ją więc i przytulił.

– To już trzy lata czy cztery? – spytała.

Trzy czy cztery lata od ich jednorazowej przygody na – o ironio! – konferencji Wydziału Etyki i Standardów Zawodowych w Wyższej Szkole Policyjnej w Tulliallan.

– Prawie cztery. Nic się nie zmieniłaś. – Cofnął się o krok, żeby sprawdzić, czy to prawda.

Nazywała się Evelyn Mills i miała tyle lat, co on, lecz czas był dla niej łaskawy. Gdy zaszaleli na konferencji, była mężatką i sądząc po obrączce na palcu, wciąż miała męża. Stali na nabrzeżu w Kirkcaldy. Niedawno spadł deszcz, przelotny, lecz ulewny, ale już przeszedł. Po niebie sunęły zwaliste chmury. Na horyzoncie cumowały dwa kontenerowce. Fox ogarnął to wszystko wzrokiem, nie wiedząc, czy teraz z kolei ona nie skomentuje jego wyglądu.

– A więc wciąż służymy w Skargach? – spytała.

Schowal ręce do kieszeni i wzruszył ramionami.

– Ty też.

– Hm... – Przyjrzała mu się badawczo. Potem wzięła

go pod rękę i w milczeniu poszli na spacer.

– Macie dobre wyniki – rzucił w końcu. – Z tym Carterem.

– Tak naprawdę to nie my. To świadkowie. Innego dnia, w innym sądzie szala mogłaby się przechylić na drugą stronę.

– Wszystko jedno.

– Wszystko jedno... Jesteśmy tak dobrzy, że musiano ściągnąć tu was, gości z wielkiej metropolii.

– To tylko o rzut kamieniem stąd, Evelyn. I dzięki temu nikt nie zarzuci wam, że kryjecie swoich.

– Myślisz, że kryjemy?

– To nie ja ich oskarżam. – Zrobił pauzę. – Jeśli to jakieś pocieszenie...

– Ja nie szukam pocieszenia, Malcolm. – Wolną ręką ścisnęła go za ramię i wiedział już, że chce być jego sojuszniczką, a nie wrogiem.

– Carter wyszedł – powiedział. – Wiedziałaś?

Kiwnęła głową. Szli w kierunku pirsu na północnym końcu promenady. Przy pirsie cumował samotny kuter rybacki, ale oprócz drapieżnych mew nie było tam widać ani śladu życia.

– Pomyśleliśmy, że dobrze by było wiedzieć, o czym gada ze Scholesem i resztą.

– Tak?

– Komórki i stacjonarne. Domowe.

– Całej czwórki?

– Trójki. Jeśli podsłuchamy Cartera i jeśli Carter się

odwoła, obrona będzie miała używanie.

– Nie wiem, czy damy radę.

– Brak ludzi czy środków?

Evelyn głośno wypuściła powietrze.

– Szczerze mówiąc, jednego i drugiego. Masz przed sobą cały wydział wewnętrzny hrabstwa Fife. To ja. Tak, w nagłym przypadku zawsze mogę poprosić o pomoc kogoś z zewnątrz, ale...

– Kiedy wuj Cartera złożył skargę, też poprosiłaś?

– Tak. – Evelyn odgarnęła z twarzy kosmyk włosów. – Jego najlepszym kumplem jest Scholes. Gdybym miała się komuś przyjrzeć, to właśnie jemu.

– Wczoraj widzieliśmy, jak wychodził z jego domu.

– Scholes? To znaczy, że go śledzicie?

Fox pokręcił głową.

– Tylko tamtędy przejeżdżaliśmy.

Evelyn zmrużyła oczy.

– Przez Dunnikier?

– Tak jakby.

Przyjrzała się badawczo jego twarzy i krótko się rozeźmiała.

– Boże, do czego my się posuwamy...

Nie był pewny, czy chodzi jej o pracę, czy o tamtą noc. Uznał, że lepiej nie ryzykować, i o nic nie spytał.

– Wiesz, że będę musiała pójść z tym do szefa? – spytała po chwili namysłu. – A on do swojego?

Kiwnął głową.

– I mogę powiedzieć, że to wasz pomysł?

Kiwnął głową jeszcze raz.

– Wszystko po to, żeby sprawdzić, czy kumple nie kryją kumpla?

– Popelniając przy okazji krzywoprzysięstwo – zauważył Fox.

Przesunęła palcami po grzbiecie nosa, który – o czym nagle sobie przypomniał – całował w tamtą noc. Dużo wtedy wypła, w barze. On był trzeźwy i powinien był odprowadzić ją tylko do drzwi. Ale miała w pokoju czajnik. I rozpuszczalną kawę w saszetkach. I wąskie łóżko...

– I co o tym myślisz? – spytał.

– Że zaraz zmienię się w sopel lodu.

– Spróbujesz czy nie, dzięki, że chciałaś się ze mną zobaczyć.

Tym razem poklepała go po przedramieniu i zawrócili do jej samochodu. Gdy doszli tam bez słowa, spytała, gdzie zaparkował, a on kiwnął głową w stronę śródmieścia. Otworzyła drzwi i wsiadła. Jeździła alfą romeo z granatową tapicerką.

Zamknął drzwi i odpaliła silnik. Opuściła szybę.

– Kilka miesięcy temu miałam coś do załatwienia na Fettes. Zastanawiałam się, czy do ciebie nie zapukać.

– Szkoda, że nie zapukałaś.

Zwolniła hamulec, pomachała mu i odjechała. Fox stał i patrzył, dopóki samochód nie zniknął mu z oczu, potem przeciął ulicę i poszedł do centrum handlowego Mercat. Czekali tam na niego Kaye i Naysmith, pijąc kawę i czytając, Naysmith „Guardiana”, Kaye „Daily Record”.

– Niczego nie zamawiaj – ostrzegł go Tony. – Nie umywa się do naleśnikarni.

– Ale bliżej stąd do samochodu – odparł Fox.

Kaye patrzył na niego, czekając na sprawozdanie.

– Tylko „może”. – Fox wcisnął się do boksu.

Tony nachylił się ku niemu z rozszerzonymi nozdrzami i powąchał palto.

– Chanel 5, chyba że straciłem węch. Twój kontakt to nie facet. To kobieta.

– I kto tu robi za Herkulesa Poirota? – wymamrotał Joe, nie racząc podnieść wzroku znad gazety.

* * *

Nie na posterunku. Teresa Collins była nieugięta. Ani na posterunku, ani nawet w pobliżu „tej śmierdzącej nory”, dlatego Fox zaproponował spotkanie u niej w domu. Mieszkała w górnej części dwupoziomowego mieszkania w Gallatown. Gary Michaelson dał im do zrozumienia, że nie jest to najmiłsza dzielnica. Ale Fox uznał, że nic jej nie dolega: w Edynburgu były dużo gorsze. Szeregowce i bliźniaki, w tym wiele dwurodzinnych. Ściany pokryte tynkiem kamyczkowym, mnóstwo anten satelitarnych. Młode matki z dziecięcymi wózkami i telefonem przy uchu, niektóre znowu w ciąży. Gdy zaparkowali przy krawężniku, kilku nastolatków w czapkach baseballowych łyknęło na nich spode łba i zaczęło znacząco chrząkać, kiedy wysiedli. Intuicja. Fox nacisnął guzik dzwonka

z napisem „Collins”.

Ktoś krzyknął:

– Otwarte!

Fox nacisnął klamkę i wszedł na schody. Lokatorzy z dołu urządzali przyjęcie.

– Eminem – powiedział Naysmith.

– Małpa z mikrofonem – mruknął Kaye.

Teresa Collins siedziała w fotelu w zagraconym saloniku, z nogą na podłokietniku i papierosem w ustach. Była w legginsach z lycry i fioletowym podkoszulku z wykonanym dżetami napisem „Gwiazda porno”.

– Nie musiała się pani dla nas stroić – powiedział Tony, oglądając trójwymiarowy plakat Beyoncé nad kominkiem.

Od dudniącej na dole muzyki drżały szyby w oknach.

– Zapomniałam spytać – powiedziała Collins. – Może powinnam zadzwonić do adwokata?

– Jest pani ofiarą – przypomniał jej Fox, przedstawiając jej kolegów.

W salonie był drugi fotel, ale leżał na nim stos ubrań do prania. Jeśli chodzi o bieliznę, pani Collins lubiła stringi.

– Żeby pan wiedział. – Zaciągnęła się dymem.

W kącie pokoju stał telewizor z płaskim ekranem i dekoder bezpłatnej telewizji cyfrowej. Półki były puste, nie licząc stacji dokującej i głośników MP3. Na beżowej wykładzinie widniała imponująca kolekcja śladów po gorącym popiele.

– Nie ma to jak dobrzy sąsiedzi, co? – Kaye tupnęła nogą w podłogę.

– Są spoko. – Zwisająca z podłokietnika noga trzymała tempo, kolano wściekle wybijało rytm.

– Parę tabletek na pobudzenie po metadonie? – domyślił się Fox.

– Nie znajdziecie tu niczego nielegalnego – warknęła Collins. – Wszystko jest na receptę.

– Niczego nie szukamy. Tak jak mówiłem przez telefon, sprawdzamy kolegów Cartera, nie panią.

– Akurat.

– Byłoby miło, gdyby mi pani uwierzyła.

Collins wyglądała tak, jakby nie mogła skupić na nim uwagi.

– No to już – zdecydowała w końcu – niech pan zaczyna. Cholera jasna, ile razy można odpowiadać na te same pytania?

– Czy detektyw posterunkowy Carter tu przychodził?

– Tak.

– Sąsiedzi go widzieli?

– Przecież sami tak zeznali, nie?

– Dyskretny to on raczej nie był. A jego koledzy? Nigdy tu nie byli?

– Tylko Scholes. Raz. Na samym początku, kiedy chcieli, żebym kapowała.

– Scholes nigdy tu nie wchodził, kiedy Carter domagał się od pani owych „usług”?

Collins pokręciła głową.

– Pewnie czekał w samochodzie. – Robiła wrażenie poruszonej. – Kiedy się połapaliście, to on do mnie zadzwonił. Chciał mnie zastraszyć.

– Wiem, że niełatwo pani do tego wracać...

– Myślałam, że to już załatwione. A więc teraz tak będzie? Carter idzie na dno, dlatego będziecie mnie nACHodzić, aż mi odbije albo ze sobą skończę?

Fox odpowiedział dopiero po chwili.

– Są organizacje dobroczynne, które mogłyby pani pomóc, wystarczy zadzwonić. Wie pani o tym?

– Pomoc dla ofiar gwałtu i przemocy? Cały ten syf? – Collins energicznie pokręciła głową. Wydmuchała kłęb dymu i strzepnęła popiół z podkoszulka. – Grunt, że facet siedzi, niczego więcej nie chcę...

– A jeśli nie siedzi? – Naysmith powiedział to i natychmiast zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. Fox i Kaye potwierdzili to, piorunując go wzrokiem.

– Znaczy, że wyszedł? – Wyblakłe oczy na pobludłej twarzy zrobiły się wielkie jak spodki.

– Powinni byli panią uprzedzić – powiedział cicho Fox.

– On...? – Teresa Collins zerwała się z fotela, podbiegła do okna i wyjrzała na ulicę.

– Nie może się do pani zbliżać – uspokajał ją Fox. – Ma zakaz. Jeśli podejdzie na mniej niż osiemset metrów, wróci za kratki.

– Cudownie – powiedziała z sarkazmem Collins. – I myśli pan, że on was posłucha, że będzie przestrzegał

prawa? Ten kutas... – Odwróciła się od okna. – A jak powiem, że to wszystko kłamstwo? Że wymyśliłam to, żeby mu dokopać?

– Wtedy to pani trafi za kratki – ostrzegł ją Fox. Położył wizytówkę na podłokietniku fotela. – Tu jest mój numer. Jeśli go pani zobaczy, proszę natychmiast do mnie zadzwonić.

– Przyszliście mi grozić. – Collins wycelowała w niego drżący palec. – We trzech, to zastraszanie. I ta historyjka o Carterze. Powiedzieliście mi to specjalnie, tak? Najpierw Scholes, Haldane i Michaelson, a teraz wy.

– Zapewniam panią, że...

– Pójdę z tym do gazet! I to zaraz! Narobię krzyku!

– Proszę się uspokoić, Tereso. – Fox podniósł ręce, jakby się poddawał. Zrobił krok w jej stronę, ale Collins odwróciła się szybko i otworzyła okno.

– Pomocy! – wrzasnęła. – Niech mi ktoś pomoże!

Fox zobaczył, że Kaye patrzy na niego, czekając na decyzję.

– Zadzwonię do pani. – Podniósł głos z nadzieją, że Collins go usłyszy. – Później, kiedy trochę się pani... – Dał znak kolegom, że wychodzą.

Na schodach gapili się na nich sąsiedzi z góry.

– Wpadła w histerię – powiedział.

Imprezowicze z parteru nic nie słyszeli, a jeśli słyszeli, żaden nie zwracał sobie tym głowy. Ale na dole czekali ci w czapkach baseballowych, stali na chodniku i patrzyli na nich. Fox pokazał im legitymację.

- Cofnąć się.
- Zgwałciliście ją – rzucił któryś oskarżycielsko.
- Jest tylko zdenerwowana.
- A kto ją zdenerwował? Wy.
- Chryste! – wykrzyknął Kaye. – Mój samochód!

Na masce i przedniej szybie wałała się zawartość ku-
bła na śmieci, pudełka po hamburgerach, niedopałki pa-
pierosów, zmiażdżone puszki po piwie i coś, co wyglądało
na szczątki martwego gołębia.

– Myjnia jest na końcu ulicy! – zawołał jeden
z baseballistów. – Tylko trzy funciaki.

– Albo pięć, jak powiecie, że jesteście gliniarzami –
dodał drugi.

Parsknęli śmiechem, z czego Fox się ucieszył. Sytua-
cja była rozładowana, a Collins przestała wrzeszczeć
i zamknęła okno.

Mimo to Kaye był wściekły. Rzucił się na nastolatków
i Fox musiał go od nich odciągnąć.

– Spokojnie, Tony, tylko spokojnie. Spadajmy stąd,
dobra?

– Ale te kutasy...

– Do samochodu – rozkazał Fox. – Wsiadaj.

Kaye posłuchał go dopiero po paru sekundach. Od-
garnął wycieraczkami trochę śmieci i szybko wycofał,
żeby zrzucić te, które zostały na masce.

– Przysięgam, że wrócę tu z kijem baseballowym –
wymamrotał, gdy chłopcy ruszyli za nimi i biegnąc z boku,
zaczęli kopać karoserię i uderzać w nią rękami. Gwałtow-

nie przyspieszył na jedyńce i zawrócił, pozbywając się przy okazji prawie wszystkich pozostałych śmieci.

– Daj spokój – rzucił Naysmith. – To Gallatown.

– Myślisz, że to zabawne? – Kaye nachylił się ku niemu i grzmotnął go w głowę. – Teraz się pośmiej, gnojku.

– Szybka jesteś – powiedział do telefonu. Dzwoniła Evelyn Mills. Dostali zielone światło na założenie podsłuchu.

– Mój szef uznał, że nie musimy iść z tym wyżej – wyjaśniła.

– Dlaczego?

– Pewnie boi się, że góra by to utraciła.

– Twój szef zaczyna mi się podobać.

– Przypomina mi trochę ciebie.

– To miło. Kiedy będziecie gotowi?

– Muszę ściągnąć tu technika, żeby pomógł nam z linią naziemną.

– Nam?

– Mam pomocników, dwóch młodych ze śledczego. Założenie podsłuchu na komórki potrwa dłużej. Najpierw będziemy mieli dostęp do połączeń wychodzących i przychodzących... – Evelyn urwała. – Ale przecież znasz to na wylot.

– To prawda.

Evelyn krótko westchnęła.

– Ze stacjonarnymi skończymy jeszcze dzisiaj, z resztą jutro. Jest mało prawdopodobne, żeby Scholes pisał do Cartera e–maile, dlatego chcę darować sobie monitorowanie klawiatury.

– Jasne. Jeszcze raz wielkie dzięki.

– Po to są zaniedbywani przyjaciele, prawda?

– Masz rację.

– Ale uważaj: Scholes nie jest idiotą. Dlatego pojechał do Cartera. Rozmowa w cztery oczy to rozmowa w cztery oczy. Możemy wylądować z SMS–ami, w których umawiają się na kolejne spotkanie.

– Wiem.

Evelyn znowu westchnęła.

– Oczywiście. Ciągle zapominam, że jesteśmy do siebie podobni. Może dlatego tak szybko między nami zaiskrzyło.

– Na pewno chcesz powiedzieć coś więcej? Ta linia może nie być tak bezpieczna, jak myślimy.

Słumiała śmiech i Fox odłożył komórkę.

– Czyli mamy rezultaty – rzucił Kaye.

Siedzieli stłoczeni w magazynie. Drzwi były lekko uchylone, a Naysmith wypatrywał szpiegów i gapiów.

– Do jutra wszystko ma być gotowe. Telefony domowe nawet dzisiaj wieczorem.

– Co za skuteczność. Podzielisz się z nami tajemnicą swego sukcesu?

– Nie.

– Wystarczy jej imię.

– I to, czego zabroniłeś jej mówić przez telefon, żeby nikt was nie podsłuchał – dodał Naysmith. Gwałtownie drgnął, gdy ktoś załomotał do drzwi i otworzył je na oścież. W progu stanęła inspektor Pitkethly z twarzą jak burza gradowa.

– Niedawno złożyliście wizytę Teresie Collins. To prawda?

Fox wstał.

– Złożyła skargę?

– Tak jakby. Na jej fotelu znaleziono wizytówkę z pańskim nazwiskiem. Kiedy weszli tam sanitariusze z noszami. – Pitkethly zauważyła, jaki efekt wywarły na nich te słowa i przez chwilę milczała, delektując się ich niewyraźnymi minami. – Przechodzień ją zobaczył – dodała. – Stała w oknie i bazgrała po szybie krwią z nadgarstków. Wezwano pogotowie.

Teraz wstali także Naysmith i Kaye. Wszyscy patrzyli tylko na nią. Kaye odezwał się jako pierwszy.

– Czy ona...?

– Jest w szpitalu. Rany nie wyglądają groźnie. Pojawia się tylko pytanie: co ją do tego doprowadziło? Patrząc na was i chyba znam już odpowiedź.

– Wpadła w histerię – wypalił Joe. – Zostawiliśmy ją i...

– Ale oczywiście najpierw ją uspokoiście, tak? – spytała Pitkethly, powoli kręcąc nożem w ranie. – Ta kobieta miała traumatyczne przeżycia. Jest słaba psychicznie i kiedyś brała narkotyki. Rozumiem, że nie zostawiliście jej w tym stanie?

Fox zdążył się już trochę uspokoić.

– Nie odpowiadamy przed panią.

– Niewykluczone, że będziecie musieli.

– Złożymy stosowny raport.

– Po naradzie?

Pytanie to zadał detektyw inspektor Peter Laird, który właśnie przyszedł i stanął tuż za swoją przełożoną. Fox wyczuł, że na korytarzu jest jeszcze więcej widzów. Minał szefową posterunku, wyjrzał i okazało się, że miał rację.

Laird nie ukrywał radości z takiego obrotu wydarzeń.

– Pewnie zechcecie ustalić wspólne alibi – dodał.

– Ale nic jej nie będzie? – spytał Joe Naysmith.

– Trochę za późno na troskę – odparła Isabel Pitkethly.

Fox stanął tuż przed nią.

– Dość tego – warknął. Spojrzał na kolegów. – Wy-chodzimy.

– Tak szybko? – Gdy wyszli na korytarz, Laird pomachał im na do widzenia.

– Poproszę o raport! – zawołała za nimi Pitkethly.

Fox pchnął drzwi i zobaczył biegnącego przez parking Scholesa.

– Chyba ominęła mnie dobra zabawa – powiedział inspektor z uśmiechem.

Fox puścił to mimo uszu, lecz Kaye trącił go ramieniem tak mocno, że policjant omal nie upadł. Ale nie odpowiedział na zaczepkę. Jego śmiech ścigał ich aż do samochodu.

– Dokąd? – spytał Tony.

– Do domu – odparł Fox.

* * *

Przez pierwsze kilka kilometrów w ogóle się do siebie nie odzywali. Dopiero Naysmith przerwał milczenie:

– Biedna kobieta.

– Uważasz, że powinniśmy byli zostać?

Kaye spojrzał na Foxa, ale zobaczył, że ten nie zamierza odpowiadać. Wyglądał przez okno, prawie dotykając czołem szyby.

– Moim zdaniem nie zrobiliśmy nic złego – powiedział Tony z udawaną pewnością siebie. – Dostała szau na nasz widok, więc wyszliśmy.

– Dostała szau przeze mnie. Bo powiedziałem, że Carter wyszedł...

– Joe, zatajanie faktów nie należy do naszych obowiązków.

– Mówisz tak – przerwał mu Fox – jakbyś recytował gotowy raport.

– To było wołanie o pomoc – upierał się Kaye. – Jeden ze sposobów. Wszyscy to znamy.

– Ja nie – mruknął Naysmith.

– Ale znasz ten typ. Gdyby naprawdę chciała ze sobą skończyć, nie stałaby w oknie, demonstrując wszem wobec, że zrobiła to, co zrobiła.

– A gdyby nikt tamtędy nie przechodził?

– To zadzwoniłaby po karetkę sama. To się zdarza.

– Nie mogę przestać myśleć...

– To nie myśl! – warknął Kaye. – Wracajmy do cywilizacji i wszystko opiszmy. – Znowu spojrzał na Foxa. – Poprzyj mnie, Malcolm. Ona mogła pęknąć w każdej

chwili, mieliśmy po prostu pecha, że pękła przy nas.

– Mogliśmy spróbować ją uspokoić.

– Już zapomniałeś? Baba wrzeszczała jak opętana. Dwie minuty dłużej i zbiegliby się tam wszyscy wariaci z okolicy. Nie mielibyśmy jak zwiać. – Kaye zaczął ugniatać rękami kierownicę. – Nie zrobiliśmy nic złego – powtórzył.

Fox zobaczył, że znowu są na M90 i minęli już Inverkeithing.

– Zrób coś dla mnie – powiedział cicho.

– Co?

– Przed mostem jest zatoczka. Wysadź mnie.

– Będziesz rzygał?

Fox pokręcił głową.

– Więc po co?

– Wysadź mnie, i już.

Kaye zjechał na lewy pas, zobaczył znak informujący o zatoczce i znowu wrzucił kierunkowskaz. Zatoczka była duża, dla tirów, które czekały tam na eskortę przed wjazdem na most. Fox wysiadł i poczuł, że chce wessać go pęd powietrza wytwarzany przez sznur pędzących samochodów. Ale był tam chodnik prowadzący do wydzielonej kładki dla pieszych.

– Żartujesz! – zawołał za nim Tony.

– Muszę się przewietrzyć, to wszystko.

– Cholera jasna, i co my mamy teraz robić?

– Zaczekajcie na mnie po drugiej stronie, jak najbliżej tych starych budek na rogatkach.

– Iść z tobą? – spytał Naysmith, ale Fox tylko pokręcił głową, zatrzasnął drzwi i postawił kołnierz.

Przeszedł trzydzieści, czterdzieści metrów, zanim koledzy z mondeo wypatrzyli lukę w ruchu i minęli go, krótko trąbiąc klaksonem. Fox pomachał im i poszedł dalej. Nigdy dotąd nie przechodził przez Forth Road Bridge. Wiedział, że niektórzy robią to cały czas, zwłaszcza biegacze i turyści. Hałas był ogłuszający, wysokość przyspawiała o zawrót głowy, mimo to szedł przed siebie, wciągając do płuc hausty przyprawionego spalinami powietrza. Z naprzeciwka szła kobieta z psem. Włosy miała przewiązane chustą i z uśmiechem skinęła mu głową – spróbował odpowiedzieć jej tym samym, lecz z marnym rezultatem. Po lewej stronie widział most kolejowy, niemal całkowicie osłonięty płachtami, bo trwały tam roboty konserwacyjne. Na dole były wyspy, a nieco dalej po prawej port w Rosyth. Wiatr smagał uszy, ale on uznał, że na to zasługuje. Kaye miał oczywiście rację: to było wołanie o pomoc, a nie poważna próba. Ale wszystko jedno. Powiedzieli jej o wyjściu Paula Cartera: bomba wybuchła, a oni wyszli, ot tak, jakby nigdy nic. Nie zadzwonili do opieki socjalnej ani do nikogo, kto mógłby jej pomóc. Sąsiad? Mieszkający w pobliżu krewny? Nie, bardziej bali się o własną skórę i ten cholerny samochód.

Przez te wszystkie lata pracy w policji rzadko kiedy był świadkiem przemocy czy tragedii. Jeszcze jako mundurowy interweniował w kilku pijackich burdach, w śledczym prowadził parę poważnych spraw

o morderstwo. W Skargach pociągało go między innymi to, że zamiast połamanymi kośćmi, wydział zajmował się przypadkami łamania przepisów, policjantami, którzy nie należąc do ludzi gwałtownych, przekroczyli prawo. Czy wynikało z tego, że jest tchórzem? Nie, chyba nie. Gorszym policjantem? Też nie. Ale unikanie konfrontacji leżało w jego naturze, unikanie, a raczej zapobieganie – właśnie dlatego uważał, że nawalił z Teresą Collins. Każdą minutę, którą u niej spędzili, można było rozegrać inaczej, z lepszym rezultatem.

Potaął rękami policzki. Szedł coraz szybciej, a w połowie mostu wiatr stał się jeszcze bardziej przenikliwy. Był teraz na środku zatoki Firth of Forth, w powietrzu utrzymywały go stalowe liny. Wierzył, że zrobią swoje i nagle nie pękną. Nie wiedząc dlaczego, zaczął biec, początkowo truchtem, lecz wkrótce przyspieszył. Kiedy ostatni raz biegał? Nie pamiętał. Pokonał sprintem tylko kilkadziesiąt metrów, mimo to zasapał się jak stary parowóz. Dwóch wytrawnych biegaczy przyjrzało mu się podejrzliwie.

– Nic mi nie jest – wykrztusił i pomachał im ręką.

Może on też w to wierzył. Wyjął komórkę i zrobił zdjęcie zatoki, ot tak, na pamiątkę. Tuż pod nim było teraz południowe Queensferry ze swoimi jachtami i wodnymi przejazdkami do Inchcolm Abbey. Zaczął wypatrywać samochodu z kolegami, lecz go nie widział. Mieli dość i zostawili go tutaj? Jeszcze raz przyjrzał się kilku parkującym po drugiej stronie pojazdom, gdy nagle z tyłu za-

trąbił klakson. Odwrócił się i zobaczył zjeżdżającego na pobocze Kaye'a, który właśnie przejechał przez most.

Otworzył drzwi.

– Jak to zrobiłeś?

– Joe bał się, że skoczysz – odparł Tony. – Objechaliśmy rondo, zawróciliśmy do Fife, objechaliśmy drugie, no i jesteśmy.

– Miło wiedzieć, że wam zależy.

– Tylko jemu. Dla mnie mógłbyś skoczyć.

Fox uśmiechnął się, wszedł i zapiął pas.

– Miło wiedzieć, że ci zależy.

– Przyjemny spacer? – spytał Naysmith z tylnego siedzenia.

– Trochę otrzeźwiałem.

– I? – spytał Kaye.

– I dobrze się czuję.

– Moglibyśmy przysiąc, że biegłeś.

Fox zganił go surowym spojrzeniem.

– Wyglądam na takiego, co by biegał?

Tony uśmiechnął się półgębkiem.

– Raczej nie.

– No to nie biegłem. Prawda?

– To pańska wersja wydarzeń, panie inspektorze. –

Kaye zerknął na Naysmitha w lusterku wstecznym. – A my mamy swoją. Tymczasem możesz potwierdzić, że wracamy do bazy?

– Chyba że chcesz przedtem wpaść do myjni – odparł Fox. Kaye pokręcił głową. – No dobra. W takim razie zo-

baczmy, czy wieści dotrą do McEwana szybciej od nas.

– Proszę, proszę... – powiedział McEwan, gdy weszli do pokoju. Z rękami w kieszeniach opierał się o biurko Foxa.

– Więc już pan słyszał.

– Dzwonił zastępca komendanta głównego okręgu Fife, ten sam, który prosił nas o pomoc.

– Ale z naszych pozostałych postępów jest zadowolony? – spytał Tony.

– To nie miejsce na głupie żarty, sierżancie Kaye – warknął inspektor. – Niech któryś z was powie, co się tam, na Boga, stało.

– Poszliśmy przesłuchać ją w domu – zaczął Fox. – Dowiedziała się, że Carter wyszedł i dostała szału.

– Uznaliśmy, że nasza obecność tylko jej zaszkodzi – dodał Tony. – Odwaga winna iść w parze z rozwagą, i tak dalej.

– W jakim była stanie, kiedy wychodziliście?

– Była trochę roztrzęsiona. – Naysmith doszedł do wniosku, że to on powinien odpowiedzieć.

– Trochę roztrzęsiona? – powtórzył McEwan. – Nie darła się wniebogłosy? Nie słyszeli jej sąsiedzi?

– Trochę krzyczała – przyznał Fox.

– Że policja chce ją zastraszyć?

– Opatrznie zrozumiała sytuację, panie inspektorze.

– Wygląda na to, że nie tylko ona. – McEwan ścisnął

grzbiet nosa i zamknął oczy. Dalej mówił już z zamkniętymi. – To daje im amunicję. Wiecie, że daje?

– Zastępca głównego chce nas kimś zastąpić?

– Chyba to rozważa.

– Nie chciała przyjść na posterunek – wyjaśnił spokojnie Fox. – Musieliśmy iść do niej.

McEwan otworzył oczy i zamrugał, jakby próbował skupić wzrok.

– Powiedzieliście jej, że Carter wyszedł?

– To moja wina – przyznał się Naysmith.

McEwan lekko skinął głową.

– Cóż – mruknął – niech każdy z was napisze raport i zobaczymy, co powiedzą ci z Glenrothes. Powinienem wiedzieć coś jeszcze?

Fox i Kaye wymienili spojrzenia.

– Nie, panie inspektorze – odparł Fox.

Wiadomość o podsłuchu u Scholesa mogła zaczekać: dwóch sensacji naraz szef by pewnie nie zniósł.

Potem Fox poszedł na kawę i kiedy wszedł do kantyny, uświadomił sobie, że od śniadania nic nie jadł. Zostały tylko kanapki z jajkiem i rzeżuchą, więc położył jedną na tacy, dorzucając do tego kawałek kawy i jabłko. Gdy zadzwoniła komórka, w pierwszej chwili nie chciał odbierać, ale zerknął na ekran i zmienił zdanie.

– Cześć, Evelyn.

– Och, jak boli...

– Już słyszałaś?

– O niczym innym tu się nie mówi. Prasa też coś

zwietrzyła. A wiesz, jak oni potrafią wszystko poprzekre-
cać.

– Niech próbują.

– Naprawdę wyglądała na samobójczynię?

– Nie bardziej niż my. – Fox przesunął palcami po serwetce, żeby zetrzeć z nich roztopioną czekoladę. –
Myślisz, że mimo to będziesz mogła mi pomóc?

– A będziesz tu jeszcze?

– Mam nadzieję.

– W takim razie... zobaczymy.

– To znaczy?

– Mój szef może uznać, że zrobiło się za gorąco.

– Powiedz mu, żeby lżej się ubierał.

Milczeli przez chwilę, w końcu spytała, jak Fox się
czuje.

– Dobrze.

– Po głosie tego nie słychać.

– Nic mi nie będzie. – Spojrzał na tacę. Kanapkę tylko
nadgryzł, ale kit kat przeszedł już do historii. Powierzchnia
kawy w kubku miała oleisty połysk, a na jabłko nie miał
ochoty.

– Możesz tylko powiedzieć im prawdę. Przedstawić
waszą wersję wydarzeń.

Mógłby odrzec: otóż to, w tym sęk. Każda historia ma
kilka wersji, a twoja może różnić się od pozostałych. Czy
tam, w mieszkaniu Teresy Collins, zachowali się pragma-
tycznie, tchórzliwie czy bezdusznie? Zdecydują o tym inni,
a ich wersja niekoniecznie będzie prawdziwa.

- Malcolm?
- Jestem.
- Chcesz pogadać? Moglibyśmy umówić się na drinka.
- Ja nie piję.
- Od kiedy? – Evelyn była szczerze zaskoczona.
- Przestałem na długo przed tym, jak się poznaliśmy.
- Pewnie zapomniałam. – Zrobiła pauzę. – Moglibyśmy spotkać się mimo to.
- Innym razem, dobrze? – Podziękował jej, schował komórkę i zaczął bawić się jabłkiem, przetaczając je po stole z lewej ręki do prawej i z prawej do lewej.

Po pracy nikt nie zaproponował wypadu do pubu. Ale kiedy wychodzili, Naysmith zrobił coś niezwykłego: wyciągnął do nich rękę, żeby się pożegnać. Dopiero później Fox zrozumiał, że Joe chciał w ten sposób podkreślić, że należą do jednej drużyny. Wsiadł do volva, wyjechał z parkingu i ruszył do domu. Był już prawie w Oxfords, gdy nagle skręcił w kierunku obwodnicy. Była godzina szczytu, ale kiedy podjął decyzję, przestało mu się spieszyć. Kierując się znakami, jechał w stronę Forth Road Bridge.

* * *

Podczas jednej z przejazdów po Kirkcaldy mijali szpital Wiktorii. Wyglądał jak w trakcie budowy i takim rzeczywiście był, nowym, prawie ukończonym gmachem

stojącym tuż obok oryginalnego kompleksu. W recepcji okazał legitymację i spytał o Teresę Collins. Powiedziano mu, na którym leży oddziale, i skierowano go do wind. Wreszcie znalazł pielęgniarkę dyżurną.

– Żadnych odwiedzin – odparła, gdy znowu spytał o Teresę Collins, więc jej również okazał legitymację.

– Nie chcę jej przeszkadzać, jeśli nie śpi.

Pielęgniarka przyjrzała mu się podejrzliwie, zastanawiając się pewnie, po co mu śpiąca pacjentka. Ale w końcu powiedziała, że sprawdzi.

Podziękował jej i odprowadził ją wzrokiem. Z tyłu, przy wahadłowych drzwiach wejściowych, stał rząd plastikowych krzeseł. Na jednym z nich siedział młody mężczyzna i zawzięcie pisał kciukami SMS-a. Po chwili wstał, podszedł do dozownika na ścianie naprzeciwko i wycisnął na dłoń trochę pianki antybakteryjnej.

– Ostrożności nigdy za wiele – powiedział, pocierając ręce.

– To prawda – zgodził się z nim Fox.

– Pan z policji? – domyślił się mężczyzna.

– A pan jest...

– Wygląda pan na policjanta, a szczycę się tym, że znam tu wszystkich ze śledczego. Edynburg, tak? Etyka i Standardy? Słyszałem, że przyjechaliście.

Jego palce zatańczyły na ekranie komórki. Kiedy wyciągnął ją przed siebie, Fox zdał sobie sprawę, że telefon służy mu również za magnetofon.

Rudzielec był reporterem.

– Mogę spytać, czy był pan dzisiaj w mieszkaniu Teresy Collins?

Fox nie dał się w to wciągnąć. Nie odpowiedział.

– Mam rysopis wszystkich trzech ubranych po cywilnemu policjantów... – Reporter otaksował go spojrzeniem od głowy po czubki butów. – Jest pan sobowtórem jednego z nich. Inspektor Malcolm Fox?

Fox próbował zachować kamienną twarz, ale coś musiało się w niej zmienić.

Mężczyzna uśmiechnął się krzywo.

– Pana nazwisko było na wizytówce na fotelu Teresy Collins – wyjaśnił.

– A pańskie nazwisko? – spytał półgłosem Fox.

– Brian Jamieson.

– Z miejscowej gazety?

– Czasami. Mogę spytać, co wydarzyło się w jej mieszkaniu?

– Nie.

– Ale był pan tam, tak? – Reporter czekał przez chwilę na odpowiedź. – A teraz jest pan tutaj.

Fox odwrócił się i ruszył korytarzem za pielęgniarzką. Wychodziła właśnie zza rogu.

– Jest senna po środkach uspokajających.

Fox sprawdził, czy Jamieson ich nie słyszy, i na wszelki wypadek zniżył głos.

– Ale nic jej nie jest?

– Ma kilka szwów. Zatrzymamy ją na noc. Rano jej stan oceni psycholog.

Fox wiedział, że potem albo ją wypiszą, albo przeniosą gdzie indziej.

– Jeśli zaczeka pan dwadzieścia minut, pewnie zaśnie
– dodała pielęgniarka.

Fox zerknął na Jamiesona.

– Wie pani, że to reporter?

Siostra poszła za jego wzrokiem i kiwnęła głową.

– O co panią pytał?

– Nic mu nie powiedziałam.

– Ochrona nie może go stąd wyrzucić?

Pielęgniarka patrzyła już na Foxa.

– Nikomu nie przeszkadza.

– Chciał z nią rozmawiać?

– Powiedziałam mu, żeby wybił to sobie z głowy.

– To po co tu jeszcze siedzi?

– Dlaczego sam pan go o to nie spyta? – odparła chłodniejszym głosem. – A teraz przepraszam... – Minęła go, wróciła na stanowisko i w tej samej chwili na ladzie zadzwonił telefon.

Fox stał tam jeszcze z pół minuty. Jamieson siedział na krześle i znowu coś pisał. Gdy Fox podszedł bliżej, reporter podniósł wzrok.

– Co pan chciał z niej wyciągnąć?

– O to samo chciałem spytać pana, inspektorze.

– Boże, jeszcze jeden? – jęknęła pielęgniarka. Gdy zobaczyła, że na nią patrzą, odwróciła się i osłoniła dłonią słuchawkę.

Jamieson już miał podsunąć telefon pod nos Foxowi,

ale opuścił rękę. Odwrócił się i ruszył do wyjścia. Fox został. Pielęgniarka skończyła rozmawiać, powoli kręcąc głową.

– Co się stało?

– Ktoś próbował popełnić samobójstwo – odparła. – Może z tego nie wyjść.

– To tu typowe?

Siostra wydeła policzki i wypuściła powietrze.

– Bardziej typowe byłyby dwa takie przypadki na rok.

– Zauważyła nieobecność Jamiesona. – Poszedł?

– Chyba tak.

Przewróciła oczami.

– Cały Brian. Jak go znam, siedzi pewnie na szpitalnym oddziale ratunkowym.

– Widzę, że naprawdę go pani zna.

– Kiedyś chodził z moją przyjaciółką.

– Gdzie pracuje?

– Gdzie się da. Mówi, że jest...

– Wolnym strzelcem?

– Właśnie. – Znowu zadzwonił telefon. Poirytowana pielęgniarka westchnęła i podniosła słuchawkę.

Fox zawahał się, skinął jej głową i poszedł do wind.

Na dole kupił z automatu irn-bru w plastikowej butelce. Wychodząc, obiecał sobie, że nazajutrz nie zje ani grama cukru. Niebo było czarne. Wiedział, że pozostaje mu tylko wrócić do domu. Zastanawiał się, czy z przeznaczonego na śledztwo budżetu dałoby się wykroić opłatę za nocleg w hotelu. Wypatrzył pewne miejsce za

stacją kolejową, niedaleko parku i boiska piłkarskiego. Mógłby wrócić do Edynburga rano, tylko co by tu robił przez resztę wieczoru? Może włoska restauracja... albo pub. Przed wejściem do szpitala stało kilka karetek. Dwóch sanitariuszy w zielonych kombinezonach odpędzało Jamiesona. Reporter podniósł do góry ręce, odwrócił się i przytknął telefon do ucha.

– Wiem tylko, że strzelił sobie w głowę. Pewnie spu-
dłował, bo kiedy go tu wieźli, wciąż żył. Ale nie wiem, jak
teraz... – Jamieson zobaczył, że idzie prosto na Foxa. –
Zaczekaj – rzucił do telefonu. Chciał podzielić się z nim
wiadomością, ale Fox go powstrzymał.

– Już słyszałem.

– Koszmar. – Jamieson pokręcił głową. Miał rozsze-
rzone, nieruchome oczy, widać było, że gorączkowo myśli.

– Dużo broni jest w Kirkcaldy? – spytał Fox.

– To może być jakiś farmer. Oni mają broń, nie? –
Zauważył, że Fox uważnie mu się przygląda. – Gość
mieszka za miastem – wyjaśnił. – Gdzieś przy drodze na
Burntisland.

Fox spróbował zachować obojętną twarz.

– Wie pan, jak się nazywa?

Jamieson pokręcił głową i zerknął na sanitariuszy.

– Ale się dowiem. – Posłał Foxowi pewny siebie
uśmiech. – Niech pan tylko patrzy.

I Fox patrzył. Widział, jak z telefonem przy uchu re-
porter idzie do drzwi szpitala. Dopiero gdy zniknął
w środku, Fox poszedł szybko do samochodu.

* * *

Policja zablokowała skrzyżowanie szosy i drogi do domu Alana Cartera. Fox poczuł, że między żołądkiem i gardłem zbiera mu się kwas. Zaklął pod nosem, zjechał na pobocze i wysiadł. Policyjny radiowóz miał włączonego koguta, który rozświetlał noc zimnym, jaskrawoniebieskim światłem. Samotny policjant rozciągał taśmę ostrzegawczą między słupami po obu stronach drogi na wzgórze. Wiatr wyrwał mu z rąk jeden koniec i mundurowy próbował go złapać. Fox wyjął legitymację.

– Inspektor Fox – powiedział. I dodał: – Zanim pan zawiąże, muszę przejechać.

Wrócił do samochodu i zaczekał, aż policjant przestawi radiowóz. Pomachał mu i zaczął powoli wjeżdżać na wzgórze.

W domu paliło się światło, a pod ścianą stał tylko jeden samochód, land rover Alana Cartera. Gdy Fox zamknął drzwi, ktoś zawołał:

– Co pan, do diabła, tu robi?

W progu stał Ray Scholes z rękami w kieszeniach.

– To Carter?

– A jeśli tak?

– Byłem tu wczoraj.

– Mały sprawiedliwy Jonasz z pana, co?

– Co się stało? – Fox stanął dokładnie naprzeciwko niego i zajrzał do korytarza.

– Próbował się zabić.
– Ale dlaczego?
– Gdybym tu mieszkał, też bym pewnie nie wytrzymał. – Scholes pociągnął nosem, spojrzął na niego i ustąpił. Odwrócił się i wszedł do środka.

Fox zawahał się.

– Nie powinniśmy... – Spojrzął na jego buty.
– A czy to miejsce zbrodni? – Inspektor był już w salonie. – Taśma jest tylko po to, żeby nie przyłazili tu różni wariaci, gapie i tak dalej. Martwię się tylko, co zrobimy z psem.

Fox przystanął w progu salonu. Na palenisku dogasał żar. W koszu obok kominka leżał, dysząc, Jimmy Nicholl z oczami jak szparki. Fox ukucnął i pogłaskał go po głowie.

– Nie zostawił listu. – Scholes włożył do ust listek gumy do żucia. – W każdym razie ja go nie widzę. – Machnął ręką w stronę stołu. – Kto by coś zobaczył w tym bałaganie...

Bałagan.

Wszędzie wyjęte z teczek i porozrzucane papiery. Jedne zmięte, inne porwane, jeszcze inne tylko zrzucone na podłogę. Te, które zostały na stole, były zbryzgane krwią, a na fotelu Cartera widniała duża, ciemna plama.

– Pistolet? – spytał cicho Fox. Zaschło mu w ustach.

Scholes ruchem głowy wskazał stół. Broń leżała na wpół ukryta pod jakimś czasopismem. Dla niewprawnego oka Foxa był to chyba stary rewolwer.

– W jakim był stanie, kiedy rozmawialiście?

– Zachowywał się normalnie.

– Dopóki pan nie przyszedł, co?

Fox puścił to mimo uszu.

– Kto go znalazł?

– Znajomy z Kinghorn. Regularnie go odwiedza.

Wypijają kilka szklaneczek whisky i wraca do domu. A dzisiaj wchodzi tu jakby nigdy nic i widzi to. Biedny staruszek.

Fox chciał usiąść, ale nie mógł. Nie wiedział dlaczego, po prostu coś było nie tak. Zadzwoiła komórka Scholesa. Inspektor przytknął ją do ucha, słuchał przez chwilę, coś burknął i zakończył rozmowę.

– Zmarł w karetce.

Umilkli. Słysząc było tylko ciężki oddech psa.

– Rozmawialiście o Paulu? – spytał w końcu Scholes.

Ale Fox jakby go nie słyszał.

– Gdzie jest ten znajomy?

– Michaelson odwozi go do domu. – Scholes spojrzął na zegarek. – Mógłby się pospieszyć, piwo czeka.

– Przecież znał pan Alana Cartera. Nie jest pan poruszony?

Żując gumę, inspektor spojrzął mu prosto w oczy.

– Jestem. A co by pan chciał zobaczyć? Jak jęczę, zawodzę i zgrzytam zębami? Jak wygrażam niebu pięściami? Był gliniarzem... – Scholes zrobił pauzę. – Potem emerytem. A teraz nie żyje. Życzę mu powodzenia bez względu na to, gdzie teraz jest.

– Był również wujem Paula Cartera.
– To prawda.
– I jako pierwszy złożył skargę.
– Może właśnie dlatego się zabił, bo miał wyrzuty sumienia. Moglibyśmy bawić się w psychologów przez całą noc. Ale jest już moja podwózka.

Fox też to usłyszał: warkot silnika samochodu zajeżdżającego przed dom.

– I co pan robi? – spytał. – Zamknie pan drzwi i odjedzie? Ot tak?

– Nie zamierzam tu nocować. Rozejrzeliśmy się, zobaczyliśmy, co było do zobaczenia, a resztą mogą zająć się mundurowi.

– I krewni?

Scholes wzruszył ramionami.

– Może nawet Paul.

– Zawiadomił go pan?

Inspektor kiwnął głową.

– Ma przyjechać.

– Jak to przyjął?

Zapadła cisza. Scholes zmrużył oczy.

– Dlaczego nie może pan po prostu odpuścić i wrócić do Edynburga? Na pana miejscu nie byłoby mnie tu, kiedy przyjedzie Paul.

– A pan nie zostaje? Myślałem, że jesteście kumplami.

Scholes przekrzywił głowę, jakby doznał jakiegoś olśnienia.

– Chwila. Co pan tu właściwie robi?

– Nie pana sprawa.

– Nie? – Inspektor uniósł brew. – Zaznaczę to w raporcie. – Zrobił pauzę. – I podkreślę. Grubą linią.

W progu stanął Gary Michaelson, łypiąc spode łba na Foxa.

– Tak myślałem, już z daleka coś tu zajeżdżało. – Spojrzał na Scholesa. – Pozwalasz mu łązić po miejscu zbrodni?

– Po czym?

– Ten staruszek mówi, że Carter nigdy nie popełniłby samobójstwa. Kiedyś zastanawiali się, co by zrobili, gdyby zachorowali na raka czy na coś. Carter mówił, że kurczowo trzymałby się życia.

– Pewnie z jakiegoś powodu mu się zmieniło – spekulował Scholes.

– I jeszcze coś. Staruszek twierdzi, że gdyby Carter miał broń, on na pewno by o tym wiedział. O tym też rozmawiali, o strzelaniu do mew, bo za głośno krzyczą. – Michaelson spojrział na kosz. – Co będzie z psem?

– Chcesz go? – spytał Scholes. – Nie wiemy nawet, jak się wabi.

– Jimmy Nicholl – powiedział Fox. – Wabi się Jimmy Nicholl.

Pies postawił uszy.

– Jimmy Nicholl – powtórzył Scholes, krzyżując ręce. – Twój pan mógłby zabrać cię ze sobą, tak byłoby lepiej. Co, Jimmy? – Przeniósł wzrok na Michaelsona. – Jedziemy?

Jechać czy zostać – Fox był rozdarty, ale Scholes nie dał mu wyboru.

– Wychodzimy, wychodzimy, wychodzimy – pona-
glał.

– A pies? – zaprotestował Fox.

– Chce go pan?

– Nie, ale...

– W takim razie niech pan zostawi to zawodowcom.

Wyszli i oświetlił ich blask migających świateł: ko-
lejny radiowóz, a za nim nieoznakowana furgonetka.

– Dom jest wasz! – zawołał Scholes do kierowcy.

Ale trzeba było trochę pomanewrować, bo na ograni-
czonej przestrzeni stało zbyt dużo samochodów. Ktoś
wpadł na pomysł, żeby otworzyć bramę na sąsiednie pole.
Wystarczyło trochę pocofać, pozawracać na trzy i mogli
ruszać. Scholes i Michaelson dopilnowali, żeby Fox po-
jechał przodem. Gdy dotarli do skrzyżowania z szosą,
mundurowy, wciąż ten sam, rozwiązał taśmę, żeby ich
przepuścić. Obok jego radiowozu stał biały skuter. Pod-
pierając się jedną nogą, siedział na nim okrakiem Brian
Jamieson. Znowu rozmawiał przez telefon, ale rozpo-
znawszy kierowcę volva, przestał. Fox patrzył przed siebie.
Scholes i Michaelson jechali za nim przez kilka kilome-
trów, tak na wszelki wypadek.

IV

– Mały sprawiedliwy Jonasz.

Fox posłał Tony’emu ostre spojrzenie.

– Scholes mnie tak wczoraj nazwał.

Wstał nowy dzień i znowu byli w Kirkcaldy. Postanowili, że już nigdy nie wejdą do magazynu, i zarekwirowali pokój przesłuchań.

– Będzie nam potrzebny przez cały dzień – uprzedził Fox sierżanta dyżurnego.

Ten nie zaprotestował, kiwnął tylko głową i wrócił do papierów.

Fox zastanawiał się dlaczego. A Teresa Collins? Nie cieszył się ich nieszczęściem?

– Nie – powiedział na głos, gdy usiedli w pokoju przesłuchań. Facet jest w żałobie.

– Nie? – powtórzył Naysmith, wchodząc z dodatkowym krzesłem z magazynu.

– Nieważne – mruknął Fox.

Kaye był w kawiarni i przyniósł im kawę w kartonowych kubkach. Fox dzwonił do niego wieczorem i powiedział mu o Alanie Carterze.

– Zbieg okoliczności? – spytał Tony, od razu przechodząc do rzeczy.

– Pewnie. – Joe zdjął pokrywkę z kubka i dolał do kawy mleka z mikroskopijnego pojemniczka.

– Nie wiem – odparł Fox. – Scholes mówił wczoraj

o wyrzutach sumienia. Może Carter dowiedział się, że bratanek wyszedł i przestraszył się odwołania?

– I palnął sobie w łeb z pistoletu? – zapytał z niedowierzaniem Kaye.

– Z rewolweru – poprawił go Fox.

– Nie, Malcolm, tu chodzi o coś więcej.

– Albo mniej – dodał Joe.

– Nie nagrałeś go, tak? – spytał Kaye.

– To nie było oficjalne przesłuchanie, dlatego... nie, nie nagrałem.

– Myślisz, że trochę się teraz uspokoi? Zajmą się Carterem i może Collins zniknie z pierwszych stron gazet.

– Może.

– Nikt z tobą nie rozmawiał?

Fox pokręcił głową.

– O ile mi wiadomo, dalej prowadzimy sprawę.

– Obojętnie jaka jest.

Fox potwierdził to wzruszeniem ramion.

– To co dzisiaj robimy? – spytał Naysmith.

– Dobrze pytanie. – Kaye podrapał się w głowę. –

Foxy?

– Są jeszcze te dwie kobiety, moglibyśmy z nimi pogadać – odparł Fox, ale nie zabrzmiało to zbyt entuzjastycznie.

– Te wlane panienki? – Tony był bardziej skory. – Jasne.

– A co z podsłuchem? – wtrącił Joe.

– Niech sobie podsłuchują – mruknął Fox.

– A my przesiedzimy tu cały dzień, drapiąc się w tyłek
– rzucił Kaye. – Mam w samochodzie karty...

– Wciąż mamy od cholery pytań do Scholesa – przypomniał im Joe. – Ledwo zaczęliśmy, a już musiał wyjść.

– Fakt. – Fox wypił ostatni łyk kawy, próbując doszukać się w niej chociaż odrobiny smaku.

– No i Laird – dodał Kaye. – Z nim też trzeba pogadać, nawet jeśli guzik nam powie.

– Wolałbym o tym nie przypominać – dodał Naysmith
– ale nie skończyliśmy jeszcze z Teresą Collins, więc...

– Ja na razie zostaw – przerwał mu Fox.

– W takim razie bierzemy Scholesa? – Kaye wstał. –
Zawołać go?

– Ja zawołam. Ty dopij kawę.

Lecz idąc w stronę schodów, Fox zobaczył charakterystyczną sylwetkę Raya Scholesa zmierzającego w przeciwną stronę. Szedł z przygarbionym starszym panem, obejmując go lekko ręką. Kierowali się do dyżurki. Ale Scholes nie odprowadził go do drzwi, wskazał mu je tylko i zawrócił. Zobaczył Foxa, zwolnił i zadarł podbródek.

– Dochodzę do wniosku, że przynosi mi pan pecha – powiedział.

– Możliwe. Zapraszam do pokoju przesłuchań.

Inspektor pokręcił głową.

– Nie teraz. Będzie trochę zamieszania w związku z Alanem Carterem.

Fox nie mógł się powstrzymać.

– Jakiego zamieszania?

– Nieważne. – Scholes poszedł dalej.

Fox popatrzył za nim i zajrzał do dyżurki. Starszy pan jeszcze nie wyszedł. Rozmawiał z sierżantem za ladą. Ściskali sobie ręce. Kiedy nieznajomy otworzył drzwi, Fox ruszył za nim.

– Dokąd to? – warknął sierżant, ale Fox nie zwracał na niego uwagi.

Staruszek stał u stóp schodów, jakby trochę zdezo-orientowany.

– Podwieźć pana do Kinghorn? – zaproponował Fox. – Chętnie to zrobię.

Mężczyzna przyjrzał mu się zmrużonymi oczami. Był krótkowidzem, ale nie miał okularów. Resztką włosów na głowie była kruczoczarna. Pewnie je farbował. Oczy miał małe i głęboko osadzone, usta zapadnięte, jakby zapomniał włożyć protezę.

– Poradzę sobie na piechotę – odparł, otaksowawszy go spojrzeniem. – My się znamy?

– Nazywam się Fox. A pan?

– Teddy Fraser.

– To pan znalazł pana Cartera?

Fraser powoli i z powagą kiwnął głową. Był w przetartej koszuli i cienkim czarnym krawacie. Kolejny żałobnik.

– Straszna rzecz, straszna – wymamrotał.

– Widział się pan przed chwilą z inspektorem Scholesem, prawda?

– Tak.

– Rozmawiałem z panem Carterem tylko raz, ale zdążyłem go polubić.

– On już taki był.

– Przyszedł pan tu na piechotę?

– Lubię chodzić. To niedaleko.

– Ale szosa jest ruchliwa.

– Znam kilka skrótów.

– Pan Carter... Musiało to panem wstrząsnąć.

– Wstrząsnąć? – Fraser roześmiał się krótko i oschle. – Można tak powiedzieć.

– Chciałem tylko... Nie znałem go, ale wydawało się, że nic mu nie dolega.

Fraser skinął głową.

– Bo tak było. Detektyw Scholes mówi, że sprawdzą, czy na nic nie chorował, bo może dowiedział się czegoś złego na badaniach. Ale przecież by mi powiedział, prawda? Nie mieliśmy przed sobą tajemnic.

– Długo się znaliście?

– Chodziliśmy razem do szkoły. Był dwa lata młodszy, ale grał ze mną w reprezentacji.

Fox nie chciał mu tego mówić, ale Fraser robił wrażenie dużo starszego. Jeśli był dwa lata starszy od Alana Cartera, miał nie więcej niż sześćdziesiąt cztery lata.

– Piłka nożna? – spytał.

– Dwa lata z rzędu mistrzostwo hrabstwa. – Fraser powiedział to z tak wielką dumą, jakby nic od tamtej pory nie dało mu większej satysfakcji.

– Na jakiej pozycji grał pan Carter?

– Wysuniętego napastnika, to był prawdziwy snajper. Dwadzieścia dziewięć bramek w jednym sezonie. Rekord szkoły. Jeśli pastor nie wspomni o tym na pogrzebie, wstanę i wszystkim to powiem.

Fox uśmiechnął się.

– Czego chciał od pana inspektor Scholes?

– Ech, wypytywał mnie o broń i takie tam. Jak siedział Alan, kiedy go znalazłem. Czy czegoś dotykałem...

– A dotykał pan?

– Podniosłem słuchawkę telefonu i wybrałem trzy dziewiątki.

– Ale pan Carter jeszcze żył, prawda?

– Ledwo.

– Próbował go pan ratować?

– Jeszcze oddychał. Ale był nieprzytomny. Ale rewolwer? Alan nigdy nie miał rewolweru. I te otwarte drzwi... – Fraser energicznie pokręcił głową. – Zawsze były zamknięte, nawet kiedy się mnie spodziewał. Jeśli słyszał, że idę, czekał w progu, inaczej musiałem pukać i Jimmy Nicholl zaczynał czekać.

– Tym razem nie były zamknięte?

– Zapukałem, ale pies się nie odezwał. Pomyślałem, że pewnie są na spacerze, chociaż Jimmy może przejść tylko kilka metrów, bo tylne łapy nie wytrzymują. Wyszli i Alan zamknął je na klucz... – Nagle jakby coś mu się przypomniało. – Ale nie były nawet zatrzaśnięte. Tak, bo kiedy zapukałem, same się otworzyły, tak trochę.

– Jeśli zamierzał zrobić to, co zrobił – podsunął mu Fox, odgrywając rolę adwokata diabła – może specjalnie ich nie zamknął, żeby ktoś go znalazł.

Fraser zastanowił się i odrzucił ten pomysł pogardliwym prychnięciem.

– Wie pan, że zaopiekowałem się Jimmym Nichollem? Przynajmniej tyle mogę zrobić dla Alana. On tego psa kochał, a pan mi mówi, że zanim palnął sobie w łeb, nie zabrał go do weterynarza? – Staruszek aż się skrzywił.

– Panie Fraser, czy mogę spytać o coś jeszcze?

– Jestem Teddy, synu. Wszyscy mówią mi Teddy.

– Zastanawiałem się, nad czym pan Carter pracował.

Te wszystkie papiery na stole...

– To bardzo stara historia.

– Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty piąty to w sumie nie tak dawno.

– Dla niektórych dawno. Zaraz to panu udowodnię. – Fraser zrobił pauzę, chcąc sprawdzić jego reakcję. Splótł dłonie i wymienił jakieś nazwisko.

– Tu mnie pan ma – poddał się po chwili Fox. – Francis Vernal? Kto to?

– Niech sam pan sprawdzi.

– Dlaczego pan Carter tak bardzo się nim interesował?

– Nie wiem, czy się interesował, na pewno nie na początku.

– Nie rozumiem.

– Był wtedy policjantem, dlatego podłapał tę fuchę.

– Ktoś płacił mu za grzebanie w przeszłości? To była

jakaś konkretna sprawa?

Fraser zaczął dźgać go kościstym palcem w pierś, jedno słowo, jedno dźgnięcie.

– Sam... pan... się... dowiedz. – Co powiedziawszy, skłonił się lekko, odwrócił i ruszył przed siebie krokiem dużo zwawszym, niż można by się spodziewać.

Fox potarł pierś nasadą dłoni. Staruszek miał tak ostry palec, że go zabolalo.

W dyżurce czyhał na niego sierżant.

– Pozwól no pan tu, pozwól – rzucił. Fox podszedł do lady. – Mam nadzieję, że nie czepiał się pan Teddy’ego.

– Odpłacił mi pięknym za nadobne. Zna go pan?

– Od lat.

– Alana Cartera też pan znał?

– Służyłem z nim. – Sierżant dumnie wypiął pierś. – Jesteśmy z tej samej starej szkoły...

– Wyczułem to, kiedy tylko pana zobaczyłem. Bardzo mi przykro.

Sierżantowi drgnęły mięśnie twarzy.

– Nie wiem nawet, jak pan się nazywa – dodał przepaszająco Fox.

– Robinson. Alec Robinson.

Fox wyciągnął do niego rękę i sierżant uścisnął ją po krótkim wahaniu.

– Miło mi pana poznać – powiedział Fox i Robinson wykrzywił usta w lekkim uśmiechu.

– Przepraszam, że się pana czepiałem. Ale wie pan, jak to jest...

– Bywało gorzej, proszę mi wierzyć. Chciałbym o coś pana spytać. Widywał się pan ostatnio z Alanem Carterem?

– Nie za często – odparł Robinson. – Czasem na meczu czy jakimś zjeździe...

– Pewnie dużo pracował, co?

– Stworzył tę firmę od zera.

Sierżant powiedział to z wyraźnym podziwem, więc Fox uznał, że powinien się z nim zgodzić.

– Kiedy z nim rozmawiałem, też w czymś grzebał.

– Tak?

– Dużo czytał o Francisie Vernalu.

Robinsonowi stężała twarz.

– Wie pan coś o tym? – drażył Fox.

– To nie ze mną powinien pan pogadać – odparł w końcu sierżant.

– A z kim?

– Teraz? – Zamyślony Robinson zmarszczył czoło. – Chyba już z nikim.

* * *

Fox wrócił do pokoju przesłuchań i wycelował palec w Naysmitha.

– Musisz coś dla mnie zrobić. Masz tu laptop?

– Nie.

– Muszą tu mieć jakiś komputer.

– Ale co mam zrobić?

– Poszukać czegoś w internecie.

– Mogę poszukać przez telefon.

– I zrobić wydruk? – Kiedy Joe pokręcił głową, Fox powiedział, że bez komputera ani rusz.

– Czego mam szukać?

– Wszystkiego o Francisie Vernalu.

– O tym prawniku? – spytał Tony. Fox przeniósł na niego wzrok. – Zginął w wypadku samochodowym w osiemdziesiątym którymś.

– No i?

Kaye wzruszył ramionami.

– Byłem wtedy dzieckiem... – Zmarszczył brwi. – Czy on się przypadkiem nie zastrzelił?

– Przed wypadkiem czy po?

Kaye znowu wzruszył ramionami i Fox spojrzał na Naysmitha. Joe zrozumiał aluzję i wyszedł.

– O co tu chodzi? – spytał Tony, gdy zostali sami.

– O fuchę Alana Cartera.

– A co ta fucha ma wspólnego z nami?

– Może nic...

– Może? Miałeś ściągnąć tu Scholesa. Joe rozstawił już sprzęt.

Dopiero teraz Fox zauważył trójnog. Na stole stał magnetofon i mikrofony.

– Mówi, że jest zajęty.

– Ju–hu! Super, to weźmy sobie urlop i zaczekajmy, aż raczy zaszczycić nas swoją obecnością.

– Te dwie kobiety – powiedział Fox. – Może z nimi porozmawiasz?

- Chcesz się mnie pozbyć?
- Myślałem, że chętnie z nimi pogadasz.
- Lepsze to niż siedzenie tu i patrzenie, jak trybiki ci w głowie wirują.
- No to...
- Ale najpierw powiesz mi, co jest grane.
- Nic. Ktoś umarł. Lubiałem go, a jego salon był jak świątynia poświęcona komuś nazwiskiem Francis Vernal.
- I chcesz się dowiedzieć dlaczego?
- I chcę się dowiedzieć dlaczego. – Fox spojrzał Kaye'owi w oczy. – Wystarczy?
- Czego się nie robi dla świętego spokoju. – Tony wstał i włożył marynarkę. – Junior jedzie ze mną?
- Jeśli będzie ci potrzebny.
- Miał poszperać w necie.
- Net może zaczekać.
- My będziemy chodzić po wrogich ulicach, a ty? Co właściwie będziesz robił?
- Sprawdzę, co z tym podsłuchem, powiem McEwanowi o samobójstwie Cartera, spróbuję namierzyć Scholesa... Nie będę się obijał.
- Dobra. Ale wiesz, że będzie nam cię brakowało, tak? Cholera, może nawet kartkę ci wyślę.

Nie z jego winy Evelyn Mills nie odbierała telefonu. Bob McEwan też nie podnosił słuchawki, a Ray Scholes zaginął bez wieści. Tym sposobem Fox znalazł się znowu w dyżurce, gdzie zapatrzył się na jedno z ogłoszeń na ścianie. Reklamowało się w nim miejscowe przedsiębiorstwo taksówkowe. Pięć minut później siedział na fotelu pasażera w poobijanym białym hyundaiu. Taksjarsz wypytywał go o samobójstwo Cartera, lecz Fox nic mu nie powiedział. Taśmę ostrzegawczą już zdjęto, a przed domem nikogo nie było. Taksówkarz spytał, czy ma zaczekać.

– Dobry pomysł.

Taksówkarz zgasił silnik i chciał wysiąść, ale Fox go powstrzymał.

– Tam nie ma nic do oglądania.

Kierowca włączył radio i aż do drzwi ścigały Foga dźwięki współczesnej muzyki tanecznej.

Drzwi były zamknięte.

Fox obszedł dom, ale kuchennych nie znalazł. Zajrzał przez okno do salonu. Na kilku szybach od środka widniały plamki zaschniętej krwi. Zahaczył palcami o małą doniczkę na skraju parapetu. Podniósł ją i zobaczył klucz. Albo zapasowy, albo zostawiła go tam policja. Otworzył drzwi i wszedł.

Kosz Jimmy'ego Nicholla zniknął. Fox zastanawiał się, czy powinien był spytać o niego Teddy'ego Fräsera. Psy często umierały zaraz po swoim panu. W salonie

pachniało dymem. Na palenisku leżało zwęglone drewno, kominek pokrywała cienka warstwa popiołu. Fox zaczął przeglądać papiery na stole. Tak jak przypuszczał, wycinki z gazet dotyczyły życia i śmierci Francisa Vernala. Jeden z dłuższych artykułów był zatytułowany „Wewnętrzne rozterki działacza i patrioty”. Wyglądało na to, że z zachwytów ówczesne media szybko przerzuciły się na coś bardziej soczystego: na jego życie prywatne. Było tam niewyraźne zdjęcie jego atrakcyjnej żony i wzmianka o „pijackim życiu Vernala oraz jego licznych romansach”. Jego zdjęcie, to samo, zamieściło kilka gazet. Przemawiał na nim na zjeździe SPN, Szkockiej Partii Narodowej, przed przeznaczoną do zamknięcia fabryką. Najwyraźniej zdążył się już rozkręcić, bo wygrażał komuś pięścią, miał otwarte usta i obnażone zęby. Fox zerknął przez okno, by sprawdzić, czy taksjarz siedzi w samochodzie. Siedział. Pogwizdywał nad otwartą gazetą.

Francis Vernal zginął w niedzielę wieczorem 28 kwietnia 1985 roku, w dniu, kiedy Dennis Taylor grał ze Steve'em Davisem w finale mistrzostw świata w snookerze. Jego samochód zauważył kierowca furgonetki. Auto wypadło z drogi pod Anstruther. Volvo 244. Musiał jechać bardzo szybko. Vernal siedział za kierownicą. Martwy. Jego ciało zabrano do szpitala Wiktorii i dopiero tam odkryto dziurę w głowie po kuli. Ponieważ dużo pił i palił, miał skłonności do depresji. Jego ukochani narodowcy tracili popularność i wyglądało na to, że Vernal nie doczeka już powstania Szkockiej Republiki Socjali-

stycznej, co było jego marzeniem. Fox przerzucił kilka wycinków. Niektóre fragmenty były zakreślane. Alan Carter miał prawie zupełnie nieczytelne pismo. A zostawił mnóstwo notatek. Ani śladu komputera czy laptopa, co znaczyło, że nie zachował żadnych notatek w formie elektronicznej. Fox zastanawiał się, kto mu to zlecił i po co. Nagle jego uwagę przykuło jakieś zdjęcie. Kolejny zjazd partii, dużo wcześniejszy, bo sądząc po fotografii, Vernal mógł mieć wtedy dwadzieścia kilka lat. Miał również trochę więcej włosów na głowie, był węższy w ramionach i pasie. Na tym zdjęciu też miał szeroko otwarte usta i wygrażał zaciśniętą pięścią. Tuż obok niego ktoś stał i zaszokowany Fox go rozpoznał. To był Chris, kuzyn jego ojca, Chris, który wyglądał dokładnie tak samo jak na zdjęciu z Jude na barana. Fox podniósł wycinek i przyjrzał mu się uważnie. Zdjęcie pochodziło z „Fife Free Press”. Nie było daty, tylko kilka słów wyjaśnienia: piknik SPN na błoniach w Burntisland, „znany edynburski prawnik Francis Vernal wygłasza przemówienie dnia”. Ze śmiejącym się i zagrzewającym do aplauzu Chrisem u boku...

Ze zdjęciem w ręku Fox obszedł parę razy cały pokój. Potem złożył wycinek i schował go do kieszeni, rozglądając się wokoło, jakby bał się, że ktoś go podejrzy. Na komodzie przy drzwiach stał telefon. Fox przystanął. Obok telefonu leżał notes z adresami. Otwarty i najwyraźniej przez kogoś przejrzany. Podniósł go: strona z literą C. Widniało na niej nazwisko Paula Cartera, jego numer domowy i numer komórki. Zaczął przerzucać kartki, nie

wiedząc, po co to robi. Z notesu wypadło kilka wizytówek, więc pochylił się, by je podnieść. Hinduska restauracja, warsztat samochodowy. Ale trzecia wizytówka należała do niejakiego Charlesa Mangolda, starszego wspólnika w kancelarii adwokackiej Mangold Bain w edynburskim Nowym Mieście. Fox zapisał adres w notesie, postukał długopisem w słuchawkę i znowu spojrzął na kartkę z literą C. Były tam trzy nazwiska, jedno przekreślone grubą linią, co pewnie znaczyło, że ten ktoś albo zmarł, albo nie jest już częścią życia Alana Cartera. Pozostały dwa.

W tym nazwisko Paula Cartera.

Fox podniósł słuchawkę i wybrał 1471. Elektroniczny głos poinformował go, że ostatnim wybranym z tego aparatu numerem był numer komórki Paula. Rozmowa odbyła się poprzedniego wieczoru, ledwie godzinę przed tym, jak znaleziono Alana. Fox odłożył słuchawkę i zajrzał do szuflad komody. Panował w nich ład i porządek: Alan Carter przechowywał wszystkie wyciągi bankowe i rachunki za usługi komunalne. Rachunki telefoniczne leżały oddzielnie i były dokładnie pogrupowane. Wynikało z nich, że w ciągu ostatnich sześciu miesięcy Alan Carter ani razu nie zadzwonił do swego bratanka. Nie, bo nie byli sobie bliscy, sam to przyznał. Tymczasem zaraz po wyjściu z aresztu Paul odczuł nagłą potrzebę oddzwonienia do wuja. Ciekawe dlaczego. Fox rozejrzał się po pokoju jeszcze raz. Skąd ten bałagan? Czy Carter wpadł w gniew i zrzucił papiery ze stołu na podłogę? Czy zrobił to ktoś inny?

Ktoś zapukał w okno i Fox drgnął. Taksówkarz. Fox skinął głową, dając mu znać, że już wychodzi. Taksówkarz nie odszedł, tylko stał tam, zerkając ciekawie to tu, to tam. Fox odłożył na miejsce notes, upewnił się, czy zostawia salon w takim samym stanie, w jakim go zastał – nie licząc wycinka ze zdjęciem w kieszeni – i ruszył do drzwi.

– To nie moja sprawa – powiedział przeprasząco taksówkarz – ale na liczniku jest już prawie trzydzieści funtów...

– Nie szkodzi. – Fox zamknął drzwi i schował klucz pod doniczkę.

– Tam, skąd wyjechaliśmy? – spytał taksjarsz.

– Tam, skąd wyjechaliśmy – odparł Fox i wsiadł.

* * *

Połączenia przychodzące i wychodzące z telefonu domowego Raya Scholesa były już rejestrowane i nagrywane. Evelyn Mills zawiadomiła go o tym SMS-em. Skontaktowano się również z operatorem komórkowym i wkrótce będą mieć informacje o połączeniach przychodzących i wychodzących z jego komórki. Ale tylko suche informacje, bo żeby uzyskać dostęp do treści rozmów, musieliby pójść z tym wyżej, co łączyłoby się z potrzebą zaangażowania większej liczby techników i większym budżetem.

Foxowi udało się zamienić dwa słowa z Bobem McEwanem i powiedzieć mu, że Alan Carter nie żyje.

McEwan był trochę zdenerwowany – właśnie szedł na kolejną naradę budżetową – i podziękował mu za jego „wkład”. Pewnie podłapał to słowo na którejś z poprzednich.

Fox zawiadomił Kaye’a, że próbował złapać Scholesa, ale że musi teraz wpaść do kogoś innego, a mianowicie do inspektora Pitkethly.

– Co znowu? – spytała, zdejmując okulary i przecierając oczy.

– To trochę krępujące... – zaczął.

Natychmiast się nim zainteresowała, włożyła okulary i przyjrzała mu się uważniej. Gdy wskazała mu krzesło, usiadł, wygładzając rękami spodnie na kolanach.

– No więc? – Inspektor Pitkethly splotła dłonie i podparła się łokciami.

– Wuj Paula Cartera popełnił samobójstwo.

– Wiem.

– Zaraz po tym, jak zadzwonił do niego bratanek...

Pani inspektor zmarszczyła brwi.

– I co z tego?

– Oni się nie przyjaźnili – ciągnął Fox – warto by było sprawdzić, dlaczego Paul to zrobił.

Inspektor Pitkethly odchyliła się do tyłu.

– Po co? Co to za różnica?

– Może żadna, ale...

– I w ogóle skąd pan wie, że zadzwonił?

– Bo ja też zadzwoniłem, pod czternaście siedemdziesiąt jeden.

– Z domu zmarłego? Co pan tam, do diabła, robił, inspektorze?

Fox nie miał na to odpowiedzi, więc zbył pytanie milczeniem.

– To wykracza poza pańskie kompetencje – dodała cicho Pitkethly.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju zajrzał detektyw sierżant Michaelson. Już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale zamknął je, widząc, że szefowa ma gościa.

– Wpadnę później – rzucił.

– O co chodzi, Gary?

Michaelson zawahał się, ale był zbyt podekscytowany, by tego z siebie nie wyrzucić.

– O to, że Carter nie może nie żyć, pani inspektor.

Pitkethly zmrużyła oczy.

– Co takiego?

– Alan Carter nie może nie żyć.

– Dlaczego? – Zamiast Pitkethly, pytanie to zadał Fox.

– Bo ten rewolwer nie istnieje. I to od dwudziestu paru lat.

– Nie rozumiem.

Michaelson wyjął kartkę papieru. Fox nie widział, czy jest to faks, wydruk czy e-mail. Sierżant podszedł do biurka i podał kartkę Pitkethly. Ta przeczytała ją powoli i uważnie. Potem spojrzała na Foxa.

– Naszą małą pogawędkę dokończymy później.

Wstała i Michaelson wyszedł z pokoju wraz z nią. Fox ruszył za nimi, ale Pitkethly go zatrzymała.

– To wykracza poza pańskie kompetencje – powtórzyła i poszła dalej, pewnie do śledczego. Michaelson spojrział na niego przez ramię i uśmiechnął się z satysfakcją, szeroko i zimno.

Fox zacisnął usta. I nagle wpadł na pewien pomysł.

Chwilę trwało, zanim Alec Robinson zareagował na dzwonek. Fox domyślał się dlaczego.

– Słyszał pan?

– Tak jakby – odparł wymijająco Fox. – Jestem zaskoczony, że tak szybko to poszło.

Sierżant kiwnął głową.

– W Fife nie ma tak dużo broni. W zeszłym roku skomputeryzowaliśmy rejestr. Nie wiem, czemu uwzględnili stare egzemplarze, ale uwzględnili.

Fox wciąż nie był pewien, czy dobrze to rozumie.

– Dwadzieścia parę lat... – rzucił na rybkę.

– Tak jak mówię, nie ma tu zbyt dużo broni.

– Wiem, ale kiedy już jakaś się znajdzie... – Poruszał się jak ślepiec, po omacku.

– Rozbierają ją na części i oddają do przetopienia. Zawsze tak było. Raz, dwa razy do roku, kiedy uzbierali jej tyle, że się opłacało.

Teraz z kolei Fox kiwnął głową.

– I ten rewolwer jest na liście przetopionych?

Robinson przyjrzał mu się uważniej.

– Myślałem, że pan wie.

– Nie wszystko. – Fox skrzyżował ręce na piersi. – Więc jakim cudem znalazł się nagle w domu Cartera? Alan

mógł go podprowadzić?

Sierżant wzruszył ramionami.

– Nie wiem nawet, czy kiedykolwiek odkomenderowano go do niszczenia broni. Zresztą nigdy jej tu nie trzymaliśmy. Odsyłaliśmy ją do Glenrothes. Chyba.

Fox głośno wypuścił powietrze.

– Ot, i tajemnica.

– Owszem – zgodził się z nim Robinson. I patrząc mu w oczy, dodał: – Tylko niech pan nie mówi, że będzie kolejne śledztwo. Cholera, tylko tego by nam brakowało...

– Bardzo miłe dziewczyny – powiedział Tony.

– Bardzo – zgodził się z nim Joe.

Znowu siedzieli we trzech w pokoju przesłuchań, każdy z kubkiem herbaty w ręku.

– Fryzjerki.

– Z tym, że Billie jest starszą stylistką, a Bekkah jeszcze nie.

– Na szczęście nie było klientów. Spędziliśmy dwadzieścia minut w zacisznym solarium. Ale spokojnie, lampy były zgaszone.

– Bekkah jest tak opalona, że musi często tam bywać – dodał Naysmith.

– I ma niezłą figurę, jeśli to nie seksistowskie, oczywiście...

Fox widział, że koledzy dobrze się bawili.

– Chce być modelką – poinformował go Tony. – A przynajmniej spróbować...

– Do rzeczy, panowie – mruknął Fox.

– Cóż... – zaczął Naysmith, ale pałeczkę odebrał mu Kaye.

– Jest wieczór. Z całą ekipą z salonu idą na miasto. Po drodze ponoszą straty, ale niewielkie. Porcja chińszczyzny, potem kilka pubów i klubów. Jest po północy i postanawiają wrócić piechotą do domu. Bekkah musi za potrzebą i znika w bocznej uliczce. Podjeżdża samochód.

To Paul Carter. Przedstawia się i oświadcza, że są aresztowane. Za obrazę moralności i tak dalej. Billie pyta, czy zamiast tego nie może podrzucić ich do domu. Carter na to, że owszem, ale musiałyby przedtem spędzić z nim trochę czasu na tylnym siedzeniu samochodu. Próbuje dotknąć jej krocza. Billie odpycha go, a on pyta Bekkah, czy chce spędzić noc w celi. Proponuje jej ten sam układ. Dziewczyny każą mu się wypchać, Carter wraca do samochodu i wzywa radiowóz. Radiowóz przyjeżdża i zabiera je do aresztu, żeby wytrzeźwiały. Nagle znowu zjawia się tam Carter i powtarza propozycję: wycofa wszystkie zarzuty, jeśli „podrapią go w plecy”. Nic z tego.

– Billie powiedziała mu, że jej chłopak jest bramkarzem w jakimś klubie. – Naysmith dorwał się do głosu dopiero teraz.

– Tak, a Carter na pewno się przestraszył.

Fox potarł policzek.

– Jego wuj miał agencję ochroniarską.

– To co?

Fox wzruszył ramionami.

– Nic. Tylko się zastanawiam.

– Możemy pogadać z nimi jeszcze raz. – Kaye zerknął na Naysmitha, który nie miał chyba nic przeciwko temu. – Tak czy inaczej, to by było na tyle. Rano zwolniono je bez żadnych zarzutów. Carter się nie pojawił.

– Ale skargi nie złożyły, tak?

– Złożyły dopiero wtedy, kiedy przeczytały o Teresie Collins. – Tony zarobił pauzę. – À propos, jak ona się

czuje? Wiesz coś?

– Nie sprawdzałem. Trochę się tu działo... – Fox wprowadził ich w sytuację. Naysmith był bardziej zainteresowany. Zadawał pytania i kazał sobie kilka rzeczy powtórzyć, żeby lepiej wszystko zrozumieć. Kaye przez cały czas siedział z ponurą miną.

– A ty co? – spytał w końcu Fox.

– Nie chcę brać strony tej Pitkethly, ale baba ma rację. Co to ma wspólnego z nami?

– Paul Carter wychodzi, a następnego dnia jego wuj strzela sobie w łeb. Nie uważasz, że to dziwne?

– Może i tak, ale my prowadzimy śledztwo w sprawie trzech policjantów, wśród których go nie ma. Podsumujemy wyniki, piszemy raport i wracamy do domu.

– A więc ten rewolwer miał być zniszczony, ale najwyraźniej ocalał – wymamrotał do siebie Naysmith. – Chyba muszą być jakieś rejestry...

Tony podniósł błagalnie rękę.

– To nie nasza sprawa – powiedział, podkreślając każde słowo. – Po prostu nie nasza.

– Ale może być związana z naszą – zauważył Fox. – Wystarczy trochę pokopać, nigdy nie wiadomo...

– Czy Alan Carter był w zespole zajmującym się niszczeniem broni? – spytał Joe.

– Ci ze śledczego na pewno to sprawdzają – odparł Tony. – Bo taki mają zakres obowiązków. Natomiast my jesteśmy ze Skarg.

Otworzyły się drzwi. Fox miał już zaprotestować, ale

zobaczył, że to inspektor Pitkethly.

– Muszę z panem porozmawiać – zaczęła. Spojrzała na Naysmitha i Kaye’a. – Czy któryś z was rozmawiał z Alanem Carterem, zanim się zastrzelił?

– Nie. – Tony pokręcił głową. – Potem też nie.

Pitkethly spiorunowała go wzrokiem.

– W takim razie tylko pan. W moim gabinecie... chyba że woli pan tutaj.

Fox odparł, że może być w gabinecie. Inspektor Pitkethly odwróciła się, a on wstał, by pójść za nią.

Kiedy wszedł do pokoju, siedziała już za biurkiem. Poprosiła, żeby zamknął drzwi, ale gdy chciał usiąść, kazała mu stać. Miała długopis w ręku i mówiąc, przyglądała mu się uważnie.

– Panie inspektorze, niewykluczone, że jest pan ostatnią osobą, która widziała Alana Cartera żywego. Dlatego pracownicy naszego wydziału śledczego chcą zadać panu kilka pytań.

– Kiedy prowadzę śledztwo przeciwko trzem z nich? Niewykonalne.

– Dlatego zadam je panu ja. – Pitkethly zrobiła pauzę.

– Bo mnie wystawił pan chyba dobre świadectwo, prawda?

– Fox milczał, więc podniosła wzrok. Zmrużyła oczy i znowu skupiła uwagę na długopisie. – Po co pan do niego pojechał?

– Bo to on jako pierwszy złożył skargę na swego bratanka.

– Ale to nie ma nic wspólnego ze Scholesem, Halda-

ne'em i Michaelsonem. Tak przy okazji: po waszej krótkiej wizycie Haldane poczuł się dużo gorzej, wielkie dzięki. – Fox nie skomentował i tego. – Więc o czym rozmawialiście? Jak się zachowywał?

– Podobał mi się. Nie kręcił, był uprzejmy...

– Nie robił wrażenia zmartwionego?

– Nie, nie powiedziałbym... – Fox przekrzywił głowę.

– Wpadliście na coś, tak?

– Jedna z naszych ekspertek technicznych naoglądała się za dużo *CSI*. To ona badała rewolwer.

– I?

– I ma pewne wątpliwości co do odcisków palców.

– Na rewolwerze?

– Niech się pan nie podnieca, to tylko drobne anomalie.

Fox wrócił myślą do domu Cartera: Ray Scholes w drzwiach, papiery na podłodze, ukryta pod czasopismem broń. Przypomniało mu się, jak Carter chodził po pokoju, jak robił mu herbatę, jak podawał mu kubek...

– Carter był praworęczny – powiedział.

– To co?

– To dlaczego rewolwer leżał po jego lewej stronie?

Głowę opierał na stole, a broń leżała nie po prawej stronie, tylko po lewej.

Inspektor Pitkethly milczała.

– Rozumiem. To niejedyna z tych anomalii?

– Nie. – Pitkethly zapisała coś w notesie.

– W takim razie o co chodzi?

– Na rewolwerze są jego odciski palców. Tylko jego, żadnych innych. Na środku rękojeści znaleźliśmy wyraźny odcisk kciuka.

Fox udał, że bierze do ręki rewolwer. Kciuk znajdował się wysoko, w górnej części uchwytu. Próbował go opuścić, ale było mu niewygodnie.

– I częściowy odcisk w połowie lufy – dodała Pitkethly, rzucając długopis na biurko i krzyżując ręce.

– Nigdzie indziej?

– Jest pan pewny, że nie był zdenerwowany?

Fox pokręcił głową.

– Z drugiej strony mógł jeszcze nie wiedzieć, że bratanek wyszedł z aresztu.

– Nie dajmy się ponieść emocjom, Malcolm.

„Malcolm” – to go poruszyło. Pitkethly potrzebowała go. Chciała, żeby był po jej stronie.

– Musi pani ściągnąć tu Paula Cartera – powiedział spokojnie.

– Nie mogę.

Oczywiście, nie do jego własnego posterunku, gdzie przesłuchiwaliby go najlepsi kumple.

– Mogę z nim porozmawiać – zaproponował.

Pitkethly pokręciła głową.

– Pan jest ze Skarg. A to... to zupełnie co innego. – Spotkali się wzrokiem. – Nie ma dowodu, że Alan Carter nie pociągnął za spust – dodała cicho.

– Ale są te...

– Anomalie. Carter prowadził agencję ochroniarską.

Mógł mieć wrogów.

– W dodatku badał jakąś starą sprawę.

– Tak?

– Znalaziono go wśród porozrzucanych papierów.

Scholes pani nie mówił?

– Powiedział tylko, że w domu było jak w chlewie.

– Przesada, było całkiem porządnie. Ale potem wyglądało to tak, jakby ktoś tam czegoś szukał. Jako pierwsi na miejsce zbrodni przyjechali Scholes i Michaelson. Michaelson podwiózł do domu Teddy’ego Frasera i Scholes został sam.

Pitkethly zamknęła oczy i potarła palcami powieki. Fox usiadł.

– Miesiąc miodowy się skończył, pani inspektor. Musi pani podjąć kilka ważnych decyzji. Najpierw powinna pani zadzwonić na komendę do Glenrothes. Jeśli kogoś tam pani zna, niech pani z nim porozmawia.

Pitkethly otworzyła oczy. Kilka razy głęboko odetchnęła i podniosła słuchawkę.

– To wszystko, inspektorze – powiedziała surowo. Ale gdy wstał, podziękowała mu przelotnym uśmiechem.

Gdy wracali do Edynburga, Naysmith spytał, czy Fox wciąż potrzebuje informacji o Francisie Vernalu.

– Mogę poszukać w domu – zaproponował.

– Dzięki – mruknął Fox.

– A gdybyście myśleli, że w Kirkcaldy jest nudno... – Joe wyjął z kieszeni złożony wydruk. – Na razie znalazłem tyle.

Był to artykuł o jugosłowiańskim tajnym agencie, którego wysłano do Kirkcaldy w 1988 roku z zadaniem zlikwidowania chorwackiego dysydenta. Historia wróciła na łamy gazet, ponieważ plan nie wypalił i agent trafił za kratki, by po latach oświadczyć, że ma informacje na temat zamachu na szwedzkiego premiera Olofa Palmego.

Fox przeczytał artykuł na głos, specjalnie dla Kaye'a.

– Niewiarygodne – burknął Tony i włączył odtwarzacz.

– Znowu Alex Harvey – jęknął Naysmith.

– Rewelacyjny Alex Harvey – poprawił go Tony, bębniąc palcami w kierownicę. – To część twojej edukacji muzycznej, młody Josephie.

– Terroryści i idioci, co? – rzucił Joe, patrząc na Foxa.
– Nie da się ich pozbyć.

– Święta prawda. – Fox czytał artykuł drugi raz.

Postanowili wpaść na drinka do Mintera. Było południe i pub świecił pustkami. Fox wyszedł na ulicę

i zadzwonił do Mangold Bain.

– Boję się, że pan Mangold ma wypełniony terminarz.
– Tak mu powiedziano.

– Nazywam się Fox. Jestem inspektorem policji z okręgu Lothian i Borders. Jeśli to nie załatwi sprawy, proszę mu przekazać, że chodzi o Alana Cartera.

Kazano mu poczekać. Przez całą minutę zamiast śpiewnego kobiecego głosu, musiał wysłuchiwać *Czterech pór roku* Vivaldiego.

– Może o szóstej? – zaproponowała. – Pan Mangold pyta, czy zechciałby pan wpaść do Nowego Klubu. O wpół do siódmej ma tam kolejne spotkanie.

– Chyba nie mam wyboru, prawda? – Fox ucieszył się w duchu: dużo słyszał o tym klubie, ale nigdy tam nie był. Lokal mieścił się gdzieś przy Princes Street i podobno przychodziło tam mnóstwo adwokatów i bankierów chcących uwolnić się choć na chwilę od swoich żon i kochanek.

Gdy wrócił do pubu, koledzy spytali go, czy jada do biura, czy robią sobie fajrant. Fox spojrzął na zegarek – nie było jeszcze czwartej. Kiwnął głową na znak, że mogą iść.

– Trzeba to oblać. – Kaye dopił piwo. – Stawiasz, Joseph, twoja kolej.

Naysmith wstał i spytał Foxa, czy przynieść mu jeszcze jeden sok pomidorowy.

– Nie, dzięki. Muszę gdzieś wpaść. – Zerknął na ekran telewizora na ścianie. Miejscowy prezenter informował widzów, że nie ma nowych wiadomości na temat wybuchu

w lesie pod Lockerbie.

– Jakiś sukinsyn ma chore poczucie humoru – wymamrotał Kaye. – Chyba że to Jugosłowianie wrócili. Co nie, Joe?

Pół godziny później Fox był już w Lauder Lodge. Otworzył drzwi pokoju i zobaczył, że ojciec nie jest sam. Na kominku stała otwarta butelka bella.

– Cześć, tato – rzucił.

Mitch Fox wyglądał dziarsko. Był ubrany i miał błyszczące oczy.

– Malcolm. – Ruchem głowy wskazał swego gościa. – Pamiętasz Sandy’ego?

Sandy Cameron – Fox uścisnął mu rękę. Gdy był małym chłopcem, chodzili we trzech na mecze Heartsów, a ojciec ciągle mu powtarzał, że mało brakowało i Sandy przeszedłby na zawodowstwo. Teraz, lata później, grali w bowls na dywanie w miejscowej drużynie.

– Niezła lufa – zauważył Fox, widząc, jak Cameron przekłada szklanekę do lewej ręki, żeby uścisnąć mu dłoń.

– To whisky à la shandy – wyjaśnił Cameron, wskazując butelkę lemoniady Barra na podłodze obok krzesła.

– Nie wiem, jak można rozcieńczać whisky. – Mitch Fox wypił swoją do dna.

– Może powinieneś się nauczyć, tato – rzucił Malcolm. Przystawił sobie krzesło. – Jak się pan miewa, panie Cameron?

– Nie mogę narzekać, synu.

– Sandy wspominał właśnie, jak chodził na lodowisko

– powiedział Mitch. Malcolm wiedział, że są to opowieści, które słyszał kilkanaście razy, może nawet więcej. – Byłeś świetnym łyżwiarzem, Sandy. Mogłeś ścigać się z zawodowcami.

– Tak, uwielbiałem łyżwy. – Cameron uśmiechnął się do siebie. – Łyżwy i piłkę nożną.

Ale skończył jako kreślarz. I mąż Myry. Dwoje dzieci. Udanażycie.

– Co cię sprowadza, synu? – spytał Mitch. – Myślałem, że jesteś w Fife.

Fox wyjął z kieszeni zdjęcie.

– Natknąłem się na coś takiego. – Podał ojcu wycinek.

Ten odegrał przedstawienie, wyciągając go na długość ramienia i mrużąc oczy. Wreszcie sięgnął do kieszeni swetra i wyjął okulary do czytania.

– To Francis Vernal – powiedział.

– A ten obok?

– Czy to nie Chris? – spytał Mitch podniesionym z zaskoczenia głosem. – To Chris, tak?

– Chyba tak.

Ojciec podał zdjęcie przyjacielowi.

– Francis Vernal bez dwóch zdań – potwierdził Cameron. – A ten drugi to kto?

– Mój kuzyn – odparł Mitch. – Miał na imię Chris. Zabił się na motorze.

– Skąd on znał Vernala? – spytał Malcolm.

– Działał w związku zawodowym robotników portowych.

– I w SPN?

– Też.

– Raz widziałem, jak Vernal przemawiał – wtrącił Cameron. – W instytucie górniczym w Lasswade, czy gdzieś. „Zapalenie”. Od razu przychodzi mi do głowy to słowo.

– Ja go nie pamiętam – powiedział Malcolm. – Kiedy zginął, byłem nastolatkiem.

– Krążyły różne plotki – ciągnął Cameron. – Jego żona...

– Bzdury – przerwał mu Mitch z naganą w głosie. – Same bzdury, byle tylko sprzedać więcej gazet. – Spojrzał na syna. – Gdzie to znalazłeś?

– U pewnego policjanta z Fife. Interesował się Vernalem.

– Dlaczego?

– Nie wiem – odparł Malcolm. Myślał przez chwilę i spytał: – W którym roku zginął Chris?

Teraz z kolei ojciec musiał pomyśleć.

– W siedemdziesiątym piątym albo siedemdziesiątym szóstym... Chyba pod koniec siedemdziesiątego piątego. Krematorium w Kirkcaldy, potem obiad w hotelu przy dworcu. –

Mitch wziął zdjęcie od Camerona i przyjrzał mu się jeszcze raz. – Przystojny był chłopak.

– Nie ożenił się?

Stary Fox pokręcił głową.

– Zawsze mówił, że lubi życie łatwe i swobodne.

Dlatego mógł w każdej chwili wskoczyć na motor i gdzieś pojechać.

– Gdzie miał ten wypadek?

– Dlaczego cię to tak nagle zainteresowało?

Malcolm wzruszył ramionami.

– Bawisz się w prawdziwego detektywa? – Mitch spojrział na Sandy’ego. – Jeszcze tylko parę lat i wraca do śledczego.

– Naprawdę? Myślałem, że jak już trafi się do Skarg, to na dożywocie.

– Malcolm by tak pewnie chciał.

– Dlaczego? Co to znaczy? – Fox nie potrafił ukryć zirytowania.

– Nie było ci tam dobrze – odparł ojciec.

– Kto tak mówi?

– Trochę zardzewiałaś – wtrącił Cameron. – Zanim znowu zajmiesz się dochodzeniówką, pewnie będziesz musiał sobie to i owo przypomnieć.

– Teraz też prowadzę dochodzenie.

– Ale to nie to samo, co? – drażył Mitch.

– Dokładnie to samo.

Ojciec tylko pokręcił głową. Przez chwilę w pokoju panowała cisza.

– Zapaleniec – powtórzył w końcu Cameron. Myślał pewnie o przemówieniu Vernala. – Gęsiej skórki się dostawało. Gdyby zażądał, żebyśmy ruszyli na wroga, poszlibyśmy bez wahania, z bronią czy bez broni.

– Widziałem go kiedyś na marszu Jamesa Connol-

ly'ego⁵ – dodał Mitch. – Nie bardzo mnie te sprawy interesowały, ale kolega chciał iść na wiec... Tak, to był chyba Leith Links. Vernal wstał, zaczął przemawiać i było tak, jak mówisz: facet miał dar. Nie zgadzałem się z nim, ale słuchać, słuchałem.

– Porównywano go do Jimmy'ego Reida⁶ – rozmyślał na głos Cameron. – Moim zdaniem był lepszy. I nigdy nie zwracał się do nikogo per „towarzyszu”.

– Ale to była przegrana sprawa, przynajmniej wtedy, prawda? – wtrącił Fox, ciesząc się, że nie jest już w centrum zainteresowania. – Nacjonalizm.

– To były dziwne czasy – odparł ojciec. – Dużo gniewu. Różnych zamachów... – Nalał sobie whisky. Butelka była już prawie pusta. – Zawsze popierałem laburzystów, ale pamiętam, że mama często wymądrzała się na temat narodowców. Werbowali nowych członków przed salami, gdzie odbywały się koncerty muzyki folkowej...

– I przed kinami, kiedy grali *Braveheart* – dodał Sandy.

– Ale Malcolm nigdy nie interesował się polityką – ciągnął Mitch. – Może bał się wystawić głowę za okno, czy choćby oderwać się od odrabiania lekcji...

Fox spojrzał na jego szklanekę.

– Dolać trochę wody? – spytał.

– Wody? Po moim trupie.

* * *

Nowy Klub trudno było znaleźć. Gmach, w którym Fox zawsze go umiejscawiał, okazał się siedzibą Królewskiej Ligi Zamorskiej. Recepcjonistka kazała mu się cofnąć. Wiał coraz silniejszy wiatr. Ułożono fragment torów tramwajowych, ale znowu było opóźnienie, kolejny już dzień, bo wykonawcy wciąż kłócili się z radą miejską o płatności. Robotnicy stali w kolejce na przystankach autobusowych, chcąc wrócić do domu. Sprawę dodatkowo utrudniał fakt, że tylko nieliczne domy przy Princes Street miały numery. Szukał numeru 86, ale znowu go przegapił i musiał ponownie się cofnąć. W końcu, tuż obok bankomatu, wypatrzył anonimowe lakierowane drzwi. Nad drzwiami było okienko z ledwo widocznym napisem. Zadzwoił i go wpuszczono.

Spodziewał się małych, ciasnych georgiańskich pokoi, tymczasem wewnątrz było przestronne i nowocześnie urządzone. Kamerdyner w liberii powiedział, że jest oczekiwany, i weszli na schody. Tu i ówdzie snuli się starsi dżentelmeni, kilku innych siedziało w fotelach z gazetą w ręku. Fox myślał, że idą do holu albo baru, tymczasem weszli do ładnie urządzonej sali konferencyjnej. Charles Mangold siedział przy dużym okrągłym stole. Tuż przed nim stała karafka wody.

– Dziękuję, Eddie – powiedział do kamerdynera, który skłonił się i wyszedł. Mangold wstał i uścisnął Foxowi rękę. – Charles Mangold. Inspektor Fox, prawda?

– Tak.

– Mógłbym zobaczyć jakiś dokument?

Fox wyjął legitymację.

– Niestety, w dzisiejszych czasach ostrożności nigdy za wiele. – Mangold zwrócił mu legitymację i wskazał fotel. – Zapomniałem poprosić Eddiego, żeby przyniósł nam coś do picia...

– Wystarczy woda.

Mangold sięgnął po szklanki. Fox przyjrzał mu się uważnie. Korpulentny, łysy i w okularach, prawnik musiał niedawno przekroczyć sześćdziesiątkę. Był w ciemnym trzyczęściowym garniturze, jasnożółtej koszuli ze złotymi spinkami do mankietów i krawacie w rdzawoczerwone i niebieskie ukośne paski. Bijąca od niego pewność siebie graniczyła z samozadowoleniem. A może przeświadczeniem, że jest człowiekiem uprzywilejowanym.

– Był pan tu kiedyś? – spytał.

– Nie, nigdy.

– Większość klubów zamknęła podwoje, ale ten się nie poddaje. – Wypił łyk wody. – Przepraszam, że nie mogę poświęcić panu więcej czasu, panie inspektorze. Moja sekretarka zapewne wspomniała, że...

– O wpół do siódmej ma pan kolejne spotkanie.

– Właśnie. – Mangold zerknął na zegarek.

– Czy wie pan, że Alan Carter nie żyje?

Prawniki zamarł.

– Nie żyje?

– Zastrzelił się wczoraj wieczorem.

– Dobry Boże... – Mangold wbił wzrok w boazerię.

– Skąd go pan znał?

- Robił coś dla mnie.
- Badał przeszłość Francisa Vernala?
- Tak.
- Długo się znaliście?

– Prawie wcale. – Mangold zastanawiał się, co powiedzieć dalej. Fox zagrał na czas, sięgając po szklanę. – Jakiś czas temu zamieścił w „Scotsmanie” swój profil zawodowy, zainteresowania biznesowe i tak dalej. Wspomniał, że jest byłym policjantem i odegrał niewielką rolę w tym śledztwie.

– W śledztwie w sprawie śmierci Francisa Vernala?

– Tak. Nie, żeby jakieś przeprowadzono. Wszyscy trzymali się wersji z samobójstwem. Nie było nawet DWSS.

DWSS – dochodzenie w sprawie wypadku ze skutkiem śmiertelnym.

– Dziwne – rzucił Fox.

– Właśnie – zgodził się z nim Mangold.

– Myśli pan, że próbowano zamieścić coś pod dywan?

– Zależy mi tylko na prawdzie, panie inspektorze.

– Po dwudziestu pięciu latach? Dlaczego pan tak długo czekał?

Mangold pochylił lekko głowę, jakby doceniał przenikliwość tego pytania.

– Imogen źle się czuje – odparł.

– Wdowa po Vernalu?

– Jeszcze pół roku, może rok i pewnie jej zabraknie.

A wiem, że prasa znowu to wszystko wyciągnie.

- To, że go do tego doprowadziła?
- Właśnie.
- Uważa pan, że to nieprawda?
- Oczywiście, że nieprawda.
- Pracował pan z panem Vernalem?
- Bardzo długo.
- Był pan jego przyjacielem czy przyjacielem jego żony?

Mangold przeszył go wzrokiem.

– To insynuacja. Nie wiem, czy mogę tego nie skomentować.

– Więc proszę skomentować.

– Niech pan posłucha. Przykro mi, że Carter nie żyje, ale właściwie co to ma wspólnego ze mną?

– Na pewno zechce pan przejąć zgromadzony przez niego materiał. Tylko proszę uważać, jest zbryzgany krwią... – Fox podniósł wzrok, szykując się do wyjścia.

– Francisca Vernala zamordowano – wypalił Mangold.
– I nikt nic w tej sprawie nie zrobił. Może nie powinienem tego mówić, ale moim zdaniem policja dopuściła się wtedy świadomego zaniedbania.

– To znaczy?

– To znaczy, że maczała w tym palce. Zanim stwierdzono, że ktoś go zastrzelił, zabrano z pobocza samochód i zdeptano miejsce zdarzenia, niszcząc wszystkie dowody. Przez cały dzień szukali rewolweru! Wyobraża pan sobie? A rewolwer leżał na ziemi, dwadzieścia metrów dalej. – Mangold mówił coraz szybciej, jakby musiał to

z siebie wyrzucić. – Nawiasem mówiąc, Francis nie miał broni. Wokoło wałały się dokumenty z jego teczki. Tylne szyba samochodu była wybita, a przednia nie. Brakowało różnych rzeczy...

– Jakich?

– Choćby papierosów, a palił dwie paczki dziennie. I pięćdziesięciofuntowego banknotu, z którym się nie rozstawał; to było wynagrodzenie za jego pierwszą sprawę. – Mangold potarł ręką czoło. Spojrzał na Foxa. – Nie tego się spodziewałem. Zupełnie.

– W jakim sensie?

– Myślałem, że będzie pan próbował mnie ostrzec, odstraszyć. Ale jest pan za młody, żeby w tym siedzieć. Z legitymacji wyczytałem, że pracuje pan w Wydziale Etyki i Standardów Zawodowych. Zwalczacie korupcję, tak?

– Zajmujemy się skargami na policję.

Mangold westchnął.

– Więc powinniście się zająć Francisem Vernalem. W śledztwie było tyle dziur...

– Czy Carter czegoś się dowiedział?

– Trochę. – Mangold jakby się zawahał. – Niewiele – przyznał. – Wielu z tych ludzi już nie ma. Wątpię, czy podjąłby się tego, gdyby nie śmierć Gavina Willisa.

– A Gavin Willis był...

– Jego mentorem, inspektorem policji. Prowadził to śledztwo. Był dziesięć lat starszy od Cartera. Carter zawsze go podziwiał. – Mangold nachylił się lekko w stronę Foxa,

jakby chciał mu się z czegoś zwierzyć. – Alan mówił panu o tym domu?

– Nie.

– Należał do Willisa. Kiedy Willis umarł, Alan go kupił. Oto jak wielka łączyła ich przyjaźń.

– W takim razie jest mało prawdopodobne, żeby chciał oczernić jego nazwisko.

– Nie jestem taki pewny. Ludzie lubią dochodzić prawdy. Nie uważa pan?

– Stracił pan swego badacza – odparł Fox. – Co pan teraz robi?

– Znajdę innego – oznajmił Mangold, przyglądając mu się uważnie.

Rozległo się pukanie do drzwi i kamerdyner Eddie przypomniał mu, że na dole czeka już pierwszy gość. Mangold wstał, obszedł stół, uścisnął Foxowi rękę i podziękował mu za przybycie.

– Szkoda, że poznaliśmy się w takich okolicznościach...

Fox skłonił się lekko i Eddie odprowadził go na schody.

Ktoś właśnie przyszedł, jakiś mężczyzna. Podawał kamerdynerowi płaszcz, rozmawiając z nim o pogodzie. Zerknął na Foxa, chcąc sprawdzić, czy warto się z nim przywitać. W końcu tylko skinął mu głową.

– Będzie pan tam, gdzie zwykle, panie Cardonald? – spytał kamerdyner. – Przyniosę panu drinka.

– Tak, tam gdzie zwykle.

Fox przystanął i odprowadził go wzrokiem. Colin Cardonald, szeryf, który zwolnił z aresztu Paula Cartera...

* * *

Nie miał ochoty na kolejną kolację z mikrofalówki, więc postanowił zaszaleć i poszedł do włoskiej restauracji w Morningside, gdzie w jadłospisie mieli mnóstwo ryb. Wieczorna gazeta zajmowała go przez dziesięć minut, potem próbował nie gapić się na innych gości. Bo tak naprawdę to myślał. Próbował nie myśleć, mimo to myślał.

O Rayu Scholesie i Paulu Carterze.

O Paulu Carterze i jego wuju.

O Alanie Carterze i Charlesie Mangoldzie.

O Charlesie Mangoldzie i Francisie Vernalu.

O Vernalu i Chrisie Foxie.

O Chrisie i swoim ojcu.

O ojcu i o sobie.

Tym sposobem zatoczył kółko i wrócił do Scholesa i Cartera. Nic dziwnego, że kręciło mu się w głowie – ktoś tańczył tam skoczny szkocki taniec ludowy na cztery pary, tylko że par było więcej i miały za mało miejsca. Kiedy nadszedł kelner i zaniepokojony spytał, czy wszystko jest w porządku, Fox zdał sobie sprawę, że prawie nie tknął głównego dania.

– Tak, tak, jak najbardziej – odparł, nabierając na widelec trochę żabnicy.

„Nie było ci tam dobrze”...

„Trochę zardzewiałeś” ...

Powinien był wymyślić mocniejszy argument? Odeprzeć atak? Dwóch starszków po paru szklaneczkach – po co? Wrócił myślą do czasów sprzed Skarg. Był sumienny i skrupulatny, nigdy się nie obijał. Pilnie pracował, chwailono go za bezbłędne sprawozdania i umiejętności kierownicze: jego podwładni nie mieli rozbuchanego ego ani nie byli bohaterami. Nie, nie był nieszczęśliwy. Dużo się nauczył i unikał kłopotów. Kiedy pojawiał się jakiś problem, albo go rozwiązywał, albo przekazywał komuś innemu.

„Doskonały kandydat do pracy w Wydziale Skarg i Dyscypliny” – tak coraz częściej postrzegali go przełożeni ze śledczego. Czy była to pochwała, czy chcieli tylko dać mu do zrozumienia, że do nich nie pasuje?

Bo był zbyt skrupulatny.

Bo zbyt chętnie omijał problemy.

Spojrzał na kelnera i powiedział, że już skończył.

– Nie byłem tak głodny, jak myślałem – dodał w formie przeprosin.

Wrócił do domu, włączył telewizor i zaczął przerzucać kanały. Same bzdury. W dzienniku mówiono tylko o królewskich zaręczynach, o niczym więcej. Wytrzymał dziesięć minut i poszedł poszukać komputera. Wiedział, że Joe Naysmith dotrzyma słowa i sprawa może zaczekać do rana. Mimo to włączył wyszukiwarkę, wystukał nazwisko Francisa Vernala i kliknął na pierwszy z 17 250 linków.

Pół godziny później dostał SMS-a od Tony’ego

Kaye'a.

„Identyczny wybuch, tym razem w Peebles. Przekłęci gówniarze!”.

Nie wiedział, co mu odpisać, więc ponownie skupił uwagę na ekranie monitora.

„Identyczny wybuch... Przekłęci gówniarze...”.

Tony widział jak zwykle to, co chciał zobaczyć. Ale on miał wątpliwości.

Niedaleko miejsca wypadku Francisca Vernala była zatoczka. Nieopodal zatoczki usypano kamienny kopczyk z tablicą upamiętniającą „Patriotę”. Leżały tam nawet kwiaty. Już dawno zwiędły, więc pewnie ktoś złożył je w rocznicę jego śmierci. Może nawet Mangold, w imieniu swoim i wdowy.

Tego ranka Fox wybrał się do Fife samochodem, zjeżdżając z M90, omijając Glenrothes i zmierzając w kierunku „East Neuk”, małej rybackiej wioski znanej z krajobrazów, malarzy i karawaningu. Błonia w Lundin Links i Elie, St Monans i Pittenweem, a potem Anstruther albo – jak wymawiali to miejscowi – „Ainster”. Francis Vernal zginął na B9131, na północ od Anstruther. Nie grał w golfa, ale miał domek letni na przedmieściach St Andrews. Nikt nie wiedział, dlaczego nie pojechał szosą A915, krótszą trasą. Spekulowano, że zrobił sobie malowniczy objazd, bo im dalej od wybrzeża, tym więcej lasów i pól. Nie sposób było powiedzieć, w które uderzył drzewo. Kolejna teoria: jezdnię pokrywało pozostawione przez ciągniki błoto i samochód wpadł w poślizg. Świetnie, to Fox mógł kupić. Ale zaraz potem musiało coś się stać. Nie każdy, kto roztrzaskuje samochód na drzewie, odczuwa potrzebę sięgnięcia po broń. Skutek stylu życia? Stres, burzliwe małżeństwo, za dużo alkoholu. Alkohol każe mu nagle zjechać z drogi – może Vernal chce z tym

wszystkim skończyć? Ale nie ginie, więc otwiera schowek na mapy i wyjmuje rewolwer.

Rewolwer: z podobnej broni zastrzelił się Alan Carter. Albo został z niej zastrzelony.

Fox przesunął palcami po kopczyku. Pomnik był upstrzony napisami, które przez te lata wyskrobały tu dzieciaki; gdy tu jechał, minęły go dwa podrasowane samochody z ryczącymi głośnikami, kierowane pewnie przez jakiegoś „Cambo”, „Aliego”, „Desi” czy „Puga”. Wyprostował się i głęboko odetchnął. Niezłe miejsce. Spokojne. Monotonne buczenie maszyny rolniczej w oddali, wymuszone krakanie kilku wron. I zapach poruszonej ziemi. Spacer po okolicy nie przyniósł żadnych wskazówek. Pod żadnym drzewem nie leżały kwiaty. Ani jedna gazeta nie zamieściła zdjęcia samochodu na miejscu wypadku, a te czarno-białe, które zrobiono potem, były oparte tylko na przypuszczeniach. Mangold miał rację: volvo zostało usunięte i odholowane na złomowisko, zanim zdążono przeprowadzić dokładne oględziny. Miejscowa prasa nie wspomniała nawet o samobójstwie. Pisano o „tragicznym wypadku”, który pozbawił kraj „błyskotliwego talentu politycznego”. Nekrologów pojawiło się mnóstwo, ale wszystkie były utrzymane w tym samym kojącym tonie. Kilka lat później wyszła książka, w której połowę rozdziału poświęcono „tajemniczej śmierci działacza politycznego Francisa Vernala”. Było to krótkie kompendium nierozwiązanych szkockich zagadek kryminalnych, ale nie zawierało żadnych nowych dowodów. Autor postawił za to

kilka pytań, tych samych, które zadawał sobie Fox, czytając książkę w internecie. Przesiedział nad nią cały wieczór, wydrukował dziesiątki stron i musiał zmienić wkład w drukarce. Teraz wrócił do samochodu i sięgnął po ciężką teczkę leżącą na fotelu pasażera, zastanawiając się, czy otworzyć ją, czy nie. Ale w tej samej chwili zawibrowała komórka. SMS od Kaye'a.

Coś się dzieje.

Zadzwoił do niego, lecz Tony nie odbierał. Przekręcił kluczyk w stacyjce, zawrócił na trzy i pojechał w kierunku Kirkcaldy.

Na policyjnym parkingu nie było miejsca, więc zostawił wóz na ulicy. Na pojedynczej żółtej linii, więc mógł tylko mieć nadzieję, że nie dostanie mandatu. Stan pogotowia podniesiono z UMIARKOWANEGO na PODWYŻSZONY. Ich pakamera była otwarta i pusta, więc poszedł do pokoju przesłuchań. Otworzył drzwi i zobaczył Paula Cartera rozpartego na krześle. Naprzeciwko siedziała inspektor Pitkethly.

– Wyjść! – rozkazała.

Fox wymamrotał „przepraszam” i zamknął drzwi. Korytarzem szli w jego stronę Kaye i Naysmith.

– Mogliście mnie ostrzec – syknął.

– Przed chwilą cię ostrzegłem – odparł Tony.

Fakt. Fox miał w komórce drugiego SMS-a.

Nie wchodź do PP!

– Dzięki. – Schował telefon do kieszeni. – Co się tu dzieje?

– Szkoda, że nie byłeś w śledczym – powiedział Naysmith. – Wszyscy szaleją.

– Byłoby miło, gdyby ktoś powiedział mi wreszcie dlaczego.

– Przez jakiegoś bystrego reportera – wyjaśnił Kaye. – Przy Kinghorn Road jest stacja benzynowa i chciał zatankować swój samochódzik...

– Spytał sprzedawcę – przerwał mu Naysmith – czy wieczorem w dniu śmierci Alana Cartera nie widział niczego podejrzanego. Okazało się, że widział.

– Paula Cartera – dodał Tony. – Widział Paula Cartera.

– Wzburzonego...

– Stał przy pompie, wysiadł, ale nie zatankował...

– Tylko chodził tam i z powrotem...

– Patrzył na telefon...

– Próbował się gdzieś dodzwonić, ale się nie dozwonił.

– Przecież już wiemy, że dzwonił do wuja. – Fox uznał, że warto im o tym przypomnieć.

– Ale on do niego jechał – podkreślił Naysmith.

– A więc pół godziny temu mieliśmy przypadek klasycznego samobójstwa, a teraz Carter junior jest podejrzany o morderstwo? – Fox popatrzył na Tony'ego, potem na Naysmitha, potem znowu na Tony'ego.

– Pójdzie siedzieć, za wuja też...

– Bo znaczy to co najmniej tyle, że do niego pojechał – wtrącił Joe. – Nie wiadomo, o czym rozmawiali, ale podsumowaniem dyskusji był wystrzał i trup.

Usłyszeli czyjeś kroki. Wahadłowymi drzwiami wszedł sierżant Alec Robinson, a za nim dwóch mężczyzn i kobieta. Robinson miał kamienną twarz. Nowo przybyli otaksowali ich wzrokiem, zapukali i weszli do pokoju przesłuchań. Wracając do dyżurki, sierżant unikał kontaktu wzrokowego z Foxem.

– Glenrothes? – domyślił się Kaye.

– Tak – potwierdził Fox.

Chwilę później ci sami policjanci i policjantka wyprowadzili stamtąd Cartera. Carter zobaczył ich i przystanął.

– Chcą mnie zrobić – warknął. – Ja nic nie zrobiłem!

Policjanci chwycili go pod ręce i poprowadzili dalej.

– Precz z łapami!

Policjantka zerknęła przez ramię na Foxa i poszła za nimi.

– Znasz ją? – spytał Tony z ustami tuż przy jego lewym uchu.

– To Evelyn Mills – odparł Fox. – Ze Skarg, tak jak my.

– I używa Chanel.

W drzwiach pokoju przesłuchań stała inspektor Pitkethly. Posłała mu spojrzenie, które mówiło, że to ona zawiadomiła komendę. Fox skinął głową, dając jej do zrozumienia, że postąpiłby tak samo.

– Co powiedział?

– Że ktoś zadzwonił do niego z telefonu wuja. Zadzwonił i odłożył słuchawkę. Potem zadzwonił jeszcze raz

i znowu odłożył słuchawkę. – Pitkethly skrzyżowała ręce.
– Carter nie wiedział, co się dzieje, i postanowił spytać wuja o to osobiście, ale w połowie drogi zmienił zdanie.

– Może i tak było.

– Może.

– Ale nie jest pani przekonana.

Pitkethly spiorunowała go spojrzeniem. Odeszła, a oni odprowadzili ją wzrokiem.

– Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. – Kaye ruszył do pokoju przesłuchań.

Naysmith podniósł z podłogi ciężką torbę.

– Twoje zamówienie – powiedział. – Kosztowało mnie pół nocy, ryzę papieru i nowy wkład do drukarki. – Chciał podać torbę Foxowi. – Wystukałem nazwisko Vernala i nie zgadniesz, ile wyników mi wyskoczyło.

Był zdumiony, kiedy Fox podał dokładną liczbę.

* * *

Minęła godzina, zanim Evelyn mogła do niego zadzwonić. Zawahał się lekko, ale odebrał.

– Twoja dziewczyna? – domyślił się Kaye.

– Tak, pani inspektor? – rzucił Fox do słuchawki, dając jej do zrozumienia, że nie jest sam.

– Nie wiem, jaki to będzie miało wpływ na nasz podsłuch – zaczęła.

– Ja też nie.

– Jeśli Carter przyzna się do czegoś Scholesowi, a my

tę rozmowę nagramy...

– Tak, sąd tego nie uzna – zgodził się z nią Fox.

– Prokuratura rozważa wszystkie plusy i minusy, ale znam ich i wiem, że to trochę potrwa. – Evelyn zrobiła pauzę. – Bezpieczniej będzie zrezygnować.

– Z drugiej strony – dowodził Fox – nie podsłuchujemy Cartera, tylko Scholesa. Poza tym to nie Scholesa wzięli na muszkę ci ze śledczego. – Teraz z kolei Fox zrobił pauzę. – Co będzie z Carterem?

– Pitkethly mówi, że to ty zauważyłeś tę sprzeczność z rewolwerem i lewą i prawą ręką.

– Ja.

– Oczywiście to tylko poszlaki...

– Oczywiście.

– Ale coś może się za tym kryć.

– Przestępstwo?

– Tak.

– I śledztwo w sprawie morderstwa?

– Całkiem możliwe.

– Tutaj? – Fox rozejrzał się po ciasnym pokoiku.

– To najbliższy posterunek. Naturalnie będziemy musieli wysłać tam własny zespół.

– Naturalnie. Wydział Śledczy i Skargi razem?

– Jeśli szefostwo tak zdecyduje.

– A Scholes, Michaelson i Haldane?

– Pójdą na boczny tor.

– Będzie nerwowo.

– Zostajesz?

- Dopóki nie każą mi wracać.
- Malcolm, zdajesz sobie sprawę, że jesteś świadkiem? Będziemy musieli wypytać cię o Alana Cartera.
- Nie ma sprawy.
- Scholes już próbuje mieszać.
- Tak?
- Mówi, że szybko się tam zjawiał.
- Nie tak szybko jak on i Michaelson.
- Różnica jest taka, że ich tam wezwano.
- Chętnie odpowiem na wszystkie pytania, pani inspektor.
- W takim razie do zobaczenia niebawem. – Evelyn rozłączyła się.

Fox przekazał to wszystko kolegom i powiedział, że idzie się przewietrzyć. Na skraju parkingu stał Brian Jamieson przy swoim skuterze. A obok niego jakaś dziewczyna w słuchawkach i z magnetofonem na ramieniu. Podtykała mu pod nos mikrofon.

Lokalne radio przeprowadzało wywiad z lokalnym wolnym strzelcem.

Fox ruszył w ich stronę. Jamieson już go zauważył i właśnie mówił koleżance, kto to. Ta wycelowwała w niego mikrofon.

- Chodźmy pogadać – rzucił Fox.
- Panie inspektorze – spytała dziewczyna – jak skomentuje pan aresztowanie Paula Cartera?

Fox pokręcił głową i zawrócił na parking, wiedząc, że Jamieson pójdzie za nim. Tym sposobem będzie kimś

ważnym, a na pewno chciał, żeby jego młoda rywalka za takiego go miała.

– Widzieliśmy, jak go zabierają. – Jamieson już go dogonił. – Pojechali do Glenrothes?

– Co pan robił na tej stacji?

– Odpoczywałem. Kiedy pan odjechał, siedziałem na tym zadupiu jeszcze dwie godziny. Musiałem napić się kawy.

– Sprzedawca znał Paula Cartera?

Jamieson pokręcił głową.

– Opisał tylko samochód.

– A więc nie wiadomo, czy to był Carter, tak?

– Na stacji są kamery. Musiałem poczekać, aż właściciel pozwoli mi przejrzeć zapis. Dlatego wyskoczyłem z tym dopiero teraz. Nie ma wątpliwości, panie inspektorze: kamera zarejestrowała Paula Cartera.

– Przyjechał i odjechał?

– Tak.

– W kierunku domu wuja?

– Twierdzi, że to zbieg okoliczności?

– Twierdzi, że zawrócił.

Jamieson zmarszczył brwi.

– Kamera pokazuje tylko pompy. – Zrobił krok do przodu i stanął dokładnie naprzeciwko Foxa. – Zabawne, prawda?

– Ale co?

– To, że był tak blisko domu wuja w dniu, kiedy ten postanowił się zabić. A kto przyjechał tam jako pierwszy?

Jego najlepsi kumple.

Fox zachował kamienną twarz.

– Dlaczego spytał pan o niego sprzedawcę? Co pana do tego skłoniło?

Jamieson poruszył kącikiem ust.

– Nie wiem, może mam nosa. Dzięki temu jestem tym, kim jestem.

– Fakt, prawdziwy Pinokio z pana.

Fox ruszył do tylnych drzwi. Ręce w kieszeniach, szeroko rozstawione nogi – czekał tam na niego Ray Scholes.

– Wie pan, kto to jest? – spytał.

Fox odparł, że wie.

– Powiedział mu pan coś?

– Nie.

– I lepiej nie mówić.

Fox chciał przejść, ale Scholes zastąpił mu drogę.

– Chcę coś panu pokazać. – Pokazał mu ekran komórki. Fox wziął od niego telefon i przeczytał. Był to SMS od Paula Cartera.

Złap Foxa. Na pięć minut.

Komórka zawibrowała. Fox podniósł wzrok.

– To do pana – powiedział Scholes.

– Nie chcę.

Inspektor milczał i nie wyciągnął ręki, kiedy Fox chciał oddać mu telefon. Wibracje ustały, a oni stali i gapili się na siebie. Komórka natychmiast zawibrowała ponownie.

– W porządku – rzucił Scholes. – Teraz może pan odebrać.

– Halo?

– Tu Carter.

– Wiem.

– Niech pan posłucha. Przyznaję, wyciąłem w życiu kilka numerów, ale nie taki. Nigdy. To nie ja.

– I niby co mam z tym zrobić?

– Kurwa mać, Fox, przecież jestem gliniarzem, tak?

– Był pan.

– Ktoś próbuje mnie zrobić.

– No i?

– No i ktoś musi mi pomóc! – Z głosu Cartera bił gniew, ale i strach.

– Niech pan to powie Teresie Collins. – Fox świdrował wzrokiem Scholesa, Scholes Foxa.

– Mam się przyznać? Do wszystkiego, co kiedykolwiek zrobiłem, czy nawet o czym pomyślałem?

– Dlaczego pana wuj zginął?

– Skąd mam wiedzieć?

– Nie był pan u niego? – Foxowi stwardniał głos. – Jeśli pan skłamię, nie kiwnę palcem.

– Nie, przysięgam!

– Wysłał pan tam kogoś? – Fox wciąż patrzył na Scholesa, który zeszywniał i zacisnął pięści.

– Nie.

– Jak pan myśli, dlaczego wuj do pana zadzwonił?

– Nie mam pojęcia, przecież mówię, że nic z tego nie

rozumiem!

– Więc niby co mam zrobić?

– Ray nie może przecież chodzić tam i węszyć, prawda?

– Kiepsko by to wyglądało – zgodził się z nim Fox.

– Ale mówi, że rozmawiał pan z wujem... – Odgłos, który wydobył się z ust Cartera, był czymś pośrednim między jękiem i westchnieniem. – Może pan coś wymyśli, coś, cokolwiek...

– Niby dlaczego?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem...

W tle pojawił się jakiś hałas, czyjeś przytłumione głosy. Carter nie mógł już rozmawiać. Połączenie zostało przerwane. Fox spojrzał na ekran i zwrócił telefon Scholesowi.

– No i?

Fox myślał, rozważał możliwości. W końcu pokręcił głową, minął go i ruszył do pokoju przesłuchań. Ale inspektor się nie poddawał.

– Alan Carter miał wrogów. Jednych narobił sobie w policji, innych potem. Choćby Szafików: mają sieć sklepów i firm. Zadarli z jego chłopakami. Zła krew, Alan był dla nich wrogiem.

Fox przystanął i podniósł rękę.

– Nie może pan rzucać na oślep nazwiskami.

– W Lockerbie i Peebles wybuchają bomby. Moglibyśmy postawić na terroryzm, zgarnąć ich i potrzymać za kratkami, aż zaczęliby gadać. – Scholes zobaczył jego

minę. – A tak, zapomniałem – powiedział szyderczo. – Zamykanie ludzi o śmiesznym nazwisku to rasizm.

Fox pokręcił głową i odwrócił się. Tym razem Scholes za nim nie poszedł, tylko zawołał:

– Kiedy Paul napisał do mnie, że chce z panem rozmawiać, odpisałem mu, że traci tylko czas. Że powinien poszukać prawdziwego policjanta, bo pan nim nie jest. Panu daleko do rasowego gliniarza. – Lekko zniżył głos. – Powinien poszukać prawdziwego – powtórzył.

Fox otworzył drzwi.

– Z kimś jeszcze? – spytał Tony.

Siedzieli na falochronie, jedząc rybę z frytkami. Promień słońca oświetlił Berwick Law⁷ po drugiej stronie zatoki. Daleko po prawej stronie widać było Górę Artura⁸ i linię dachów Edynburga. Daleko po lewej stały na kotwicy kontenerowce i tankowce. Była pora lunchu i wokoło fruwały wyraźnie zainteresowane mewy.

– Warto spróbować jeszcze raz z Haldane'em – zaproponował Fox.

– Naprawdę? – spytał Tony.

– Masz inny pomysł?

– Lada chwila mogą wszcząć śledztwo w sprawie śmierci Cartera, dlatego lepiej się stąd wynieśmy. Mielibyśmy łązić tu, próbując unikać tych z Fife? To ostatnia rzecz, jakiej by chcieli.

– Fakt – zgodził się z nim Fox.

– Mimo to nie sposób nie zauważyć, że wciąż tu jesteśmy. – Kaye podrzucił do góry kawałek frytki, patrząc, jak mewa porywa go w powietrzu i ucieka przed czyhającymi wokoło koleżankami. – Co jeszcze możemy dodać do naszej skarbnicy mądrości?

– Informacje z podsłuchu – odparł Fox.

– Ale podsłuch to nie nasza działka.

– Scholes, Haldane i Michaelson. Dopiero co z nimi zaczęliśmy.

– To już czysta desperacja, Malcolm. – Posolona frytka znowu poszybowała w niebo, ale tym razem spadła na ziemię i rzuciły się na nią cztery mewy.

– Dobra, poddam się. – Fox spojrzał na Naysmitha. – Joe, powiedz mu, dlaczego nie możemy jeszcze wrócić.

– Francis Vernal – odparł jak na komendę Naysmitha. Dla Foxa było to oczywiste od samego początku: Joe czytał w sieci te same artykuły, znał te same plotki i przypuszczenia, po prostu połknął haczyk. – Wtedy uznano, że było to samobójstwo. Media prawie tego nie tknęły, bo nie było wówczas ani internetu, ani kanałów z wiadomościami przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ale Vernal powiedział znajomym, że ktoś go śledzi, że włamano się do jego domu i biura. Nic nie zginęło, zauważył po prostu, że rzeczy leżą nie tam, gdzie trzeba.

– Ale kto go śledził? – spytał Kaye.

– Pewnie MI5.

– Niby po co?

– Nie wiedziałem, jak burzliwie tu było w połowie lat osiemdziesiątych – powiedział Joe, zlizując ocet z palców.

– Demonstracje CND9, wojny gwiazdne...

– Wojny gwiazdne?

– Ale nie film, tylko system obrony przeciwrakietowej, Reagan i Gorbaczow się kłaniają. Jechały do nas pociski manewrujące typu Cruise, pikietowano Clyde, bo rozmieszczono tam polarisy. Przyjaciele Ziemi protestowali przeciwko kwaśnym deszczom. Prawa zwierząt, Hilda Murrell10... Pamiętasz Hildę Murrell?

- Udajmy, że nie – odparł Kaye.
- Emerytka, ale i aktywistka. Dalyell... – Joe zawiesił głos.
- Poseł – rzucił Tony. – Aż tak ciemny nie jestem.
- Dalyell miał teorię, że zabili ją agenci MI5. Płacili prywatnemu detektywowi, żeby ją śledził...
- Wciąż nie słyszę ani słowa o Vernalu. – Kaye zwinął w kulkę zatłuszczony papier.
- Wczesne lata osiemdziesiąte były również kolebką nacjonalizmu – wtrącił Fox. –
Dobrze mówię, Joe?
- Tak. SPN osiągała kiepskie wyniki na wyborach i szukając natchnienia, niektórzy nacjonaści zaczęli spoglądać na Irlandię. Doszli do wniosku, że kilka wybuchów może zwrócić uwagę Londynu.
- Kilka wybuchów?
- Do Margaret Thatcher i do królowej wysłano bombę w liście. Do tego Woolwich Arsenal, Ministerstwo Obrony i siedziba rady miejskiej w Glasgow. Ten ostatni miał miejsce w dniu, kiedy była tam księżna Diana. I te wszystkie frakcje: Seed of the Gael¹¹, SNAW...
- Szkocka Narodowa Armia Wyzwoleńcza – wyjaśnił Tony’emu Fox.
- Szkocka Armia Obywatelska, Komando Mroczne Żniwa... Ci ostatni zorganizowali małą wyprawę na Gruinard.
- Oświeć mnie – mruknął Tony.
- To wyspa na zachodnim wybrzeżu. Skażona węgli-

kiem podczas drugiej wojny światowej.

– Przez hitlerowców?

– Nie, przez nas. Zamierzaliśmy rozpylić węglik nad Niemcami, ale najpierw chcieliśmy go wypróbować.

– Od tamtej pory Gruinard nie nadaje się do zamieszkania – dodał Fox. – Wymazali ją z mapy, żeby ludzie przestali jej szukać.

– Ale komandosi z Mrocznego Żniwa pojechali tam, zebrali trochę ziemi i zaczęli wysyłać ją do różnych agencji rządowych.

– Vernal był w to zamieszany? – spytał Kaye.

– Kilka lat po jego śmierci jakiś dziennikarz napisał artykuł. Twierdził, że Vernal był ich mocodawcą.

– Miał na to dowód?

– W tamtych czasach było trudniej o informacje niż teraz. *Łowca szpiegów*¹². Pamiętasz tę książkę? Dzisiaj znalazłbyś ją w necie i żaden rząd nie zabroniłby nikomu jej czytać.

Naysmith popatrzył na Foxa, a ten kiwnął głową na znak, że Joe dobrze się sprawił. Naysmith uśmiechnął się i przeczesał ręką włosy.

– Naprawdę mnie to wzięło – dodał jakby zawstydzony swoim entuzjazmem. – Znalazłem nawet kilka fragmentów z *Edge of Darkness*...¹³

– Pamiętam – wtrącił Kaye. – Z tym wielkim agentem CIA z pełną spluw torbą na kije golfowe.

– To było o przemyśle nuklearnym – wyjaśnił Joe. – Świetnie oddaje paranoję tamtych czasów. – Wzruszył

ramionami. – Przynajmniej tak myślę.

– A ci zniwiarze? – spytał Fox. – Co o nich znalazłeś?

– Dosłownie nic.

– Tak jak ja.

– Po pierwsze, żaden nie stanął przed sądem. Po drugie, to było tak dawno temu, że sprawa odeszła w niepamięć.

Fox pokiwał głową.

– Polarisy i kwaśny deszcz – dumął na głos Kaye. – Starożytność. – Zsunął się z falochronu i stanął z ręką nad koszem na śmieci. – Widzicie? – Wrzucił do kosza zwinęty w kulkę papier. – Właśnie to powinniśmy z tym zrobić. – Otrzepał ręce.

– Naprawdę tak myślisz? – spytał Fox.

– Ja nie myślę, ja wiem. My nie pracujemy w śledczym, Malcolm. W tej sprawie nie ma nic, w co powinniśmy się pakować.

– Nie jestem pewny.

Kaye przewrócił oczami.

– Czy Alan Carter popełnił samobójstwo? – spytał spokojnie Fox.

– Możliwe – odparł po chwili Tony.

– Ale jeśli go zamordowano...

– Jego bratanek będzie głównym podejrzanym.

– Bratanek twierdzi, że to nie on.

– Tak jak nie jest kanalią, która szantażem zmuszała kobiety do tego, żeby mu obciagały.

– Och, kanalią to on jest. Co nie znaczy, że powin-

niśmy spokojnie patrzeć, jak go wrabiają.

– Jak kto go wrabia?

– Właśnie tego chcę się dowiedzieć.

Kaye stanął przed Foxem tak blisko, że ich twarze znalazły się w odległości dziesięciu centymetrów od siebie.

– Pracujemy w Skargach, Malcolm. To nie jest *Mission: Impossible*.

– Wiem.

– Uwielbiałem ten film, kiedy byłem mały – powiedział Naysmith.

Odwrócili się do niego. Tony uśmiechnął się blado i pokręcił głową.

– No dobra – mruknął, wiedząc, że przegrał. – To co robimy?

– Wy dalej prowadzicie dochodzenie i drugi raz przesłuchujecie głównych graczy. To da nam pretekst do tego, żeby tu zostać.

– A ty będziesz węszył?

– Przez parę dni.

– Tylko przez parę?

– Słowo harcerza. – Fox podniósł dwa palce, jak do przysięgi.

Blokadę przesunięto w górę drogi. Składała się z tradycyjnej taśmy policyjnej, pilnowanej przez znudzonego policjanta. Fox i Naysmith okazali dokumenty.

– Pewnie ci ze śledczego już tu są – wymamrotał Fox, kiedy mundurowy podniósł taśmę, żeby mogli przejechać.

Brama na łąkę była otwarta, a ponieważ nie pasły się już na niej owce, wykorzystano ją jako tymczasowy parking. Stały tam dwa nieoznakowane samochody, radiowóz i dwie białe furgonetki.

Obok jednego z nieoznakowanych samochodów rozmawiał przez telefon stary, doświadczony wyjadacz z ogoloną głową. Patrzył na nich, kiedy wysiadali. Fox skinął mu na powitanie i ruszył do drzwi. Przez okno widział ludzi kręcących się w domu. W tym co najmniej dwóch techników, specjalistów od badania miejsca zbrodni w regulaminowych kombinezonach z kapturem, w rękawiczkach i ochraniaczach na buty. Wszystko, byle tylko nie nanieść obcych śladów.

– Trochę na to za późno – mruknął, myśląc, ilu ludzi tam wchodziło, odkąd zabrano zwłoki.

– Hej, wy tam!

Szedł ku nim stary wyjadacz z komórką. Miał sprężysty krok, więc poślizgnął się na placku błota i omal nie upadł. Z jego miny Fox wyczytał, że przytrafia mu się to nie pierwszy raz.

– Uwaga, ślisko – rzucił.

Mężczyzna zignorował to i wycelował w niego telefon.

– A pan kto?

– Nazywam się Fox. – Fox znowu wyjął legitymację. – Inspektor Fox z policji okręgu Lothian i Borders.

– Co was tu sprowadza?

– A może najpierw pan też okaże jakiś dokument? Ostrożności nigdy nie za wiele.

Wyjadacz spojrzał na niego surowo, ale w końcu ustąpił. Nazywał się Brendan Young. Był detektywem sierżantem.

– Z Glenrothes? – domyślił się Fox.

– Z Dunfermline.

– Pan tu dowodzi?

– Nie, inspektor. Jest w środku.

– Już nie. – Mężczyzna, który wyszedł z domu, miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, bary rugbisty, zaczesane do przodu kruczoczarne włosy i małe, przeszywające oczy. – Detektyw inspektor Cash.

– Oni są z Lothian i Borders – poinformował go Young.

– Zabłądziliście, panowie? – spytał Cash.

– Byłem tu parę dni temu – wyjaśnił Fox. – Rozmawiałem z Alanem Carterem o jego bratanku.

– Jesteście ze Skarg?

Cash powiedział to nieco surowszym głosem. Fox nie miał wątpliwości, że stojący za nimi Young też ma su-

rowszą minę. Normalka.

– Tak.

– W takim razie miałem rację: zabłądziliście, kurwa, aż miło. – Cash uśmiechnął się do Younga, Young do Casha. – Prowadzimy śledztwo w sprawie podejrzanych okoliczności śmierci...

– A więc jeszcze nie morderstwa? – przerwał mu Fox.

Ale Cash nie zamierzał dać mu satysfakcji i odpowiedzieć.

– Lepiej wracajcie do domu i zróbcie rewizję osobistą paru swoim, bo może świsnęli z biura paczkę spinaczy i papeterię.

Fox lekko poruszył ustami.

– Dzięki za radę, ale przyjechałem tu w sprawie odcisków palców.

Cash zmrużył oczy.

– Jakich odcisków?

– Moich – odparł Fox. I cierpliwie, jak dziecku, wyjaśnił: – Byłem w korytarzu i salonie. Mogłem czegoś dotknąć. Jeśli technicy zdejną mi odciski, będą mogli je porównać i wykluczyć.

– To my o tym zdecydujemy.

– Naturalnie.

Cash patrzył na niego jeszcze przez chwilę, w końcu przeniósł wzrok na Younga.

– Ściągnij tu kogoś.

Young wszedł do domu.

Fox zauważył, że ościeżnica jest rozłupana. Otworzyli

drzwi łomem. Podeszedł do okna, podniósł doniczkę i pokazał Cashowi klucz.

– Ci z Kirkcaldy wam nie powiedzieli?

– Nie powiedzieli.

– Wie pan, jak to jest: to ich działka. Niech pan się nie spodziewa uprzejmości.

– Mógłbym to powtórzyć.

Fox znowu poruszył ustami i tym razem prawie się uśmiechnął.

– Złoży pan zeznanie w sprawie jego śmierci? – spytał Cash.

– W każdej chwili.

– Często się pan z nim spotykał?

– Tylko ten jeden raz.

– I co pan sądzi? Był w porządku?

Fox kiwnął głową.

– Ale nie chciałbym mieć w nim wroga.

– Tak?

– Myślę, że nie trawił głupców ani rodziny. No i prowadził agencję ochroniarską. – Fox schował ręce do kieszeni. – Potem byłem tu jeszcze raz – ciągnął. – Niedługo po tym, jak znaleziono ciało. Papiery na stole były porozrzucane, wałały się na podłodze.

– Coś zginęło?

– Trudno powiedzieć. – Fox zrobił pauzę. – Wie pan, nad czym on pracował?

– Nie, ale czuję, że mi pan powie.

– Zbierał informacje o Francisie Vernalu. Prawnik,

zginął w podejrzanym okolicznościach. Od postrzału w głowę. Uznano, że to samobójstwo. Niecałe pięćdziesiąt kilometrów stąd.

– Francis Vernal? Przecież to lata osiemdziesiąte.

Fox wzruszył ramionami. Z domu wyszła kobieta w kombinezonie. Zdjęła kaptur i ochraniacze.

– Który to? – spytała.

– Ja – odrzekł Fox.

Podeszli do furgonetki. Kobieta wsiadła, przeszła na tył i znalazła to, co trzeba. Ale przenośny skaner odmówił posłuszeństwa.

– Bateria wysiadła – domyślił się Fox.

Pozostawał tylko tusz i papier. Podpisali wyniki i dała mu nawilżony czyścik, żeby wytarł palce. Potem pobrała z ust próbkę DNA i wyrwała mu kilka włosów z głowy.

– Niewiele już ich zostało – jęknął.

– Muszą być z mieszkaniem. – Kobieta schowała wszystko do torebek i zamknęła drzwi. – Przepraszam za kłopot – rzuciła i poszła z powrotem do domu.

– Kiedy ostatni raz zdejmowano ci odciski palców? – spytał Naysmith.

– Dawno temu.

Przez okno w salonie obserwował ich Cash. Pomachał ręką, jakby pozwalał im odjechać. Ale Joe podszedł do land rovera.

– Cacko – powiedział, zaglądając przez okno od strony kierowcy.

– Tylko nie zostaw odcisków palców – ostrzegł go

Fox.

Naysmith zrobił krok do tyłu i rozejrzał się.

– Pytanie za dziesięć punktów: dlaczego stoi tutaj, skoro jest garaż?

Fox poszedł za jego wzrokiem. Stroma ścieżka za domem prowadziła do rozpadającej się szopy.

– Może bał się, że się zawali? – odparł Fox. Mimo to ruszył pod górę, a Joe dwa kroki za nim.

Garaż był zamknięty na kłódkę. Starą kłódkę. Drzwi zrobiono z pionowych desek, teraz już wypaczonych i podniszczonych przez pogodę.

– Tu jest okno – zauważył Naysmith. I zanim Fox zdążył do niego podejść, przetarł szybę chustką do nosa, co jednak nie polepszyło widoczności.

– To chyba brezent...

Obeszli garaż, a nawet kilka razy kopnęli w ścianę, ale ta nie ustąpiła.

– Zaczekaj.

Fox zszedł na dół. W korytarzu nikogo nie było, więc szybko minął salon i zajrzał do małej kuchni. Klucze wisiały rzędem na haczykach po lewej stronie zlewu. Przebiegł po nich wzrokiem, szukając najbardziej prawdopodobnego kandydata. Kiedy odwrócił się do drzwi, z salonu wyszedł Cash.

– Co pan tu robi?

– Szukam pana. – Fox schował klucze do kieszeni, jednocześnie wyjmując z niej wizytówkę. – Żeby mógł pan mnie złapać i umówić się na rozmowę.

Cash spojrział na wizytówkę, potem na niego.

– Wiem, że jesteście podekscytowani – powiedział – bo nie codziennie pozwalają wam popatrzeć na prawdziwych detektywów przy pracy, ale teraz musicie już spadać.

– Rozumiem. – Obecność prawdziwego detektywa z wydziału zabójstw wymagała pokory, więc Fox powiedział to z pokorną miną i pokornym głosem.

Cash odprowadził go do drzwi.

– A gdzie ten stażysta?

– Musiał za potrzebą. – Fox ruchem głowy wskazał drzewa. Podszedł do samochodu, otworzył drzwi i wsiadł. Cash znowu obserwował go przez okno. Ale po chwili odwrócił się, a wtedy Fox wysiadł i wrócił do garażu.

Drugi klucz pasował i weszli. Naysmith miał rację. Pod brezentem stało coś, co wyglądało na samochód. Wszystko pokrywała warstwa kurzu. Na stole roboczym leżały zardzewiałe narzędzia. Wykonane domowym sposobem półki uginały się pod ciężarem starych puszek farby. Była tam również kosiarka, którą Carter kosił pewnie porośniętą trawą spłachetki ziemi przed i za domem. Tylko kosiarka i zwinięty kabel były tu nowe.

Joe podniósł róg brezentu.

– Do jazdy raczej się nie nadaje. To wrak.

Fox przeszedł na drugi koniec samochodu i podniósł brezent z tamtej strony. Było to rdzawoczerwone volvo 244. Zdawało się, że jest całe, dopóki nie odchylił bardziej pokrowca. W tylnym oknie nie było szyby.

– Pomóż mi – poprosił.

Zdjęli brezent. Przód samochodu był roztrzaskany, silnik na wierzchu. Brakowało kratownicy i maski.

– Powiedz, że to nie ten. – Naysmith tak bardzo zniżył głos, że mówił szeptem.

Ale Fox nie miał żadnych wątpliwości. Mieli przed sobą samochód Francisa Vernala, ten sam, który odholowano na złomowisko. Spróbował otworzyć drzwi od strony pasażera, ale zaklinowała je siła uderzenia. Wnętrze wyglądało tak, jakby przez ćwierć wieku nikt tam nie zaglądał. Na tylnym siedzeniu leżały kawałki szkła, nic więcej. Mimo wysiłków Naysmitha drzwi od strony kierowcy też ani drgnęły.

– Skąd on się tu wziął?

– Nie mam pojęcia – odparł Fox. Lecz nagle coś mu się przypomniało. – Właścicielem tego domu był Gavin Willis, policjant. Prowadził tamto śledztwo.

– Więc mógł zatrzymać samochód dla siebie. Tylko po co?

– Nie wiem. Dasz radę wejść przez okno? – Chodziło mu o tylne, to bez szyby.

Joe zdjął kosztowną kurtkę, podał ją Foxowi, wdrapał się na bagażnik i przecisnął do środka.

– I co teraz? – spytał z tylnego siedzenia.

– Widzisz coś, co mogłoby nas zainteresować?

Naysmith pomacał pod przednimi fotelami, potem wyciągnął się między nimi i otworzył schowek na mapy. Znalazł książkę wozu, podał ją Foxowi, a ten wepchnął ją do kieszeni.

– Pół kompletu zapasowych żarówek i kilka papierków od cukierków – zameldował Joe. – To wszystko.

Od strony domu dochodziły czyjeś głosy. Tamci zastanawiali się pewnie, dlaczego ich samochód wciąż stoi, a ich nie ma.

– Dobra, wyłaź.

Fox pomógł Naysmithowi precyzyjnie się przez okno. Stali już obok siebie i Joe wkładał kurtkę, kiedy zatrzeszczały otwierane drzwi. Przyszli Cash i Young.

– Co wy tu robicie?

– To samochód Francisa Vernala – oznajmił Fox.

Cash spojrzał na volvo, potem na niego.

– Skąd pan wie?

– Poznaję po marce, modelu i kolorze.

– I po uszkodzeniach – dodał Joe, wskazując silnik.

– Wynoście się stąd – warknął Cash i wskazał im drzwi.

– Właśnie wychodziliśmy – zapewnił go Fox.

Odprawiali ich aż do samochodu, potem patrzyli, jak zawracają i toczą się powoli w kierunku szosy, a Cash przeszedł za nimi kawałek piechotą, tak na wszelki wypadek. Fox i Naysmith zaczęli, aż mundurowy podniesie taśmę, i pomachali mu na do widzenia.

– Co teraz? – spytał Joe.

– Teraz będziesz musiał wykazać się swoimi umiejętnościami detektywistycznymi – odparł Fox. – Biblioteka w Kirkcaldy: znajdź książkę telefoniczną z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego i wypisz z niej adresy

wszystkich złomowisk w okolicy. Jeśli ustalimy, do którego odholowano ten wóz, jest szansa, że dowiemy się, dlaczego stamtąd wyparował.

Naysmith kiwnął głową.

– Oczywiście to może nic nie znaczyć.

– Jak najbardziej – zgodził się z nim Fox. – Ale przynajmniej spróbujemy, nie?

Wyrzuciwszy Naysmitha przed biblioteką, pojechał na posterunek. Przednią szybę zaczął siec deszcz. Włączył wycieraczki. Krople były wielkie i odbijały się z trzaskiem od szkła, jak iskry. Cofnął się myślą do dnia, kiedy odwiedził Alana Cartera, kiedy siedzieli przy kominku z kubkiem herbaty i starym psem do towarzystwa. Czy mogła istnieć atmosfera bardziej przytulna i domowa? Jednak Carter stworzył od zera firmę ochroniarską, a to mówiło, że był człowiekiem twardym, może nawet bezwzględnym. Poza tym było jeszcze zeznanie Teddy'ego Frasera, jego starego przyjaciela: Carter zawsze zamykał drzwi na klucz – dlaczego? Czego mógł się obawiać ten jowialny starszy pan? Może niczego. Może był po prostu kutym na cztery nogi biznesmenem, który miał się na baczości do tego stopnia, że... miał pod ręką rewolwer.

A skoro już mowa o rewolwerze, Teddy Fraser twierdził, że Carter go nie miał.

Na parkingu nie było ani Jamiesona, ani jego koleżanki. Mondeo Tony'ego stało na swoim miejscu. Miejsce Pitkethly było wolne, ale zabroniono mu tam parkować. Wyglądało na to, że będzie musiał zostawić volvo na ulicy i zaryzykować mandat. Francis Vernal też jeździł volvem. Jeśli wierzyć reklamom, był to pewny i bezpieczny wybór – Kaye często się z tego nabijał. Szosa, na której doszło do wypadku, miała ledwie kilka zakrętów, w większości ła-

godnych. Przypomniały mi się pędzące na złamanie karku samochody, które minęły go, gdy stał przed kopcem. Czy w tamtych czasach też byli tacy wariaci? Wieś, wieczór – znudzona młodzież nie miała nic innego do roboty? Czy to możliwe, że przestraszony Vernal zjechał z drogi?

Fox zaparkował, sprawdził, czy w pobliżu nie kręci się strażnik miejski, wysiadł i zamknął drzwi. Wyczuł coś w kieszeni: książka wozu Vernala. Pożółkłe ze starości brzegi, pofałdowane od wilgoci kartki. Niektóre posklejane. Na końcu rubryki do wypełniania po każdym przeglądzie. Wyglądało na to, że Vernal miał ten samochód od nowości. Jeździł nim trzy lata. Na ostatnim przeglądzie odnotowano, że wóz ma na liczniku trzynaście tysięcy sześćset kilometrów. W rubryce widniał stempel salonu samochodowego przy Seafield Road w Edynburgu, który już dawno przeniesiono gdzie indziej. Do wewnętrznej strony okładki przyklejono koszulkę z przezroczystego plastiku, w której tkwiło kilka luźnych kartek z wyszczególnionymi naprawami i listą wymienionych części. Fox otworzył drzwi, rzucił książkę na fotel pasażera i poszedł na posterunek. Gdy był w połowie parkingu, zadzwonił telefon. Bob McEwan.

– Panie inspektorze?

– Malcolm... – McEwan powiedział to takim głosem, że Fox zwolnił kroku.

– Co znowu zrobiłem?

– Dzwonili do mnie z Fife. Zastępca komendanta.

– Chce nas odwołać?

– Chce odwołać ciebie. – Fox przystanął. – Kaye i Naysmith mogą dalej robić swoje i przygotować raport.

– Bob...

– Dzwonił do niego ktoś ze śledczego. Był na ciebie wściekły.

– Bo powiedziałem im, co mają robić?

– Bo bez pytania wlałeś z buciorami na potencjalne miejsce zbrodni. Bo zamiast wyjść, jak ci kazano, we-
tknąłeś nos gdzie indziej.

– Chciałem tylko pomóc.

McEwan zamilkł.

– Zeznałbyś to pod przysięgą w sądzie?

Fox nie odpowiedział.

– Joe by to potwierdził?

– Zgoda – ustąpił Fox. – Słuszna uwaga.

– Musimy trzymać się przepisów. Wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

– Tak jest.

– Dlatego wracasz do domu.

– To rozkaz czy prośba?

– Rozkaz.

– Mogę najpierw pocałować dzieci na pożegnanie?

– Oni nie są dziećmi, Malcolm. Poradzą sobie bez ciebie.

Fox patrzył na drzwi posterunku.

– Wszystko im wyjaśnię – ciągnął McEwan. – Będziesz za godzinę, tak?

Fox spojrzał w niebo. Deszcz minął, ale zanosiło się

na kolejny.

– Tak – odparł. – Będę.

* * *

W biurze czekała na niego wiadomość od McEwana.

Cholera, kolejna narada. Nie rozrabiaj.

Na podłodze obok jego biurka stały dwie torby z supermarketu. Były ciężkie. Wyjął z pierwszej kartonowe pudło. Otworzył je i spojrzało na niego zdjęcie Francisa Vernala w oratorskiej pozie. Pod zdjęciem leżało kilka plików pozszywanych ze sobą kartek, na których roiło się od zapisanych naklejek. Wyglądało na to, że w drugiej torbie jest tego jeszcze więcej. Listu nie było. Zadzwoił na dół i spytał dyżurnego.

– Jakiś mężczyzna to przyniósł.

– Jak wyglądał?

Dyżurny musiał się zastanowić.

– Normalnie.

– I powiedział, że to dla mnie?

– Tak powiedział.

Fox nacisnął widełki i zadzwonił do Mangold Bain. Sekretarka połączyła go z Charlesem Mangoldem.

– Właśnie wychodzę – ostrzegł go prawnik.

– Dostałem pański prezent.

– To dobrze. Jest tam wszystko, co Carter przekazał mi przed śmiercią.

– Nie wiem, czego się pan po mnie spodziewa.

– Może tego, że pan to przejrzy? A potem podzieli się ze mną wrażeniami. Na nic więcej nie liczę. Ale teraz naprawdę muszę już iść.

Fox odłożył słuchawkę i spojrzał na kartonowe pudła. Nie, nie tutaj: McEwan zasypałby go pytaniami. Podeszedł do jego biurka i teraz z kolei on zostawił wiadomość jemu.

Wcześniej wyszedłem. W razie czego jestem w domu. Jeśli Pan nie wierzy, proszę zadzwonić.

Potem pojechał do Oxfords i postawił pudła na stole w salonie. Gdy wrócił z kuchni ze szklanką aperitifera, uświadomił sobie, jak bardzo podobny będzie to widok: zawałony stosem papierów stół Alana Cartera, a teraz jego.

Zacisnął usta i zabrał się do pracy.

Wyglądało na to, że Carter odwalił kawał roboty. Zdobył egzemplarze „Scotsmana”

z całego kwietnia i maja 1985 roku i okazało się, że rzeczywiście śmierć Vernala przeszła prawie niezauważenie. Fox pograżył się w lekturze, zapominając o bożym świecie. Znalazł reklamę komputera ICL za prawie cztery tysiące funtów, i to w czasach, kiedy nowy Renault 5 – z gratisowym radioodtwarzaczem kasetowym – można było kupić za sześć tysięcy. W rubryce „Dam pracę” pewna agencja szukała ochroniarzy za siedemdziesiąt pięć funtów tygodniowo. Za trzydzieści pięć tysięcy funtów wystawiono na sprzedaż mieszkanie w Viewforth.

I lawina wiadomości: bomby w Irlandii Północnej, demonstracja CND w Loch Long, „Waszyngton odrzuca sowiecką propozycję zamrożenia zbrojeń nuklearnych”.

Protesty w Cambridgeshire, gdzie miała powstać baza pocisków Cruise. Firmom radzono, żeby strzegły „wrażliwych informacji na nośnikach elektronicznych” przed skutkami wybuchu nuklearnego. Podczas wizyty w Scotland Yardzie księżnej Walii pokazano piec i wannę, z których korzystał seryjny morderca Dennis Nilsen...

Szefem Aberdeen FC14 był Alex Ferguson i przez cały kwiecień klub zajmował pierwsze miejsce w tabeli. O pięć pensów podrożała benzyna i kosztowała teraz ponad dwa funty za galon, a księżna Michael z Kentu oznajmiła, że jest „wstrząśnięta” odkryciem, iż jej ojciec należał do SS. Fox sięgnął po kubek, nie pamiętając, kiedy wstał i zrobił herbatę. Protesty zwolenników praw zwierząt, protesty przeciwko kwaśnym deszczom, nauczyciele, którym dyrektorzy zabraniali nosić odznakę CND w klasie. Przewodniczącym Partii Pracy był Neil Kinnock, a premier Margaret Thatcher wybrała się w podróż po krajach Bliskiego Wschodu. Według sondaży poparcie Szkotów dla SPN uporczywie tkwiło na poziomie piętnastu procent. Przymierzano się do zamknięcia zalanej kopalni i pojawiły się obawy, że Trustee Savings Bank może przenieść się za południową granicę.

Joe Naysmith wspomniał o Hildzie Murrell i chociaż zmarła rok wcześniej, ona też trafiła do gazet. Poseł Tam Dalyell twierdził, że zamordowali ją agenci brytyjskiego wywiadu i miano przesłuchać w tej sprawie Leona Brittanę, ministra spraw wewnętrznych.

Fox był zdumiony, jak mało z tego pamięta. W 1985

roku kończył ogólniak w Boroughmuir przekonany, że czeka na niego miejsce na uniwersytecie lub w college'u. Jude interesowała się polityką bardziej niż on, raz agitowała nawet na rzecz laburzystów. Tymczasem on zrobił ze swego pokoju azyl, gdzie mógł skupić się całkowicie na komputerze marki Sinclair Spectrum, tracąc cierpliwość, gdy kolejna gra nie chciała się załadować, ponieważ za nic nie mógł znaleźć optymalnego ustawienia pokrętła głośności. W niedzielę mecze Heartsów z ojcem, ale tylko wtedy, gdy pokazał mu odrobioną pracę domową. W szkole radził sobie dobrze, ale nigdy nie oglądał dziennika ani nie czytał gazet – tylko *2000 AD*15 i wiadomości sportowe.

Francis Vernal zginął w sobotę wieczorem 28 kwietnia. Tego dnia większość Brytyjczyków – w tym Fox – siedziała przed telewizorem, oglądając pojedynek Dennisa Taylora i Steve'a Davisa w finale mistrzostw świata w snookerze. Taylor, który w pewnej chwili przegrywał ośmioma frejmami, przeprowadził najlepszy kontratak w swojej karierze. Gdy w ostatnim frejmie wpakował do kieszeni ostatnią czarną bilę, wygrywając spotkanie 18 do 17, po raz pierwszy od początku mistrzostw zdobył przewagę. Przez kilka dni jego twarz nie schodziła z pierwszych stron gazet. O śmierci Vernala nie wspomniano ani słowem, dopóki nie pojawił się nekrolog, w dodatku z błędem, bo w którejś linijce przekrecono jego nazwisko, pisząc o „Vernelu”.

– Dzisiaj nie do pomyślenia – wymamrotał do siebie

Fox.

Tak jak powiedział Naysmith, w tamtych czasach nie było internetu. Plotki można było wyciszyć. Można było wyciszyć nawet wiadomości. W szkockich mediach za mało było wtedy Woodwardów i Bernsteinów¹⁶. Doskonale wyobrażał sobie, że wydawca gazety mógł odmówić opublikowania szczegółów samobójstwa: trzeba było pomyśleć o rodzinie, no i może się tego kogoś lubiło i szanowało. Czy warto plamić jego nazwisko, opowiadając obcym, jak umarł?

„Patriota”.

Fox otworzył drugie pudło i lekko uniósł brwi. Kopie oryginalnych raportów policyjnych, wyniki sekcji zwłok i zdjęcia. Ktoś musiał wygrzebać to z archiwów, po czym Carter wszystko skserował i wysłał swemu chlebodawcy. Zapłacił, czy wciąż miał przyjaciół w policji? Gdzie policja okręgu Fife przechowywała stare akta? W Edynburgu składowano je w magazynie fabrycznym. Spojrzał na zegarek. Przejrzenie całego materiału zajmie mu kilka godzin. Wiedział, że powinien zrobić sobie przerwę. SMS przyszedł w samą porę. Tony i Joe siedzieli u Mintera.

PIPA, pamiętaj.

Uśmiechnął się do siebie: Przyjazna Integracja Piątkowych Alkoholików.

Nie wahał się ani chwili.

– Grozi ci poważne niebezpieczeństwo – powiedział Kaye, gdy Fox podszedł do stolika. – Możesz zostać bohaterem Kirkcaldy.

– Tak? – Fox usiadł. – Jakim cudem?

– Ci z wydziału zabójstw rozpychają się tam jak ostatnie chamy, nikt ich nie lubi, a jak dotąd tylko ty utarłeś im nosa.

– To już śledztwo w sprawie morderstwa?

Kaye pociągnął łyk piwa.

– Śmierci w podejrzanym okolicznościach.

Wrócił Naysmith z sokiem pomidorowym dla Foxa.

– Dzięki, Joe. Jak poszło w bibliotece?

– Osiem złomowisk, sześć wciąż działa.

– Dodzwoniłeś się do wszystkich sześciu?

– Tak.

– I poszcęściło ci się?

– Niezupełnie. Jeden z facetów, z którymi rozmawiałem, twierdzi, że to był rejon niejakiego Barrona.

– Rozumiem, że jego złomowiska już nie ma, tak?

Joe kiwnął głową.

– Jest tam teraz osiedle mieszkaniowe.

– A pan Barron?

– Tu mam dobre wieści: kiedy sprzedał firmę, w rozliczeniu dostał dom.

– Na tym osiedlu?

– W sumie to nie osiedle, tylko sześć „budynków dla zarządu”.

– Ale mieszka tam?

– Nie wiem, jeszcze z nim nie rozmawiałem, ale porozmawiam.

– Dobra robota. – Fox zauważył, że Kaye przygląda mu się prawie ze współczuciem.

– To szukanie wiatru w polu – rzucił zgodnie z przewidywaniami.

– A ty, Tony? Masz coś do zameldowania?

Kaye zastanowił się, pociągając kolejny łyk piwa. Mlasnął i odparł:

– Niewiele. – Fox cierpliwie czekał, więc Tony dodał:

– W biurze wydziału śledczego jest teraz centrum koordynacyjne, co znaczy, że sprawę Scholesa i Michaelsona odłożono na półkę.

– Haldane ciągle na chorobowym?

– Tak. Laird i jego ludzie zajęli pokój przesłuchań, więc ja i Joe jesteśmy bez dachu nad głową.

– Rozmawiałeś o tym z Pitkethly?

– Tak, lecz nie okazała nam współczucia... – Kaye zrobił pauzę. – Ale jest coś ważnego...

– No? – spytał Fox.

– Podśłuch. Zostałeś wyautowany, więc może spikniesz mnie ze swoją Coco Chanel? Musimy wiedzieć, co jest na tych taśmach.

– Zadzwońię do niej – obiecał Fox.

– A ty, Foxy? Masz dużo pracy?

– Jakoś sobie radzę.

– Wiem. – Kaye dopił piwo i wstał, żeby pójść po następne.

Fox pokręcił głową, Naysmith powiedział, że chce małe. Kiedy Tony poszedł do baru, Joe nachylił się i spytał:

– Potrzebujesz mnie do czegoś?

– Nie, rób swoje.

– Myślałem o tym rewolwerze...

– O którym?

– O tym, z którego zastrzelono Vernala.

– No i?

– Skąd się tam wziął?

– Też się nad tym zastanawiałem.

– Byłoby niesamowite, gdyby...

– Okazało się, że to ta sama broń? – dokończył za niego Fox. Zmarszczył brwi. – Fakt – przyznał – byłoby ciekawie.

– Da się to jakoś ustalić?

– Może.

– Chcesz, żebym...

– Nie, wystarczy, że robisz swoje.

– No i ten samochód... – Naysmith nie mógł przestać mówić; Fox rzadko kiedy widywał go tak podekscytowanego. Może młody Joe bardziej nadawałby się do pracy w śledczym? – Nie poddano go oględzinom, tak? A od tamtych czasów technologia zrobiła duże postępy. Gdyby udało się nam ściągnąć go do laboratorium, kto wie, co moglibyśmy znaleźć...

– Na pewno byłyby tam twoje odciski palców – zauważył Fox. – I musiałbyś odpowiedzieć na kilka niewygodnych pytań.

Joe o czymś sobie przypomniał.

– A te papiery ze schowka?

Fox wzruszył ramionami.

– Książka wozu i rejestr napraw.

Naysmith zrobił rozczarowaną minę, ale zaraz się ożywił.

– Ale mam rację co do tych oględzin?

Fox powoli kiwnął głową.

– Najpierw zobaczmy, czy w ogóle jest się na co napalać, okay?

– W internecie piszą, że jeśli ktoś go zabił, to jego żona. Trochę młodsza od niego. Z bogatej rodziny... Ona jeszcze żyje?

– Jak na razie.

– Warto z nią pogadać?

– Może. – Fox nie był pewny, czy Mangoldowi by się to spodobało, ale...

Wrócił Kaye z piwem. Naysmith usiadł prosto.

– No proszę – rzucił Tony. – Jak spiskujące dzieciaki nakryte przez tatusia. – Postawił szklanki na stole. – To jak? Dziś piątek, idziemy w tango?

– Ja wracam do domu – odparł Fox.

– Ja też – zawtórował mu Naysmith.

Kaye westchnął, bardziej ze smutkiem niż z gniewem, pokręcił głową i podniósł szklankę do ust.

– Pieprzone dzieciaki – mruknął. – No to idźcie, tylko pamiętajcie o pracy domowej.

– Będziemy pamiętali – powiedział z uśmiechem Joe.

– Jeszcze jedno. – Kaye pogroził im palcem. – Nie czekajcie na tatusia.

* * *

Fox wysłał SMS-a do Evelyn Mills i znowu usiadł przy stole. Na parapecie leżało kilka listów. Nie otworzył ich, bo były to wyciągi bankowe i rachunek z karty kredytowej i nie chciał się denerwować. W ciągu ostatniego roku opłata za dom opieki podskoczyła aż dwukrotnie. Ale nie miał do nich żalu... No, może trochę. Wiele razy zastanawiał się, czy nie poprosić Jude, żeby zajęła się ojcem. Ostatecznie nie miała pracy. Mógłby jej płacić, zarobiłaby trochę grosza i żyłoby się jej lepiej niż teraz. Nie wiedział, dlaczego ciągle tchórzy. Ale dawał jej do zrozumienia, zresztą mogłaby wyjść z tym sama. A tak tylko zrzędziła i narzekała, powtarzając, że gdyby miała pieniądze, chętnie by się dokładała.

Zawsze możesz wziąć go do siebie...

– Ty też, Malcolm – powiedział na głos. Mógłby wynająć kogoś do sprzątnia i gotowania. Rzecz była do zrobienia. Ledwo. Albo wcale. Nie, nie mógł sobie tego wyobrazić. Miał swoje przyzwyczajenia, wolałby, żeby dalej było tak, jak jest. Nic by z tego nie wyszło...

Zadzwoiła komórka i przyjął to prawie z ulgą. Ode-

brał: Evelyn Mills.

– Dlaczego wysyłasz mi SMS–a, zamiast zadzwonić?
– spytała od razu. – Sknerzysz czy co?

– Myślałem tylko, że... Czy nie byłoby podejrzane, gdybym zadzwonił do ciebie wieczorem?

– Dzwonią do mnie cały czas – prychnęła. – Freddie już przywykł. – Freddie: pewnie mąż. – Za to tajemniczy SMS...

– Fakt, powinienem był pomyśleć.

– Nieważne. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Zastanawiałem się tylko, co z tym podsłuchem.

– Nie mam nic do zameldowania. Zresztą komu?

– Już wiesz?

– Cash potrafi taki być.

– Znasz go?

– Ze słyszenia.

– Powiedz, że wzięłaś go na muszkę.

Evelyn roześmiała się lekko.

– Nigdy nie złamał przepisów, w każdym razie jak dotąd.

– Szkoda. – Fox potarł czoło. – A odpowiadając na twoje pytanie, myślę, że Tony Kaye będzie teraz naszym łącznikiem. Dam ci jego numer. – Podał numer i spytał, czy może dać Tony’emu jej.

– Oczywiście.

– Jak idzie śledztwo w sprawie Alana Cartera?

– Powoli. Kirkcaldy nie powitało nas z otwartymi ramionami.

- Evelyn, muszę prosić cię o coś jeszcze.
 - Chcesz, żebym się za tobą wstawiła? Żeby przyjęli cię z powrotem?
 - Nie, nie. Interesuje mnie ten rewolwer.
 - Tak?
 - Chciałbym z kimś o tym porozmawiać.
 - I chcesz, żebym ci to załatwiła? Taka malutka prośba, co?
 - Przepraszam. Wystarczy nazwisko i numer kontaktowy, to wszystko.
 - A co dostanę w zamian? – spytała niemal kokieteryjnie.
- Fox spojrział na leżące przed nim papiery.
- Nie rozumiem...
 - Nie bój się. – Znowu się roześmiała. – Tylko żartuję.
 - Nie o to chodzi, Evelyn...
 - To o co?
 - Nieważne.
 - Naprawdę tak źle się wtedy bawiłeś?
 - W Tulliallan? Było wspaniale.
 - Hm, szkoda, że tak mało pamiętam. – Umilkła, czekając, aż Fox coś powie. Ponieważ milczał, obiecała do niego napisać, jeśli uda jej się złapać jakiegoś specja od broni.
 - Dzięki.
 - Powiesz mi, dlaczego cię to tak zainteresowało?
 - Sam nie wiem. – Zrobił pauzę. – To pewnie nic takiego.

– Daj odpocząć mózgowi, Malcolm. Nawet stąd słyszę, jak pracuje. Zrób sobie wolny weekend. Idź w tango.

– Pewnie masz rację. – Udało mu się uśmiechnąć. – Dobranoc, Evelyn.

– Słodkich snów, Malcolm. Ciągle chrapiesz?

Rozdziawił usta, nie wiedząc, co odpowiedzieć, ale Evelyn już się rozłączyła.

– To nie ten sam rewolwer, ma pan moje słowo.

Nazywała się Fiona McFadzean i według SMS-a od Evelyn była „najlepszym w Fife specem od balistyki”. Pracowała w Komendzie Głównej w Glenrothes. Trochę trwało, zanim tam dojechał: za dużo rond i za mało znaków informacyjnych. No i nie pracowała w gmachu głównym. Skierowano go do kłocowatego ceglanego budynku za dystrybutorami. Jakiś mundurowy właśnie tankował radiowóz.

– Tak, to jest jej kryjówka – potwierdził.

Osobiście otworzyła drzwi. Nie nosiła białego fartucha i wyglądało na to, że dobrze jej w tym pozbawionym okien baraku. Pod ścianą leżały materiały budowlane, do wyboru, do koloru, od cegieł po drewno, a wszystko podziurawione kulami. W przeszklonej od przodu kabinie była pomalowana na biało ściana, upstrzona różowymi plamami. Fiona wyjaśniła, że badają tam rozbryzgi krwi.

– Ale do czego właściwie strzelacie? – spytał Fox.

– Do wszystkiego, od arbuzów po świńskie łby. Mój wujek jest rzeźnikiem, co się przydaje.

Młoda i pełna życia oprowadziła go szybko po swoich włościach. Przy komputerze siedział jej pomocnik. Powiedziała, że to Paul, i nie odrywając wzroku od ekranu monitora, Paul pomachał mu ręką.

– Macie tu dużo przestępstw z użyciem broni palnej? –

spytał Fox.

– Nie. Nasza komórka to swego rodzaju eksperyment. Ciągłe próbują podstawić nam nogę, obcinają budżet i tak dalej.

Nie miała biurka jako takiego. Wystarczył jej stołek przy wąskim stole roboczym wzdłuż całej ściany. Stał tam dzbanek i kiedy nalewała im kawy, Fox próbował usiąść wygodnie na drugim stołku tylko po to, by w końcu zrezygnować.

– Jeszcze raz dziękuję, że zechciała się pani ze mną zobaczyć – powiedział.

Kiwnęła głową, objęła kubek dłońmi i podniosła go do ust.

– A więc skąd pewność, że to nie ta sama broń? – Kawa była za gorzka, ale wypił parę łyčzków, żeby jej nie urazić.

– Numer seryjny, to po pierwsze – odparła. – Paul miał w zeszłym roku trochę czasu i skomputeryzował archiwum. – Pokazała mu wydruk. – To rewolwer, z którego strzelał Francis Vernal. Lufa jest cztero-, a nie sześciocalkowa. Ten sam kaliber, ale sześć komór, zamiast pięciu. – Podała mu drugi wydruk. – Rewolwer, z którego zastrzelono Alana Cartera...

Fox przyjrzał się szczegółom.

– Zupełnie inny – przyznał. – Piszą tu, że ten Vernala został zezłomowany.

Fiona kiwnęła głową.

– Robimy tak z całą skonfiskowaną bronią. – Podała

mu kolejny wydruk. Był to spis przeznaczony do przetopienia broni z hrabstw Fife i Tayside. Nie było jej dużo. Rewolwer znaleziony na stole Cartera powinien zostać zniszczony w październiku 1984. Rok później ten sam los spotkał broń znaną przy samochodzie Vernala.

– Zna pani ich historię? – spytał Fox.

– Niestety – odparła przeprasza jąco, dmuchając na kawę.

– Musi być w jakichś aktach! – zawołał Paul. – Pewnie w Krajowym Laboratorium Balistycznym w Glasgow. Głęboko w archiwach.

– A więc nie wiadomo, skąd się te rewolwery wzięły, tak?

Fiona pokręciła głową.

– Ten z domu Alana Cartera... Jak pani myśli, jak tam trafił?

– Przed wycieczką do huty uciekł z sejfu i poszedł na spacer.

– Przedtem też mieliście takie przypadki?

– Przepisy są bardzo surowe, mnóstwo przeróżnych kontroli.

– A więc nie zdarza się to często, prawda? – Fox jeszcze raz obejrzał wydruki. – Ktoś schował go do kieszeni i wyniósł.

– Możliwe. Ale mógł go również upuścić albo zapodziać... – Zobaczyła jego minę. – Zgoda – przyznała – to mało prawdopodobne.

– Wiadomo, kto zajmował się niszczeniem broni, kto

został do tego odkomenderowany?

– Na końcu – odrzekła, każąc mu zajrzeć na ostatnią stronę.

– Aaa... – mruknął, widząc znajome nazwisko.

Detektyw inspektor Gavin Willis.

– Co się stało? – nie zrozumiała.

Fox postukał palcem w papier.

– Detektyw inspektor Willis. Przełożony Alana Cartera. Kiedy umarł, Carter kupił jego dom.

– To by wszystko wyjaśniało. – Paul obrócił się w fotelu przodem do nich. – Rewolwer był w domu. Carter znalazł go i zatrzymał...

– Tym sposobem bardziej prawdopodobne staje się samobójstwo – dodała McFadzean.

– Albo to, że ponieważ rewolwer był w domu, użył go ktoś inny – teoretyzował Fox. – To pani zauważyła te od-ciski, prawda?

– Tak. Zawsze zaczynamy od sprawdzenia, czy na broni nie pozostały jakieś ślady. Potem dopasowujemy ją do pocisku, dla pewności. Jeszcze potem sprawdzamy jej pochodzenie.

– Od dawna z niego nie strzelano – dodał Paul. – I go nie konserwowano.

– Rdza – wyjaśniła McFadzean. – Był nienaoliwiony.

– W bębunku zostały nieużyte naboje – ciągnął Paul.

– Stare, sprzed dwudziestu kilku lat.

– Ze znalezionych na nim włókien wynika, że przechowywano go w szmatce, kawałku zwykłego bawełnia-

nego materiału.

– Więc trzeba przeszukać dom i sprawdzić, czy jej tam nie ma – powiedział Fox.

– Już go przeszukano, na naszą prośbę...

– Jak dotąd nic – wtrącił Paul.

– Nic – potwierdziła McFadzean.

Fox nadał policzki i wydmuchał powietrze.

– Co o tym sądzicie?

– Nie wiem – przyznała McFadzean. – Paul uważa, że ktoś ten rewolwer tam przyniósł, zastrzelił Cartera, a potem, w spapranej próbie upozorowania samobójstwa, wcisnął mu go do ręki... – Zawiesiła głos.

– Ale? – dopytywał się Fox.

– Ale właśnie zasugerował pan, że rewolwer mógł tam być cały czas.

– Carter miał powody, żeby się bać – powiedział Fox.

– Mógł go mieć zawsze pod ręką.

– To nie pasuje. – Paul wstał i dolał sobie kawy. – Ofiarę znaleziono przy stole. Z rozbryzgów krwi wiemy, że siedziała tam w chwili, kiedy padł strzał. Jeśli ktoś zabiera nam broń i w nas celuje...

– Jest mało prawdopodobne, że wciąż będziemy siedzieć tyłem do niego – dokończył za niego Fox. Myślał przez chwilę. – A jeśli ktoś w nas celuje i każe nam usiąść? Jeśli chce od nas czegoś, co leży na stole? Co wtedy?

Paul zmrużył oczy i powoli kiwnął głową.

– Dajemy mu to, a on do nas strzela?

– Albo odmawiamy, a on strzela i tak – dodała

McFadzean.

Umilkli.

– No więc – spytał w końcu Fox – czy rewolwer był tam cały czas, czy ktoś go przyniósł?

– Wiem, że śledczy wzięli na muszkę jego bratanka – myślała na głos Fiona. – Musiał znać ten dom i mógł wiedzieć, gdzie ofiara trzymała broń.

– Rzecz w tym – zauważył Fox – że Carterowie nie utrzymywali bliskich stosunków. Jeśli rewolwer w ogóle tam był, Alan Carter nie powiedział o tym nawet swojemu najstarszemu, najlepszemu przyjacielowi. No i co z tą szmatką?

– Zabójca ją zabrał – zasugerował Paul.

– Pod warunkiem że to było zabójstwo – podkreśliła McFadzean.

– Pod warunkiem – zgodził się z nią Paul. Spojrzał na Foxa. – Jest jeszcze coś. Fiona ma rację: dzisiaj ginie niewiele broni. Powiedziałbym nawet, że nie ginie wcale.

– A wtedy? – spytał Fox.

– Kilka sztuk, które skonfiskowaliśmy, pochodziło z wojska. W latach siedemdziesiątych mnóstwo broni i amunicji, w tym materiałów wybuchowych, ginęło z koszar i rozchodziło się po całej Szkocji, ale większość trafiała do Krainy Niepokojów.

– Do Irlandii Północnej?

– Do różnych bojówek. Kradziono ją na zamówienie.

– Chce pan przez to powiedzieć, że...

Paul wzruszył ramionami.

– Że ten rewolwer miał trafić do Belfastu.

– Nie tylko w Ulsterze roiło się wtedy od terrorystów – zauważył Fox. – U nas też było ich sporo. – Pomyślał o Szkockiej Narodowej Armii Wyzwoleńczej, listach z bombą na Downing Street, Komandzie Mroczne Żniwa z wąglikiem...

I o ich prawdopodobnym mocodawcy, Francisie Vernalu.

– Słusznie. – Paul podszedł do szafki, otworzył szufladę i zaczął szukać.

McFadzean posłała Foxowi pobłażliwy uśmiech. Fox kiwnął głową: Paul był naprawdę dobry. Chwilę później znalazł odpowiednią teczkę i podał mu zdjęcie. Pokazywało biurko na jakimś posterunku. Na biurku leżał arsenał broni: kilkanaście karabinów, pistoletów, rewolwerów i amunicji w plastikowych torebkach. Zdjęcie zostało zrobione na potrzeby prasy. Fox przeczytał napis na odwrotnej stronie zdjęcia: „1980. Proces Szkockiej Republikańskiej Ligi Socjalistycznej”.

– Kolejna frakcja – mruknął. – To broń wojskowa?

– Z „włamań” do koszar.

Fox podniósł wzrok.

– Robota kogoś z wewnątrz?

– Wystarczy kilku sympatyków, przymknięte oko, przekazany ukradkiem klucz...

– Są naboje do strzelby, ale nie ma strzelb. – Fox podał zdjęcie Fionie.

– Normalne – powiedziała. – Nikt nie twierdzi, że ci

ludzie mieli wysoki iloraz inteligencji.

– Ich przywódcy też nie?

– Cóż, złapaliśmy ich, prawda? – Na dowód czego Fiona pomachała zdjęciem.

Paul schował je do teczki, a Fox potarł ręką policzek.

– Mogę o coś spytać?

– Niech pan strzela. Ups, proszę wybaczyć, tak mi się jakoś powiedziało.

Fox uśmiechnął się.

– Te wybuchy... Macie jakąś teorię?

Fiona wskazała komputer Paula.

– Paul trochę nad tym siedział. Plastikowe pojemniki wypełnione kawałkami metalu, śrubami, podkładkami, rzeczami, które można kupić w każdym sklepie żelaznym. Zasięg rażenia: trzydzieści metrów.

– A więc to nie jacyś gówniarze?

– Chyba że czytali *Podręcznik anarchisty* – odparł Paul.

– Jeszcze nie doszli do wprawy – dodała Fiona, krzyżując ręce.

– Ale są coraz lepsi – dodał Paul.

Fiona w zadumie skinęła głową.

– To prawda.

– A kiedy uznają, że są dobrzy? – spytał Fox.

– Wtedy to nie drzewa będą wysadzać.

* * *

Fox długo myślał, czy nie wrócić przez Kirkcaldy i nie zjeść czegoś w naleśnikarni z Kaye'em i Naysmithem, ale uznał, że nie warto ryzykować, i zrezygnował. Zamiast tego pojechał prosto do Edynburga, zatrzymując się po drodze po benzynę i na hamburgera. Zadzwoił do Mangold Bain, ale powiedziano mu, że Charles Mangold jest zajęty do drugiej. O wpół do drugiej zaparkował przed kancelarią. Znajdowała się w Nowym Mieście na parterze stojącego na stromym wzniesieniu georgiańskiego szeregowca z widokiem na Queen Street Gardens. Recepcjonistka uśmiechnęła się i poprosiła, żeby usiadł. Na stoliku do kawy leżał „Financial Times”, najnowsze katalogi nieruchomości i magazyny golfowe.

Kiedy przed kancelarię zajechała taksówka, wstał i zobaczył, że wysiada z niej Mangold. Twarz miał zaróżowioną od alkoholu. Wszedł do środka, od razu go zauważył i wyciągnął do niego rękę.

- Miał pan miły weekend, inspektorze?
- Dużo czytałem.
- Coś ciekawego?
- Bardzo, jak dobry kryminał.

Mangold wyraźnie się ucieszył.

– Marianne, kawę poprosimy – rzucił do recepcjonistki. – Dobrą i mocną.

Fox pokręcił głową, dając jej znak, że dziękuje. Mangold szedł już do drzwi po prawej stronie. Weszli do czegoś, co musiało być kiedyś holem prywatnego domu. Był tam nieużywany kominek i okazałe schody prowa-

dzące na górę. Drzwiami u ich podnóża weszli do pokoju dziennego. Kominek, nad kominkiem antyczne lustro, misternie rzeźbione gzymsy i rozeta – Mangold zapalił światło.

– Marianne powiedziała, że to pilne. – Dotknął kaloryfera i włączył go. – Zaraz będzie cieplej. – Zatarł ręce.

– Udany lunch? – spytał Fox. – W Nowym Klubie?

– W Ondine – poprawił go Mangold.

– Tamtego wieczoru, kiedy spodziewał się pan gości...

– Tak?

– Czy był wśród nich Colin Cardonald?

– Nie. Ale tak, widziałem go: spał w fotelu z niedokończoną krzyżówką. – Mangold zerknął na zegarek. – Marianne panu mówiła?

– Tak, że ma pan tylko kwadrans. – Podeszli do wypolerowanego na błysk owalnego stołu i Fox usiadł. – Ale obowiązywałoby to tylko wtedy, gdybym dla pana pracował, a tak nie jest. Jestem funkcjonariuszem policji i przychodzę do pana służbowo, co znaczy, że mogę siedzieć tu, ile zechcę.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła Marianne z kawą, butelką wody i dwiema szklankami. Spytała, czy ma im nalać.

– Tak, poprosimy – odparł Mangold.

Zaczekali, aż recepcjonistka zniknie za drzwiami. Mangold zamknął oczy i łapczywie wypił kilka łyków kawy.

– Nie mogę już pić – wysapał – nie tak jak kiedyś.
I naprawdę mam bardzo wypełniony dzień.

– W takim razie od razu przejdę do rzeczy, konkretnie do dwóch.

– Proszę.

– Chcę porozmawiać z Imogen Vernal.

– Wykluczone. – Mangold machnął ręką. – Druga sprawa.

– Jeśli się z nią nie spotkam, przywiozę tu te pudła, zostawię je w recepcji i już mnie pan nie zobaczy.

Mangold spojrział na niego surowo i wydał dolną wargę.

– Czego pan właściwie od niej chce?

– Przed czym ją pan tak chroni?

– Już mówiłem, jest bardzo chora. Nie chcę, żeby się jej pogorszyło. – Mangold zrobił pauzę. – Przejdźmy do drugiej sprawy – rozkazał, wyjmując z kieszeni wielką chustkę do nosa.

– Nie załatwiliśmy jeszcze pierwszej.

– Załatwiliśmy. – Mangold wytarł kąciki ust.

– Chcę spojrzeć na to z jej perspektywy – tłumaczył mu Fox. – Posłuchać, jak mówi o swoim mężu.

– Może pan posłuchać mnie!

– Pan nie był jego żoną.

– Ale znałem go tak dobrze jak ona.

Foxowi nie chciało się na to odpowiadać. Przeszedł do drugiej kwestii.

– Wszystkie te ówczesne grupy i frakcje, Komando

Mroczne Żniwa, Szkocka Narodowa Armia Wyzwoleńcza, Szkocka Republikańska Liga Socjalistyczna... Zapomniałem tej gaelickiej nazwy...

– Siol nan Gaidheal.

– Właśnie.

– Potomkowie Gaelów.

– Vernal ściśle z nimi współpracował? Wiem tylko tyle, ile przeczytałem.

– Imogen w tym panu nie pomoże. Te pogłoski do niej nie docierały.

– Ale do pana tak.

– Oczywiście.

– Wierzył w nie pan?

– Kilka razy pytałem o to Francisa. Zbywał mnie tym swoim spojrzeniem.

– Ale jak pan myśli?

Mangold zastanowił się, sięgając po kawę.

– Czy był aktywnie działającym bojówkarzem? Nie, wątpię. Ale mógł pomagać im inaczej.

– Udzielając porad prawnych?

– Możliwe.

– Jak jeszcze?

– Trzeba było zbierać pieniądze, a potem je przechowywać. Frank wiedziałby, jak to zrobić.

– Był ich bankierem?

– Nie mam na to żadnego dowodu.

– Trzymałby te pieniądze przy sobie?

Mangold wzruszył ramionami.

– O jakiej kwocie mówimy?

– O tysiącach funtów. Na początku dekady było kilka napadów na banki, parę napadów na furgonetki z pieniędzmi.

– Zrobili to ci ze SNAW?

– Tak wtedy mówiono.

– Współpracował pan z nim przez tyle lat. Ci wszyscy podejrzani klienci, te spotkania za zamkniętymi drzwiami, dziwne telefony...

– To codzienność dla każdego prawnika – odparł Mangold z krzywym uśmiechem. Spojrzał na filiżankę. – Naprawdę muszę przestać pić w porze lunchu. Potem koszmarnie się czuję. – Zerknął na Foxa. – Skończyliśmy?

– Niezupełnie. Pamięta pan jakieś nazwiska?

– Nazwiska?

– Członków tych grup.

– Ci z MI5 wiedzą o tym więcej niż ja.

– Ale teraz ich tu nie ma.

Mangold zmarszczył brwi, zamyślił się i w końcu odparł:

– Nie, nie pamiętam.

– Czy któryś ze znajomych Vernala wydał się panu trochę dziwny?

– Spotykamy ludzi różnego pokroju, panie inspektorze. Można pójść do pubu i skończyć w towarzystwie włóczęgów i rzezimieszków. Obudzić się z tatuażem czy zakażeniem albo nie obudzić się wcale.

Fox uśmiechnął się, czując, że powinien.

– Jakie ma pan poglądy polityczne?

– Teraz jestem unionistą.

– A wtedy?

– Też. Zasadniczo.

– To zabawne, że przyjaźnił się pan z zatwardziałym narodowcem... A może właśnie w tym momencie pojawia się pani Vernal?

– Wolałbym, żeby nie pojawiała się w ogóle – odparł spokojnie Mangold.

– Ale musi – powiedział z naciskiem Fox, lekko zniżając głos.

Mangoldowi zmieniła się nagle twarz, robił wrażenie zmęczonego i pokonanego. Podniósł ręce, jakby się poddawał, i uderzył nimi w stół.

– Zobaczę, co da się zrobić. – Znowu spojrzął na filiżankę. – Chyba napiję się jeszcze kawy.

– Dziękuję, że zechciał pan poświęcić mi tyle czasu. – Fox wstał. – Tylko proszę pamiętać: to pan przyszedł do mnie.

– Pamiętam – mruknął Mangold z nutką żalu w głosie.

– Aha, jeszcze jedno...

Mangold też wstał.

– Czy Alan Carter wspominał panu o samochodzie?

Skonsternowany Mangold zmarszczył czoło.

– O jakim samochodzie?

– Francisa Vernala.

– Nie, chyba nie. Dlaczego pan pyta?

– W sumie bez powodu. – Fox wzruszył ramionami

i pomyślał: ciekawe, co jeszcze przemilczał i... dlaczego?

Mangold chciał go odprowadzić, ale Fox podziękował mu i wyszedł sam. W recepcji przystanął. Marianne spojrzała na niego z uśmiechem.

– Marianne, prawda? – Recepcjonistka kiwnęła głową.

– Zawsze chciałem go o to spytać i ciągle zapominam...

– Tak?

– Nazwa waszej kancelarii, Mangold Bain. Czy pan Bain jeszcze istnieje?

– Kiedyś nazywaliśmy się Vernal Mangold.

– No tak, dopóki biedny Francis nie zginął... – Fox powiedział to tak, jakby należał do ich najstarszych klientów. – Oczywiście jest pani za młoda, żeby go pamiętać, prawda?

– Oczywiście. – Marianne była chyba trochę urażona, że wziął ją za kogoś aż tak starego.

– A więc pan Bain...

– Nigdy takiego nie było. To nazwisko panińskie.

– Pani Vernal? – domyślił się Fox. – Jest waszą współpracowniczką?

– Nie, nie. Pan Mangold chciał w ten sposób... Przypuszczam, że chciał w ten sposób ją uhonorować.

– W takim razie nie lepiej by było, gdyby zachował na papeterii nazwisko „Vernal”? – Marianne chyba nigdy o tym nie pomyślała. – W każdym razie dziękuję za pomoc. – Fox skłonił się lekko i wyszedł.

Siedział w biurze, gapiąc się na czarny ekran monitora. Bob McEwan rozmawiał przez telefon. Jak zwykle o zbliżającej się reorganizacji. Skargi miały być wchłonięte przez „Wydział Standardów i Wartości”. Jak mówił McEwan, z „mikro” mieli przejść na „makro”.

– Tylko nie pytaj mnie, co to znaczy.

Fox wysłał SMS-a do Kaye'a i Naysmitha i czekał, aż się odezwą. Zastanawiał się, czy nie pójść do biblioteki i nie pogrzebać w starych gazetach. Miał wycinki ze „Scotsmana”, ale nie z „Heralda” czy innych szkockich gazet z tamtego okresu. Wątpił, czy coś by w nich znalazł. Media szybko przestały się interesować tą sprawą.

Kiedy otworzyły się drzwi, zobaczył, że komendant wprowadza do pokoju kogoś obcego. Komendant nazywał się Jim Byars. Był w mundurze i czapce, co znaczyło, że wybiera się na jakieś spotkanie albo chce komuś zaimponować. Jego gościem był czterdziestokilkuletni mężczyzna o opalonej twarzy, kwadratowej szczęce i siwiejących włosach. Był w trzyczęściowym garniturze i jedwabnym krawacie. Z kieszonki wystawał rozek chusteczki.

– A, Malcolm... – powiedział komendant. Spojrzał na towarzyszącego mu mężczyznę. – To jest Wydział Standardów Zawodowych, WSZ.

– Cichociemni? – Mężczyzna uśmiechnął się krótko. Mówił z angielskim akcentem. Na palcach ręki, którą wy-

ciągnął do Foxa, nie było obrączki ani sygnetu.

Fox zerknął na McEwana. Widział, że szef jest rozdarty. Grzeczniej by było zakończyć rozmowę i powitać gościa, ale chciał, by komendant wiedział, że ciężko pracuje. Pomachał do niego i dał mu znak, że już kończy. Byars, też gestem, odpowiedział, że nie musi.

– Oprowadzam inspektora Jacksona – rzucił do Foxa. Przeniósł wzrok na Anglika. – To jest inspektor Malcolm Fox, detektyw, ale nie używamy tu rang.

– Dużo ma pan pracy? – spytał Anglik.

– Daję sobie radę – odparł Fox, żałując, że nie włączył komputera. Biurko było puste, na tacy leżał cienki plik dokumentów przychodzących. Czy Jackson miał coś wspólnego z reorganizacją? Szukał etatów do obcięcia? Rzutki, pragmatyczny urzędnik – na takiego wyglądał.

– Pracuje pan w Fife, prawda? – spytał Byars i zmarszczył brwi, zdawszy sobie sprawę, jak głupio to zabrzmiało.

– Nie dzisiaj, panie komendancie. Ale tak, jest tam reszta mojego zespołu. – Fox przełknął ślinę. Nie było powodu podejrzewać, że komendant wie, iż został odsunięty od śledztwa. A nawet gdyby wiedział, nie było to coś, czym chciałby pochwalić się przed gościem. – Co pana tu sprowadza?

Ale Byars był szybszy.

– Inspektor Jackson jest z Wydziału Specjalnego: antyterrorystyczny.

– Nie wiedziałem, że mamy tu taki. – Fox uznał, że

powinien to powiedzieć.

Anglik uśmiechnął się tym samym krótkim uśmiechem.

– Wybuch pod Peebles. A przedtem pod Lockerbie. Słyszał pan?

Fox słyszał.

– Podejrzewamy, że to były próby.

– Ale dlaczego akurat w Peebles?

– Miejsce jak każde inne. – Jackson westchnął. – Pamięta pan lotnisko w Glasgow? Sprawcy mieszkali na przedmieściach.

– Poza tym Peebles należy do naszego okręgu – dodał komendant. – Pomagamy panu inspektorowi i jego zespołowi.

A jednak nie urzędas.

Jackson rozglądał się wokoło, jakby chciał zapamiętać każdy szczegół wyposażenia pokoju. McEwan rozpaczliwie próbował skończyć rozmowę.

– Co słyhać w Fife? – spytał Anglik. – Coś się dzieje?

– Niewiele – odparł Fox.

– Funkcjonariusz ze śledczego – wyjaśnił Byars. – Złamał przepisy i stanął przed sądem. Poproszono nas, żebyśmy sprawdzili, czy koledzy go nie kryją.

Jackson popatrzył na Foxa, jakby myślał: jestem z tobą, chłopie; nigdy nie mów więcej, niż musisz.

McEwan odłożył słuchawkę, podszedł do nich i komendant znowu musiał dokonać prezentacji i udzielić stosownych wyjaśnień.

– Ciekawe. – Bob skrzyżował ręce. – To ciągle powraca, prawda?

– Ale co? – nie zrozumiał Jackson.

– Terroryzm krajowy. W ostatniej sprawie Malcolma też są pewne wątki...

– Naprawdę? – zainteresował się nagle Anglik.

To musiał być Naysmith. To Naysmith wypaplał wszystko McEwanowi.

Fox wzruszył ramionami.

– Bardzo nikłe – odparł.

Ale Jackson nie dał się zbyć.

– Na przykład jakie?

McEwan natychmiast pospieszył z odpowiedzią.

– Malcolm przesłuchiwał kogoś, kto zbierał materiały o prawniku, który współpracował ze szkockimi separatystami.

– Ćwierć wieku temu – podkreślił Fox.

Komendant spojrzał na Anglika.

– To chyba nie to samo, co te bomby w Peebleshire.

– Raczej nie – przyznał Jackson. I spojrzał na Foxa. – Co się stało z tym prawnikiem?

– Zginął w wypadku samochodowym – odparł Malcolm.

– Inaczej niż ten, który zbierał o nim materiały. On popełnił samobójstwo.

– Ojej... – powiedział Jackson i posłał Foxowi ten sam denerwujący uśmiech.

* * *

Gdy godzinę później zadzwonił Naysmith, Fox był w biurze sam, bo McEwan poszedł na kolejną naradę. Zanim Joe zdążył się odezwać, Malcolm podziękował mu za to, że powiedział szefowi o Alanie Carterze i Francisie Vernalu.

– Spytał tylko, co robię – tłumaczył się Naysmith.

– Wszystko jedno, wielkie dzięki. Zainteresował się tym Wydział Specjalny. – Fox zapoznał go z sytuacją.

– To może zadziałać na naszą korzyść – zauważył Joe.

– Nie możesz go spytać, czy nie mają w aktach czegoś o Vernalu? Czy rzeczywiście go śledzili?

– Myślisz, że by mi powiedział? To było ponad dwadzieścia lat temu. Uważasz, że mają natychmiastowy dostęp do archiwów?

– Może i nie – odparł Joe. – Ale inaczej nie dowiemy się, jak naprawdę było.

– Pewnie nie – zgodził się z nim Fox.

Zamilkli.

– Powiedzieć ci, z kim rozmawiałem? – spytał po chwili Naysmith.

– Powiedz.

– Z właścicielem tego złomowiska.

– Z Barronem? Znalazłeś go?

– Ma już swoje lata, ale co za pamięć! Kiedy mu to powiedziałem, zażartował, że większość interesów robił na lewo i wszystko musiał mieć w głowie. I że jak chcę, mogę

donieść na niego do skarbówki.

– Ale spytałeś go w końcu o ten samochód?

– Dobrze go pamięta. Przyholowała go pomoc drogową, ale zaraz ktoś przyszedł i poprosił, żeby Barron odstawił go gdzie indziej.

– Gavin Willis? – zgadł Fox.

– Otóż to. Dali radę dojechać tylko pod dom, a potem we czterech wepchnęli wóz do garażu, po tej stromiźnie.

– Willis powiedział, po co mu taki wrak?

– Nikt go chyba nie spytał. Zapłacił gotówką i tyle.

– I nikt nie zgłosił się po niego na złomowisko?

– Willis dał mu dwadzieścia funtów ekstra, żeby w razie czego powiedział, że samochód trafił już do zgniatarki.

– Barron nie spytał dlaczego?

– Jak policjant każe coś zrobić, to się to robi, jego słowa.

– Dzisiaj już chyba nie. – Fox potarł czoło. – Willis odpowiadał za niszczenie skonfiskowanej broni. Mógł wynieść rewolwer, z którego zabito Alana Cartera.

– Mógł, tylko po co miałyby to robić?

– Nie wiem. Czy Barron mówił coś o tym samochodzie? Nic z niego nie zabrał?

– Nawet jeśli zabrał, to się nie przyzna.

– W takim razie nic więcej nie wskóramy. – Fox chodził nerwowo po pokoju.

– Co teraz? Mam coś zrobić?

– Gavin Willis. Przydałoby się dowiedzieć, jak i kiedy

umarł. Może ma rodzinę...

– Mogę sprawdzić. – Joe powiedział to tak, jakby coś notował.

– Widziałeś Tony'ego?

– Wybierał się na kawę z Billie i Bekkah.

– Z tymi fryzjerkami? – Fox przystanął przed oknem.

Wychodziło na parking i na Fettes College. Uczniowie szli już do domu i czekał na nich rząd samochodów z rodzicami za kierownicą. – Co go napadło?

– Hormony? – spekulował Naysmith.

Fox zobaczył, jak komendant odprowadza Jacksona. Anglik miał szofera i ładny służbowy wóz. Usiadł z tyłu i Byars zamknął drzwi. Kiedy samochód ruszył, Jackson opuścił szybę. Patrzył na okna Wydziału Skarg. Nie mógł go widzieć, mimo to Fox cofnął się, nie bardzo wiedząc dlaczego.

Wdowa po Francisie Vernalu mieszkała w wiktoriańskiej rezydencji w Grange na przedmieściach Edynburga. Na wąskich uliczkach nie było ani samochodów, ani przechodniów. Nie widać było prawie żadnego domu. Wraz ze swoimi właścicielami i ich bogactwem niemal wszystkie kryły się za wysokimi kamiennymi parkanami i masywnymi drewnianymi bramami. Mangold uparł się, żeby mu towarzyszyć. Ale Fox z takim samym uporem odmówił, podkreślając, że to nie wchodzi w rachubę. Mimo to, kiedy tam przyjechał, okazało się, że Mangold czeka na niego w taksówce z włączonym silnikiem. Gdy Fox wysiadł, żeby podejść do domofonu, wysiadł i on.

- Stanowczo nalegam – powiedział.
- Niech pan nalega, ile pan chce.
- A jeśli Imogen mnie zaprosi?
- Może mi to powiedzieć osobiście. Dopóki tego nie zrobi, proszę zostać tutaj.

Mangold był wściekły, ale zamilkł. Mamrocząc pod nosem, wszedł do taksówki i zatrzasnął drzwi.

Fox powiedział przez domofon, że jest umówiony. Brama otworzyła się z mechanicznym pomrukiem. Wrócił do samochodu. Podjazd był długi i kręty, z obu stron wysadzany gęstymi krzewami. Kończył się zwirowym parkingiem przed dwupiętrowym domem z dwuspadowym

dachem. Już zmierzchało i ptaki mościły się w gniazdach na starych drzewach. Fox z nawyku zamknął samochód. Frontowe drzwi były otwarte, w progu stała trzydziesto-kilkuletnia kobieta. Przedstawiła się jako Eileen Carpenter.

– Opiekuję się panią Vernal.

– Jest pani pielęgniarką?

– Między innymi.

W holu pachniało stęchlizną, ale nie widać było ani śladu kurzu. Eileen zaproponowała mu herbatę.

– Tak, chętnie – odparł, wchodząc do salonu.

Było tam wielkie okno wykuszowe. Fotel Imogen Vernal stał przodem do znajdującego się za domem ogrodu.

– Proszę wybaczyć, że nie wstaję – powiedziała.

Fox przedstawił się i uścisnął jej rękę. Miała rzadkie popielatoblond włosy i zmiany chorobowe na policzkach i czole. Jej skóra była niemal przezroczysta, z widocznymi żyłami. Nie ważyła więcej niż czterdzieści kilka kilo. Ale jej oczy, choć zmęczone i z rozszerzonymi od lekarstw źrenicami, wciąż były pełne życia.

Obok fotela stało krzesło z jadalni i Fox usiadł. Na podłodze leżała otwarta książka w twardej oprawie, powieść Karola Dickensa. Do obowiązków Eileen Carpenter należało widocznie również czytanie.

– Piękny dom – powiedział.

– To prawda.

– Mieszkała tu pani z mężem?

– Moi rodzice go dla nas kupili w prezencie ślubnym.

– Dobrzy rodzice.

– Bogaci rodzice – poprawiła go z uśmiechem.

Na kominku stały oprawione w ramkę zdjęcia Vernala. Jedno wyglądało znajomo:

wygrażający pięścią mówca w ferworze walki na słowa.

– Szkoda, że nigdy go nie słyszałem – powiedział szczerze Fox.

– Chyba mam jakieś nagrania... – Imogen Vernal podniosła palec. – Nie, podarowałam je Bibliotece Narodowej razem z książkami i dokumentami. Doktoraty o nim pisano. Kiedy zmarł, jeden z amerykańskich senatorów zamieścił nekrolog w „Washington Post”. – Jakby dla potwierdzenia tych słów, skinęła głową.

– Niezwykła postać – zgodził się z nią Fox. – Przy-
najmniej na mównicy.

Zwęziły jej się oczy.

– Charles opowiadał mi o panu, inspektorze. Bardzo mi przykro z powodu tego drugiego policjanta, tego, który niedawno odszedł... – Zrobiła pauzę. – Czy Charles czeka na ulicy?

– Tak.

– Jest bardzo opiekuńczy.

– Był pani kochankiem?

Nie odpowiedziała od razu, jakby szukała właściwych słów.

– Robi pan ze mnie rozwiązłą Izebel. – Mówiła z coraz silniejszym szkockim akcentem.

– Po prostu wydaje mi się, że pan Mangold darzy panią wielkim uczuciem.

– To prawda.

– No i zawsze krążyły plotki, że małżeństwo pani i Francisa było dość burzliwe.

– Burzliwe? – Imogen Vernal zmarszczyła brwi. – Dobre określenie.

– Gdzie się poznaliście?

– Na barykadach.

– Dosłownie?

– Prawie. Podczas strajku okupacyjnego na uniwersytecie. Protestowaliśmy chyba przeciwko wojnie w Wietnamie... A może przeciwko apartheidowi czy Rodezji? On był już prawnikiem, ja jeszcze studiowałam. Zaprzyjaźniliśmy się...

– Mimo różnicy wieku?

– Moi rodzice początkowo tego nie pochwalali.

– Mąż był wtedy narodowcem?

– W młodości był komunistą. Potem laburzystą. W końcu narodowcem.

– Podzielała pani jego poglądy polityczne?

Przyjrzała mu się uważnie.

– Nie jestem pewna, czego pan właściwie ode mnie chce, inspektorze.

– Po prostu czułem, że powinniśmy porozmawiać.

Zanim Imogen zdążyła to przemyśleć, weszła Eileen z tacą, na której stały niewielki dzbanek i tylko jedna porcelanowa filiżanka ze spodeczkiem. Herbata była li-

ściasta, zaparzona w srebrnym sitku. Fox podziękował. Eileen spytała, czy podać coś jeszcze.

– Nie, dziękujemy – odparła Imogen. – Ale daj znać Charlesowi. – Spojrzała na Foxa. – Pewnie czeka, aż Eileen przyśle mu wiadomość.

Eileen zaczerwieniła się i wyszła.

– W sumie to mnie nie szpieguje – wyjaśniła Imogen.
– Ale Charles by się denerwował.

Fox nalał sobie herbaty.

– Czy wie pani, dlaczego wynajął Alana Cartera?

– Żeby wyjaśnić sprawę morderstwa mojego męża.

– Jest pani przekonana, że to było morderstwo?

– Absolutnie.

– Wtedy też tak pani uważała? Nie pamiętam, czy pisano o tym w gazetach.

– Szczerze mówiąc, trochę się bałam.

Tak, Fox mógł to zrozumieć.

– Ale są to tylko podejrzenia bez konkretnych dowodów, tak?

– Nie, konkretnych dowodów nie mam. – Imogen Vernal położyła ręce na kolanach.

– A samobójstwo?

– Nie wchodzi w grę: Francis za bardzo tchórzył. Myślałam o tym ostatnio. Zrezygnowałam z chemii i ze wszystkiego. Za dużo tego było, za dużo. Można wziąć morfinę, ale ból nie ustępuje, jest tylko przytłumiony. Zastanawiałam się, czy ze sobą nie skończyć, ale to wymaga pewnej odwagi. Nie jestem odważna, Francis też nie był.

- Ale nie chorował, prawda?
- Był silny jak byk.
- Mimo że palił?
- Tak.
- Kłóciliście się państwo?
- Nie częściej niż inni.
- Znów ten burzliwy związek?
- Może i burzliwy, ale stabilny. Czy słyszał pan, żeby ktoś nazywał go zapaleńcem?

Fox skinał głową.

– Byłabym zawiedziona, gdyby było inaczej. To określenie doskonale do niego pasowało, do niego, do jego życia i polityki. Było mu wszystko jedno, czy ktoś go popiera, czy z nim walczy. Najważniejsze, żeby miał w sercu zapał.

- Na poboczu tej szosy jest kamienny kopiec...
- Charles kazał go tam postawić.
- A kwiaty na rocznicę?
- Ode mnie.

Fox nachylił się ku niej.

- Jak pani myśli, kto go zabił?
- Nie wiem.
- Martwił się czymś przed śmiercią?
- Nie.
- Twierdził, że ktoś go śledzi.
- I cieszył się z tego. To znaczyło, że „zalażł im za skórę”.
- Komu?

- Pewnie tym z establishmentu.
- Ale jak załazł im za skórę, czym?
- Swoimi przemówieniami. Umiejętnością przekonywania.
- Wyniki wyborów wskazują, że niewielu przekonał. Zbyła to pogardliwym ruchem głowy.
- Kogokolwiek spotkał... Każdego potrafił odmienić. Fox wyjął zdjęcie Vernala z Chrisem.
- Zna pani tego mężczyznę?
- Nie.
- Nazywał się Chris Fox. Zginął w wypadku motocyklowym kilka lat przed śmiercią pani męża. Pod Burntisland.

Imogen Vernal zmrużyła oczy.

- Niedaleko miejsca, gdzie zamordowano Francisa. Myśli pan, że to się jakoś łączy?

- Nie, chyba nie.
- Nosił pana nazwisko.
- Był kuzynem mojego ojca.

Imogen podniosła wzrok.

- Dobrze znał Francisa?
- Nie mam pojęcia. – Fox spojrział na zdjęcie i schował je do kieszeni. Wypił łyk herbaty. – Wspominano o jakichś włamaniach...

- Tak, do domu i biura. Były dwa w ciągu dwóch tygodni.

- Zawiadomili państwo policję?
- Tak. Nikogo nie zatrzymano.

- Coś zginęło?
- Pieniądze i biżuteria.
- A dokumenty męża?
- Nie.
- Czy mąż chciał kiedykolwiek złamać prawo?
- Jak to? – Imogen patrzyła w okno, chociaż ogród tonął już w ciemności.
- Podobno współpracował z pewnymi ugrupowaniami...
- Nigdy mi o tym nie mówił.
- Ale nie jest to dla pani nowina, prawda?
- Mąż znał bardzo wielu ludzi, panie inspektorze. Niewykluczone, że kilku z nich chciało przenieść walkę poza granice ówczesnego prawa.
- Mąż by ich w tym poparł?
- Możliwe.
- Przychodzą pani do głowy jakieś nazwiska?
- Nie. Polityczni przyjaciele zmieniają się czasem we wrogów, tak pan pewnie myśli. Ale jeśli Francis miał wrogów, takich prawdziwych, nic mi o nich nie mówił.
- Niemniej wie pani, że popierał działalność niektórych bojówek, prawda? Pan Mangold uważa, że pani nie wiedziała.

– Charles nie wie wszystkiego.

Fox wypił łyk herbaty i postawił filiżankę na tacy. W pokoju zapadła cisza. Czuł, że kiedy Imogen Vernal zostawała sama, tak właśnie siedziała, w ciszy i spokoju, czekając na śmierć, patrząc na swoje odbicie w oknie, za-

pominając o całym świecie, który przestawał dla niej istnieć. Przypomniał mu się ojciec: „Ja nie śpię. Po prostu leżę tu i czekam”.

W końcu odchrząknął.

– Jak pani myśli, co on robił na tej drodze?

– Politycznej?

Fox uśmiechnął się.

– Nie, tej z Anstruther do Saint Andrews.

– To był weekend. – Powiedziała to trochę ciszej. –

Często spędzał weekendy w Fife.

– Sam?

– Na pewno nie ze mną.

Z tonu jej głosu domyślił się, o co chodzi.

– Z innymi kobietami? – spytał i gdy skinęła głową, dodał: – Dużo ich było?

– Nie mam pojęcia.

– Jeździł do letniego domu?

– Chyba tak. – Imogen spojrzała na kolana i coś z nich strzepnęła.

– A Anstruther? – Postanowił ją przeczekać.

W końcu westchnęła i wzięła głęboki oddech.

– Tam mieszkała ta dziewczyna. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Kiedy się poznaliśmy, byłam niezłą partią, ale może pan wie, jak to jest.

– Poniekąd – odrzekł, bo wyraźnie czekała na odpowiedź.

– Ona też była studentką. Alice Watts. Tak się nazywała.

– Powiedział pani?

– Nie. Znalazłam jej listy. Były ukryte w biurku, w jego biurze. Wiele miesięcy później. Do przejrzenia było tyle rzeczy, że...

– Mieszkała w Anstruther?

Imogen znowu zapatrzyła się w okno.

– Studiowała nauki polityczne i filozofię w Saint Andrews. Francis miał tam prelekcję i podeszła do niego po spotkaniu. Można by powiedzieć, że była jego fanką. – Zniżyła głos do szeptu. – Nikomu o niej nie mówiłam.

– Panu Mangoldowi też nie?

Pokręciła głową.

– A więc Alan Carter też nic nie wiedział?

– Charles się pewnie domyślał. Ostatecznie on i mąż bardzo się przyjaźnili. Mężczyźni czasem plotkują, prawda? Zwłaszcza przy kieliszku.

Fox przyznał w duchu, że to prawda. W pokoju bardzo pochłodziło. Pomyślał, że przydałoby się zasunąć sięgające podłogi grube zasłony i zapalić gaz w kominku.

– Bardzo pani dziękuję, że zechciała się pani ze mną zobaczyć i za to, że była pani taka szczerą – powiedział. – Może kiedyś się jeszcze spotkamy?

Ale Imogen Vernal jeszcze nie skończyła.

– Szukałam jej. Po prostu musiałam ją zobaczyć. Nie, nie chciałam z nią rozmawiać, chciałam ją tylko zobaczyć. Znałam jej adres z listów. Ale kiedy tam pojechałam, okazało się, że spakowała się i wyjechała. Na uniwersytecie powiedziano mi, że rzuciła studia. Dlatego myślę, że

może naprawdę go kochała.

– Czy ma pani te listy?

Kiwnęła głową.

– Zastanawiałam się, czy pan o to spyta. – Sięgnęła w dół i wyjęła je. Wciąż były w kopertach, lecz bez znaczków i adresu. Dostarczone osobiście.

Fox obrócił je w rękach, lecz ich nie otworzył.

– Była pani przygotowana. Dlaczego to akurat ja jestem pierwszą osobą, której pani o tym mówi?

Imogen uśmiechnęła się.

– Nalegał pan, żeby przyjść tu samemu. Postawił się pan Charlesowi. To coś mówi. Ma pan pewne... przymioty.

– Czy wie pani, jakie krążyły wtedy plotki? Pisano, że miała pani mnóstwo kochanków i być może któryś z nich...

– Proszę w to nie wierzyć. Kochałam tylko jednego mężczyznę, Francisa. I wciąż go kocham. Do widzenia, panie inspektorze. Dziękuję, że pan przyszedł... – Urwała, jakby coś się jej przypomniało. – Pytał mnie pan, kto go zabił. Myślę, że w pewnym sensie my wszyscy. Ale gdybym miała na kogoś postawić, postawiłabym na ludzi z pańskich kręgów.

– Na policję?

– Na policję, tajne służby... Pan zna się na tym lepiej niż ja. Tylko proszę pamiętać: człowiek, którego wynajął Charles, nie żyje. Niech pan uważa.

– Jak pani myśli, dlaczego pan Mangold w ogóle go

wynajął?

– Chyba już na to odpowiedziałam. A jak pan myśli?

– Żeby wyjaśnić tę tajemnicę, dopóki jeszcze żyjecie, pani i on.

Imogen Vernal powoli pokiwała głową.

– Może.

– Ale niekoniecznie?

– Charles chce, żebym mniej przychylnie myślała o Francisie, a bardziej przychylnie o nim.

– Próbuje udowodnić, że pani mąż zadawał się nie tylko z kobietami, ale i zamachowcami?

Na jej ustach pojawił się cień uśmiechu.

– Dzięki czemu nawróciłabym się na łożu śmierci. Wyrzekłabym się Francisa i przytuliła do łona jego, w przenośni lub dosłownie.

– To chyba mało prawdopodobne.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć: Charles jest dobrym przyjacielem, kochającym i lojalnym.

– Ale pani nie odwdzięcza mu się tak, jak by chciał?

– Właśnie.

– A to, że do nazwy kancelarii dodał pani panieńskie nazwisko...

– To część zalotów. Myśli pan, że powinno mi to schlebiać?

Fox nie umiał odpowiedzieć. Wychodząc z dużego, pustego salonu, widział jej odbicie w oknie, tak jak ona widziała jego.

* * *

Leżał w łóżku i myślał o Imogen Vernal. Zrezygnowała z chemioterapii, ale nie z życia. Wciąż kochała męża. Ją z kolei kochał Mangold. Zastanawiał się, czy jest bogata – spadek po rodzicach, pieniądze po mężu – czy może to Mangold płacił Eileen Carpenter i za wszystko inne. Pomyślał o swoim ojcu, jego walce z demencją, regularnych wizytach syna i córki, wycieczkach do Portobello, o lodach spływających po jego podbródku, które musieli ścierać chustką...

Listy od Alice Watts przypominały eseje, długie, pełne dygresji i wątków politycznych. Były w nich także uczucia, lecz wyrażone zwyczajnym językiem, bez kwiecistych ozdobników, przebitych strzałą serc czy rzędu całusów na końcu. Trudno było powiedzieć, czy Vernal jej odpisywał. Na pewno regularnie jeździł do Anstruther, ale listy nie były datowane. Sądząc po tym, o jakich wydarzeniach wspominała, musiały pochodzić z lat 1984–1985.

Na szafce nocnej ładowała się komórka. Gdy zadzwoniła, wyjął ją z ładowarki i spojrzął na ekran. Evelyn Mills, o jedenastej wieczorem.

– Evelyn?

– Obudziłam cię?

– Co się stało?

Evelyn milczała.

– To zabawne, prawda? – powiedziała w końcu trochę nosowym głosem. – Znowu pojawiaasz się w moim życiu.

To znaczy, akurat teraz.

Fox wyczuł, że pani inspektor jest na rauszu.

– Coś nie tak w domu?

– Nie, nie, niezupełnie... – Chyba dotarło do niej, że jest późno. – Powinnam była zaczekać do rana.

– Nic nie szkodzi.

– Freddie to uroczy człowiek.

– Nie wątpię.

– Gdybyście się poznali, na pewno byście się zaprzyjaźnili. Wszyscy go lubią.

– To dobrze.

Evelyn znowu umilkła.

– Zapomniałam, po co do ciebie dzwonię.

– Może chciałaś po prostu pogadać.

– Nie, zaczekaj, już pamiętam. Paul Carter rozmawiał z Scholesem.

– Tak?

– Boi się i nie wie, komu może zaufać. W pewnej chwili niemal otwarcie zapytał Scholesa, czy miał coś wspólnego ze śmiercią jego wuja.

– Co na to Scholes?

– Że Carter zwariował.

– Rozmawiają swobodnie?

– Tak, nic nie wskazuje na to, że wiedzą o podsłuchu.

– Zawiadomiłaś Kaye'a i Naysmitha?

– Jeszcze nie. Dać im nagranie?

– Oni są tam, a ja tu. Jak idzie śledztwo w sprawie jego wuja? Jest coś nowego?

- Tryby się kręcą.
- Myślisz, że go oskarżą?
- Oficjalnie to jeszcze nie morderstwo.
- „Śmierć w podejrzanych okolicznościach?” – Fox zacytował słowa, jakie pojawiły się w mediach.
- Czekają na decyzję prokuratury. U ciebie wszystko w porządku?
- Siedzę z nogami w górze i odpoczywam.
- Szczęściarz z ciebie.
- Szczęściarz ze mnie – powtórzył.
- Muszę już kończyć.
- Jeśli kiedykolwiek będziesz chciała pogadać...
- Dzięki. Z gorzkiego doświadczenia wiesz, że po kilku kieliszkach wina zaczynam wyzbywać się oporów.
- Mam wyrzuty sumienia.
- Dlaczego?
- Byłem wtedy trzeźwy.
- Gdybym nie chciała, żebyś mnie wykorzystał...
- Wszystko jedno.

Bełkotliwym głosem zaśpiewała fragment piosenki Edith Piaf, urwała i roześmiała się znużonym śmiechem.

– Może wypij przed snem parę szklanek wody – poradził jej Fox.

– Freddie też tak zawsze mówi. – Westchnęła i w słuchawce zatrzeszczało.

– Dobranoc, Evelyn.

– Pa, pa, Malcolm.

Włożył komórkę do ładowarki, oparł głowę

o poduszkę i zamknął oczy. Na stoliku paliła się lampka, ale tak lubił. Rano zawsze ją gasił, a potem rozsuwał zasłony. Podłożył ręce pod głowę, otworzył oczy i wbił wzrok w sufit. Wiedział, że w końcu zaśnie.

Zawsze zasypiał.

Ale najpierw musiał trochę pomyśleć.

Poranek był wietrzny. Fox zaparkował na promenadzie i przesiadł się na tylne siedzenie samochodu, obok którego stanął.

– Kawa. – Joe Naysmith podał mu plastikowy kubek.

Fox podziękował i zdjął pokrywkę. Kawa była letnia, ale nadawała się do picia.

– Grzejesz dla nas miejsce na Fettes? – spytał Kaye.

– Wczoraj wpadł do nas z wizytą ktoś z Wydziału Specjalnego. W sprawie tych wybuchów.

– To gówniarze z petardami – powiedział Tony. – Jestem pewien. A ci ze służb udają, że to poważna rzecz, bo tak im pasuje. Lud się niepokoi i mogą zachować ciepłą posadkę.

– Odkąd to gówniarze konstruują bomby z gwoździami? – skontrował Fox.

– Twierdzisz, że grozi nam dżihad w szkockiej spódnicy? – Kaye przewrócił oczami. – Jakbyśmy mieli za mało roboty.

– A może Mroczni Żniwiarze wrócili? – dodał Naysmith.

– Właśnie. Malcolm wsiądzie zaraz do łódki, popłynie na tę wyspę i sprawdzi, czy znowu nie kopią węglika. – Tony pokręcił głową.

– Ale przedtem... – rzucił wyczekująco Fox.

– Rano zadzwoniła do mnie twoja przyjaciółka – od-

parł Kaye. – Ledwie wyszedłem spod prysznic. Gorliwa jakaś.

– Co powiedziała?

– Że na dole czeka na nas mały prezent.

– No i?

Naysmith pokazał Foxowi pendrive. Potem sięgnął na podłogę i wziął laptop leżący między jego stopami. Pijąc kawę, wysłuchali rozmowy telefonicznej między Paulem Carterem i Rayem Scholesem. Została nagrana o ósmej wieczorem poprzedniego dnia i była różnej jakości.

„Dopiero co wróciłem – skarżył się Carter. – Po dziesięciu godzinach przesłuchania”.

„Ostro” – współczuł mu Scholes.

„Żebyś wiedział. Ktoś chce mnie wykastrować”.

„Wiem”.

„Domyślasz się kto?”.

„Pamiętasz Szafików? Może któryś z synów coś do ciebie ma”.

„To było rok temu”.

„Wszystko jedno, i tak podsunąłem to Cashowi”.

Naysmith poprawił się na fotelu.

– Sprawdziłem to, tak na szybko: Szafikowie mają sieć firm w całym hrabstwie.

Fox kiwnął głową. Słuchali dalej.

„Twój wujek miał na tapecie kilku psycholi – mówił Scholes. – Tosha Gariocha, Mela Stuarda...”.

„Tak, wiem”.

„To pewnie wiesz i to, że obydwaj siedzieli. Siłownia

i nielegalne sterydy: to napakowane szajbusy, jeden i drugi”.

„Byli u niego bramkarzami”.

„Właśnie”.

„I myślisz, że mogą mieć coś do mnie?”.

„Nie wiem, chyba nie” – przyznał w końcu Scholes.

„Według tych ze śledczego jedynym, który mógłby mieć motyw, jest twój unizony sługa”.

„Robię, co mogę, stary”.

„Ray, jeśli chciałeś zrobić mi przysługę, jestem ci wdzięczny, ale...”.

„Przestań. Zwariowałaś? Nie miałem z tym nic wspólnego, od razu to sobie wyjaśnijmy”.

„A Gary i Mark?” – Miał na myśli Michaelsona i Haldane’a.

„Nie szalej, Paul, to nie my”.

„Ty chyba myślisz, że to ja”.

„Jeszcze nic nie wiadomo na pewno. Miejsce zbrodni wyglądało trochę dziwnie, ale dopóki czegoś nie udowodnią, to jest zwykle samobójstwo”.

„Ja go nie zabiłem, Ray”.

„Właśnie o tym mówię: może nikt tego nie zrobił. – W tle otworzyły się drzwi, zabrzmiał głos jakiejś kobiety. – Muszę kończyć. – Zamiast żalu, w głosie Scholesa słuchać było nutkę ulgi. – Trzymaj się, okay?”.

„Mogę do ciebie wpaść?”.

„Nie dzisiaj, stary”.

„Przepraszam, Ray... Za wszystko”.

„Wyjdiesz z tego. Pamiętaj, że jesteś jak teflon, nic do ciebie nie przywiera”.

„Tak, jak teflon” – powtórzył bez przekonania Carter zmęczonym głosem.

Naysmith zamknął laptop.

– Koniec.

– Przeprosił go – zauważył Kaye. – Pewnie za to, że wpakował go w cały ten szajs, łącznie z krzywoprzysięstwem.

– Ale przydałoby się więcej szczegółów – powiedział Joe. – Co o tym myślisz, Malcolm?

– Twierdzi, że to nie on.

– Pewnie – prychnął Kaye. – Tak jak w sądzie twierdził, że nic nie zrobił tym kobietom.

– À propos kobiet...

– Tak, rozmawiałem z Billie i Bekkah – zrozumiał Tony. – To ciekawe, że Scholes wymienia nazwiska tych dwóch bandziorów: tak się przypadkiem składa, że Tosh Garioch jest aktualnym chłopakiem Billie. – Odwrócił się do Foxa. – I kiedy wspomniałeś, że agencja Alana Cartera zatrudniała bramkarzy...

– Postanowiłeś sprawdzić, czy jedno nie łączy się z drugim? – Fox pokiwał głową. – I się łączy.

– Dziwny zbieg okoliczności, co? – Tony poruszył ustami. – Alan Carter jest w złych stosunkach z bratankiem. Składa na niego skargę. Nic się nie dzieje, dopóki Teresa Collins nie zmienia zdania i dopóki nie zgłaszają się Billie i Bekkah.

– No i pracuje u niego chłopak tej pierwszej – dodał Naysmith.

– A więc uważasz, że...

– Trzeba jeszcze trochę pokopać – odparł Kaye. – Ale w tunelu pojawiło się światło.

– Wuj wrobił bratanka?

– Jeśli tak – zauważył Naysmith – bratanek mógł mieć do niego jeszcze większą pretensję.

– I tak Paul Carter znowu staje się podejrzanym o morderstwo.

– Zakładając, że to było morderstwo. – Teraz z kolei Joe usiadł przodem do Foxa. –

A jeśli Alan Carter chciał wpakować bratanka w jeszcze większe gówno? Postanowił się zabić. I zadzwonił do niego, wiedząc, że będzie to ostatni zarejestrowany numer i że Paul będzie musiał odpowiedzieć na kilka niewygodnych pytań.

– Naoglądałeś się *Morderstw w Midsomer*? – prychnął Kaye.

– Scenariusz, jak każdy inny – zgodził się z Naysmithem Fox. Dopił kawę i wepchnął pokrywkę do zgniecionego kubka. – Masz coś o Gavinie Willisie?

– Jeszcze nie.

– Pogadaj z Robinsonem.

– Z kim?

– Z sierżantem dyżurnym.

– Zawsze patrzy na mnie tak, jakbym ukradł mu wszystkie długopisy – jęknął Naysmith.

- Albo z Hendrysonem. Rządził tu przed Pitkethly.
- Powoli, Foxy – wtrącił się Kaye. – Chłopak zacznie się uważać za pełnokrwistego detektywa.
- A ty, Tony? Dobrze ci w pojedynkę?
- Nie narzekam.
- Ale zaczynasz podejrzewać, że z zarzutami przeciwko bratankowi jest coś nie tak. Zgadłem?
- Może.
- Spokojnie. Dzwonił do mnie w piątek, zaraz po tym, jak go zgarnęli. Przyznał, że „wyciął w życiu kilka numerów”.
- To cytat?
- Fox skinał głową.
- Po co do ciebie dzwonił? – spytał Naysmith.
- Nie wie, komu może zaufać.
- Kaye zmarszczył brwi.
- Chciałbym jeszcze raz pogadać z Teresą Collins. Na neutralnym gruncie, w kawiarni czy pubie. Wiesz, że ją wypisali?
- Psychiatra pozwolił?
- Wiem tylko, że jest już w domu.
- Będziesz delikatny?
- Wiem, co to empatia – oznajmił Tony.
- Lud się raduje – mruknął Fox.

* * *

Geografia St Andrews go pokonała.

Na papierze wszystko wyglądało dobrze. Prowadząca do miasta szosa, a potem parę równoległych do siebie głównych ulic ze sklepami. Ale miał godzinę na zwiedzenie miasta piechotą i ciągle odkrywał coś nowego. Pole golfowe – tak, oczywiście było, jakżeby inaczej. Dwie plaże, jedna na jednym końcu miasta, druga na drugim. Ale były tam również ruiny zamku. I wieża. A między gmachami college’u dostrzegł nowoczesne budynki, takie ze szkła i stali. No i port – St Andrews miało również port, niedaleko basenu z morską wodą. Ale tego dnia nikt się nie kąpał, nie było odważnych. Poza tym strome klify z tablicami ostrzegawczymi i przelatujące co chwilę wojskowe myśliwce, które przypomniały mu, że miasto sąsiaduje z bazą RAF-u.

Jednak studenci radzili tu sobie doskonale, kręcąc się po tym labiryncie i nie błędząc. Starsi mieszkańcy ucinali sobie bez troskie pogawędki na chodniku. Uśmiechnięci turyści polowali na herbatę i babeczki z gęstą śmietaną, kraciaste pledy i miniaturowe buteleczki whisky w kształcie piłki golfowej. Ale chociaż był pewny, że zaparkował na jednej z głównych ulic, znalazł samochód dopiero po kilku próbach i zdążył się przez ten czas zdenewować i porządnie na siebie zezłościć. Dwie szerokie ulice – czy to naprawdę takie trudne?

Musiał długo czekać, bo gdy dotarł w końcu na uniwersytet i znalazł właściwą osobę, okazało się, że może to potrwać parę godzin. Sekretarka z biura rekrutacji powiedziała mu to tak, jakby była to wyłącznie jego wina. Za-

pisala szczegoly: Alice Watts/nauki polityczne i filozofia/1985.

– Data urodzenia?

Pokręcił głową.

– Adres domowy?

Musiał pokręcić głową jeszcze raz.

– Wiem tylko, że mieszkała w Anstruther.

– Kiedy rozpoczęła studia?

– Nie wiem. Bardzo mi przykro.

No i tak, dlatego zwiedzał teraz miasto zaintrygowany, że te wszystkie niedające się z sobą połączyć elementy nie doprowadzają nikogo do szafu. Porównał St Andrews z Edynburgiem. Studenci, turyści, mieszkańcy – wszyscy znajdowali tu dla siebie miejsce, kształtując przestrzeń według własnego uznania. Minał elegancką przeszkloną restaurację nad brzegiem morza, woląc zjeść kanapkę z tuńczykiem i majonezem w taniej knajpce przy Byre Theatre; przy okazji porobił notatki z porannej rozmowy z Kaye'em i Naysmithem. Zapomniał poprosić sekretarkę o numer, więc nie mógł do niej zadzwonić i spytać, czy już coś znalazła. Kupił gazetę, wrócił na uniwersytet, ale jeszcze jej nie było. Był za to młody mężczyzna – w pulowerze bez rękawów i muszce – który wskazał mu krzesło. Czytając „Independenta”, czuł, że tamten ukradkiem go obserwuje. Na pewno ostrzeżono go, że będzie miał gościa z policji. Ilekroć na niego patrzył, mężczyzna szybko przenosił wzrok na ekran monitora i zaczynał bawić się myszą albo stukać w klawiaturę.

– Przepraszam. – Tymi samymi drzwiami co on weszła sekretarka. Podeszła do biurka, zdjęła płaszcz i poprawiła włosy. – Naszukałam się. – W ręku trzymała dużą brązową kopertę. Kiedy Fox stanął przy ladzie, wyjęła z niej kilka kartek formatu A4. – Mamy tylko to – powiedziała.

Alice Watts urodziła się w Glasgow w marcu 1965 roku, co znaczyło, że w chwili śmierci Vernala miała dwadzieścia lat. Wstąpiła na uniwersytet we wrześniu 1983 roku. Były tam dwa zdjęcia paszportowe do legitymacji studenckiej, jedno z 1983 roku, drugie z 1984. Przez rok bardzo się zmieniła – na tym wcześniejszym była zastraszona i myszowata, na późniejszym miała potargane włosy i pewną siebie minę. Na pierwszym roku studiów mieszkała w kampusie, na drugim w wynajętym mieszkaniu w Anstruther.

– Kawałek drogi – zauważył, czytając.

– Ale jak tam ładnie – powiedziała sekretarka.

Adres domowy? Ulica z kodem pocztowym Glasgow. Był też numer telefonu. Fox przerzucił kartkę: lista zdanych egzaminów i oceny postępów. Początkowe nazwałby „entuzjastycznymi”, ale później wykładowcy zaczęli coraz częściej nadmieniać, że Alice spędza więcej czasu „na demonstracjach niż na pisaniu esejów”. I „z uszczerbkiem dla wyników coraz bardziej zajmuje się polityką”. Odwrócił kartkę, ale była zadrukowana tylko po jednej stronie.

– A drugi rok? – spytał. – Nic?

– Wyjechała.

– Została skreślona?

Sekretarka pokręciła głową i wskazała odpowiedni fragment. Alice przestała uczyć się na zajęcia. Wysłano kilka listów do Anstruther, a w końcu na jej adres domowy. Na żaden nie odpowiedziała. Fox sprawdził daty. Tak jak mówiła Imogen Vernal, po śmierci Francisa Alice Watts nie chciała mieć nic wspólnego z uniwersytetem.

– W ogóle się nie odezwała. – Sekretarka nachyliła się ku niemu i zniżyła głos. – Została zamordowana?

Fox podniósł wzrok i pokręcił głową.

– W takim razie, co się z nią stało? – Kobieta miała rozszerzone oczy, łaknęła szczegółów. Jej kolega przestał pisać i przysłuchiwał się im z uwagą.

Fox nie odpowiedział. Zgarnął kartki.

– Zabieram – oznajmił. – Mogę?

– Oryginałów panu nie dam – odparła sekretarka, nie ukrywając zawodu. – Ale mogę je skserować.

– Długo to potrwa?

– Parę minut.

Fox kiwnął głową i zobaczył, że kobieta wyciąga do niego rękę.

– Trzydzieści pensów za kartkę – powiedziała. – Chyba że ma pan legitymację studencką...

* * *

Gdy przyjechał do Anstruther, okazało się, że Alice

Watts wynajmowała stancję niedaleko portu. Kolejka do smażalni po rybę z frytkami stała aż na ulicy. Kobieta, która tam teraz mieszkała, była malarką. Poczęstowała go herbatą ziołową, ale niczym więcej. Kupiła mieszkanie od poprzedniego właściciela, który zmarł ze starości. Tak, swego czasu było wynajmowane, ale nie wiedziała nic poza tym. Czasem przychodziły listy do ludzi, o których nigdy nie słyszała, więc wyrzucała je do kosza. Nazwisko Alice Watts nic jej nie mówiło, malarki nie odwiedził żaden z byłych lokatorów. Fox udał, że podziwia jej dzieła – na ścianach wisiały jaskrawe obrazy przedstawiające łodzie rybackie, porty i brzeg morza – po czym wyszedł, ale przedtem wcisnęła mu wizytówkę, informując, że maluje również na zamówienie.

– Będę o tym pamiętał – rzucił i uciekł.

Zastanawiał się, czy nie podskoczyć do Glasgow – półtorej godziny jazdy – ale ostatecznie zadzwonił tam z samochodu. W końcu oddzwonił do niego policjant z tamtejszego posterunku. Pofatygował się osobiście pod wskazany adres i okazało się, że...

– To biurowiec.

– Biurowiec? – Fox zmarszczył czoło i popatrzył na skserowane dokumenty. – Od kiedy?

– Do osiemdziesiątego drugiego były tam magazyny. W osiemdziesiątym trzecim zrobili remont.

19

83 – rok, w którym Watts wstąpiła na uniwersytet.

– Chyba podano mi zły adres.

– Chyba tak. Na tej ulicy nie ma ani jednego domu mieszkalnego. I o ile wiem, nigdy nie było.

Fox podziękował mu i się rozłączył. Jeszcze raz zadzwonił do domu Alice. Znowu ciągły sygnał – nie ma takiego numeru. Podniósł zdjęcia i przytrzymał jedno obok drugiego. Zza chmur wyrzało zachodzące słońce i musiał opuścić osłonę. Miał zamknięte okna, mimo to wciąż czuł zapach ryb i oleju ze smażalni.

– Mam rewolwer, który nie powinien istnieć, i studentkę, która przepadła jak kamień w wodę – powiedział do zdjęć. – Dlatego tak się zastanawiam: kim ty, do diabła, jesteś, Alice?

I gdzie teraz była?

– Dzięki, że zechciała się pani ze mną spotkać – powiedział Tony Kaye.

Kawiarnia mieściła się w wysłużonym centrum handlowym obok dworca autobusowego, same jarzeniówki i wyprzedaże. Teresa Collins miała ciemne worki pod oczami, a plamy na jej ubraniu pochodziły chyba od krwi, zapewne tej sprzed kilku dni. Pojechał do niej i przez jakiś czas siedział przed domem w samochodzie. Okno w jej pokoju – znowu rozmazana krew. Ale nie, nie wszedł do środka. Wsunął pod drzwi kartkę, na której napisał kilka słów wraz z numerem telefonu, i zaczekał, aż Collins zjedzie na dół.

– Jestem głodna – powiedziała, odgarniając z oczu potargane włosy. Na dłoniach miała wyblakłe tatuaże domowej roboty, jeden nadgarstek był zabandażowany, na drugim widniał tylko duży plaster. Podsunął jej menu.

– Cokolwiek pani sobie zażyczy.

Wzięła banana z lodami i bitą śmietaną i kubek gorącej czekolady.

– Chcę panią przeprosić za tamto – powiedział, gdy złożyli zamówienie.

– To prawda, że Carter pójdzie siedzieć za morderstwo?

Doszedł do wniosku, że kłamstwo nie zaszkodzi, i kiwnął głową.

- Nie będzie już pani nachodził.
- Biedny człowiek – wymamrotała.
- Carter?
- Nie. Ten, którego zabił.

Widział, że chciałyby zapalić. Papierosy leżały na stoliku, a ona bawiła się tanią plastikową zapalniczką. Ale kiedy podano deser, od razu zabrała się do jedzenia. Do czekolady wsypała trzy saszetki cukru. Gdy zaczęła jeść, jej twarz złagodniała jak twarz dziecka, jakby przypomniały jej się dawne przyjemności.

– Dobrze? – spytał.

– Tak. – Jednak kiedy tylko skończyła, spytała, czy mogliby wyjść. Zapłacił, wyszli na ulicę i natychmiast zapaliła, głęboko zaciągając się dymem.

– Gdzie chciałyby pani pójść?

Nie przystając, wzruszyła ramionami. Światła, druga strona ulicy. Szli w kierunku stadionu piłkarskiego.

– Kiedyś musiało być tu ładniej – powiedział. – Lepiej.

– Bywało i gorzej.

– Mieszka tu pani od urodzenia?

– Raz pojechałam do Londynu. Było koszmarne.

– Długo tam pani była?

– Dopóki kasa się nie skończyła. Trzy dni wracałam stopem do domu.

Sklepów było coraz mniej, wiele robiło wrażenie opuszczonych. Niedaleko wybrzeża stało kilka wieżowców. Teresa skręciła w stronę jednego z nich, zepsutymi drzwiami weszli do środka i wsiedli do windy.

– Coś panu pokażę – powiedziała.

Wjechali na najwyższe piętro. Gdy wyszli na galerię, zaatakował ich gwałtowny wiatr. Teresa szeroko rozłożyła ręce i stawiała mu czoło.

– Kiedy byłam mała, uwielbiałam tu przychodzić. Zawsze myślałam, że porwie mnie i gdzieś zanieśie.

Kaye spojrział w dół i zakreśliło mu się w głowie. Szybko popatrzył na morze, w kierunku Edynburga.

– Moja ciotka tu mieszkała – ciągnęła Teresa. – Tak naprawdę nie ciotka, tylko kumpelka mamy. Mieszkałam z nią, kiedy ojciec był w domu. – Po jego minie poznała, że nie bardzo rozumie. – Był wojskowym, ciągle gdzieś wyjeżdżał. Kiedy wracał, była wóda i seks, czasem bijatyka.

– Mama nie chciała, żeby pani to widziała?

Teresa wzruszyła ramionami.

– Albo nie chciała, żeby zaczął mnie bić. – Spojrzała mu w oczy. – Był w tylu miejscach, tyle nam opowiadał... i nigdy nie przywiózł mi prezentu. Ani razu. Faceci to sukiny, co? Wszyscy.

– Wychodzi na to, że ja też.

Nie zaprzeczyła, próbowała przypalić kolejnego papierosa. Rozpiął płaszcz, żeby osłonić płomień.

– Dzięki. – Oparła się o ścianę i wydmuchała smugę dymu.

– Co się stało z pani ciotką? – spytał.

– Przeprowadziła się. Potem dowiedziałam się, że umarła.

– A rodzice?

– Mama miała udar. Umarła w zeszłym roku. Nie mam pojęcia, gdzie jest ojciec.

– Nie chce pani wiedzieć?

Pokręciła głową.

– W pani życiu nie ma teraz żadnego mężczyzny?

– Bywają – odparła. – Ale tylko wtedy, kiedy brakuje mi kasy. – Uśmiechnęła się smutno. – Ma pan trochę gotówki na zbyciu?

– Mógłbym pożyczyć pani dwadzieścia funtów.

Zmrużyła oczy.

– Niby dlaczego miałby pan to robić, panie władzo?

Kaye wzruszył ramionami i głębiej schował ręce.

Odgarnęła włosy z oczu.

– Właściwie czego pan ode mnie chce?

– Jestem po prostu ciekawy.

Teresa milczała. Czekwała na ciąg dalszy.

– Początkowo nie wniosła pani skargi przeciwko Carterowi. Ale potem zmieniła pani zdanie. Dlaczego?

– Nie mogłam pozwolić, żeby uszło mu to na sucho.

– Ćwiczyła pani tę kwestię? Tak to zabrzmiało.

– I co z tego? Powtarzałam to w nieskończoność. Myśli pan, że ktoś mi zapłacił? Tak pan myśli?

Zwęziły mu się oczy.

– Nie przyszło mi to do głowy – odparł spokojnie.

Teresa odwróciła się i objęła w pól, mocno trzymając papierosa między kciukiem i palcem wskazującym.

– Nikt nie musiał mi płacić – mruknęła. – Zrobiłam to, bo trzeba było to zrobić.

– Ale rozmawiała pani z kimś? To chce pani powiedzieć? – Kaye podszedł krok bliżej, pamiętając, co powiedziała w kawiarni. „Biedny człowiek...”. – Z wujem Paula? Z Alanem Carterem?

Teresa patrzyła w niebo. Wiatr znowu owinał jej twarz włosami i wyglądała jak okutana szalem.

– Z Alanem Carterem? – drażył Tony.

Nagle stanęła na palcach i szeroko rozłożyła ramiona. Przez chwilę myślał, że skoczy w otchłań. Nawet wyciągnął do niej rękę. Miała zamknięte oczy, jak dziecko szykujące się do lotu.

– Tereso? Te wszystkie rzeczy o Paulu... To prawda?

– Zasłużył na to – wyrecytowała. – Przyniósł hańbę policji.

To nie były jej słowa. Ale mógłby tak powiedzieć policjant. W czynnej służbie albo na emeryturze.

– To nie mogło ująć mu na sucho. Nie chodzi tylko o mnie. Byłyby następne. – Wciąż miała zamknięte oczy. – Zasłużył na to.

Zacisnął palce na jej szczupłym przedramieniu.

– Chodźmy do windy – powiedział.

– Nie mogę tu jeszcze trochę zostać?

– Nie, nie sama. – Spojrzała na niego. – Chcę, żeby była pani bezpieczna.

– Wszyscy tak mówią. Wszyscy chcą się opiekować. – Po jej policzku spłynęła łza i nie wiedział, czy tylko z powodu wiatru. – Ale potem się zmieniają – dodała cicho.

Nie zaprotestowała, gdy poprowadził ją do windy, odbierając jej nadzieję na ucieczkę.

* * *

Joe Naysmith spojrział na sierżanta i natychmiast się rozmyślił. Od przybycia tych z Wydziału Zabójstw Robinson wyglądał tak, jakby miał za chwilę eksplodować. Jego posterunek, jego królestwo – może kiedyś, ale na pewno nie teraz. W holu ciągle roило się od detektywów i mundurowych dźwigających sprzęt albo zarzucających go pytaniami i żadaniami. Chcieli krzesel, chcieli biurek, chcieli rozgałęziaczy do centrum koordynacyjnego. Prawie nikt go nie zauważał, nikt nie przystanął, żeby z nim pogadać.

Nie, Naysmith wątpił, czy coś by z niego wyciągnął. Nieważne: miał plan awaryjny. W śledczym panował chaos, ale wypatrzył w kącie Cheryl Forrester, która obserwowowała to wszystko rozemocjonowanym wzrokiem. Dostrzegła go i gestem ręki wywołał ją na korytarz. Gdy podeszła, wrzucał monety do automatu z napojami.

– Napijesz się czegoś? – spytał.

– Sprite’a. – Cheryl przysunęła się bliżej, bo tuż obok przebiegło dwóch detektywów.

– Jak to znosisz?

– Świetnie. Chcesz mnie znowu przesłuchać?

– Tak jakby.

Joe zdał sobie sprawę, że na korytarzu nie będą mieli

spokoju, więc poprowadził ją w stronę schodów. Spytała, czy on się nie napije.

– Zabrakło mi drobnych – odparł.

Uśmiechnęła się i podała mu otwartego sprite'a. Wypił łyk i zwrócił jej puszkę.

– Jakie to tajemnicze – szepnęła, rozglądając się wokół.

– Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobiła. Pewnie nie pamiętasz detektywa Gavina Willisa...

– Słyszałam to nazwisko.

– Zmarł dawno temu. Ale może znałaś inspektora Hendrysona?

– Oczywiście. – Cheryl głośno siorbnęła, spijając sprite'a z brzegu puszki.

– Można się z nim jakoś skontaktować?

– Jest na emeryturze.

– Nigdy tu nie wpada?

Pokręciła głową.

– Z Portugalii? To kawałek drogi.

– Przeprowadził się do Portugalii?

– To był chyba pomysł jego żony. Czasem przysyła nam pocztówkę i zawsze pisze, że morze jest ciepłe.

– W takim razie ktoś musi mieć jego adres, nie?

Cheryl zmrużyła oczy.

– O co tu właściwie chodzi?

– Nie mam pojęcia – skłamał. – Wypełniam rozkaz szefa.

– Skąd ja to znam. – Lekko przekrzywiła głowę. –

Robisz coś wieczorem?

– Bo?

– Bo może postawiłbyś mi drinka albo nawet kolację, jakbyś chciał. Do tego czasu powinnam coś znaleźć.

Naysmith zmarszczył brwi.

– No nie wiem...

– Bo jesteś ze Skarg?

– Właśnie.

– Przecież to nie ja jestem podejrzana, prawda?

– Ale twoje nazwisko pojawi się w końcowym raporcie.

– To co?

– Chodzi o etykę zawodową.

– Zjemy tylko kolację, to wszystko. No i podam ci adres, na który poluje twój szef.

Naysmith udał, że się zastanawia.

– No dobrze, zgoda.

– Chyba że jesteś za bardzo zajęty. – Zaczęła się z nim droczyć.

– Gdzieś tutaj?

Pokręciła głową.

– Znam fantastyczną knajpkę w północnym Queensferry.

– Dlaczego akurat tam?

– Bo tam mieszkam.

– Naprawdę?

Kiedy się uśmiechnęła, on też nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Dobra – zdecydował. – Czemu nie?

Profesor John Martin – dla kolegów i przyjaciół JDM – mieszkał w eleganckim bloku za edynburskim zoo. Chociaż pod wieczór zrobiło się chłodno, z wyraźną przyjemnością zaprowadził Foxa na balkon.

– Słyszysz je pan? – spytał.

Fox kiwnął głową. Posapywanie, porykiwanie i popiskiwanie: zwierzęta.

– Czasem je czuć – mówił profesor. – Każdy, kto ma tu ogród, nagabuje ich o nawóz. Ma właściwości odstręczające.

– To znaczy?

– Odstrasza koty i nie rozgrzebują klombów.

Mieszkanie mieściło się na trzecim piętrze. Okna nie wychodziły bezpośrednio na zoo, ale Fox widział z balkonu Pentland Hills na południu i słyszał samochody na Corstorphine Road. Profesor wrócił do mieszkania, wrócił więc i on, zasuważąc za sobą drzwi. Słychać było cichutką muzykę klasyczną: brzmiała nowocześnie i minimalistycznie. Całą ścianę w dużym, otwartym pokoju zajmowały zastawione książkami półki i komplet mebli obitych kremową skórą. Łukowate przejście prowadziło do błyszczącej od chromu kuchenki wyłożonej mahoniową boazerią.

– Ładne mieszkanie – skomplementował go Fox. – Od dawna pan tu mieszka?

– Od paru lat. – Martin nalał sobie czerwonego wina, a jemu podał szklanekę wody z bąbelkami. – Dziecko wyfrunęło z gniazda i przeprowadziliśmy się do czegoś mniejszego. – Zakręcił winem i podniósł kieliszek do nosa. – Przyznaję, że jestem zaintrygowany. Jak mnie pan znalazł?

Fox wzruszył ramionami z nadzieją, że wypadło to skromnie.

– Przez cały weekend surfowałem po internecie: szkockie bojówki w latach osiemdziesiątych. Ciągłe wyskakiwało pańskie nazwisko. Kiedy zobaczyłem, że napisał pan o tym książkę...

– Nakład jest już dawno wyczerpany. To była moja praca doktorska.

Fox pomyślał, że to by pasowało. Martin miał wtedy czterdzieści kilka lat, był wysoki, wysportowany i przystojny. Zauważył rakietę tenisową w korytarzu i jego zdjęcie z jakimś pucharem. Książka wyszła w 1992 roku, więc...

– Napisał ją pan pod koniec lat osiemdziesiątych?

– Skończyłem w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym – potwierdził profesor. – Ale nie odpowiedział pan na pytanie: jak mnie pan znalazł?

– Z pańskiej biografii internetowej wyczytałem, że wykładał pan na Uniwersytecie Edynburskim. – Fox znowu wzruszył ramionami. – Ale zanim tam zadzwoniłem, postanowiłem zajrzeć do książki telefonicznej.

Martin stłumił śmiech.

– Łatwe, kiedy wie się jak. – Podniósł kieliszek jak do toastu. – Ale muszę przyznać, że mało już z tego pamiętam. Z biegiem lat zmieniłem zainteresowania...

– Szkocka polityka – wyrecytował Fox – procedury konstytucyjne, parlament i protokoły...

Kieliszek Martina znowu powędrował do góry.

– To był chyba dobry ruch – ciągnął Fox. – Dzisiaj nie ma już tylu bojówek.

– Nauczka z Irlandii Północnej – powiedział z uśmiechem profesor. – Sprowadźcie terrorystów na łono rodziny. Będą nosić garnitury i rządzić krajem.

– Odniósłby pan to i do Szkocji?

Martin zastanowił się.

– Nie jestem pewny. SPN poprawiła swój image i wybrała przywódcę, który pasuje do ich retoryki. A przekazanie władzy parlamentowi dało im trybunę. Nie mają powodu do narzekań.

– Ale w latach osiemdziesiątych mieli dużo.

– W siedemdziesiątych też – zauważył Martin. – A korzenie sięgają jeszcze dalej... Chyba znajdę dla pana egzemplarz mojego magnum opus.

– Książkę? Już ją zamówiłem.

– Znowu ten internet?

– To chyba egzemplarz recenzyjny.

– Prawdziwa rzadkość, mój wydawca niechętnie ją promował. – Profesor zrobił pauzę. – Czy to ma coś wspólnego z tymi bombami?

– Z bombami?

– Pod Peebles i Lockerbie. Chyba nie myślicie, że wrócili ci ze SNAW albo im podobni?

– Jeden z moich kolegów też się nad tym zastanawiał. Ale wątpię, żeby ktokolwiek spoglądał dzisiaj w tym kierunku. Nie, nie po to przyjechałem. Chciałbym spytać pana o Francisca Vernala.

Martin wypił łyk wina.

– To ktoś, kogo bardzo chciałem poznać, lecz nie poznałem. Jego przemówienia czytało się znakomicie, ale usłyszeć go na żywo to zupełnie coś innego. Zachowało się kilka nagrań. I relacji filmowych.

Fox skinał głową.

– Coś wypłynęło? Nowe dowody?

– Bardziej chodzi o moje prywatne zainteresowania.

– A więc jest pan tu nieoficjalnie?

– Powiedzmy, że półoficjalnie.

Martin popadł w zadumę.

– Było z tym trochę przebojów – powiedział w końcu.

– Pewnego ranka miałem nieodparte wrażenie, że ktoś u mnie był i przejrzał kilka rozdziałów. Potem, kiedy praca trafiła już do biblioteki uniwersyteckiej, ktoś ją ukradł. Leżała tam ledwie tydzień... Zaczynałem już wierzyć w teorie spiskowe.

– Ale je pan odrzucił?

– Francis Vernal był pijakiem i nie układało mu się w małżeństwie. Nikt się nie zdziwił, że tak się to skończyło.

– Czy pisząc książkę, rozmawiał pan z jego żoną?

- Nie chciała mnie przyjąć.
- Jak pan zbierał materiały?
- W jakim sensie, panie inspektorze?

Muzyka umilkła. Martin wziął ze stolika niewielkiego białego pilota i muzyka zagrała ponownie, ciąg tych samych melodii.

– Próbował pan porozmawiać z panią Vernal, czyli wolał pan kontakt bezpośredni. Dlatego zastanawiam się, czy udało się panu porozmawiać z członkami tych ugrupowań.

– Tylko z kilkoma sympatykami i tymi, którzy jeździli z nimi po kraju. Napisałem do wszystkich.

– I?

– Prawie nikt nie odpowiedział, więc napisałem jeszcze raz... Ale co to ma wspólnego z Francisem Vernalem?

– Krążyły plotki, że był kimś w rodzaju bankiera.

– To prawda.

– Próbuję odtworzyć jego obraz... – Fox zrobił pauzę.

– Myśli pan, że odebrał sobie życie?

– Albo odebrał, albo żona go zabiła.

– Dlaczego miałyby to robić?

– Może kryła swoich kochanków, a może Vernal kogoś miał.

– Pani Vernal twierdzi, że to prasa wymyśliła te wszystkie plotki o jej zdradach.

Profesor uniósł brwi.

– Pan z nią rozmawiał? – To zrobiło na nim wrażenie, był zaintrygowany. Wzniósł kolejny toast, tym razem pu-

stym kieliszkiem. Poszedł do kuchni po dolewkę.

Fox czekał.

– Czy natrafił pan na coś, co łączyłoby go z terrorystami?

– Vernal nazwałby ich bez wątpienia „bojownikami o wolność”. Albo „członkami ruchu oporu”. – Martin wrócił, kręcąc winem w kieliszku. W końcu przyznał: – Zdobyłem tylko informacje z niepotwierdzonych źródeł. Ten czy tamten wymienił jego nazwisko. Były również protokoły z narad, zwykle szyfrowane, ale łatwe do odczytania. Często nazywano go „Rumpole'em”¹⁷.

– Od tego z telewizji?

– Vernal też był prawnikiem.

– A więc bywał na tych spotkaniach?

– Tak.

– Może je nawet prowadził?

– Nikt nie wspominał o nim jako o przywódcy. Słyszał pan o Donaldzie MacIverze?

MacIver: kolejne nazwisko z internetu. Fox kiwnął głową.

– Jest w Carstairs. – Carstairs: dobrze strzeżony szpital psychiatryczny.

– Dlatego nie mogłem z nim porozmawiać. MacIver dowodził Komandem Mroczne Żniwa. Niemal na pewno znał Vernala... – Martin urwał. – Sugeruje pan, że Vernala zabili ci sami ludzie, którym pomagał?

– Nie wiem.

– Albo że był to spisek establishmentu?

– Nie mam pojęcia. Utrzymawał, że włamano się do jego domu i biura, a jego żona to potwierdza. Może ktoś go obserwował. Przed chwilą powiedział pan, że obserwowano także pana.

– Było jeszcze gorzej: mój pierwszy wydawca zbankrutował, a drugiemu książka przestała się nagle podobać. W końcu musiałem pójść z nią do małej lewicowej oficyny. Wydali ją byle jak.

– Zaostrzył pan tylko mój apetyt – zażartował Fox.

– Mam nadzieję, że pan nie przepłacił.

– Na pewno jest warta każdego pensa.

– Niczego nie gwarantuję, panie inspektorze. – Martin usiadł wygodnie i położył ręce na podłokietnikach.

– A jakieś inne nazwiska? – spytał Fox.

– Paru z nich wciąż jest prawdopodobnie niespełna rozumu: mieszkają na Hebrydach, żyją jak pustelnicy i piszą anarchistyczne blogi. Ale z biegiem lat większość stwierdziła pewnie, że im są starsi, tym bardziej przypominają tych, którymi kiedyś pogardzali.

– Establishment?

– To byli inteligentni ludzie, panie inspektorze.

– Nawet ci, którzy zgarniali garściami węglika na Gruinard?

– Nawet ci. – Profesor był trochę senny po winie. – Ale teraz wszystko się zmieniło, prawda? Nacjoniści weszli do głównego nurtu. I gdyby mnie pan spytał, powiedziałbym, że wygrają następne wybory. Za kilka lat możemy żyć w niezależnej demokracji europejskiej. Bez królowej,

bez Westminsteru, bez nuklearnego odstraszenia. Parę lat temu rzecz nie do pomyślenia, nie mówiąc już o latach osiemdziesiątych.

– W sumie o to walczyli SNAW i inni – zgodził się z nim Fox.

– To prawda.

– Czy oprócz pustelników i pacjentów szpitali psychiatrycznych jest ktoś, z kim mógłbym o tym porozmawiać?

– Zna pan Johna Elliota?

– Chyba nie.

– Cały czas pokazują go w telewizji. Wiadomości i aktualności.

– Nigdy go nie widziałem.

– Zasłużył na wzmiankę w mojej książce.

– A Alice Watts?

– Kto?

Fox powtórzył nazwisko, ale było oczywiste, że profesor nigdy o niej nie słyszał. Mimo to Fox pokazał mu zdjęcia. Martin zamrugał, jakby miał trudności ze skupieniem wzroku.

– Nareszcie! – powiedział z nagłym ożywieniem. – Nareszcie wiem, jak się nazywa. – Wstał powoli i ostrożnie, ale dotarł do półki, prawie nie zbaczając z trasy.

Fox podszedł bliżej – Martin zdjął z półki swoją książkę. *To już nie banda łajdaków: przyczyny wzmożonej agresji dysydentów w powojennej Szkocji.*

– Chwytny tytuł – zauważył Fox.

– Parafraza cytatu z Burns¹⁸. – Profesor otworzył książkę mniej więcej w dwóch trzecich objętości, na rozdziale z czarno–białymi zdjęciami. Wskazał jedno z nich. Zajmowało pół strony i przedstawiało chyba demonstrację Ruchu na rzecz Rozbrojenia Atomowego.

– Coulport – wyjaśnił. – Baza magazynowo–przeładunkowa głowic nuklearnych rakiet Polaris. Co tydzień wyruszał stamtąd konwój ciężarówek do zakładów Royal Ordnance¹⁹ w Reading.

– Przecież to kilkaset kilometrów.

– Właśnie, w dodatku zwykłą drogą! Wypadek, porwanie... Trudno sobie wyobrazić, jak bardzo ryzykowali.

Niedziela 7 kwietnia 1985 roku – tego dnia aresztowano dziesięciu demonstrantów. Trzy tygodnie później zginął Vernal.

Palec Martina przesunął się na zdjęcie na dolnej połowie strony.

– Widzi go pan?

– Widzę – odparł cicho Fox.

Drugie zdjęcie przedstawiało demonstrację przed posterunkiem policji, w którym przetrzymywano prawdopodobnie dziesięciu „męczenników” z Coulportu. Na pierwszym planie, starszy od otaczających go towarzyszy, stał Francis Vernal. Obok niego zaś, w ogrodniczkach i czapce z dzianiny, stała Alice Watts.

– Kto ją trzyma pod rękę? – Nie chodziło mu o Vernala, tylko o mężczyznę po jej lewej stronie. Wysoki

i długowłose, był w okularach przeciwsłonecznych i miał bujną czarną brodę.

– Też chciałbym wiedzieć. Więc mówi pan, że nazywała się...

– Alice Watts – powtórzył Fox.

– Watts... – Martin uśmiechnął się szeroko. – Brawo, panie inspektorze. Dwadzieścia lat za późno, ale brawo.

– Proszę mnie oświecić.

– Kolejny pseudonim. „Para”. – Profesor nie przedstawiał się uśmiechać.

– Jak w silniku parowym Watta?

– Od Jamesa Watta do Alice Watts.

Fox kiwnął głową: to było całkiem prawdopodobne.

– Zachował pan notatki z ich narad?

– To są tylko notatki z notatek. Pokazano mi je. Nie pozwolono mi ich zabrać.

– Pokazał je panu któryś z ich sympatyków?

– Przeciwnie. Problemem tych wszystkich odłamów było to, że nie mogły przestać się dzielić. A kiedy któryś się odłączał, było jak podczas burzliwego rozwodu. Pokazano mi te notatki na dowód tego, że była to straszna amatorszczyzna.

Fox podniósł palec.

– Konkretnie o jakiej frakcji mówimy?

– O KMŻ.

– Komando Mroczne Żniwa?

– Paramilitarne skrzydło Szkockiej Armii Obywatelskiej: byli ekstremistami, nawet według największych

ekstremistów. Wspomniał pan o węgliku...

– I Alice Watts była ich członkinią? – Fox jeszcze raz przyjrzał się zdjęciu.

– Myślę, że tak. To ważne?

– A gdybym powiedział panu, że Francis Vernal był jej kochankiem? I że zniknęła natychmiast po jego śmierci?

Profesor umilkł. Zamknął książkę i przycisnął ją do piersi.

– Myślę – odparł cicho – że trzeba by było napisać tę historię od nowa.

– Jest jeszcze lepiej – dodał Fox. – Bo o ile udało mi się ustalić, Alice Watts w ogóle nie istniała...

* * *

Tego wieczoru oglądał telewizję z przyciszonym dźwiękiem i nie odebrał telefonu od siostry i dwóch od Evelyn Mills. Zastanawiał się, jak to jest mieszkać obok zoo, słyszeć i czuć zapach zwierząt, nigdy ich nie widząc.

Jak to jest studiować i mieszkać w dziurze takiej jak Anstruther.

Albo pracować w dzienniku telewizyjnym.

Albo siedzieć w Carstairs.

Albo być podejrzanym o morderstwo.

Kiedy na ekranie pojawiły się napisy końcowe, zdał sobie sprawę, że wyświetlano jakiś film. Nie pamiętał ani jednej sceny.

Jude przysłała mu SMS-a: *Jedź do ojca. Twoja kolej!*
Słusznie. Poza tym, nie żebyś miał coś lepszego do roboty, Foxy.

„To już nie banda łajdaków...” – przekreślony cytat z Burnsa. Nie czytał go od szkoły. Otworzył laptop, źródło wszelkiej wiedzy, w tym wiarygodnej. Tak, poszuka tego cytatu. A potem sprawdzi parę nazwisk, Donalda MacIvera i Johna Elliota.

A zaraz potem pójdzie do łóżka, tak sobie obiecał.

I może uchyli trochę okno, żeby posłuchać odgłosów nocy.

Obudził się wcześniej i pojechał do Lauder Lodge. W ogrodzie była ławka i Mitch Fox lubił na niej siadywać, więc okrył mu nogi pledem, który dostał od pielęgniarki. Ale czapka i szalik? Ojciec kategorycznie odmówił.

– Jeszcze trochę i będę wyglądał jak mumia.

Wysoki parkan chronił ich przed podmuchami wiatru znad morza. Ogrodnik był tak stary, że sam nadawałby się na pensjonariusza. Pozdrowił ich skinieniem głowy i poszedł robić swoje.

– Nie lubiłem grzebać w ziemi – powiedział Mitch.

– Za to mama miała dobrą rękę do roślin.

– Gdybym miał coś do gadania, zrobiłbym z ogródka patio.

– Pamiętasz, jak huśtałem się na sznurze do bielizny? Pękł i spadłem na kamienie.

– Tak, mama zadzwoniła do mnie ze szpitala. Trzy szwy?

Fox potarł ciemię.

– Pięc.

Ojciec uśmiechnął się.

– Wiesz, co wtedy powiedziała? Że będzie miała dużo prania.

Fox to pamiętał: owinęła mu głowę ręcznikiem kąpielowym, żeby zatamować krew.

Mitch zobaczył, że syn próbuje stłumić ziewnięcie.

- Późno poszedłeś spać?
- Dość późno.
- Interesy czy rozrywka?
- Zgadnij.
- Praca pracą, synu, ale musisz mieć coś z życia. Teraz już wiem, dlaczego przez kilka dni nie wpadałeś.
- Ale Jude była?
- W sobotę i niedzielę. Odnotowano twoją nieobecność.
- Byłem zajęty.
- A więc nie unikasz nas?
- Nie. – Fox poprawił się na ławce. – Tylko że zawsze się kłócimy.
- Ty z siostrą? – Mitch pokiwał głową. – Chyba drażni ją, że za mnie płacisz.
- Do nikogo nie mam o to pretensji.
- Ale znowu podwyższyli opłatę, tak?
- To nie problem.
- Może Jude myśli, że problem.
- Fox tylko wzruszył ramionami.
- Co słyszeć w Fife? – spytał ojciec po chwili milczenia.
- Byłem w Saint Andrews.
- Raz pojechaliśmy tam z mamą na kemping, kiedy ze sobą romansowaliśmy. Musiałem się nieźle nagimnastykować, żeby jej ojciec się nie dowiedział. – Mitch spojrzał na syna. – Co cię tak śmieszy?
- Nie, nic. „Romansowaliśmy”. Nikt tak już dzisiaj nie

mówi.

– A co się mówi?

– Nie wiem, chyba „umawialiśmy się”... Byliśmy kiedyś w Saint Andrews, tak rodzinie?

– Może raz... Pamiętasz to?

Fox pokręcił głową.

– Chyba dużo zapomniałem.

– Witaj w klubie. Pamiętam, że przyczepa na kempingu była jasnozielona, a nie pamiętam, co jadłem wczoraj na kolację. – Mitch zobaczył, że Malcolm znowu tłumi ziewnięcie. – Mam w łazience proszki na sen, weź kilka, i już.

– Może i wezmę – odparł półżartem Fox.

– Jude znowu grzebała w zdjęciach. Nie wiem, czy ze względu na mnie, czy na siebie.

– Może ze względu na was oboje.

– W tym pudełku jest mnóstwo wspomnień. Ale zdjęć tej przyczepy nie ma... – Ojciec zamyślił się. – Przyjemnie było na tych naszych wyjazdach. Może właśnie tego szuka Jude? Czasów, kiedy trzymaliście się razem, jak jedna drużyna?

– Nadal jesteśmy jedną drużyną: ona cię odwiedza, ja płacę rachunki.

– Mógłbym przenieść się gdzie indziej, do czegoś tańszego. Nic dziwnego, że nie stać cię na nową koszulę czy krawat.

Fox zerknął w dół.

– Coś z nimi nie tak?

– W tej samej koszuli i krawacie byłeś tu ostatnim razem.

– Naprawdę? Nie pamiętam.

Mitch uśmiechnął się nagle i klepnął go w kolano.

– Ja też nie. Chciałem cię tylko wkurzyć.

– Wielkie dzięki.

– Nie ma za co.

Kiedy przyniesiono im herbatę, wciąż się uśmiechali.

– Aha – powiedział starszy Fox. – Przepraszam za tamto. Za to, że dogryzałem ci przy Sandym.

– To było dogryzanie?

– Byłeś urażony, widziałem. Ale obaj wiemy, że jesteś dobry w swoim fachu.

– Mówiliście co innego. Pytaliście mnie, czy będę siedział w Skargach do końca życia. Sam się nad tym zastanawiałem.

– Mimo to przepraszam.

– Nic się nie martw. Kiedy Jude znowu powie, że jestem twoim ulubieńcem, będę miał trochę amunicji.

– Przecież jesteś.

Fox podniósł wzrok.

– Jej też to mówisz, kiedy mnie nie ma?

– Oczywiście.

– Tak myślałem.

Mitch Fox wybuchnął śmiechem i syn do niego dołączył. Nie mógł się oprzeć.

* * *

Siedzieli we trzech w biurze: on, Kaye i Naysmith. Kiedy Joe, ciągle ziewający i nieogolony, poszedł zrobić kawę, Tony zdał Foxowi relację ze spotkania z Teresą Collins.

– Rzecz w tym – zakończył – że jeśli Alan Carter rzeczywiście namówił ją, żeby zeznawała przeciwko Paulowi, Paul jest głównym podejrzanym w sprawie o morderstwo.

– Fakt, bo teraz to już morderstwo – potwierdził Naysmith. – Prokuratura dała zielone światło Wydziałowi Zabójstw.

– Kiedy się dowiedziałeś? – spytał Kaye.

Joe lekko się zawahał.

– Wczoraj wieczorem.

Tony posłał mu drapieżny uśmiech.

– Kim jest twój informator, staruszkule? Pewna młoda dama ze śledczego? Chyba do późna u niej siedziałeś, co?

Naysmith wciąż stał tyłem do kolegów i kończył robić kawę.

– Billie i Bekkah знаły Alana Cartera tylko przez chłopaka Billie, tak? – spytał Fox.

– Przez Tosha Gariocha – potwierdził Tony. – Pogadać z nim?

– Nie zaszkodzi.

– Mamy powody przypuszczać, że kapował na swojego szefa?

Fox wzruszył ramionami i wziął kubek od Naysmitha.

Biorąc swój, Kaye czule zacmokał. Joe zmarszczył brwi, ale nie spojrzał mu w oczy.

– Joe – rzucił Fox – masz coś o tym Willisie?

– Niezupełnie. – Naysmith usiadł na biurku, spuścił nogi i postawił kubek obok siebie. – Udało mi się tylko zdobyć numer tego Hendrysona. Mieszka w Portugalii. Numer i adres... – Pomachał kartką z notesu.

– A wszystko to tylko za cenę dziewictwa – dogryzł mu Kaye.

Joe puścił to mimo uszu.

– À propos: Haldane wrócił z chorobowego. Dziś rano.

– Co znaczy, że możecie go oficjalnie przesłuchać. – Fox wstał, wziął od niego kartkę i spojrzał na numer. – Portugalia, he?

– Portugalia.

– I masz to od tej Forrester?

– Tak.

– Uważaj, Joe.

– Z wrogiem się bratasz – dodał uszczypliwie Tony.

– Ona nie jest wrogiem – stanął w jej obronie Naysmith.

– Może i nie, ale mimo wszystko...

Tony i Joe zbierali się już do wyjścia, kiedy przyszedł McEwan.

– Jedzicie do Fife?

Kaye machnął ręką w stronę Foxa.

– Kiedy odzyskamy kumpla?

– To nie ode mnie zależy. Co z raportem końcowym?
Długo jeszcze?

– Nikt się do niczego nie przyznaje – odparł Tony.

McEwan spojrzał na Naysmitha.

– To prawda, Joe?

– Tak, panie inspektorze.

– Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

– Nikt się do niczego nie przyznaje – powtórzył jak echo Joe. – A podsłuch... – Gwałtownie urwał, bo Kaye dźgnął go łokciem w nerki.

– Jaki podsłuch? – spytał cicho McEwan.

– Właśnie mieliśmy go zdjąć... – Fox podszedł bliżej.

– Nie wydawałem zgody na żaden podsłuch.

– To była decyzja tych z Fife.

– Powinniście byli mi powiedzieć.

– Przepraszam, Bob.

McEwan wycelował w niego palec.

– Nie podoba mi się to.

– Tak jest, panie inspektorze.

McEwan spiorunował go wzrokiem i spojrzał na Kaye'a i Naysmitha.

– No to jedźcie już, jedźcie.

Tony'emu nie trzeba było tego powtarzać: wypchnął Naysmitha za drzwi i wyszedł.

– Co tu się, dzieje, Malcolm?

– Nic takiego.

– Kogo podsłuchujecie?

– Scholesa. Ale ponieważ Carter jest podejrzany

o morderstwo, musimy zrezygnować.

– Malcolm, procedura jest bardzo prosta: trzy przesłuchania, trzy raporty.

– Tego rodzaju sprawy lubią się rozrastać, dobrze o tym wiesz.

McEwan znowu wycelował w niego palec.

– To prosta procedura – powtórzył, akcentując każde słowo. – Jeśli wprowadzacie jakieś zmiany, chcę wiedzieć, dlaczego i po co. Zrozumiano?

– Tak jest.

Fox wiedział, że musi poczekać na właściwy moment. Usiedli przy biurkach i w milczeniu wzięli się do pracy. Gdy Fox wstał, żeby zrobić kawę, McEwan odmówił, co znaczyło, że wciąż jest zły. Czterdzieści pięć minut później inspektor spojrzął na zegarek, westchnął i wstał.

Znowu narada.

– Masz co robić? – spytał.

– Jak zawsze – odparł Fox.

McEwan wziął dokumenty i wyszedł, ale zaraz wrócił, bo zostawił komórkę w ładowarce obok gniazdka. Kiedy wyszedł po raz drugi, Fox wyjrzał na korytarz, by sprawdzić, czy teren jest czysty. Zamknął drzwi, usiadł przy biurku, podniósł słuchawkę i zadzwonił do Portugalii. Odebrała jakaś kobieta, więc powiedział, że chciałby rozmawiać z panem Hendrysonem.

– To ty, Andrew?

– Nazywam się Fox, dzwonię z Edynburga.

– Chwileczkę – zaświergotała. Położyła słuchawkę na

czymś twardym i zawołała: – Rab! Do ciebie, ze starego kraju!

Przez chwilę panowała cisza. Fox próbował wyobrazić sobie tę scenę: widok na płaską jak lustro błękitną zatokę. Drewniany taras z leżakami. Emerytowany inspektor policji w japonkach i luźnych szortach. A w pobliżu pole golfowe i stary kumpel imieniem Andrew, też na obczyźnie, którego głos był trochę podobny do jego głosu...

Ktoś podniósł słuchawkę.

– Robert Hendryson.

– Dzień dobry, nazywam się Malcolm Fox. Jestem inspektorem policji okręgu Lothian i Borders.

– Wiem.

– Tak?

– Pitkethly mi mówiła.

– Naprawdę?

– Kiedy objęła stanowisko, często do mnie dzwoniła. Musiała to wszystko ogarnąć i nie zawsze umiała znaleźć klucz czy jakiś formularz.

– I wciąż jesteście w kontakcie?

– Zadzwoiła, żeby powiedzieć mi o Alanie Carterze.

– Znał go pan?

– Trochę. On był ze śledczego, ja nie. Sam pan wie, policja to kasty. Poza tym, kiedy przejąłem posterunek, był już na emeryturze.

– Co powiedziała panu inspektor Pitkethly?

– Tylko to, że przyjechali ci ze Skarg i kieruje nimi jakiś Fox. No i opowiedziała mi o młodym Carterze...

– Znał go pan pewnie lepiej niż wuj.

– Paul potrafił zaleźć za skórę, inspektorze. Ale miał wyniki i dopóki nie przeszedłem na emeryturę, nigdy nie słyszałem o nim złego słowa.

– Czy kiedy postawiono mu zarzuty, nie zważył pan w jego niewinność?

– Będzie niewinny, dopóki nie udowodnią mu winy – wyrecytował Hendryson. – O to chodzi? – Zrobił pauzę i odpowiedział sam sobie: – Oczywiście, że o to. Chce pan się dowiedzieć, czy kumple rzeczywiście go kryją. A może myśli pan, że sprawa wykracza poza Wydział Śledczy, a nawet poza posterunek, co?

– Nie, bynajmniej, inspektorze.

– Nie muszę z panem rozmawiać. Wie pan? – Hendryson mówił coraz bardziej poirytowanym głosem. – Mogę zaraz odłożyć słuchawkę.

Fox czekał, aż inspektor nabierze powietrza. Wtedy wypowiedział nazwisko Willisa i umilkł.

– Słucham? – nie zrozumiał Hendryson zaskoczony nagłą zmianą tematu.

– Gavin Willis – powtórzył Fox. – Mógłby mi pan coś o nim powiedzieć? Proszę się nie obawiać, on od dawna nie żyje.

– Dlaczego pan pyta?

– Ze zwykłej ciekawości. Alan Carter też już nie żyje, a z tego, co wiem, byli w bardzo bliskich stosunkach.

– Co mają do tego Skargi?

– Dobre pytanie. Wszystko wskazuje na to, że Paul

Carter zostanie oskarżony o morderstwo. Jestem w mniejszości, bo nie sądzę, żeby to zrobił. Próbuję się dowiedzieć, jak żył jego wuj, i mam nadzieję, że pomoże mi to zrozumieć, dlaczego zginął.

Hendryson trawił to przez chwilę.

– Tak – powiedział w końcu – rozumiem. Ale, niestety, prawie go nie znałem, tym bardziej kiedy był w czynnej służbie.

– Ale widywaliście się, rozmawialiście?

– Czasem, na jakichś tam imprezach czy spotkaniach, chociaż polegało to głównie na tym, że szliśmy na kielicha po pracy.

– Jakim był człowiekiem?

– To był chłop na schwał, zdecydowany i zasadniczy, prawdziwy skarb. Kiedyś bardzo takich ceniliśmy. Znał wszystkich w mieście i kiedy coś się działo, zawsze wiedział, kto za tym stoi. Graffiti na ścianie, wybite okno: sprawiedliwość wymierzał na miejscu.

Foxowi przypomniały się słowa Alana Cartera: „To prowincja, a na prowincji sprawy załatwia się po cichu”.

– Sprawca obrywał w ucho?

– Tylko kiedy zachodziła taka potrzeba. Nie było wtedy tych wszystkich liberałów i mięczaków, którzy podnoszą krzyk o byle prztyczka.

– Dlatego pan wyjechał?

– Żona chciała mieć trochę słońca. Ale musi pan przyznać, że służba jest teraz dużo trudniejsza.

– Musimy się bardziej pilnować.

– A ponieważ pracuje pan w wewnętrznym, uważa pan oczywiście, że tak jest lepiej.

Fox nie chciał się kłócić, dlatego spytał go o relacje łączące Willisa i Alana Cartera.

– Byli jak nauczyciel i najlepszy uczeń. Odkąd Alan przyszedł do śledczego, Gavin pilnował, żeby nie stała mu się krzywda.

– Pracowali razem nad sprawą Francisca Vernala?

Chwilę trwało, zanim Hendryson skojarzył sobie to nazwisko.

– Tego prawnika? Tego, co miał wypadek i strzelił sobie w łeb?

– Tak, tego.

– Ale o jakiej sprawie właściwie mówimy?

– Chodzi mi o czynności na miejscu wypadku, o zbieranie dowodów rzeczowych i tak dalej.

– Nie, nie wiem, czy ich tam wysłano, nie mam pojęcia.

– Czy wie pan coś o jego samochodzie?

– Tego Vernala? A co tu jest do wiedzenia?

– Wygląda na to, że Willis odkupił go ze złomowiska. Przez te wszystkie lata wóz stał w jego garażu.

– Nie, nic o tym nie wiem.

– A co pan o tym myśli?

– Jestem na emeryturze, już nie myślę.

– Miał pan trochę szczęścia, prawda? Odszedł pan ze służby w chwili, kiedy to wszystko się rozpętało.

– Ale jakie „wszystko”? Mówi pan o młodym Carte-

rze?

– Nie tylko. Przychodzi do pana jego wuj, a pan przekazuje sprawę swoim ludziom z wewnętrznego...

– I co z tego?

– Nie przyszło panu do głowy, żeby zamieść to pod dywan?

– Alan nie chciał o tym słyszeć. Chciał śledztwa.

– A gdyby pan odmówił...

– Poszedłby do gazet.

– Ale wasi ludzie daleko nie zaszli, prawda?

– Wszystko ruszyło dopiero wtedy, kiedy ta kobieta się namyśliła.

– Teresa Collins?

– Tak.

– Jak pan sądzi, dlaczego zdecydowała się zeznawać?

– Nie mam pojęcia.

– Alan Carter był pewnie niezadowolony, kiedy wasze śledztwo nic nie wykazało.

Hendryson milczał, w słuchawce słychać było tylko ciche trzaski.

– Coś jeszcze? – spytał w końcu.

– Kiedy umarł Willis?

– W osiemdziesiątym szóstym. Pod koniec stycznia. Zasłabł na ulicy. Atak serca.

– A Alan Carter skorzystał z okazji i kupił jego dom?

– I co z tego? – Hendryson czekał, ale Fox nie miał na to sensownej odpowiedzi. – Skończyliśmy?

– Niech pan cieszy się słońcem, dopóki pan może –

powiedział i rozłączył się.

Zaparkował na ulicy przed posterunkiem. Przechodząc przez parking, sierżant Robinson popatrzył w lewo, potem w prawo, a jeszcze potem obejrzał się, żeby sprawdzić, czy nikt nie obserwuje go z okien. Wsiadł bez żadnych ceremonii.

– Jedź pan – rozkazał.

Fox ruszył. Kiedy posterunek został w tyle, Robinson trochę się odprężył. Był w mundurze, na który włożył służbową kurtkę – nie wyglądał na cywila, ale zrobił, co mógł.

– Dzięki – rzucił Fox.

Sierżant zbył to wzruszeniem ramion.

– Ale nie będę kapował na kumpli – ostrzegł.

– Wcale o to nie proszę. Próbuję tylko dowiedzieć się czegoś więcej o Gavinie Willisie. Według policyjnych standardów jest pan Matuzalemem, nikogo starszego nie znajdę.

Robinson zerknął na niego kątem oka.

– To raczej nie komplement, co?

– Wolałby pan, żebym powiedział panu komplementy? – Sierżant pokręcił głową. – Jaki miał pan stopień w połowie lat osiemdziesiątych?

Robinson zmarszczył czoło.

– Byłem posterunkowym.

– A więc nie miał pan raczej do czynienia

z Wydziałem Śledczym.

– Raczej nie.

– I pewnie nie znał pan za dobrze Willisa i Alana Cartera...

– Czasem z nimi pracowałem. Chodziliśmy razem od drzwi do drzwi, szukając świadków, przeczesywaliśmy teren w poszukiwaniu zaginionych...

– Wspólne wieczory w pubie?

– Nie tylko wieczory, to były inne czasy.

Fox kiwnął głową.

– Lunche? Kiedy przyszedłem do policji, zaczynało się z tego wycofywać.

Robinson spojrział na niego.

– Długo pracuje pan w Skargach?

– Od kilku lat.

– Lubi pan to?

– Może chcę po prostu dopilnować, żeby policja stała po słusznej stronie.

– Zawsze pan tak odpowiada?

– Mniej więcej – odparł z uśmiechem Fox.

– Ale to prawda?

– Nie wiem. – Stanęli przed skrzyżowaniem, więc spojrział w lewo i prawo. – Nie jestem również przekonany, czy Carter zabił swego wuja.

– Jeśli nie on, to kto?

– Właśnie tego chciałbym się dowiedzieć. Podejrzewa pan kogoś?

– Co ma z tym wspólnego Willis?

– Willis i Alan Carter byli kolegami i kumplami. Carter na pewno podziwiał Willisa, i to do tego stopnia, że kiedy ten umarł, kupił jego dom. – Fox zerknął na sierżanta. – Znaleźliśmy u niego w garażu samochód Francisa Vernala.

– Tak?

– Wszyscy myśleli, że go zezłomowano. Domyśla się pan, dlaczego Willis go zatrzymał?

Sierżant pokręcił głową.

– A Carter?

Sierżant pokręcił głową jeszcze raz.

– Ot, i tajemnica... Ale jest coś jeszcze: rewolwer, z którego zastrzelono Cartera, powinien zostać zniszczony w latach osiemdziesiątych, kiedy odpowiadał za to Willis.

– Tak?

– Znał pan ich obu i zna pan bratanka Alana Cartera. Czegoś tu nie dostrzegam i miałem nadzieję, że mi pan pomoże.

– Gavin Willis był trudny – przyznał Robinson.

– Tego się domyślam.

– Czasem łamał prawo.

– Ale w tamtych czasach to było mniej więcej normalne.

– Chyba tak. Ludzie się go bali, ale tylko wtedy, kiedy mieli coś na sumieniu. Jak byli czyści, Willis się nimi nie interesował.

– Był mentorem Cartera. Myśli pan, że Carter przejął część jego cech?

- Alan to inne pokolenie. Nie był jego sobowtórem.
 - Ale mieli ze sobą dużo wspólnego. – Fox myślał przez chwilę. – Jeśli tak, to może narobił sobie wrogów?
 - W policji na pewno, i nie tylko.
 - W swojej firmie?
 - W zeszłym roku miał na pieńku z Szafikami.
 - Tak, Scholes wszystkim to powtarza. Wiem też, że przy naborze nowych ludzi Carter kierował się częściej ich mięśniami niż rozumem.
 - Kiedy w klubie wybucha bójka, nie sięga się raczej po dyplom uniwersytecki. Alan o tym wiedział. Przyszedł do policji prosto po szkole, tak jak ja. Uczyliśmy się zawodu w pracy, inspektorze, a nie z podręczników.
 - Czy Willis miał kiedyś jakieś kłopoty? Przesłuchania dyscyplinarne czy coś w tym rodzaju?
- Robinson pokręcił głową.
- A Alan Carter?
 - Też nie. Za to Paul...
 - Czarna owca z policyjnej rodziny, dlatego dobrze chroniona.
 - Ray Scholes trzymał go w ryzach, z szacunku dla jego ojca i wuja. – Sierżant poprawił się w fotelu i odwrócił w stronę Foxa. – Naprawdę pan myśli, że on tego nie zrobił?
 - Wygląda na to, że na przekór wszystkim.
 - I uważa pan, że łączy się to jakoś z Willisem?
 - Może. Pod warunkiem że Willis uratował ten rewolwer przed piecem.

– A Vernal?

– Nie wiem, co to było. Albo lenistwo śledczych, albo naciski z góry. Tak czy inaczej, ktoś powinien był to zbadać, a nie zbadał.

– Wątpię, czy Willis siedziałby cicho, gdyby ktoś kazał mu zostawić jakąś sprawę.

– Może właśnie dlatego zatrzymał ten samochód, może chciał ocalić dowód rzeczowy.

– Ale nic z nim nie zrobił.

– Ani on, ani Carter. Mimo to Carter trzymał go pod brezentem.

– Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty piąty rok: to bardzo dawno temu. Naprawdę pan myśli, że uda się panu pchnąć tę sprawę do przodu?

– Ktoś by się przejął, gdybym jej nie pchnął?

Robinson pokręcił głową.

– Ale mogliby się przejąć, gdyby się panu udało. – Spojrzał w okno. – Może mnie pan tu wyrzucić, dalej pójdę piechotą.

– Na pewno?

– Lepiej, żeby nie widzieli nas razem.

Fox wrzucił kierunkowskaz i zjechał do krawężnika. Sierżant rozpiął pas i wysiadł. Fox myślał, że powie coś na pożegnanie – parę pomocnych zdań – ale on tylko zamknął drzwi, zapiął kurtkę i odszedł. Fox zabębnił palcami w kierownicę.

Jesteś w szczerym polu, Foxy. Kiedy zadzwonił telefon, odebrał wymuszonym:

- Tak?
- Już słyszałeś. – Evelyn Mills.
- Ale co?
- Mój szef kazał zdjąć podsłuch. Próbowałam cię bronić, ale jeśli Carter jest podejrzany o morderstwo...
- Podsłuch zepsułby każdy proces – dokończył za nią Fox.
- Przykro mi.
- Mój szef i tak kazałby nam zrezygnować.
- Powiedziałaś mu?
- Nie, komuś się wypsnęło.
- Pewnie się wkurzył. Cóż, przynajmniej próbowa-
liśmy.
- I bardzo się z tego cieszę.
- W takim razie możesz postawić mi kiedyś kolację. –
Czekała na odpowiedź, ale Fox milczał. – Szczerze mó-
wiąc, podsłuch i tak nic nam nie dał.
- Była tylko ta jedna rozmowa?
- I druga dziś rano. Umawiali się na drinka.
- Carter i Scholes?
- I dwóch pozostałych.
- Haldane i Michaelson?
- Tak.
- Kto z tym wyszedł?
- Carter. Chyba szuka potwierdzenia, że ma jeszcze
kilku kumpli. Nie wytrzymuje napięcia.
- Co na to Scholes?
- Nie bardzo chciał iść, ale Carter wiercił mu dziurę

w brzuchu. – Evelyn zrobiła pauzę. – To ważne?

– Pierwszy raz od rozprawy spotykają się we czwórkę.

– O ile wiemy.

– Fakt, o ile wiemy.

– Więc pewnie chciałbyś ich podsłuchać, co?

– Nie mów, że ty nie.

Roześmiała się.

– A posłuchałbyś mnie, gdybym ci to odradzała?

– Gdzie się umówili?

– W Wheatsheaf o ósmej. Tylko uważaj, nie wpadnij na kogoś z zabójstw.

– Dzięki, Evelyn.

– Dzwoniłam do ciebie wczoraj wieczorem...

– Pewnie już spałem.

– A więc nie chcesz mnie spławić?

– Nie.

– Na pewno?

Jeszcze raz zapewnił ją, że nie, rozłączył się, zadzwonił do Tony'ego Kaye'a i spytał, czy jest zajęty.

– Właśnie ucinam sobie małą pogawędkę z Toshem Gariochem.

– Powiedział coś?

– Pierdniecia bym z niego nie wydusił. Nie, kłamię: pod tym względem jest bardziej niż hojny.

– Wieczorem Carter zabiera kumpli na drinka.

– Wszystkich?

– Wszystkich.

– Skąd wiesz?

- To ostatnia informacja z podsłuchu.
 - I myślisz, że powinniśmy tam być?
 - Pub Wheatsheaf. Leć tam i sprawdź, czy nie udałoby się wtopić w tłum.
 - Wszyscy nas tu znają.
 - Zawsze można się przebrać.
 - Kapelusz, szalik i ciemne okulary? – Kaye nie był chyba przekonany.
 - Joe zawsze trzymał się na uboczu, gadaliśmy tylko my.
 - Fakt.
 - Stanie przy barze, i już. Kto go zauważy?
 - Może mieć jakieś plany na wieczór.
 - To niech je zmieni.
- Kaye zastanowił się i zdecydował.
- Rozejrzeć się nie zaszkodzi. Jak tylko skończę z Gariochem.
 - Dzięki.
 - Posłuchaj, jeszcze jedno...
 - Tak?
 - Ta twoja kumpela Evelyn.
 - Ale co?
 - Dzwoniła do mnie. Mam wrażenie, że badała grunt, szukała czegoś na twój temat, czy kogoś masz i tak dalej.
 - Dzięki, że mi powiedziałaś.
 - Nie chcę cię zniechęcać ani nic, przeciwnie.
 - Ona ma męża, Tony.
 - Mąż to nie zawsze feler.

– Odkładam słuchawkę. – Kaye stłumił śmiech i Fox się rozłączył.

Ruszył przed siebie, nie bardzo wiedząc, dokąd jedzie. W każdym razie nie wiedział przez pierwsze pięć minut, dopóki nie stwierdził, że jest na szosie do Kinghorn. Minał stację benzynową, gdzie w dniu morderstwa widziano Paula Cartera. Wrzucił prawy kierunkowskaz – volvo wspięło się powoli na szczyt wzniesienia i stanęło przed domem. Łąka była pusta, podjazd też, ani furgonetek, ani radiowozów. Śledczy z Wydziału Zabójstw mieli teraz centrum koordynacyjne w Kirkcaldy: zrobili, co mieli do zrobienia, i się wynieśli, ale przedtem zabili deskami okno w salonie, żeby nie zaglądali tam ciekawscy. Fox wysiadł i sprawdził drzwi, ale były zamknięte na kłódkę, a pod doniczką na parapecie nie było klucza. Poszedł do garażu – sądząc po wybrzuszonym brezencie, samochód Vernala wciąż tam stał. Ruszył z powrotem do domu, gdy usłyszał warkot silnika: nadjeżdżała srebrzysta astra. Carter zaparkował tuż za volvem, blokując mu odwrót.

– Co pan tu robi? – spytał, zatrzasnąwszy drzwi.

– Przyjechałem się rozejrzeć – odparł Fox, bo nic innego nie przyszło mu do głowy.

Carter zbył to milczeniem. Wyjął z kieszeni pęk kluczy, wybrał jeden, otworzył kłódkę i otworzył kopniakiem drzwi.

– To teraz pana? – spytał Fox.

– Dopóki nie wsadzą mnie za morderstwo – wymamrotał Carter. – Jak na razie nie znaleziono testamentu,

a jestem najbliższym krewnym. – Wszedł do środka, Fox za nim.

– A co będzie z agencją?

– Pewnie splajtuje. Tylko on miał prawo podpisywać czeki. – Carter rozejrzał się po korytarzu. – I co, do diabła, mam z tym wszystkim zrobić?

– Są firmy, które zajmują się opróżnianiem domów.

– Lepsze byłoby ognisko. Lada dzień mogą mnie znowu zamknąć.

– Szeryf Cardonald wciąż deliberoje?

– Sukinsyn. Nie spieszy mu się.

– Był pan zaskoczony, że pana wypuścił?

– Dla mnie byłoby lepiej, gdyby nie wypuścił. – Carter wszedł do salonu. – Wszystko tu przetrząsnęli.

– Wzięli moje odciski palców.

– Moje też.

Fox przyjrzał się jego twarzy. Gdyby zabił swego wuja, czy byłoby to widać? Czy przed oczami przesuwalyby mu się sceny z tamtej nocy? Robił wrażenie pode-nerwowanego i wystraszzonego, ale nie miał chyba wyrzutów sumienia ani poczucia winy. Stół był czysty: każdy skrawek papieru zapakowano do torby i wywieziono. Ale nikt nie zmył krwawej mgiełki z okna. Carter otworzył szufladę – z niej też zabrano wszystkie dokumenty, te starannie poukładane rachunki i wyciągi bankowe. Zamknął ją, stanął na środku pokoju, przeczesał ręką włosy i podrapał się w głowę.

– Kiedy był pan tu ostatni raz? – spytał Fox.

– Tamtej nocy, Ray do mnie zadzwonił. Chciał mnie zawiadomić jako pierwszy.

– A przedtem?

– Kilka miesięcy, może nawet rok temu.

– Wuj twierdził, że wpadł pan do niego pijany i się przechwalał.

– Zapomniał pan, że ja też byłem w sądzie? Słyszałem to z jego własnych ust.

– Ale to prawda, tak?

– Byłem wkurzony, nie pamiętam, co powiedziałem, a czego nie.

– I to był ten ostatni raz?

– Tak.

– Kiedy pana oskarżył, nie przyszedł pan do niego, żeby spytać dlaczego?

– Co by mi to dało?

– Więc dlaczego dzwonił do pana w dniu morderstwa?

– Nie mam pojęcia.

– Nie rozmawialiście od rozprawy?

Carter pokręcił głową. Podeszedł do ściany przy kominku i przesunął ręką po nierównej tapecie.

– Sam je położył, wie pan? Wszystkie. Ojciec mówił, że niezguła z niego, że ma dwie lewe ręce. – Znalazł miejsce styku tapet, wetknął tam palec i rozerwał papier. – Chyba miał rację. – Bez słowa wszedł na schody.

Fox odczekał chwilę i ruszył za nim. Na górze były trzy pomieszczenia, dwie sypialnie i łazienka.

– Niech pan spojrzy. – Carter wskazał źle położoną

tapetę na suficie w głównej sypialni. Tapeta zaczynała już odpadać. Potem kopnął piętą w listwę przypodłogową – brakowało w niej gwoździ. Drzwi się nie domykały, klekotała luźna klamka.

– Dwie lewe ręce – powtórzył.

Popękany tynk, źle osadzone okna, skrzypiąca podłoga. Niektóre szafy były otwarte. Okazało się, że odchodząc, żona Alana Cartera nie zabrała wszystkich ubrań. Carter zachował je z nadzieją, że wróci? A potem, po jej śmierci, zatrzymał je na pamiątkę? W łazience brakowało płytek pod prysznicem, a wanna była stara. Ciekło z obydwu kranów nad umywalką. Fox próbował nie patrzeć na przybory toaletowe, maszynkę do golenia, klej do protez i nożyczki do paznokci.

– Co by pan z tym zrobił? – spytał Carter.

– Pewnie to samo, co pana wuj: zdarłbym to wszystko i zaczął od nowa.

– Kiedy kupił ten dom, ojciec zaciągnął mnie tu kilka razy. Bawiło go, że robiąc remont, wuj jeszcze bardziej go niszczy... – Carter wrócił myślą do przeszłości, ale szybko się otrząsnął. – Spalę to w cholerę i zgarnę odszkodowanie.

– Chyba nie powinien mi pan tego mówić.

Carter wykrzeszał z siebie słaby uśmiech. Widać było, że jest wykończony. Przesłuchania zebrały obfite żniwo, szepty i spojrzenia mieszkańców miasta pewnie też.

– Najdziwniejsze jest to, że lubiłem go, kiedy byłem mały. Myślałem, że on mnie też.

– Zapomniałem... Jak miała na imię jego żona?

– Ciocia Jessica, tylko tak, nie inaczej. Powiedziało się „Jess” albo „Jessie” i od razu każdego poprawiała. Okazało się, że miała kogoś na boku i było po ptakach.

– Naprawdę uprzykrzał pan życie rodzicom?

– Gówniarze już tacy są.

– A kiedy przestał pan być gówniarzem?

Carter wzruszył ramionami, wyszedł z łazienki i zajrzał do drugiej sypialni. Urządzono w niej magazyn i piętrzyły się tam stosy pudeł i walizek.

– Ognisko – mruknął i spojrzał na Foxa. – Nie różniłem się od innych. Jeśli powiedział panu, że byłem potworem, to kłamał.

– Doniósł na pana – zauważył cicho Fox.

– W takim razie może to on jest potworem. Myślał pan o tym?

– Tak, myślałem.

Carter przyjrzał mu się nieruchomymi oczami. Tego się nie spodziewał. Pod lewym okiem zadrżała mu skóra. Musiał o tym wiedzieć, bo ucisnął to miejsce palcem, jakby myślał, że to pomoże.

– Wie pan, co robią w więzieniu z gliniarzami? – spytał spokojnie i odpowiedział sobie sam. – Jasne, że pan wie. Regularnie ich pan tam posyła.

– Tylko tych, którzy na to zasługują.

– Myśli pan, że ja zasługuję? – Carter podniósł głos. – Za to, że poprosiłem jakąś smętną dziwkę, żeby poświęciła mi pół godziny swego jakże cennego czasu?

– Dlaczego te dwie kobiety zdecydowały się zezna-

wać?

Carter grzmotnął ręką w ścianę. Zatrząsał się cały dom.

– Nie wiem! – krzyknął. – Pewnie im kazała!

– Ona ich nie знаła.

– Nic im nie zrobiłem, nawet nie próbowałem! – Tym razem nie uderzył w ścianę ręką, tylko ją kopnął. Pękł tynk.

– Niech pan pamięta, że to teraz pański dom – przypomniał mu Fox.

– Ale ja go nie chcę! – Carter znowu przeczesał ręką włosy. – Rzygać mi się chce, mam tego dość. Chcę żyć tak jak dawniej. Ten cholerny sędzia może lada chwila się zdecydować, a Cash może oskarżyć mnie o morderstwo. Jak nie kijem go, to pałką. Ale po co ja to panu mówię? Pan i tak ma to gdzieś. – Odepchnął Foxa ramieniem i pokonując po dwa stopnia naraz, zbiegł po schodach.

Fox odczekał chwilę i ruszył za Carterem. Zanim doszedł do drzwi, ten zdążył już odpalić silnik i właśnie robił niezdarny nawrót na trzy. Potem zjechał ze wzgórza. Na drzwiach wisiała otwarta kłódka. Bez klucza nie można jej było zamknąć. Carter miał to gdzieś: dom był tylko kolejnym ciężarem, który ciągnął go w dół. Fox zamknął drzwi najlepiej, jak umiał, wsiadł do samochodu i wyruszył w długą podróż do Edynburga.

* * *

Wśród czekających za drzwiami listów leżał egzemplarz *Bandy łajdaków*. Książka była trochę sfatygowana –

w rozdziale ze zdjęciami wypadały kartki – ale wciąż nadawała się do czytania. Czytał przez godzinę. Profesor Martin nie szastał nazwiskami. Fox kilka wynotował. A potem, tuż przed indeksem, zobaczył przypis mówiący, że są fikcyjne i zmieniono je, „by chronić występujące w książce osoby”.

– Wielkie dzięki – mruknął.

Wrócił do dokumentów od Charlesa Mangolda. Były wśród nich sprawozdania sądowe z początku lat osiemdziesiątych, a tam nazwisk na pewno nie zmieniono. Były również zdjęcia zrobione na posterunkach policji zaraz po aresztowaniu podejrzanych. Posiniaczone twarze, rozcięte usta, podbite oczy.

Na wzmiankę w dokumentach zasłużyli sobie Donald MacIver i John Elliot. W Wikipedii znalazł całą stronę na temat tego drugiego. Zobaczywszy jego zdjęcie, zdał sobie sprawę, że kilka razy widział go w szkockim dzienniku telewizyjnym. Według Wikipedii w czasach studenckich Elliot działał w „ugrupowaniach ekstremistycznych” i stanął przed sądem za udział w spisku, którego celem było uprowadzenie samochodu jakiegoś ministra. Fox porównał zdjęcia – tak, prezenter wiadomości i radykalny student byli jedną i tą samą osobą. Student miał tylko dłuższe włosy, ziemistą cerę i niechlujnie się ubierał. Jako dwudziestolatek nie należał do mężczyzn przystojnych, za to na współczesnych zdjęciach promocyjnych mógł pochwalić się idealnie wykrojonym podbródkiem, błyszczącymi oczami, rumianą cerą, nienagannie uczesanymi

włosami, perłowymi zębami i czyściutką koszulą. Miał menedżera i można go było wynająć „na imprezy korporacyjne i dobroczynne”. Fox zanotował numer telefonu, wstał, żeby rozprostować kręgosłup, i poszedł zrobić herbatę.

O szóstej włączył telewizor, ale dziennik prowadził ktoś inny. Wrócił do biurka, posiedział godzinę, zadzwonił do siostry, żeby powiedzieć jej, że był u ojca, jak zwykle się z nią pokłócił, a potem zjadł kanapkę z tuńczykiem, majonezem i musztardą.

O wpół do dziewiątej zadzwonił telefon.

– Mów – rzucił Fox.

– Namierzyli go – warknął Tony, co znaczyło, że Naysmithowi nie udało się wtopić w tłum.

Fox wypuścił powietrze głośno i powoli.

– Słyszał coś?

– Nie było tłoku, ale oni siedzieli przy stoliku, a on stał przy ladzie, dwa, trzy metry dalej.

– Więc co się stało?

– Joe mówi, że to przez Haldane’a. Gapił się na niego, a potem powiedział coś do tamtych. Scholes wstał, jak burza podszedł do Naysmitha i kazał mu spadać. W pubie zapadła cisza. Wszyscy wiedzieli, kim jest Joe, a Joe wiedział, że może zaraz oberwać...

– Fakt, to było ryzykowne.

– Ale i tak dał ciała.

– Rozumiem, że nas słyszy, tak?

– Siedzimy w samochodzie, pięćdziesiąt metrów od

pubu.

– Jest sens ich śledzić?

– Jeśli nie słyszeć, co mówią, to nie.

– Dobra. W takim razie wracajcie do domu.

I podziękuj mu ode mnie, przynajmniej próbował.

– Foxy mówi, wielkie dzięki, wszystko spieprzyłeś –
rzucił Tony do nieszczęsnego Naysmitha.

– Jesteś okrutnym człowiekiem, Tony.

– Okrutnym, ale sprawiedliwym.

Fox życzył mu dobrej nocy.

John Elliot kręcił jakiś klip. Plusem było to, że Fox nie musiał jechać aż do centrum miasta. Minusem, że klip kręcono na przemysłowych przedmieściach Glasgow. Z jakichś powodów postawiono tam nowoczesny hotel, wielkie, czarne gmaszysko, i ekipa Elliota zajęła restaurację. Podczas gdy speszeni goście jedli śniadanie, technicy ustawiali reflektory i montowali kamery na trójnogach.

– Czysta partyzantka – rzucił reżyser.

Foxowi dano dzbanuszek kawy i parę malutkich *pains au chocolat*. W kącie restauracji charakteryzatorka robiła Elliotowi makijaż. Stało tam duże podświetlane lustro i coś w rodzaju skrzynki na narzędzia, z tym że zamiast kluczy francuskich były w niej kosmetyki.

– Zwariowana branża – powiedział Elliot, patrząc na Foxa w lustrze.

Charakteryzatorka czesała mu włosy i pudrowała czoło i nos, a pod brodą miał papierowy ręcznik, który chronił kołnierzyk przed zabrudzeniem. Błyszcząły mu oczy, więc pewnie zapuścił sobie jakieś krople. Był w rozpiętej pod szyją koszuli, bawełnianej marynarce i wypłowiałych džinsach z wystrzępionymi nogawkami.

– Dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać, w dodatku tak szybko.

– Kiedy skończę, będziemy mieli piętnaście minut. Potem muszę wracać do studia.

U jego boku wyrósł reżyser. Miał w ręku scenariusz i był zestresowany.

– Kucharz mówi, że homar ma związane szczypce, więc nic ci nie grozi.

– Uroki telewizji – rzucił Elliot do Foxa. Znowu spotkali się wzrokiem, i posłał mu promienny uśmiech.

Potem była próba, a po próbie zrobili trzy ujęcia, zanim wszystko poszło, jak trzeba. Doszły do tego przebitki, zmiana ustawienia kamery, kąta oświetlenia i inne rzeczy, których Fox nie rozumiał. Po dziewięćdziesięciu minutach pracy nakręcili trzy minuty klipu. Idąc w stronę Foxa, Elliot wycierał twarz wilgotną myjką. Technicy pakowali sprzęt, stoliki i krzesła wracały na swoje miejsce. Jakaś kobieta w średnim wieku zaszła mu drogę, prosząc o autograf na śniadaniowym menu.

– Z przyjemnością – odparł; zdawało się, że kiedy składał podpis, kobietę przeszedł lekki dreszcz.

– Dużo ma pan wielbicielek? – spytał Fox, gdy Elliot dotarł w końcu do stolika.

– Lepsze to niż stek wyzwisk na Sauchiehall Street20. Usiądźmy. – Wskazał ławę przy ladzie. – Cóż... – Klepnął się w kolana. – Widzę, że dopadła mnie moja nikczemna przeszłość.

– To chyba nie tajemnica, prawda?

– Całe moje życie jest własnością publiczną, panie inspektorze.

Kelner spytał, czy coś im podać. Elliot zamówił miętową herbatę, ale zmienił zdanie i wziął wodę sodową. Fox

niespiesznie pił letnią już kawę.

– Wciąż interesuje się pan polityką? – spytał, gdy kelner odszedł.

– Pytanie, czy kiedykolwiek się interesowałem.

– Mało brakowało i trafiłby pan do więzienia.

– Mimo to. Ile z tego było zwykłą pozą? Byliśmy studentami, nie zawsze myśleliśmy trzeźwo i logicznie.

– Więc co to było? Sposób na dziewczyny?

Elliot uśmiechnął się krzywo.

– Może. – Poprawił się na ławie. – Ten cały proces... to był czysty absurd. Zrobiono z nas mudżahedinów, a myśmy się tylko bawili. – Chyba miał nadzieję, że Fox podzieli jego zdanie, bo lekko rozszerzyły mu się oczy. – Uprowadzić rządowy samochód? Wziąć okup za ministra? – Pokręcił głową. – Nawiasem mówiąc, okupem miało być referendum w sprawie powołania niezależnego szkockiego rządu. Czy to nie idiotyzm?

– Nie wypaliłoby?

– Oczywiście, że nie! Ludzie się z nas śmiali na procesie. My objaśnialiśmy naszą taktykę, a oni siedzieli na galerii i podrygiwały im ramiona. Oskarżyciel mówił o „planowaniu”, ale, jak to wykazaliśmy, wszystko sprowadzało się do paru wieczorów w pubie i kilku bazgrołów na serwetce.

– Pewnie dlatego żaden z was nie trafił za kratki.

– Nawet nie wyrzucono nas z uniwerku! Oto jak poważnie wszyscy nas traktowali.

– Dzisiaj byłoby chyba inaczej.

- Prawie na pewno.
- Ukończył pan Stirling?

Elliot kiwnął głową i podziękował kelnerowi za wodę. Był także rachunek, ale prezydent skierował kelnera do kogoś z zespołu.

- Widuje pan kolegów ze starej paczki? – spytał Fox.
- Bardzo rzadko.
- Już nie działają?
- Działają? Pyta pan, czy dalej knują, chcąc obalić państwo? Nie, żaden z nich już nie „działa”. – Elliot wypił łyk wody i stłumił beknienie. – Byliśmy młodzi i głupi, inspektorze.

- Naprawdę tak pan myśli?
- Czyżby miał mnie pan za uśpionego agenta?

Fox odpowiedział uśmiechem na uśmiech.

- Nie, nie. Ale jest pan osobą publiczną, a pomniejszanie znaczenia bojówkarskiej przeszłości, ukazywanie jej w żartobliwym świetle, obracanie w wieczorną rozrywkę może być dobrą reklamą.

- Ma pan rację.
- No i były to inne czasy.
- Słusznie.
- Poza tym, o ile wiem, Komando Mroczne Żniwa wytknęło sobie poważny cel. Gdyby przystał pan do nich dla zabawy, wątpię, czyby pana tolerowali.

Elliotowi pociemniała twarz.

- KMŻ przeginało.
- Mimo to był pan na kilku spotkaniach, prawda?

- Tylko na kilku.
- A więc znał pan Donalda MacIvera?
- Biedny Donald. W końcu go dopadli, a po tym, jak zaatakował współwięźnia, udało im się nawet zrobić z niego wariata. Siedzi w Carstairs.
- Nie myślał pan, żeby go odwiedzić?
- Nie. – To pytanie chyba go zaskoczyło.
- Musiał utrzymywać bliskie kontakty z Vernalem.
- Nie wierzę: ktoś wreszcie zwrócił na to uwagę.
- Jak to?
- Wszyscy wiemy, że Francisa zamordowano: MI5 miała go na czarnej liście. Kiedy zginął, nikt się tym nie przejął. Nie było policyjnego śledztwa, prasa milczała. – Elliot wypił łyk wody. – Ale tak, cel osiągnięto.
- To znaczy?
- Wiele ugrupowań zrozumiało przesłanie i się rozwiązało. Nie chcieli skończyć jak Francis.
- Dobrze go pan znał?
- Wcale.
- Nie widywał go pan na spotkaniach?
- Kilka razy byłem w tym samym pokoju co on, ale jako zwykły żołnierz. On siedział w prezydium.
- Był waszym bankierem, prawda?
- To kolejny powód, dla którego bojówki się rozpały: kiedy Francis zginął, wraz z nim zginęły pieniądze. Przecież nie mogliśmy otworzyć sobie konta w banku. I poprosić o książeczkę czekową z pieczętką „Komando Mroczne Żniwa”.

– Raczej nie.

Elliotowi coś się przypomniało.

– Na pewnej naradzie doszło do ostrej wymiany zdań. Sokole Oko potrzebował na coś pieniędzy. Francis wyszedł i zaraz wrócił z plikiem piątek i dziesiątek.

– Gdzie to było?

– W pubie w Glasgow. Czasem wynajmowaliśmy salę na zapleczu. Wie pan, prosta, wiejska knajpa, pieśni patriotyczne i tak dalej.

– A więc Vernal musiał mieć te pieniądze w samochodzie.

– Chyba tak.

W samochodzie, który Gavin Willis wykupił ze złomowiska. Wstawił go do garażu, żeby go rozebrać? Jeśli tak, skąd wiedział o pieniądzach? I jeśli je znalazł, co z nimi zrobił?

I dlaczego nie pozbył się potem samochodu?

– Kto to jest Sokole Oko?

Elliot wzruszył ramionami.

– Nie znam jego nazwiska. Rzadko kiedy bywał na spotkaniach. Wszyscy się go trochę bali.

– Tak?

– Dla niego radykalizm na pewno nie był zabawą. Jestem przekonany, że można by mu przypisać dwa, może nawet trzy napady z bronią w ręku. Rozmawialiśmy o nim tylko wtedy, kiedy go nie było, był naszym Robin Hoodem. I znał się na materiałach wybuchowych.

– Bomby na Downing Street i w parlamencie?

– To bardziej niż prawdopodobne.
– Skąd ten pseudonim?
– Nie mam pojęcia. – Elliot dopił wodę. Sprzęt był już spakowany, ekipa wychodziła z restauracji. – Muszę iść – powiedział przepaszająco. – Naprawdę myśli pan, że po tylu latach dojdzie pan prawdy?

– Nie wiem.

– I że ktoś będzie chciał jej wysłuchać?

Zamiast odpowiedzieć, Fox wyjął z kieszeni *Łajdaków* profesora Martina.

– Zna pan to?

– Słyszałem o niej. – Elliot przekartkował książkę.

– Nigdy nie chciał pan jej przeczytać?

– Archeologia mnie nie interesuje.

Fox wziął książkę i otworzył na stronie ze zdjęciem Vernala i Alice Watts przed posterunkiem policji.

– Zna ją pan? – spytał.

– Nie.

– Nie pamięta pan jej ze spotkań?

Elliott pokręcił głową.

– To ważne?

– Wygląda na to, że coś łączyło ją z Vernalem. Chciałbym z nią o tym porozmawiać.

– Żałuję, że nie mogę pomóc.

– Nazywała się wtedy Alice Watts.

Elliot próbował ją sobie skojarzyć, lecz bez skutku.

– Wtedy? – spytał.

Fox nie odpowiedział, lecz kiedy zamykał książkę,

Elliot zabrał mu ją i jeszcze raz obejrzał zdjęcie.

– Siódmego kwietnia osiemdziesiątego piątego...

– Był pan tam wtedy?

– Tak jakby. Siedziałem w areszcie. Ale wieczorem nas wypuścili.

– I nie pamięta jej pan?

– Nie. Ale miło jest znowu zobaczyć Sokole Oko. –

Elliot odwrócił książkę. – To on, ten pod rękę z tą młodą damą.

Fox przyjrzał się zdjęciu. Długie włosy, broda i ciemne okulary: mężczyzna, którego nie znał profesor Martin.

– Jest pan pewny?

– Całkowicie. – Stała przed nimi asystentka, goniec producenta. Przyciskając do piersi podkładkę, postukiwała palcem w wyimaginowany zegarek na rękę. – Naprawdę muszę już iść – powtórzył Elliot.

– Może pan powiedzieć mi coś jeszcze o Sokolim Oku?

– Boję się, że nie, niestety.

– Jak miał na imię? Z jakim mówił akcentem? – Fox robił wszystko, żeby nie zabrzmiało to zbyt rozpaczliwie.

– Ze szkockim. – Elliot wstał. Na jego ustach znowu wykwitł uśmiech, który mówił światu, że John Elliot się zmienił, że żyje teraz chwilą obecną, a nie przeszłością.

– Moglibyśmy się jeszcze spotkać?

– Naprawdę nie mam już nic więcej do powiedzenia.

– Mogę mieć jeszcze jakieś pytania.

Elliot bezradnie rozłożył ręce, dając mu do zrozumienia, że nic więcej nie wie.

– Jest pan pierwszym terrorystą, z jakim rozmawiałem.

– Mam nadzieję, że się pan nie zawiódł. – Głos Elliota przybrał twardszy ton.

– Polujemy teraz na tych z bombami. Ciekawe, czy za kilka lat też będą prowadzili program w telewizji.

– Proszę wybaczyć. – Elliot odwrócił się i poszedł za asystentką.

Fox ruszył za nim.

– Myśli pan, że wygraliście? – spytał.

Prezenter przystanął, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią. Asystentka zaczęła coś mówić, ale uciszył ją gestem ręki.

– Szkocja może uzyskać pełną niezależność, nigdy dotąd nie byliśmy tak blisko. Może proces ten zaczął się wtedy, kiedy Londyn pogodził się, a raczej musiał pogodzić się z tym, że istniejemy.

– Wygląda na to, że wciąż ma pan w sobie coś z polityka.

– Nie wolno mi stawać po niczyjej stronie, panie inspektorze.

– Nie chce pan zepsuć sobie wizerunku publicznego?

Asystentka pociągnęła Elliota za rękaw. Prezenter skinął Foxowi głową i pozwolił zaprowadzić się do furgonetki.

Zadzwo niła komórka. Fox odebrał, patrząc na zdjęcie.

- Paul Carter nie żyje – powiedział Kaye.
- Co takiego?
- Dziś rano wyłowili go z basenu portowego.
- Utopił się?
- Mają zrobić sekcję zwłok.
- Chryste...
- Właśnie.
- Wiadomo coś jeszcze?
- Nic.

Foxowi przypomniało się ostatnie spotkanie z Carterem. I to, że Joe Naysmith widział go jeszcze później.

- Wheatsheaf – rzucił.
- Chyba lepiej będzie, jeśli powiem komuś, że tam byliśmy.
- Kiedy z nim rozmawiałem, był zupełnie wykończony.
- Do tego stopnia, żeby popełnić samobójstwo? To chyba nie ten typ.
- Raczej nie.
- Wiesz co? Chciałbym choć raz mieć na tapecie śmierć jednoznacznie czystą i oczywistą.
- Dzwonisz z Kirkcaldy?
- Wszyscy są tu trochę przybici.
- Ci z centrum koordynacyjnego już wiedzą?
- Wiedzą.
- A Scholes?
- Jeszcze go nie widziałem, ani jego, ani reszty.

- Pogadaj z Cashem. Powiedz mu o pubie.
- Dobra.
- Sekcję robią w szpitalu?
- O ile wiem.
- Już jadę, na razie.
- Cash może stanąć okoniem.
- Jestem w takim nastroju, że może sobie stawać.
- Dobra, ale załatw mi przynajmniej miejsce tuż przy ringu.
- Weź białe rękawiczki, to będziesz sędzią. – Fox rozłączył się i poszedł do samochodu.

– W piwnicy – mruknął Naysmith, kiedy szli pozbawionym okien korytarzem. – Jak zawsze. – Wszyscy trzej wcierali w dłonie piankę antybakteryjną. – Laboratoria patologiczne, sale sekcyjne...

– Wolałbyś, żeby kroili trupa na parkingu? – rzucił Kaye. – Żeby wszyscy to widzieli?

– Kiedyś – wtrącił Fox – sekcje przeprowadzano publicznie.

– Bo, o czym dobrze wiemy, ludzie są zboczeni i zwariowani. – Tony otworzył drzwi i od razu tego pożałował.

– Proszę, proszę – mruknął inspektor Cash. – Cała banda. Przyszliście obejrzeć skutki swoich poczynań? – Spojrzał na detektywa sierżanta Younga. – Zaszczuć kogoś na śmierć: cichociemnym nic nie sprawia większej przyjemności.

– Tak, tak – odparował Fox. – Za to wy nic, tylko oskarżaliście go o morderstwo. Jak długo go przesłuchiwaliście? Dziewięć godzin? Dziesięć?

Cash wycelował w niego palec.

– O ile pamiętam, odesłałem pana w niebyt.

– I było mi tam bardzo dobrze, ale mamy coś, czym musimy się z wami podzielić.

Cash schował ręce do kieszeni i stanął na czubkach palców.

- Zaraz będzie się działo – rzucił do Younga.
- Ale najpierw chcemy usłyszeć, co powie patolog.
- Witaj w klubie – mruknął Young, sprawdzając godzinę na ekranie komórki.

Jakby na umówiony znak otworzyły się drzwi do sali sekcyjnej. Patolog był w kombinezonie i miał ochraniacze na butach.

- Ilu z was chce oglądać? Mamy tylko trzy kombinezony.

Naysmithowi wyraźnie ulżyło. Kaye popatrzył smętnie na Foxa, wiedząc, że tamci zaraz nadużyją stanowiska. Pięć minut później Fox, Cash i Young stali w środku, słuchając monotonnego szumu wentylatorów i głosu patologa popędzającego swego asystenta.

- Brakuje drugiego, ale nic na to nie poradzę – rzucił do Casha patolog; zgodnie z obowiązującymi w Szkocji przepisami, każda sekcja zwłok wymagała współpracy, czyli obecności co najmniej dwóch lekarzy sądowych. – Zawsze możemy schować go do lodówki i poczekać do jutra...

Cash pokręcił głową.

- Zaczynamy.

Paul Carter leżał na metalowym stole. Wciąż ociekał wodą, która spływała do podłużnych wyłobień, a stamtąd do kubłów na podłodze. Miał spuchniętą twarz. Małą, klaustrofobicznie ciasną salę wypełniał słonawy zapach. Fox zastanawiał się, czy nie przecenił swoich możliwości: nie widział zbyt wielu sekcji zwłok i miał nadzieję, że nie

zemdleje. Brendan Young też nie wyglądał najlepiej. Patolog powiedział coś do mikrofonu i przystąpił do pracy. Ucisnął pierś, zabulgotało i z ust Cartera wypłynął strumień wody. Fox w ustach miał sucho, za to w uszach dudniła mu krew. Zwłoki leżały w wodzie od ośmiu do dziesięciu godzin, co znaczyło, że zgon nastąpił między jedenastą i pierwszą w nocy. Przeprowadzono pomiar wewnętrznej ciepłoty ciała i sprawdzono gałki oczne. Zrobiwszy nacięcie w kształcie litery Y i rozchyliwszy żebra, lekarz mógł zbadać zawartość płuc.

– Utonięcie – oznajmił. – Nie ma wątpliwości. A to, czy wpadł do wody, czy wskoczył... – Wzruszył ramionami.

Potem usunięto i zważono poszczególne organy. Young cofnął się, oparł o ścianę i przymknął oczy. Fox jakoś się trzymał, chociaż starał się bardziej słuchać, niż patrzeć.

Patolog przyjrzał się twarzy Cartera.

– Złamany nos – powiedział jakby do siebie.

– Może fale rzucały ciałem o falochron – zasugerował Cash.

– Wczoraj prawie nie wiało. Wątpię, czy przy tym stanie morza odniósłby takie obrażenia. – Lekarz obejrzał dłonie i przedramiona. – Zadrapania na kłykciach. I na czubkach palców.

– Bił się z kimś? – spytał Fox.

– Albo upadł. Odruchowo zamortyzował upadek rękami, stąd otarcia.

W końcu otworzono żołądek. Patolog spojrzał na wi-

dzów.

– Czujecie?

– Alkohol – odparł Cash.

– Chyba piwo. I coś mocniejszego. – Lekarz nachylił się nad ciałem i powąchał. – Whisky.

– Upił się i poszedł się przejść do portu.

– Możliwe. Albo wdał się z kimś w bójkę.

– Ale żył, wpadając do wody? – spytał Fox.

– Prawie na pewno.

Kwadrans później zdjęli kombinezony, opłukali wodą twarz i ręce i wyszli na korytarz. Patolog i asystent zostali, żeby dokończyć sekcję.

– No to wyduś pan to z siebie – powiedział Cash.

Niefortunnie dobrał słowa, ponieważ detektyw sierżant Young spędził właśnie kilka minut pochylony nad zlewem, próbując wykasłać coś, co osiadło mu w gardle. Był blady i wciąż się pocił. Kiedy Naysmith poczęstował go gumą, omal nie wyrwał mu jej z rąk.

– Wczoraj wieczorem Carter spotkał się z kimś w pubie – zaczął Fox. – Ale zanim powiem z kim, niech pan obieca informować o wszystkim mnie i mój zespół.

– Nie będzie żadnych obietnic.

Fox rozważył to niespiesznie. Odwrócił nawet głowę i spojrzał na Kaye'a.

– Najpierw powiedzcie, co wiecie – dodał Cash trochę łagodniejszym tonem.

– Spotkał się ze Scholesem, Haldane'em i Michaelsonem – ustąpił Fox.

Cash znowu schował ręce do kieszeni. Ten zwyczaj zaczynał Foxa denerwować. Inspektor musiał nauczyć się tych gestów ze starych gangsterskich filmów.

– Skąd pan wie? – spytał.

– Wysłaliśmy tam Naysmitha.

– A skąd pan wiedział, że się spotkają?

– Czy to ważne? Ważne jest to, że wczoraj wieczorem cała czwórka była razem. Warto by z nimi pogadać i zobaczyć, co mają do powiedzenia.

Cash spojrział na Naysmitha.

– O której to było?

– Usiedli i zamówili tuż przed ósmą – odparł Joe.

– A o której wyszli?

Naysmith spojrział na Tony’ego, szukając u niego rantunku.

– Namierzyli go – odparł Kaye. – Dziesięć po ósmej już nas tam nie było.

Cash milczał przez chwilę, delektując się ich nieudolnością.

– A więc wasza tajna operacja trwała ile? Piętnaście minut? – Posłał Foxowi triumfalny uśmiech.

– Dobra, już się pośmialiście – rzucił zimno Fox. – Chodzi o to, że Scholes, Haldane i Michaelson będą wiedzieli, w jakim stanie był Carter i o której wyszedł.

– To na pewno – zgodził się z nim Cash.

– Dlatego musimy z nimi porozmawiać.

– Żadnych obietnic.

Fox miał tego dość. Podszedł bliżej i stanął z nim

twarzą twarz.

– Zapomina pan o jednym: mój raport trafi prosto do pańskiego szefa. A już teraz to bardzo ciekawa lektura. Pański szef chce udowodnić, że wszystko jest u was cacy. Dlatego raczej nie ucieszyłby się, gdyby media zwietrzyły, że ktoś rzucał nam kłody pod nogi. A w raporcie będą konkretne nazwiska, inspektorze. – Zrobił pauzę. – À propos: nie znam pańskiego imienia. Proszę mi je przesylibizować, tak na wszelki wypadek.

Cash próbował go przeczekać, ale on nie miał nic przeciwko temu. Wiedział, że inspektor w końcu zmięknie. I zmiękł. Podniósł do góry ręce.

– Współpraca zawsze była moją dewizą – powiedział z pozbawionym wesołości półuśmiechem. – Ostatecznie jesteśmy po ten samej stronie, prawda?

Fox patrzył mu prosto w oczy z odległości kilkunastu centymetrów.

– Pańska deklaracja została odnotowana – odparł.

* * *

Na posterunku czekała na nich nowa wiadomość – wiadomość, która wszystko zmieniła. Cash przetrwał ją i postanowił przesłuchać trzech kolegów Cartera jednocześnie, w tym samym pokoju. Pokój przesłuchań był za mały, więc wyprosił wszystkich ze śledczego i wysłał Younga po Scholesa, Haldane’a i Michaelsona.

– Mamy sprzęt do nagrywania – powiedział Fox.

Inspektor kiwnął głową i Naysmith wziął się do roboty. Pozostali – Cash, Fox i Kaye – rozsunęli biurka, żeby zrobić więcej miejsca. Potrzebowali ośmiu krzesel, trzech naprzeciwko pięciu. Dzwoniły telefony, ale nikt ich nie odbierał. Cash wytarł czoło wielką jak płachta białą chustką.

– Ale wy tylko słuchacie – rzucił do Foxa. – Jasne?

– Chyba że udzieli nam pan głosu – odparł Fox.

Otworzyły się drzwi i weszli Haldane i Michaelson, trochę oteźpiali, oraz Scholes, który robił wrażenie czujnego. Young wskazał im krzesła.

– O co chodzi? – spytał Scholes.

– Mamy do was kilka pytań – odrzekł Cash.

Scholes spojrział na Foxa, Naysmitha i Kaye'a i kiwnął głową, jakby wszystko zrozumiał.

– Kiedy następnym razem zechcecie wyciąć taki numer – powiedział do Foxa, wskazując Naysmitha – weźcie kogoś, kogo barman nie będzie musiał pytać o wiek.

Joe zaczerwienił się, sprawdzając sprzęt. Scholes przeniósł wzrok na kolegów.

– To dlatego, że wczoraj się z nim widzieliśmy.

W pokoju zapadła cisza. Wreszcie Naysmith powiedział:

– Możemy.

Cash wziął głęboki oddech i skrzyżował ręce.

– To bardzo smutne – zaczął. – Przykro mi, że straciliście kolegę.

Scholes mruknął coś pod nosem.

– A więc, jak sami mówicie – ciągnął Cash – wczoraj się z nim widzieliście...

– Wypiliśmy parę piw w Wheatsheaf – potwierdził Michaelson.

– O której?

– Wyszliśmy po dziewiątej, może o wpół do dziesiątej. Cash patrzył na Scholesa, mimo że pytanie było skierowane do wszystkich trzech.

– O czym rozmawialiście?

– O wszystkim.

– O śmierci jego wuja też?

– Trochę.

– Wyszliście z pubu razem?

Jednak teraz odpowiedź nie padła natychmiast. Haldane zerknął w stronę Scholesa.

– Sierzancie? – ponaglił go Cash.

– Posprzeczał się – uprzedził kolegę Scholes. – Byliśmy trochę wkurzeni, że nas śledzą. – Łypnął spode łba na Naysmitha. – Paul się wściekł.

– Po kielichu zawsze go nosiło.

– Nie – wypalił Haldane – to nie dlatego. Łeb mi pękał od tej gadaniny, trudno było wytrzymać.

– Carter tak gadał? O czym?

– O tych ze Skarg, o wuju, o tym, że czeka go proces i że wszyscy go obwiniają.

– Załamał się biedak – dodał Scholes.

– A więc posprzeczał się w pubie, w środku, tak? – drażył Cash.

– Tak – odparł Scholes. – I wyszliśmy.

– Zostawiliście go samego?

– Rano szliśmy do pracy, on nie.

Cash westchnął.

– Dzwoniłem tam. Właściciel twierdzi, że Carter wyszedł koło jedenastej. Zataczał się, wypił sześć dużych piw i trzy szoty. – Wyprostował ręce i złożył dłonie. – Jak, waszym zdaniem, skończył w wodzie?

– To ważne? – Scholes przeszył go spojrzeniem. – Teraz będzie wam łatwiej, nie? Bo już go nie ma i nie może się bronić. Powiecie, że zabił wuja i sprawa zamknięta. Po co proces? Wszystko ładnie pozamiatane.

– Przeciwnie. – Cash zaczekał, aż to do nich dotrze.

– Jak to? – spytał w końcu Michaelson.

– Mieliśmy telefon. Jeden z mieszkańców wyprowadził wieczorem psa na spacer. I widział mężczyznę na plaży. Ścigał go drugi. Ten pierwszy nie krzyczał, nie wzywał pomocy, ani nic. Po prostu biegł najszybciej, jak umiał. – Cash umilkł, czekając na ich reakcję.

– Skąd wiadomo, że to był Paul? – spytał wreszcie Scholes.

Inspektor wzruszył ramionami.

– Może stąd, że świadek widział, jak ten mężczyzna wbiega do wody. Nie miał dokąd uciec. Świadek wziął ich za rozbawionych pijaków. – Cash spuścił wzrok. – Byliśmy na sekcji zwłok. Posterunkowy Carter ma złamany nos i poobcierane ręce...

– Zaraz, chwila. – Haldane przytrzymał się podłó-

kietników, chciał wstać. Załamał mu się głos.

– Siadaj – warknął Cash.

Scholes położył rękę na ramieniu kolegi i ten opadł na krzesło.

– Co to ma wspólnego z nami?

– Wy mi powiedzcie.

– To ja powiem: nic. Zostawiliśmy go w pubie i pojechaliśmy do domu.

– Nie byliście pijani?

– Jasne, że nie. Jesteśmy policjantami, prawda?

– Rozjechaliście się do domów, co znaczy, że żaden z was nie może zaświadczyć za innych, chyba że jesteście jasnowidzami.

Michaelson prychnął i pokręcił głową.

– Kurwa mać, to niewiarygodne. – Wskazał palcem Foxa. – Te dupki zrobią wszystko, żeby tylko spuścić nas z wodą w kiblu.

– Żona poświadczy, że był pan w domu przed dziesiątą? – spytał Cash.

– Jasne.

– A pan, sierzancie? Co pan robił?

– Pojechałem do mamy – odparł Haldane. – Wyszedłem po jedenastej.

– Nocny z niej marek, co?

– Trochę przysypiała, jak zawsze przy dzienniku...

Cash kiwnął głową.

– Został tylko pan, inspektorze Scholes.

– Nie wierzę własnym uszom. – Scholes robił wraże-

nie spokojnego, ale ledwo nad sobą panował. Jego głos brzmiał tak, jakby próbował uwolnić się z kaftana bezpieczeństwa. – Paul był naszym kumplem. A wy twierdzicie, że któryś z nas mu przyłożył? Tak się nas bał, że wskoczył do wody? – Odchylił do tyłu głowę i parsknął śmiechem.

– Czekam, inspektorze. – Cash powiedział to tak, jakby miał mnóstwo czasu.

Scholes przestał się śmiać.

– Możecie mnie od razu zamknąć – powiedział. – Pojechałem do Milnathort zobaczyć się z dziewczyną. Nie było jej, więc wróciłem do miasta. Nikogo nie widziałem, z nikim nie rozmawiałem. – Spojrzał na Casha. – Więc pewnie to ja, co nie?

– Chyba że podsunie mi pan kogoś innego. Detektyw posterunkowy Carter nie należał do osób lubianych.

Scholes zmrużył oczy.

– Ma pan rację – odparł. – A ja siedzę w pokoju pełnym ludzi, którzy nie lubili go najbardziej. – Naśladując Casha, złożył ręce i nachylił się ku niemu. – To jak będzie? Oskarżycie mnie, czy jak?

– Nie dawaj im satysfakcji, Ray – powiedział Michaelson.

– Przesłuchanie skończone. – Cash wstał i żeby formalnościom stało się zadość, podał na głos godzinę.

Scholes siedział, patrząc na Foxa.

– Przykro mi z powodu Paula – powiedział Malcolm.

– Dużo nam z tego przyjdzie – mruknął inspektor.

– A może zrobimy okazanie? – zaproponował Kaye, kiedy Scholes, Michaelson i Haldane wyszli. – Może świadek ich zapamiętał?

– Mówi, że nie – odparł detektyw sierżant Young. – Widział tylko dwie sylwetki. Założył, że to mężczyźni, po ich budowie ciała i po tym, jak się poruszali.

– A więc tylko się domyślamy, że to Carter uciekał, tak? – spytał Fox.

Cash spiorunował go wzrokiem.

– Widzę, że mączenie jest waszą specjalnością.

– Ja nazywam to otwartym umysłem.

Cash spojrzał na Younga.

– Ściągnij go tu i tak. Niech złoży oficjalne zeznanie.

– Jeśli Carter sam wbiegł do wody i się utopił, to czyja to wina? – wtrącił Naysmith.

– Wtedy niczyja – przyznał inspektor. – Ale jeśli wdał się w bójkę, pomyślał, że może oberwać, i dał nogę...

– A ten drugi – kontynuował Young – ruszył w pościg i wystraszył go na amen...

– Wtedy napastnika można by o coś oskarżyć – podsumował Tony.

– To my o tym zdecydujemy – oświadczył Cash. – Wydział Śledczy, nie Skargi. – Spojrzał na Foxa. – Dlatego pan i pańska wesoła kompania nieudaczników możecie wracać na drugi brzeg zatoki.

– Nic z tego – odparł Fox. – Dopóki wasz komendant nie wyda nam rozkazu, nigdzie się stąd nie ruszymy.

– Nie powinno was tu nawet być! – Cash dźgnął go palcem w pierś, ale Fox ani drgnął.

– Podaliśmy wam tych trzech jak na tacy.

– No to co? Po nogach mam was za to całować?

– Wystarczyłoby zwykłe „dziękuję”.

– Sześciu – wtrącił Young. – Podaliście nam sześciu.

– Właśnie. – Cash kiwnął głową. – Zapomniałem, że tam wczoraj byliście.

– Tylko Naysmith i ja – poprawił go Kaye.

– To prawda? – spytał inspektor.

– Ja byłem w domu – potwierdził Fox. –
W Edynburgu.

– Sam?

– Jak palec.

Cash przeniósł wzrok z powrotem na Kaye’a i Naysmitha.

– To zaczniemy od was dwóch. – Podeszedł do kamery.

– Jak to się obsługuje, synu?

Czekając na polecenia, Joe spojrział na Foxa.

– Dobra, Cash, dowiódł pan swego – powiedział Malcolm.

– Żebyś pan wiedział; to trzeba zrobić regulaminowo. Niech mi pan tylko nie mówi, że wasi mieliby coś przeciwko temu. Na stole sekcyjnym leży miejscowy gliniarz, ale ja mam dwóch świadków, którzy widzieli go tuż przed śmiercią. – Inspektor spojrział na Younga i wskazał kame-

re. – Wiesz, jak to obsługiwać?

– To chyba nie takie trudne.

Cash odwrócił się do Foxa.

– Jeszcze pan tu jest? Będę musiał złożyć skargę, inspektorze.

Fox nie zamierzał wychodzić, ale Kaye ruchem głowy wskazał mu drzwi.

– Zaczekam na zewnątrz – powiedział Fox, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

– Bo tam jest twoje miejsce – mruknął Young.

Fox siedział przez chwilę w samochodzie, bębniąc palcami w kierownicę, patrząc przed siebie i nic nie widząc. Włączył radio, ale nie mógł znaleźć stacji, która przypadłaby mu do gustu. W komórce nie było żadnych nowych wiadomości. W końcu wysiadł i zaczął chodzić nerwowo po parkingu. Myślał o Paulu Carterze leżącym w posępnej, zimnej kostnicy, o przepełnionych strachem ostatnich chwilach jego ucieczki. Potem wyobraził sobie jego wuja siedzącego przy biurku w Gallowhill Cottage, spokojnego i nieobawiającego się tego, kto za nim stał.

Nieobawiającego się albo nieświadomego.

Francis Vernal zjechał z drogi albo go z niej zepchnięto. A może zastrzelono go, kiedy jeszcze prowadził? Do tego trzeba by snajpera, ale snajpera można znaleźć.

Ostatnie wspomnienia o żywym Paulu Carterze: „Rzygać mi się chce, mam tego dość. Chcę żyć tak jak dawniej...”. Wybiegł wtedy z domu.

– Ja też, kolego – mruknął Fox i wyjął komórkę, bo

przyszedł jakiś SMS.

Odpalaj silnik, zjeżdżamy stąd!

Dochodził właśnie do drzwi, gdy otworzyły się i z posterunku wyszli Kaye z Naysmithem.

– No i?

– Wyżywał się na nas do upadłego – zameldował Tony i zerknął na Joego. – Nie wiem, czy kupił jego historyjkę, ale mu się nie dziwię.

– Byłem w północnym Queensferry – wyjaśnił Joe.

– U tej dupeczki – dodał Tony.

– Cash pytał o jej nazwisko?

Joe pokręcił głową.

– To dobrze – ciągnął Fox – nie możemy dawać im więcej amunicji. Jeszcze trochę i szefostwo uzna, że mają przez nas więcej kłopotów niż pożytku.

– Nie ma to jak w domu. – Kaye zatarł ręce. – Nie mogę się już doczekać.

– Mamy robotę – przypomniał mu Fox.

Tony przewrócił oczami.

– Z której szybko dałeś dyla, żeby odkurzać stare książki.

– Odsunięto mnie, już zapomniałeś?

– Rzecz w tym, że tak się z tego cieszysz, jakbyś zajmował się zespołem cheerleaderek.

Naysmith pewnie to sobie wyobraził, bo wykrzywił usta w uśmiechu. Po chwili uśmiechnął się także Fox. A w końcu i sam Kaye.

– A jeśli ci pokażę? – zaproponował Fox.

– Ale co?

– Joe już tam był, powinieneś zobaczyć to i ty.

Naysmith kiwnął głową.

– W ile samochodów?

– Wystarczy jeden. A mój stoi chyba najbliżej.

I rzeczywiście: samochód Foxa znowu parkował na miejscu inspektor Pitkethly.

* * *

Drzwi wciąż były otwarte; wyglądało na to, że od jego ostatniej wizyty nikt tu nie zaglądał.

– Kto to odziedziczy? – spytał jak zwykle praktyczny Kaye. Oglądał dom jak potencjalny kupiec.

Fox pchnął drzwi.

– Jedynym krewnym jest chyba Paul Carter.

– Ja bym wolał land rovera – oznajmił Joe.

– Wyobrażacie sobie, jak pośrednik przyjeżdża tu z klientem? – Kaye wszedł za Foxem do salonu. – Opro-
wadza go, unikając oczywistego tematu...

– Czy w ogóle wolno nam tu wchodzić? – przerwał mu Joe. – Ostatecznie to miejsce zbrodni...

– Dokładnie przetrząśnięte i wyczyszczone – uspokoił go Fox. Przyglądał się Tony’emu. Mimo wszystkich wad Kaye miał policyjnego nosa. Fox nie spodziewał się re-
welacji: liczył jedynie na to, że Tony poprze kilka jego teorii. – Alan Carter siedział tutaj. – Dotknął ręką oparcia solidnego drewnianego krzesła. – Przed nim leżały papiery,

wszystko, co znalazł na temat śmierci Francisa Vernala.

– Wszystko? Na pewno?

– Wszystko, o czym wiemy.

– Wpuszcza do domu zabójcę?

– Według jego najlepszego przyjaciela, drzwi były zwykle zamknięte na klucz.

– Żadnych śladów włamania?

Fox pokręcił głową.

– A więc musiał go znać, co sprowadza nas z powrotem do bratanka.

– Papiery leżały na podłodze, ktoś je zrzucił.

– Mógł je zrzucić sam – zauważył Tony. – Wkurzył się na coś, miał napad szału...

Naysmith oparł się plecami o stojący przy kominku fotel.

– Dlaczego nie zabił psa?

– Dobre pytanie – zauważył Kaye. – Morderca–miłośnik zwierząt?

– Do psa nikt nic nie miał – powiedział Fox.

– Umrzeć miał tylko Alan Carter – dodał Naysmith.

Tony potwierdził to stłumionym chrząknięciem.

– Wiadomo, co znalazł?

– O Vernalu? – Fox podrapał się w głowę. – Chyba nie za dużo.

– No to jesteśmy w ślepych zaułku i znowu wracamy do bratanka.

Kaye obszedł pokój, otwierając szuflady i oglądając ozdoby – przysiadł nawet przed kominkiem, aby przyjrzeć

się popiołowi i zwęglonym kawałkom drewna na palenisku. Potem wstał, pociągnął nosem, zajrzał do kuchni i wszyscy trzech weszli na górę.

– Dom należał do Gavina Willisa – mówił Fox. – Willis był mentorem Alana Cartera: doświadczony śledczy i żółtodziób. Po jego śmierci Carter kupił dom i zaczął go remontować, chociaż nie miał o tym zielonego pojęcia.

– Fakt – zgodził się z nim Tony. – Powinien był trzymać się swojego fachu.

– Paul Carter był tu z ojcem jako młody chłopak. Jego wuj mówił im, że nie potrzebuje żadnej pomocy.

– Kłamał.

– Wymienił tynk, położył nowe tapety...

Kaye spojrział na Foxa.

– Myślisz, że czegoś szukał?

– Po śmierci Vernala zginęły pieniądze, kilka tysięcy.

– W gotówce? Pod tapetą byłoby tego wybrzuszenie.

– To może szukał czegoś innego...

Kaye zaskoczył dopiero teraz: Fox sprawdzał jego reakcję na lęgnące mu się w głowie pomysły. Zrozumiał to i puścił do niego oko.

– Samochód? – rzucił Naysmith. – To dużo lepsza kryjówka.

– Właśnie – zgodził się z nim Fox.

– Ale samochód stał w garażu, tak? – zauważył Tony.
– Więc po cholere rozbierać na kawałki cały dom?

– Może Carter nie wiedział o samochodzie – spekułował Joe. – Może początkowo nie skojarzył.

– Może.

– Chcesz tu przyjść z młotkiem i zburzyć ściany? – spytał Kaye.

Fox pokręcił głową.

– Bo uważasz, że jeśli tu coś było, to Carter już to znalazł?

Tym razem Fox wzruszył ramionami.

Kaye znowu wybrał się na małą przechadzkę, otwierając po drodze szuflady i drzwiczki.

– Wszyscy trzej jesteśmy gliniarzami – powiedział. – Gdzie schowałyby coś gliniarz?

– Na widoku? – rzucił Naysmith.

– Mogłoby wypalić, gdyby szukał tego Cash i jego przydupasy. Foxy?

– Pod materacem... może pod podłogą...

Kaye pokręcił głową.

– Joe ma przynajmniej trochę wyobraźni.

– Tu są hektary ziemi i setki drzew. Mógł to ukryć dosłownie wszędzie.

Kaye przemyślał sprawę i powiedział:

– Wygląda na to, że najbardziej oczywistym podejrzanym wciąż jest Paul Carter. – Zrobił pauzę. – Możemy już wracać do domu?

Fox spojrzał na niego.

– Chciałbym, żebyś najpierw rzucił okiem na samochód.

– Ale potem wracamy, tak?

– Zobaczymy – odparł wymijająco Fox.

Kluczyk do kłódki wisiał na haczyku w kuchni. Ludzie Casha widocznie nie zainteresowali się rdzewiejącym wrakiem. Podczas gdy Naysmith i Fox zdejmowali brezent, Tony przyglądał się narzędziom i puszkom farby na spowitych pajęczyną półkach.

– Samochód zabrano z miejsca wypadku bez żadnych oględzin – powiedział Fox.

– Willis osobiście pojechał na złomowisko – dodał Joe. – I kazał go tu przywieźć.

– Co z tego wynika? – Tony otrzepał ręce.

– Wiemy o nim tylko tyle, że był ze starej szkoły, przyjaźnił się z Alanem Carterem i być może podkradał broń, zamiast wrzucać ją do pieca.

– Ale to w żaden sposób nie łączy go z Vernalem.

– Nie licząc tego, że Vernal miał powiązania z ekstremistami, a ekstremiści mieli broń.

– Co wiemy o rewolwerze, z którego go zastrzelono?

– Vernala? Prawie nic – odparł Fox.

Kaye skrzyżował ramiona.

– Dobra, wal. Wyłóż mi swoją najbardziej zwariowaną teorię spiskową.

Fox wahał się tylko przez chwilę.

– Bezpieka. Kontrwywiad. Śledzono go, włamano się do jego domu i biura. Ci z Londynu bali się jego kumpli z KMŻ.

– I zabili go? Dlaczego?

– Uznali, że może stanowić zagrożenie? – podsunął Naysmith.

– Pytanie, czy rzeczywiście stanowił.

Fox potarł czoło.

– Wiadomo tylko, że był ich bankierem. Raczej nimi nie dowodził.

– A kto dowodził?

– Donald MacIver.

– Rozmawiałaś z nim?

– Siedzi w Carstairs. – Fox zrobił pauzę. – Myślisz, że powinienem z nim pogadać?

– Ty tu decydujesz. – Kaye obszedł samochód. – Sprawdzaliście w środku?

– Tak – odparł Naysmith. – Wszedłem przez okno i trochę poszperałem.

– Znalazłeś coś?

– Nic.

– Książkę wozu i rejestr napraw – poprawił go Fox.

– Zaglądaliście do bagażnika?

Gdy Fox pokręcił głową, Tony wziął ze stołu dłuto i podważył pokrywę. Joe pomógł mu śrubokrętem. W końcu zamek puścił. W środku była słoma, resztki jakiegoś gniazda. W zapasowym kole nie było powietrza, opona popękała. Kaye podniósł ją i włożył pod spód rękę. Kiedy spróbował przesunąć pokrywający podłogę filc, materiał rozpadł mu się pod palcami. Był tam lewarek, ale nic więcej. Fox zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech, na wpół oczekując, że znajdą pieniądze. Tony mruknął coś pod nosem i przyglądając się pogiętej ramie, przeszedł na drugi koniec samochodu.

– Myślałem, że są nie do zdarcia. Musiał ostro przygrzać...

– Wraciał od kochanki – poinformował go Fox.

– I aż tak się spieszył?

– Ktoś mógł siedzieć mu na ogonie.

– Znowu kontrwywiad? Myślisz, że udostępniliby nam akta?

– Wątpię.

Kaye zrzucił brezent na podłogę, położył się na nim i wpełznął pod samochód.

– Nikt tu chyba nie grzebał. Ale po tylu latach trudno powiedzieć. – Wstał i otrzepał ubranie. – Kochanka coś mówiła?

– Zaraz potem zrobiła sztuczkę ze znikaniem.

– A ty uważasz, że ktoś ją nastraszył?

– Niekoniecznie.

Tony potarł podbródek.

– Malcolm, szczerze mówiąc, nie sędzę, żebyś coś znalazł.

– Ale dlatego, że nie ma tu czego szukać?

Kaye zmrużył oczy.

– Tego bym nie powiedział.

– I szukałbyś dalej?

Tony powoli pokręcił głową.

– Ja? Ja tam wolę proste życie. Ale ty... – Uznał, że nie musi kończyć zdania.

Fox popatrzył na samochód i chwycił róg brezentu. Joe chwycił drugi i pomógł mu przykryć samochód.

* * *

Podrzucił ich na parking przed posterunkiem.

– Co dalej? – spytał.

Kaye spojrział na Naysmitha.

– Chyba możemy już napisać raport.

– Mogę mieć jeszcze kilka pytań – zaprotestował Joe.

– Do uroczej pani detektyw Forrester?

Naysmith robił, co mógł, żeby nie spieć raka. Kaye stłumił śmiech i klepnął go w plecy.

– A ty? – spytał Foxa.

– Cash nie chce mnie widzieć.

– Doskonały pretekst, żeby wrócić do archeologii?

– Powiedzmy.

Tony kiwnął głową, objął za ramię Naysmitha i zaczął mu udzielać sercowych rad. Poszli w stronę tylnych drzwi.

Fox siedział w samochodzie i nie gasząc silnika, myślał o roztrzaskanym rdzawoczerwonym volvie. Willis chciał go mieć nie bez powodu. Musiał założyć, że to jakiś dowód, mała polisa ubezpieczeniowa. Ale skoro już zabrał pieniądze, po co zatrzymał wrak? I w ogóle, skąd o tych pieniądzach wiedział? Chyba że miał powiązania z KMŻ.

Był członkiem?

Sympatykiem?

Fox spojrział na podłogę przed fotelem pasażera. Leżała tam książka wozu Vernala. Pochylił się i podniósł ją. Co powiedział Naysmith?

„Na widoku...”.

A Tony: „Mogłoby wypalić, gdyby...”.

Sporo kartek się posklejało. Próbował je rozdzielić, ale się rwały. Przesunął po nich palcami, próbując wyczuć, czy czegoś tam nie ma. Z tyłu była plastikowa koszulka, w której tkwiło kilka luźnych formularzy z wyszczególnionymi naprawami i listą wymienionych części. One też wyglądały nie najlepiej. Właściciel? F. Vernal. Adres? Grange. Samochód serwisowano w warsztacie w południowej dzielnicy Edynburga.

Zmiana opon... wymiana oleju... wymiana płynu hamulcowego... przegląd po szesnastu tysiącach kilometrów... nowe wycieraczki...

Kolejna kartka: Fox patrzył na nią, próbując coś z tego zrozumieć.

Widniało na niej to samo logo – MJM Motors – ale charakter pisma był inny. Wyglądała jak faktura, tyle że nią nie była.

– Ty mały, przebiegły sukinsynu – wyszeptał.

Robota Gavina Willisa, na sto procent. Dostawa broni dla kogoś o pseudonimie „Oko”, prawdopodobnie Sokole. Za prawie tysiąc dwieście funtów. Nie, nie jedna dostawa, tylko trzy albo cztery, w sumie dwanaście sztuk broni i nieokreślona ilość amunicji. Dwa rewolwery, dwa pistolety, strzelba i siedem karabinów. Fox przesunął palcem po wyrazie „Oko”.

Miał przed sobą dowód, że Gavin Willis, członek KMŻ lub jego sympatyk, był dostawcą Sokolego Oka,

który wykorzystywał tę broń podczas zbrojnych napadów.

Willis musiał powiedzieć Alanowi Carterowi, a Carter nie chciał, żeby zszargano reputację mistrza. Nikt nie miał prawa wiedzieć, nawet po śmierci Willisa.

– Nie mogłeś ryzykować, co? – wymamrotał Fox. – Nie mogłeś ryzykować, że ktoś kupi dom i coś znajdzie.

Czy rewolwer był tam cały czas? Carter zachował go i trzymał pod ręką? W takim razie ktoś mu go odebrał i kazał usiąść przy stole... Fox powoli pokręcił głową. Niemożliwe. Alan Carter stawiałby czoło każdemu napastnikowi. Gdyby kazano mu usiąść, zdecydowanie by odmówił.

Na pewno?

Fox przejrzał pozostałe faktury, lecz nie znalazł innych wskazówek. Zastanawiał się, czy Alan Carter o nich wiedział. Nie, bo czy wtedy by ich nie zniszczył? Co więcej, czy nie pozbyłby się całej znalezionej w domu broni? Tak, zrywając tynki i niszcząc każdy obciążający, według niego, dowód. Musiał podtrzymać reputację Willisa. Foxowi przypomniały się słowa Tony'ego Kaye'a: „Nie sądzę, żebyś coś znalazł...”.

– Mylisz się, kolego – powiedział zdecydowanie.

X

Przez kilka dni nie działo się nic.

Funkcjonariusze Wydziału Etyki i Standardów Zawodowych wrócili do Edynburga. Kaye i Naysmith pisali raport dla policji okręgu Fife. Sugestie były jasne i oczywiste: Paul Carter nie żyje. Zaniechać dalszych działań.

– Po prostu dajcie im to, co macie – sprecyzował McEwan.

Ciało Alana Cartera zostało wydane, ale ciało jego bratanka pozostało w kostnicy. Carter chciał, żeby go skremowano, a prochy rozrzucono na różanych klombach przy krematorium. Fox był na pogrzebie. Nad organizacją ostatniego pożegnania czuwał Teddy Fraser i gdy w swojej mowie pastor nie wspomniał o piłkarskich osiągnięciach zmarłego, Teddy oczywiście wstał i opowiedział zebranym o jego dwudziestu dziewięciu golach w jednym sezonie. Na pogrzebie był także Jimmy Nicholl. Teddy zaniósł potulnego psa na podium, nie przyjmując niczyjej pomocy.

Kaplica pękała w szwach. Fox zastanawiał się, czy na pogrzeb Paula Cartera przyszlaby chociaż połowa tych, którzy chcieli pożegnać jego wuja – bardzo w to wątpił. Szefostwo okręgu Fife pojawiłoby się pewnie z obowiązku, ale mieszkańcy raczej nie. Słyszeli plotki: ciało Alana Cartera wydano tylko dlatego, że jego morderca też już nie żył.

Czekając, aż przywiozą trumnę, emerytowani policjanci ściskali sobie ręce, klepali się po plecach i wspominali. Przyszedł Robinson w mundurze sierżanta z wypucowanymi na błysk srebrzystymi guzikami. Zdało się, że Alana Cartera znało pół miasta. Ten i ów chmurzył czoło i mruzczał coś pod nosem na widok rodziny Szafików, tych, z którymi agencja Cartera miała na pieńku. Ojciec i dwóch synów, synowie w ray-banach, elegancko ubrani, z gładko zaczesanymi do tyłu włosami.

Fox spytał Frasera, o co im poszło.

– Burza w szklance whisky – odparł Teddy. – Z tym że tatuś nie pije.

Scholes, Haldane i Michaelson też się zjawili, chociaż wyraźnie unikali Foxa i Szafików. Potem Fox poszedł z Evelyn na drinka.

– Sprawa jest otwarta – powiedziała Evelyn. – Główny podejrzany nie żyje, co nie znaczy, że chcemy zamieść to pod dywan. Ale z drugiej strony...

– Nikt nie będzie wypruwał sobie flaków? – Fox domyślił się tego po minie detektywa inspektora Casha i detektywa sierżanta Younga, gdy spokojni i odprężeni siedzieli w kaplicy. Sprawa z głowy. – Rzecz w tym, że jeśli młody Carter tego nie zrobił, morderca wciąż jest na wolności.

– To daj mi kogoś innego, daj mi jakiś konkret.

Następnego wieczoru mniej więcej o to samo poprosił go Charles Mangold.

– Z Imogen jest coraz gorzej, panie inspektorze. Lada

dzień może zgasnąć.

– Bardzo mi przykro – powiedział Fox.

– Czas ucieka.

– Robię, co mogę.

Tylko że prawie nic nie zrobił. Przygotowywał się głównie do procesu, sprawy, która ciągnęła się niemal od półtora roku, by wreszcie trafić do sądu. Miał zeznawać i przeglądając notatki, natrafił na parę luk – małych dziur w procedurze – które dobry adwokat natychmiast by zauważył i wykorzystał, jak dobry bokser, który zauważywszy drobne skaleczenie na łuku brwiowym przeciwnika, natychmiast posłałby tam cios. Pracował nad obroną, czełując kontrargumenty tylko po to, by dowiedzieć się, że w ostatniej chwili rozprawę przełożono.

Tak więc siedział teraz na Fettes, pomagając Kaye’owi i Naysmithowi w pisaniu raportu i ze współczuciem wysłuchując smętnych narzekań McEwana skarżącego się na cięcia budżetowe i wyniki ostatnich narad.

– Jesteśmy policjantami czy księgowymi? Gdybym chciał spędzić całe życie z kalkulatorem w ręku, uważałbym bardziej na lekcjach matematyki pana Gentry’ego.

Zadzwoił telefon i oficer dyżurny poinformował Foxa, że ktoś do niego przyszedł.

Detektyw inspektor Jackson.

Fox zmrużył oczy.

– Na pewno do mnie? – Jackson: turysta z Wydziału Specjalnego w Londynie.

– Mamy tu tylko jednego Foxa – odparł dyżurny. –

Splawić go?

– Wyślij go do kantyny. – Fox rozłączył się i włożył marynarkę.

Jackson stał w kolejce z pustą tacą i dochodził już do kasy.

– Wziąć coś dla pana? – spytał.

– Herbatę.

– Dwie herbaty – poprosił Jackson.

– Dzbanek i dwie torebki? – spytała kasjerka.

– Znakomicie – odparł z uśmiechem inspektor.

Podeszli do stolika przy oknie i usiedli naprzeciwko siebie.

– Co pana sprowadza? – spytał Fox.

– Ot, przejeżdżałem i wpadłem. – Jackson zobaczył jego minę i znowu się uśmiechnął. – Zgoda, niezupełnie.

– Jak sprawa Lockerbie i Peebles?

– W porządku.

– Złapaliście już tych z bombami?

Jackson spojrzał na niego nieruchomymi oczami.

– To nie zabawa, inspektorze. Myślałem, że pan to rozumie.

– Chyba nie bardzo.

– Sprawa, nad którą pan pracuje.

Teraz z kolei Fox spojrzał na niego.

– Moja sprawa?

– Zainteresowała mnie. I trochę poszperałem. Musi pan przyznać, że internet to prawdziwe gniazdo żmij, czyż nie? Półprawdy, domysły, skrajne teorie...

– Głównie spiskowe – zgodził się z nim Fox, może trochę za bardzo skwapliwie.

– Ale z tego, co słyszę, pański historyk zginął z ręki swego bratanka, jakieś zadawnione urazy czy coś... – Jackson wypił łyk herbaty, przyglądając mu się znad brzegu szklanki.

– Więc wszystko w porządku, prawda? – odparł Fox.

– Dlaczego Alan Carter tak bardzo interesował się Vernalem?

– I co ważniejsze, dlaczego interesuje się nim pan?

Inspektor wzruszył ramionami, jakby uznał, że pytanie jest fair.

– Rozmawiałem z kimś od was. I wiem, że znaleziono jego samochód.

Wielkie dzięki, inspektorze Cash...

– Miał zostać zezłomowany – ciągnął Jackson – ale ktoś postanowił go zachować.

Fox chrząknął, enigmatycznie i wymijająco.

– Willis. Tak się nazywa?

– Nazywał – poprawił go Fox.

– On i Alan Carter byli przyjaciółmi, kolegami...

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego to pana interesuje.

– A ja nie rozumiem, dlaczego interesuje to pana. Dla kogo pracował Carter?

– Skąd przypuszczenie, że w ogóle pracował?

– Vernal zginął ćwierć wieku temu. Domyślam się, że coś lub, co bardziej prawdopodobne, ktoś wzbudził jego ciekawość.

– A jeśli tak?

Jackson odstawił herbatę i spojrział w okno.

– Te skrajności, o których wspominałem... Wielu zwolenników teorii spiskowych uważa, że do śmierci Vernala mogły przyczynić się służby bezpieczeństwa.

– I przyjechał mi pan powiedzieć, że to nieprawda?

– Dzisiaj gra się w tę grę inaczej, panie inspektorze. Jest dużo innych sposobów na szerzenie plotek i dezinformacji. Podstawić im nogę i oczernić: wielu by się z tego ucieszyło. – Inspektor zerknął na Foxa. – Byłbym spokojniejszy, wiedząc, kto zlecił zbadanie tej sprawy.

– Ktoś, kto na pewno nie żywi do was urazy.

– Jest pan pewny?

– Przyjaciel wdowy. Chce, żeby przed śmiercią miała poczucie, że to ostatecznie zamknięty rozdział.

– Żadnych innych motywów?

Foxowi stanął przed oczami pulchny, rumiany prawnik.

– Żadnych.

Jackson zamyślił się, wydymając wargi.

– Dziękuję, inspektorze. – Zastanawiał się chyba, co dodać.

– Też pan szukał? – spytał Fox.

Jackson kiwnął głową.

– I znalazł pan coś?

– Tak i nie. Nasz przyjaciel Vernal był przez jakiś czas pod obserwacją.

– Wydziału Specjalnego?

– Tak jakby.

– MI5?

Jackson poruszył kącikiem ust.

– Śledzono go.

– Tamtego dnia? W dniu, kiedy zginął?

– Tak.

– Ktoś siedział mu na ogonie? To dlatego tak szybko jechał?

– Nie wiem.

– Ale to byli... – Fox poszukał odpowiedniego słowa.

– Jacyś agenci, tak? Ci, którzy za nim jechali.

Inspektor bez słowa kiwnął głową.

– To znaczy, że kiedy się rozbił... – Fox przeszył go wzrokiem. – To znaczy, że ktoś tam wtedy był, że mógł tam być już kilka sekund później.

– Ale go nie zastrzelili. Sprawdzili, czy oddycha, i pojechali...

– Żeby zadzwonić po karetkę?

– Boję się, że nie.

– Dlaczego?

– Nie mogli ryzykować. Gdyby to się wydało, naraziłoby na szwank całą operację.

– Zostawili go tam? Tak po prostu?

– Oddychał. Nie wyglądał tak źle.

– I to wszystko jest w aktach?

– Kiedy czyta się między wierszami.

Fox zmarszczył brwi.

– I można też z nich wyczytać, że to był zamach?

- Nie.
- Skąd ta pewność?
- To byli obserwatorzy. Nieuzbrojeni.
- Nie mieli rozkazu go zabić?
- Absolutnie nie.
- Ale do jego domu i biura się włamali, tak?

Wyglądało na to, że inspektor jest gotów to potwierdzić.

– W tamtych czasach po obu stronach barykady było wielu różnych drani, inspektorze. Nie zapominajmy, że znajomi Vernala byli w sumie terrorystami. Bomby, broń i napady na banki: takie miał credo. Mówię to panu dlatego, że stoimy po tej samej stronie.

Fox uważnie obserwował jego twarz.

– Wypadek samochodowy i ranny kierowca: a oni tak po prostu odjechali?

Jackson milczał.

- Co? Nie odjechali?
- Najpierw trochę się rozejrzeli.
- Przetrzęsneli wóz? – Po minie inspektora Fox poznał, że zgadł. – Jasna cholera... Brakowało rzeczy, papierosów, jego szczęśliwego banknotu...
- Przesłuchano ich. Niczego nie zabrali.
- Był tam rewolwer?
- Nie. Znaleziono go dopiero potem.
- Tak, dwadzieścia metrów dalej. – Fox zrobił pauzę. –

I wie pan to wszystko z akt?

– Tak.

Fox pomyślał o pieniądzach KMŻ, ukrytych gdzieś w samochodzie Vernala. Przecież agenci ich nie znaleźli.

Przy stoliku zapadła cisza.

– Vernal i jego przyjaciele chcieli rzucić nas na kolana
– powiedział cicho Jackson.

– Kto go zabił?

– Nie wiemy.

– Mogę porozmawiać z tymi, którzy za nim jechali?

– Nie.

– I tyle z tego, że jesteśmy po tej samej stronie.

– Co, pana zdaniem, mogliby jeszcze dodać?

– Okazałoby się podczas rozmowy.

Jackson odchylił się do tyłu.

– Dowiem się nazwiska tego, kto zlecił tę robotę Alanowi Carterowi?

– Nie ode mnie.

– Wielu z tych ludzi uszło wymiarowi sprawiedliwości, panie inspektorze. Śmiem twierdzić, że wciąż gdzieś tam są, wciąż czerpią zapal z dawnych błazeństw... Bardzo im wtedy pomagano.

Fox zastanawiał się, czy służby miały na celowniku także Gavina Willisa, dostawcę broni. Ale gdyby o to spytał, musiałby za dużo ujawnić, dlatego skupił się na stojącej przed nim herbacie.

Komórka Jacksona była przełączona na tryb cichy. Wibrowała, gdy wyjął ją z kieszeni i spojrzał na ekran.

– Muszę odebrać. – Wstał, odszedł w stronę drzwi i przystanął tyłem do Foxa. Przez chwilę słuchał, kiwając

głową. Potem rozłączył się i odwrócił z ponurym wyrazem twarzy.

– Muszę jechać.

– Do Peebles? – domyślił się Fox.

– Nie. Ile jedzie się stąd do Stirling?

– O tej porze... z godzinę. Przy odrobinie szczęścia trochę krócej.

– Kolejna eksplozja – rzucił Jackson. Komórka znowu zawibrowała. – Muszę jechać – powtórzył. I z telefonem przy uchu ruszył do wyjścia.

– Szaleńcy z bombami – mruknął do siebie Fox. To nie miało końca. Dlaczego?

Do niego też ktoś zadzwonił. Gdy rozmówca się przedstawił, Fox wiedział już, że jego też czeka wyprawa.

Zorganizowanie tej wizyty trwało kilka dni i wymagało więcej niż kilku telefonów, ale w końcu przejechał przez bramę szpitala w Carstairs. Carstairs jest dla wielu jednym z przystanków nocnego pociągu z Londynu do Edynburga. Nie ma tam nic do oglądania, ot, stacja kolejowa, wioska z jednym sklepem, a za wioską dom najbardziej gwałtownych i najmniej przewidywalnych szkockich więźniów. Zaparkował na wydzielonym parkingu, wpuszczono go na teren i wszedł do budynku głównego. Wraz z nim przyjechało kilku innych gości. Robili wrażenie obeznanych z procedurami bezpieczeństwa. Zeskanowano im dłonie. Miało to wykazać, czy w ciągu ostatniego czasu odwiedzający miał kontakt z narkotykami. Pozytywny odczyt oznaczał zakaz wizyty tego dnia. Zaglądano do toreb i torebek, a nawet badano losowo telefony komórkowe na obecność zakazanych substancji. Kolejka powoli przesuwała się do przodu. Twarze ludzi były potulne, choć spięte. Jakaś kobieta przyjechała z córką. Dziewczynka kurczowo trzymała się matki i ssała smoczek, na który była pewnie parę lat za duża.

– Inspektor Fox? – Zobaczył kobietę, która ominąwszy kolejkę, szła w jego stronę. Uścisnęła mu rękę i przedstawiła się jako Gretchen Hughes. – To holenderskie imię – wyjaśniła, jakby chciała uprzedzić pytanie, które

zawsze jej zadawano.

– Dziękuję, że pani po mnie wyszła – powiedział.

– Nie ma sprawy. – Podeszła do okienka i wzięła dla niego identyfikator. Założył, że obowiązują tu takie same procedury jak w każdym więzieniu, i zdeponował telefon.

– Donald nie ma zbyt wielu gości – powiedziała.

– Ale ktoś go odwiedza?

– Od roku nikt.

– A przedtem?

Przyjrzała mu się uważniej. Miała krótkie, jasne włosy i bladoniebieskie oczy. I zwykłą złotą obrączkę na palcu, co wskazywało na istnienie pana Hughesa.

– Udostępnienie tego rodzaju informacji wymaga chyba oficjalnej prośby.

– Chyba tak. – Ominęli kolejkę. Fox prosił tylko o możliwość rozmowy z MacIverem. – Myśli pani, że Donald mi powie?

– Nie ufałabym jego odpowiedzi.

– Fantazjuje?

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się szeroko.

– Czyżby czytał pan coś na ten temat?

Fox nie zamierzał się zdradzać.

– Nie, to nie są fantazje – ciągnęła. – Ale miewa dni lepsze i gorsze. Lekarstwa utrzymują go we względnej równowadze.

– Czy powinienem unikać jakichś tematów?

– Proszę tylko pamiętać, żeby zwracać się do niego per pan. Minęły prawie dwa lata, zanim przeszliśmy na ty.

– Ilu macie tu więźniów?

Gretchen ostrzegawczo zacmokała.

– Pacjentów, panie inspektorze, pacjentów. Proszę pamiętać.

– Pacjenci zwykle zdrowieją i wychodzą ze szpitala. Często się to tu zdarza?

Otwierano i zamykano za nimi drzwi. Nie wiedział, czego się tak naprawdę spodziewał. Było tu znacznie ciszej niż w więzieniu. Sporo ludzi, ale wszyscy poruszali się powoli i ostrożnie. Personel był w podkoszulkach i wyglądało na to, że ufa nowo przybyłym dużo mniej niż stałym pensjonariuszom.

– Gdzie będziemy rozmawiać? – rzucił w ciszę. Próbował się zorientować, czy Gretchen jest lekarzem. Z jej identyfikatora nic nie wynikało.

– W jego pokoju – odparła. – Lubi swój pokój.

– Nie mam nic przeciwko temu.

Chwilę później doszli do otwartych drzwi. Gretchen zapukała w futrynę.

– Donald? To jest ten pan, o którym ci mówiłam. – Cofnęła się, żeby Fox mógł wejść do środka.

MacIver siedział przy stole. Miejsca wystarczyło tam jeszcze na wąskie łóżko i półki. Na ścianie wisiała antyczna mapa Szkocji. MacIver czytał gazetę. Na podłodze leżał cały ich stos. Zaznaczał słowa i całe fragmenty grubą niebieską kredką. Podkreślił i zakreślił chyba wszystkie akapity na stronie, którą studiował. Naprzeciwko stało krzesło i Fox usiadł.

– Chcesz czegoś?

Pokręcił głową, ale zdał sobie sprawę, że pytanie nie było skierowane do niego.

– Nie – mruknął MacIver, nie przerywając lektury.

– Będę na korytarzu. – Gretchen wyszła, lecz drzwi pozostały otwarte.

Fox przyglądał się siedzącemu naprzeciwko mężczyźnie, próbując myśleć o nim nie jak o „więźniu”, tylko jak o „pacjencie”. MacIver był barczysty i wysoki. Miał metr osiemdziesiąt pięć, metr dziewięćdziesiąt wzrostu, duże oczy, siwe włosy do połowy pleców i siwą brodę, której pozazdrościłby mu każdy czarnoksiężnik. Był w okrągłych okularach, które domagały się czyszczenia. Miał krótkie, brudne paznokcie, a w pokoju unosił się lekki zapach siarki.

– Nazywam się Fox.

W jego okularach odbijał się tekst artykułu. Kolejny akapit do zakreślenia. MacIver zrobił to z niezwykłą starannością, pomijając słowa, które uznał za nieważne. Czytał o planach budowy nowego mostu nad Firth of Forth.

– Zrezygnowali z pobierania opłaty za przejazd, wie pan? Przez Forth Road Bridge. Kiedy tylko SPN doszła do władzy...

– Pan to nazywa władzą? – przerwał mu MacIver głosem dudniącym jak w studni. – To jest całkowite przeciwieństwo władzy.

Fox czekał na ciąg dalszy, ale MacIver na powrót zajął

się lekturą.

– W takim razie, co to jest władza?

– To coś, co dzierży się oburącz jak miecz, coś, czym można przebić wrogowi serce. Światło dla tych, którzy na to zasługują, zimna ciemnica dla wszystkich pozostałych: oto czym jest prawdziwa władza.

Fox powiódł wzrokiem po książkach na półce. Kilku autorów znał, innych nie.

– Pamiętam, że MacDiarmida²¹ czytałem w szkole.

– Christopher Murray Grieve. Tak się naprawdę nazywał.

– Znał go pan?

– Nasze ścieżki mogły się przeciąć. W Edynburgu i Glasgow były takie miejsca. Kaznodzieje i komuniści, filozofowie dżentelmeni... – MacIver urwał i przestał czytać, patrząc na gazetę, lecz jej nie widząc. W końcu podniósł wzrok. – Czy my się znamy? Spotkaliśmy się gdzieś?

– Nie.

– Dużo teraz zapominam.

– Nazywam się Fox i interesuje mnie Francis Vernal.

– Francis nie żyje.

– Wiem.

– Był męczennikiem, zginął za sprawę.

– Naprawdę tak pan myśli?

– Przemawiając, mógł obalać królów i osadzać na tronie nowych.

– A więc dobrze go pan znał?

– To był człowiek najrzadszy z ludzi, myśliciel, który potrafił działać. Umiał nie tylko mówić, ale i pracować dla sprawy.

– Tak, działał bardzo aktywnie – zgodził się z nim Fox.

– Dlatego musiał zginąć.

– Myśli pan, że to było zaplanowane morderstwo?

– Zastrzelili go z małej odległości. Niecały miesiąc później przyszli po mnie. Tuż przedtem byli bardzo zajęci, bo podrzucali dowody do mojej piwnicy. Wyważyli drzwi i wpadli do mieszkania w tych swoich kombinezonach antyradiacyjnych. Bardzo imponujące, zwłaszcza że ja byłem w różowej piżamie w paski. – Starannie wymawiał słowa. Miał szerniałe i nierówne zęby. – Nie pozwolili mi się nawet ubrać. I dobrze wiedzieli, gdzie szukać „dowodów”.

– Początkowo trafił pan do więzienia.

– Tak, ale to im nie wystarczyło. Widzieli, że świetnie mi się tam żyje, że rozmawiam z ludźmi i otwieram im oczy na tyranie.

– Wdał się pan w bójkę z więźniem.

– Dobrze mu za to zapłacono. Bo niby dlaczego to akurat mnie za to ukarano? To jedyne wyjaśnienie! Karcer, potem Barlinnie, jeszcze potem Peterhead...22.

– I znowu przemoc?

– Znowu prowokacje i zastraszanie – poprawił go MacIver. – Wszystko po to, żeby złamać ducha i doprowadzić człowieka do obłędu. – Pokiwał palcem. –

Ale jestem równie zdrowy psychicznie jak pan. Niech im pan to powie.

Fox kiwnął głową.

– Czym konkretnie zajmował się Francis Vernal? To znaczy, w organizacji.

– Był naszym zaufanym doradcą. Mieliśmy dużo gorących głów i trzeba je było ochłodzić. Świetnie się do tego nadawał.

– Ale zajmował się również finansami, prawda?

– Był pożyteczny pod wieloma względami.

– Pieniądze pochodziły z napadów i rabunków – drażył Fox. – Kupowaliście za nie broń i materiały wybuchowe?

– Zło konieczne.

– Czy pan Vernal miał w samochodzie broń?

MacIver szybko zamrugnął, jakby budził się z drzemki.

– Co pan tu robi? Po co te wszystkie pytania? – Spojrzał na gazetę, jakby nigdy jej przedtem nie widział. – Burns ujął to najlepiej: „Kupieni i sprzedani za angielskie złoto”. – Dźgnął palcem w szkic nowego mostu. – Oto co tu widać.

– „Banda łajdaków w narodzie” – dokończył Fox i sięgnął do kieszeni. Wyjął zdjęcie z książki profesora Martina, to pokazujące Vernala z Alice Watts i Sokolim Okiem. Położył je na gazecie wraz z dwoma zdjęciami studenckimi Alice.

– Francis. – MacIver przesunął palcem po jego twarzy.

– I Alice. – Podniósł zdjęcie, żeby lepiej mu się przyjrzeć,

i zwięzły mu się oczy.

– Nie wie pan, co się z nią stało? – spytał Fox.

MacIver pokręcił głową. Wolną ręką głaskał się po brodzie. Jak zahipnotyzowany patrzył na zdjęcie.

– Młodość, energia i piękno: żaden ruch nie potrzebuje niczego więcej.

– Sypiała z Vernalem.

– Miała wielu adoratorów.

– W tym Donalda MacIvera? Czy potem odzywała się do pana?

– Zrobiła to, co trzeba. Zabili Francisa i przyszli po mnie. Alice zeszła do podziemia.

– Sokole Oko też? – Fox nachylił się w jego stronę i postukał w zdjęcie.

– Pewnie dalej działa. Gdzieś, gdzie jest sprawa, za którą warto walczyć.

– Zna pan jego prawdziwe nazwisko?

– Zawsze był dla nas Sokolim Okiem.

– Nie utrzymuje pan kontaktów ze starymi znajomymi?

– Po co mieliby mnie odwiedzać? Nie mam im nic do zaoferowania.

– Rozmawiałem niedawno z Johnem Elliotem. On do podziemia nie zszedł.

– Widziałem go w telewizji.

– Nigdy u pana nie był?

MacIver pokręcił głową.

– To zdjęcie z książki – ciągnął Fox. – Napisał ją hi-

storyk nazwiskiem John Martin.

– Jak ten piosenkarz?

– Inaczej się pisze. Chciał z panem rozmawiać, ale pan odmówił.

– Tak?

– Tak twierdzi.

MacIver wzruszył ramionami.

– Nie pamiętam go.

Fox zastanowił się i spytał:

– Czy mówi panu coś nazwisko Gavin Willis?

– Gavin Willis? – powtórzył MacIver, cedząc słowa. – Gallowhill Cottage?

– Tak.

– Piękne miejsce. Chyba gdzieś w Fife...

– Pod Burntisland. Kiedy go pan znał, był policjantem.

MacIver kiwnął głową.

– I waszym sympatykiem? – Fox zrobił pauzę. – Więcej niż sympatykiem?

– Nigdy nie był aktywnym członkiem.

– Ale zdobywał dla was broń, prawda? Może przechowywał ją w domu do czasu, aż była wam potrzebna. I pewnie pomagał wam też się jej pozbyć, kiedy wymagały tego okoliczności. – Na przykład po napadzie na bank, pomyślał Fox: kto by zauważył, że do pieca trafił jeden pistolet ekstra? Piec, i dowody zniszczone. – Po wypadku odkupił samochód Vernala. Nie domyśla się pan dlaczego?

– A to spryciarz – powiedział cicho MacIver. – Zawsze się zastanawiałem...

– Nad czym?
– Czy ktoś znalazł te pieniądze.
– Pieniądze z napadów? To było kilka tysięcy funtów, prawda?

– Oficjalnie. Rząd nie chciał, żeby ludzie się zwiędzieli.

– Że?

– Że jesteśmy w tym dobrzy. Wysyłaliśmy węgla do najwyższych władz, wysadzaliśmy w powietrze budynki rządowe, napadaliśmy na banki i bankowozy... – MacIver uśmiechnął się do wspomnień. – Były nas setki, a zamknęli tylko mnie.

– Ile pieniędzy było w tym samochodzie?

– Trzydzieści, czterdzieści tysięcy. – MacIver zmarszczył brwi. – Mniej więcej.

– Vernal trzymał je w bagażniku?

– Pod zapasowym kołem.

Foxowi stanął przed oczami Tony Kaye otwierający dół bagażnika i podnoszący sparciałą oponę – pod spodem nie było nic.

– Trzydzieści, czterdzieści tysięcy? Jest pan pewny?

– Wtedy to było dużo pieniędzy.

Foxowi przypomniała się cena mieszkania w Edynburgu w 1985 roku: trzydzieści pięć tysięcy funtów. Warto było za tyle zabić? Oczywiście. Zabijano za dużo mniej.

– W Szkocji znowu wybuchają bomby. Uważa pan, że zamachowców coś usprawiedliwia?

– „Usprawiedliwiać” to ciekawe słowo. Moglibyśmy spędzić rok i jeszcze jeden dzień, zastanawiając się, co właściwie znaczy. – MacIver przeszył go wzrokiem. – Walczą o swoją sprawę, są pełni pasji i zaangażowania. Widzieli, jak system wali się, a status quo pozostaje nie-naruszone. Frustracja zmienia się w gniew, a gniew w poczucie niesprawiedliwości.

– Wtedy też się pan tak czuł?

– Wszyscy tak się czuliśmy! – MacIver podniósł głos, był coraz bardziej wzburzony.

W drzwiach pojawiła się nagle Gretchen Hughes z dwoma sanitariuszami.

– Wszystko w porządku? – spytała.

MacIver wstał. Spojrzał na pozakreślane fragmenty, chwycił gazetę i zaczął drzeć ją na strzępy. Sanitariusze podeszli bliżej i Fox zrobił im miejsce.

– Sprzedać się za garść błyskotek – syczał MacIver. – I to ma być władza? Dlaczego nie nazwie pan tego po imieniu?

Gretchen położyła rękę na ramieniu Foxa.

– Idziemy, panie inspektorze, już czas.

Fox ani drgnął.

– To znaczy jak? – spytał, czując, że Gretchen zaciska palce.

– To jest śmierć – odparł MacIver drżącym głosem. – A my za nią płacimy. Niech pan zapamięta moje słowa: to my za nią płacimy. – Bezwładnie opadł na krzesło.

– Inspektorze, musi pan wyjść – powiedziała Gre-

tchen.

– Już idę – odparł Fox i wyszedł z pokoju.

Nie mógł skontaktować się z Jacksonem, więc pojechał w kierunku Stirling. Z radia wiedział, że do wybuchu doszło w pobliżu Kippen. GPS zalecał dojazd drogą A73 i M80. Fox odtworzył w myślach przebieg wizyty w Carstairs i puls powoli wrócił do względnej normy. MacIver prawie nie stracił zapału ani żarliwości. Być może nie dorównywał Vernalowi zdolnościami oratorskimi, ale na pewno potrafił przytaczać argumenty z gorącą pasją, mimo to racjonalnie. Nietrudno było wyobrazić sobie, że młodzi ludzie słuchali go jak zauroczeni. Przemawiał pewnie jak ktoś z uzasadnionym żalem do całego świata, choć propozycji jego naprawienia miał niewiele – nie licząc zbrojnego powstania.

Zatrzymał się na stacji benzynowej, zatankował i siedząc w samochodzie, zjadł kanapkę i wypił butelkę irn-bru. Gdy wróciwszy na szosę, zaczął wypatrywać drogowskazów na Kippen, znalazł się w konwoju samochodów, za furgonetką z talerzem satelitarnym na dachu. Ekipy telewizyjne jechały na miejsce eksplozji. Furgonetka wrzuciła w końcu kierunkowskaz i skręciła do wiejskiego parku u stóp pasma wzgórz. Do lasu prowadziło kilka ścieżek i był tam błotnisty parking pełen policyjnych radiowozów. Fox stanął przy najbliższym krawężniku i wysiadł. Reporterzy rozmawiali przez telefon i ze sobą. Umundurowani policjanci próbowali utrzymać ich

w jednym miejscu. Speszeni turyści wracali do samochodów, by stwierdzić, że są zastawione. I ani śladu Jacksona. Okazał legitymację i jeden z mundurowych skierował go w stronę ścieżki na prawo. Każdego innego dnia byłaby to przyjemna wycieczka, chociaż włożyłby pewnie inne buty. Kilka razy poślizgnął się na liściach, z trudem zachowując równowagę. Im dalej w las, tym głębsza zapadała cisza, w końcu przystanął, nasłuchując i oddychając pełną pierśią. Przypomnił mu się park narodowy Hermitage of Braid pod Edynburgiem, gdzie dorastał. Jako dzieciak bywał tam z Jude, bawili się wtedy w chowanego i rzucali patyczki do wąskiego, wartkiego strumienia. Do czasu, gdy stwierdziła, że inni chłopcy są ciekawsi niż on.

Wyjął telefon, bo kusilo go, żeby zadzwonić i podzielić się z nią wspomnieniami, ale się zawahał. Ścieżką szło dwóch mundurowych. Poprosili go o dokumenty.

– Nie jestem reporterem – powiedział, ale i tak uważnie obejrzel legitymację. Ten, który mu ją oddawał, wyglądał tak, jakby chciał go o coś spytać – pewnie: co to ma wspólnego ze Skargami? – ale zanim zdążył, Fox odszedł. Teren się wyrównał i po lewej stronie wyłoniła się polana. Stało na niej kilka osób. Widząc, że nikt nie zwraca na niego uwagi, Fox ruszył w ich stronę. Jackson – z założonymi ramionami – rozmawiał z ciemnowłosą kobietą. Była w kremowym płaszczu, zielonych kaloszach i też miała skrzyżowane ramiona. Fox przystanął, czekając, aż inspektor go zauważy. Ale to kobieta zobaczyła go

pierwsza: odwróciła głowę i zmrużyła oczy, jakby próbowała go sobie skojarzyć. Jackson poszedł za jej wzrokiem. Wymamrotał coś i ruszył ku niemu ciężkim krokiem.

– Co pan, do diabła, tu robi? – spytał, zniżając głos.

– Przepraszam – odrzekł Fox. – Gdybym miał pana numer, na pewno bym zadzwonił.

Inspektor próbował zaciągnąć go w głąb lasu, ale on się nie dał. Na polance był mały krater, na który wszyscy patrzyli. Osmalone liście i rozrzucona ziemia. Fox zastanawiał się przez chwilę, dlaczego drzewa tak dziwnie połyskują, i nagle dotarło do niego, że ich kora jest ponabijana odłamkami, gwoździami, śrubami i nakrętkami.

– W końcu udało im się dobrać odpowiednie proporcje – powiedział.

Jackson stanął przed nim, zasłaniając widok.

– Dam panu numer, pogadamy później.

– Mam tylko jedno pytanie.

Ale inspektor go nie słuchał. Podał mu wizytówkę. Nowy Scotland Yard, Londyn.

– Tylko jedno – powtórzył Fox.

– Nie może pan poczekać?

Fox spojrzał na niego bez słowa. Inspektor westchnął i znowu skrzyżował ramiona.

– Ci obserwatorzy... Tak ich wtedy nazywaliście? Ci, którzy przetrząsali samochód, kiedy Vernal leżał ranny za kierownicą...

– Co pan chce wiedzieć?

– Czy zaraz potem rzucili pracę? A może zaczęli ku-

pować kosztowne zegarki i włoskie garnitury?

– O czym pan mówi?

– Właśnie dowiedziałem się, że w samochodzie było trzydzieści, może nawet czterdzieści tysięcy funtów.

– Uważa pan, że je ukradli?

Fox wzruszył ramionami.

– To jedna z teorii, co znaczy, że być może będę musiał umieścić ją w raporcie.

– Niech pan umieszcza, co pan chce. Już panu mówiłem, co znalazłem w archiwum.

– Nie zdradził pan nazwisk.

– I nie zdradzę.

– Ci ludzie wciąż są w służbie?

– Nie mam pojęcia.

Stojąca przy kraterze kobieta odchrząknęła. Jackson zrozumiał aluzję.

– Niech pan już idzie.

– Kto to jest?

– Komendant główny policji środkowej Szkocji, a ja każę jej na siebie czekać.

– Nie poznałem jej bez munduru. W takim razie proszę wracać.

Inspektor nie potrzebował drugiego zaproszenia. Wrócił do kręgu śledczych i wymamrotał przeprosiny.

Fox niespiesznie szedł ścieżką. Minęła go grupa techników kryminalnych z ciężkimi pudłami ze sprzętem. Ci z telewizji zdążyli już ustawić talerze satelitarne na dachu furgonetek. Jeden z reporterów stał przed kamerą.

Fox znał jego twarz: facet pracował z Johnem Elliotem. Tymczasem sam Elliot, niegdyś amator terroryzmu, kręcił telewizyjne klipy reklamujące dania restauracyjne.

– Władze jak dotąd milczą – mówił dziennikarz – ale za mniej więcej godzinę odbędzie się konferencja prasowa...

Dźwiękowiec był niezadowolony. Za stojącym w pobliżu samochodem czekał pies. Właściciel psa narzekał, że jego wóz zablokowała telewizyjna furgonetka.

– Kompletne zadupie – mruknął kamerzysta – a zawsze coś się dzieje.

Po Foxie przyjechało kilka samochodów, które zaparkowały za jego volvem. Zapewne ciekawscy miejscowi. Ominął ich i pojechał w kierunku M90. Telefon dał mu znać, że ma jedno nieodebrane połączenie. Sprawdził pocztę głosową. Fiona McFadzean prosiła o kontakt. Ale ponieważ tracił zasięg, postanowił pojechać naokoło, na północ, a potem na wschód drogą A91 do Fife i Glenrothes. Niedaleko była Wyższa Szkoła Policyjna w Tulliallan i znowu pomyślał o Evelyn Mills. Organizowano krótki kurs, Bob McEwan o tym wspominał. Nikt z biura nie wykazał zainteresowania, ale zastanawiał się, czy wiadomość o kursie dotarła do Evelyn. Trzy dni i trzy noce, powrót na miejsce zbrodni...

– Ona ma męża – mruknął. Szybko włączył radio, złapał jakąś muzykę i podkręcił głośność, żeby zagłuszyć myśli.

– Nie musiał pan przyjeżdżać – powiedziała Fiona,

otworzywszy drzwi.

Paul siedział przy komputerze i pomachał mu na dzień dobry. Fox pozdrowił go skinieniem głowy.

– Byłem w pobliżu – zełgał.

– Ciągłe mówią o Kippen. Robi się coraz bardziej nieciekawie, prawda?

Fox wymijająco odchrząknął.

– Co chciała mi pani powiedzieć?

Fiona machnęła ręką w stronę Paula, który ruchem głowy zaprosił go bliżej.

– Pytał pan o te rewolwery. O ich pochodzenie.

– Tak. – Fox pochylił się, żeby lepiej widzieć ekran monitora. Dokumenty, papierowy ślad. Paul podzielił ekran na pół: na jednej połowie były informacje o rewolwerze, z którego zastrzelono Alana Cartera, na drugiej o rewolwerze znalezionym w pobliżu miejsca, gdzie zginął Francis Vernal.

– Jest między nimi związek – powiedział Paul. – Obydwa „zagięły lub zapodziały się” w czerwcu osiemdziesiątego drugiego.

– Skradziono je z bazy wojskowej?

– Dobry strzał, ale nie, niezupełnie. To niesamowite, że w latach osiemdziesiątych wciąż używano rewolwerów, ale niektórzy najwyraźniej je lubili. – Paul kliknął myszką i Fox zmrużył oczy.

– Falklandy?

– Falklandy. W czerwcu skończyła się wojna. Wydano mnóstwo sprzętu, którego potem nie zwrócono.

Potwierdzała to stosowna lista. Paul klikał myszką tak szybko, że Fox nie nadążał za nim wzrokiem, ale o to w sumie chodziło.

– Więc jak te rewolwery trafiły tutaj?

– Szmugiel – odparła Fiona. – Żołnierze zatrzymali je na pamiątkę albo na sprzedaż.

– W tym przypadku zdecydowanie na sprzedaż – dodał Paul. – Kilka sztuk broni z Falklandów, głównie pistoletów, wypłynęło na naszych ulicach w połowie lat osiemdziesiątych. – Na ekranie pojawiły się policyjne raporty. – W Londynie, Manchesterze, Nottingham...

– W Birmingham, Newcastle, Glasgow... – dodała Fiona.

– I w Belfaście – podkreślił Paul. – Nie zapominajmy o Belfaście.

– Jednego nawet złapaliśmy – powiedziała Fiona i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na ekranie pojawiło się policyjne zdjęcie.

– William Benchley – ciągnął Paul. – Działał w Essex. Po wojnie odszedł z wojska, dostał nawet medal. Odszedł i zaczął handlować skradzioną bronią.

– To on sprzedał te rewolwery? – spytał Fox.

Paul wzruszył ramionami i spojrział na swoją szefową.

– Tego nie wiemy – przyznała Fiona.

– Gdzie teraz jest? – Fox przyglądał się zdjęciu. Benchley miał ogoloną głowę i gniewną twarz.

– Kilka lat temu zmarł na Barbadosie. Utopił się we własnym basenie.

– Przeprowadził się tam po odsiadce – wyjaśnił Paul. – Zważywszy na styl życia, jaki prowadził, czekało na niego sporo pieniędzy.

– Niewiele mu z nich przyszło – powiedział cicho Fox, czytając wiadomość prasową o jego śmierci.

– Tak czy inaczej – ostrzegł Paul – nie mamy podstaw przypuszczać, że to właśnie on sprzedał te dwa rewolwery.

– Ale ktoś je sprzedał.

– Fakt. O rewolwerze znalezionym na miejscu wypadku Vernala nie wiem nic więcej...

Fox wyczuł coś w jego głosie.

– Ale?

– Musiałem trochę pogrzebać... – Paul zrobił pauzę. – Internet do niczego się nie przydał, bo duża część archiwów okręgu Fife nie została jeszcze przeniesiona na zapis cyfrowy.

– Paul musiał odejść od komputera i pośleć trochę nad czymś innym – wyjaśniła z sarkazmem Fiona.

Paul pokazał jej język i podał Foxowi spięty zszywkami plik skserowanych dokumentów.

– Rewolwer Alana Cartera został przekazany policji w październiku osiemdziesiątego czwartego. Znalaziono go w żywopłocie w Tayport.

– Pod Dundee?

– Za Tay Bridge od strony Fife. Przypuszczano, że został użyty podczas rabunku. Zamaskowany i uzbrojony napastnik napadł na bukmachera z Dundee i pozbawił go tygodniowego zysku. Trzy dni później znaleziono rewol-

wer.

– A więc trafił z Falklandów do Dundee?

Paul wzruszył ramionami.

– Przedtem mógł mieć kilku innych właścicieli.

– Złapano go, tego napastnika?

Ale Fox widział już z dokumentów, że sprawa została umorzona. Tygodniowy zysk z zakładów: niecałe dwieście funtów. Czy to wystarczyło, żeby skusić tych z komanda albo kogoś podobnego? W banku mogliby zgarnąć dużo więcej...

– Czy coś z tego się panu przyda? – spytała Fiona.

– Nie wiem – odparł szczerze. Poklepał Paula po ramieniu. – Tak czy inaczej, odwalił pan kawał dobrej roboty.

* * *

Z domu zadzwonił do Tony'ego Kaye'a.

– Jak tam raport?

– Czyta się tak, jakby napisało go dwóch Einsteinów.

– Czyli bez zmian. Co robisz wieczorem?

– Idę na kolację z moją panią. Idziesz z nami?

– Nie mam czasu, Tony.

– Ciągle zapominam, że masz przepełniony terminarz.

Cóż, zaproszenie jest wciąż aktualne.

– Dzięki, ale naprawdę nie mogę. Joe się odzywał?

– Jedzie do Fife. Był u fryzjera, i w ogóle.

– Znowu ta Cheryl?

- Stracił głowę.
 - Ostrzeż go. Nie wiadomo, czy nie szepcze czegoś Scholesowi i reszcie.
 - Myślisz, że to taka Mata Hari?
 - Nie byłaby pierwsza. – Fox leżał na sofie z pilotem w ręku. Przełączył się na wiadomości i wyciszył dźwięk. – Słyszałeś o Stirling?
 - Pewnie jakiś naśladowca. Ci kretyni widzą to w telewizji i myślą: też tak umiem. Nie ma to jak podkreślić emocje.
 - Góra bierze to na poważnie.
- Tony umilkł, jakby musiał przetrwać tę informację.
- Co ty tam robiłeś?
 - Szukałem Jacksona.
 - Tego z Wydziału Specjalnego?
 - Musiałem go o coś spytać.
 - O Vernala, tak? Ciągłe kopiesz?
 - I wykopałem nawet kilka robaków. Jackson twierdzi, że służby specjalne nie miały nic wspólnego z jego śmiercią. Ale MacIver mówi, że w samochodzie ukryto sporo pieniędzy. Trzydzieści, czterdzieści tysięcy funtów.
 - MacIver? Kto to, do diabła, jest?
 - Przywódca jednej z ówczesnych bojówek.
 - Gdzie teraz jest?
- Fox lekko się zawahał.
- W Carstairs.
 - Byłeś w Carstairs?
 - Ktoś musiał.

- Włożyli mu kaftan bezpieczeństwa?
- Jest bardzo nerwowy, ale mówił do rzeczy.
- Wierzysz, że te pieniądze tam były?
- Tak.

Kaye znowu umilkł.

- W takim razie to Willis je zwinął.
- I co z nimi zrobił? – skontrował Fox. – I skąd by wiedział, że tam są? – Ale tak, Willis mógł wiedzieć: ciemna noc, opustoszały parking, wymiana broni za gotówkę...

– Więcej pytań niż odpowiedzi – mówił Tony. – Dać ci radę?

- Powiesz, żebym to rzucił.
- Coś w tym stylu. Przekaż sprawę kryminalnym, niekoniecznie tym z Fife. Na pewno znajdziesz kogoś w Edynburgu.

- Tylko kiedy zacznę dobrze się bawić?
- A teraz się bawisz? – Kaye westchnął. – Nie masz żadnych dowodów, Malcolm. Powiem ci to ja, powie ci to każda gruba ryba i wszystkie płotki. Przynajmniej zrób sobie wolny wieczór, idź do kina czy coś.

- Powinienem pojechać do ojca.
- Tylko że wtedy to nie będzie wolny wieczór. Rozejrzyj się, na pewno grają coś z Jasonem Stathamem.
- Mnóstwo wybuchów i rozbitych samochodów? Uważasz, że lepiej się potem poczuję?

– Nie wiem, ale nie siedź tam i nie myśl.

Fox podziękował mu i rozłączył się. Znowu samotna

kolacja? Nie, nie chciało mu się. Zajrzał do laptopa i zobaczył, że w Filmhouse grają *Sokoła maltańskiego*. Przez pięć minut powtarzał sobie, że pójdzie.

A potem pojechał do Lauder Lodge.

Ojciec przysypiał. Jego oddech zalatywał whisky i chociaż siedział w fotelu, był już w piżamie. Fox spojrzął na zegarek: nie było jeszcze ósmej. Siedział naprzeciwko niego ponad godzinę, przeglądając zdjęcia z pudełka, szukając tych z Chrisem, małą Jude i matką. Od czasu do czasu zerkał na ojca. Pierś podnosiła mu się i opadała, miał lekko otwarte usta.

* * *

Graliśmy w piłkę, ty i ja: chciałeś, żebym był bramkarzem, bo bramkarze odnoszą mniej kontuzji, tak mówiłeś. I siedziałeś ze mną wieczór w wieczór, gdy uczyłem się tabliczki mnożenia. Śmiałeś się, oglądając bzdurne sitcomy, i krzyczałeś, kiedy sędzia piłkarski popełnił błąd, jakby mógł cię usłyszeć przez szklany ekran. W Dniu Pamięci stałeś na baczność przez pełną minutę. W kuchni sobie nie radziłeś, ale zawsze robiłeś mamie herbatę przed snem. Prosiła o dwie kostki cukru, ale ty wrzucałeś jedną, mówiąc, że mama sama jest wystarczająco słodka.

Zobacz: Jude na osiołku na plaży w Blackpool. Ty tuż obok niej, pilnujesz, żeby nie spadła. Podwinałeś nogawki, idąc na ustępstwo słońcu. Oszczędzałeś przez cały rok, żeby pojechać z nami na wakacje, po kilka funtów

z cotygodniowej wypłaty.

Już dorośliśmy – jesteś z nas zadowolony?

Przestaniesz się w końcu o nas martwić?

* * *

Tyle twarzy, których nie znał; żadne z nich już nie żyło. Obrazy zastygłe w czasie, lecz spłaszczone. Widzisz plażę, ale nie czujesz tego słonawego upału. Widzisz czyjś uśmiech, widzisz oczy, ale nie wiesz, jakie nadzieje i obawy się za nimi kryją, jakie ambicje i zdrady.

Kiedy pielęgniarka otworzyła drzwi, chwilę trwało, zanim zorientował się, że ktoś przyszedł.

– Musimy go położyć.

– Pomogę pani – powiedział cicho.

Pokręciła głową.

– Przepisy. Muszę ich przestrzegać, bo mnie wyrzuca.

– Tak, oczywiście. – Fox zaczął zbierać zdjęcia.

W drodze do domu wstąpił do smażalni i kupił haggis. Czekać na frytki, stanął przy ladzie i spojrzał na ekran telewizora. Szkocki dziennik, powtórka konferencji prasowej. Błyskające flesze i komendantka Alison Pears, która przeczytawszy oświadczenie, odpowiedziała na kilka pytań. Miała ściągnięte do tyłu włosy i była w mundurze. Mówiła głosem spokojnym i zdecydowanym, chociaż frytki skwierczały tak głośno, że nic nie słyszał. Przebitka na parking w Kippen i reporter, którego tam widział. „Na żywo z miejsca wydarzeń”, przeczytał na pasku. Zapadał

wieczór i pojazdów było teraz mniej, zniknął również szczekający pies, który psuł nagranie. Reporter mówił do jednego z tych włochatych mikrofonów. Zaczęło mżyć i na obiektywie kamery pojawiły się krople wody. Reporter próbował sprawiać wrażenie znajdującego się na rzeczy i zainteresowanego, ale w jego nieruchomych oczach widać było zmęczenie. Ktoś musiał go o coś spytać, bo poprawił słuchawkę i kiwnął głową. Kolejna przebitka: niewyraźne zdjęcie krateru. Pewnie zrobił je komórką któryś z gapiów, nim policja odgrodziła teren. I drugie zdjęcie: zbliżenie na pień drzewa z ponabijaną odłamkami korą.

– Straszne, cholera – powiedział właściciel smażalni.

Mówił z polskim akcentem, tak się przynajmniej Foxowi wydawało, a może z bośniackim, rumuńskim czy innym. Nie był ekspertem. Innego dnia pewnie by go o to spytał, ot tak, z czystej ciekawości.

Innego, ale nie tego.

Wrócił do domu i jedząc na sofie, złapał w telewizji tę samą konferencję prasową. Potem kamera przeniosła się do studia i prezenter powiedział:

„Policja potwierdziła, że przyjęto konkretny kierunek śledztwa. Będziemy państwa informować na bieżąco o postępach w dochodzeniu. A teraz Angela i najnowsze wiadomości sportowe...”.

Musiał przysnąć, bo obudził się w butach, z na wpół pustym talerzem na piersi. Jedzenie było zimne i nieapetyczne. Palce załatywały sosem, więc poszedł do kuchni, wrzucił do kosza resztkę haggisu i umył ręce nad

zlewem. Wrócił na sofę z kubkiem herbaty i znowu zobaczył panią komendant Pears, tym razem na żywo. Stała chyba na schodach Komendy Głównej Policji Środkowej Szkocji, pewnie w Stirling. Co chwilę musiała odgarniać włosy z twarzy, bo wiał silny wiatr. Nie czytała żadnego oświadczenia, mimo to mówiła z chłodnym opanowaniem, jak na profesjonalistkę przystało. Fox zamrugał, chciało mu się spać. Pears skończyła, jakiś dziennikarz zadał jej pytanie i wysłuchiwała go z lekko wysuniętym podbródkiem. Fox próbował przypomnieć sobie, kogo mu w tej pozie przypomina – może Jude? Wysunięty podbródek to oznaka skupienia. Ale nie, to nie była Jude.

To było zdjęcie.

Wziął laptop, usiadł na sofie i wstukał jej nazwisko do wyszukiwarki.

Alison Pears, jedna z dwóch komendantek głównych policji w Szkocji. I żona finansisty Stephena Pearsa. Fox znał to nazwisko. O Pearsie często pisano w prasie, o jego kolejnych transakcjach, dzięki którym nadwątlony szkocki sektor finansowy utrzymywał się jakoby na powierzchni. Znalazł ich zdjęcia i musiał przyznać, że Alison Pears bardzo ładnie wygląda, zwłaszcza w małej czarnej, którą nosiła z niewymuszonym wdziękiem. Ale teraz, w telewizji, walczyła z żywiołami w tym samym mundurze co przedtem. Deszcz zacinał niemal poziomo. Na pasku pojawił się napis: „Trzech aresztowanych po eksplozji w Kippen”.

– Szybka robota. – Fox podniósł kubek jak do toastu.

Potem też zabrał się do roboty i znalazł sporo faktów z życiorysu Alison Pears, chociaż nie udało mu się znaleźć starych zdjęć. Mimo to był prawie pewny.

Prawie zupełnie pewny.

W 1985 roku Alison Pears ukończyła Wyższą Szkołę Policyjną w Tulliallan. Nie była jeszcze panią Pears – miała dopiero poznać swego przyszłego męża i przyjąć jego nazwisko.

Alison Watson, urodzona we Fraserburghu w 1962 roku. Od Alison Watson do Alice Watts: to wcale nie taki duży skok. Sięgnął po zdjęcie z książki profesora Martina i dwa zdjęcia studenckie. Jest. Ten sam lekko wysunięty podbródek. Na niektórych zdjęciach w internecie też był widoczny – Alison Pears na premierze jakiegoś filmu, na uroczystości rozdania świadectw, pod rękę z mężem. Stephen Pears pękał z dumy. Opalił się tak na nartach czy w solarium? Nienagannie ostrzyżone włosy, błyszczące zęby, gruby zegarek na rękę. Był przysadzisty i miał otyłą twarz człowieka sukcesu. Poznali się przed dwunastu laty, od dziesięciu byli małżeństwem.

– Niezła para – wymamrotał Fox. – Pan i pani Pears.

Ale pani Pears miała jeszcze lepsze koneksje, ponieważ jej brat Andrew był posłem do szkockiego parlamentu. I członkiem rządu SPN: Andrew Watson, minister sprawiedliwości.

Minister sprawiedliwości...

Fox odsunął komputer na bok, opadł na sofę i spojrzał w sufit.

Cholera jasna, co ja mam z tym zrobić?
I co to właściwie znaczy?

– Cholera, czy ty w ogóle spałeś?

– Mało – przyznał Fox, gdy Kaye przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko.

Było kilka minut po dziewiątej rano i kantyna robiła świetny interes na bułeczkach i cappuccino z pianką. Na stoliku przed Foxem stała niedopita herbata i leżało nie-
tknięte jabłko. Tony miał na tacy kawę i karmelowy wa-
felek Tunnocka.

– Kolacja się udała? – spytał Fox.

– W każdym razie sporo kosztowała – burknął Kaye. –
Byłeś wczoraj w kinie?

Fox kiwnął głową.

– Nie wiem, jaki widziałeś film, ale musiał cię dobić,
a ty dobijesz zaraz mnie. – Tony upił łyk kawy i nie zwa-
żając na mleczone wąsy na górnej wardze, rozerwał opa-
kowanie wafelka.

Fox zaczął od początku – mniej więcej. Od chwili,
kiedy po raz pierwszy zobaczył Alison Pears na żywo
i w telewizji. Potem powiedział mu, jak ją sobie skojarzył,
i zapoznał go ze swoimi znaleziskami i teoriami.

– Jej zdjęcie jest dziś na pierwszej stronie „Metra”. –
Kaye wydłubywał kawałki karmelu spomiędzy zębów. –
Trzech domorosłych terrorystów w areszcie.

– Jej brat był rano w telewizji – dodał Fox. Oglądał
wiadomości z sofy, gdzie spędził prawie całą noc, po czę-

ści przy laptopie. Andrew Watson: cztery lata młodszy od siostry, krótkie rude włosy, okulary w stalowej oprawce i pulchna twarz ze śladami trądziku. „Ciut anemiczny”, jak powiedziałby ojciec.

– Został ministrem tylko dlatego, że wszyscy przed nim albo dali ciała, albo pożarli się z Wielkim Wodzem. – Tony nazywał tak szkockiego premiera.

– Ale jeśli jest się komendantem głównym policji, dobrze jest mieć go po swojej stronie.

Kaye uśmiechnął się smutno.

– Zamierzasz wstać i oskarżyć ją publicznie o terroryzm?

– Nie.

– To o co?

– O szpiegostwo.

Tony wytrzeszczył oczy.

– O szpiegostwo?

– O to, że swego czasu infiltrowała Komando Mroczne Żniwa i Bóg wie co jeszcze.

– I że aby to sobie ułatwić, bzykała się z Vernalem. – Kaye wziął głęboki oddech. – Jeśli to się wyda...

– Fakt, ucierpi jej reputacja.

– Dlatego chcesz porozmawiać z nią na stronie?

– Chyba tak.

– Dobrze, że ty, nie ja. Szklany sufit pękł i stała się nagle symbolem równouprawnienia w policji. Nikt nie zechce tego zmienić.

– To prawda – zgodził się z nim Fox.

– Rany boskie, wyglądasz jak siedem nieszczęść! – rzucił z uśmiechem Tony.

Noga za nogą, włókł się w ich stronę Joe Naysmith. Zamiast jedzenia, w rękę ścisnął puszkę napoju energetyzującego z kofeiną. Miał zaczerwienione oczy i był nieogolony.

– Tak, tak, tak – mruknął, siadając obok Kaye’a.

– Za ostra jest dla ciebie, młody Josephie – katował go Tony. – Może chcesz, żebym to ja ją okiełznał?

Naysmith wypił napój z zamkniętymi oczami. Potem otworzył je, popatrzył na niego, na Foxa i znowu na niego.

– O czym rozmawiacie?

Fox zerknął na Tony’ego i niemal niedostrzegalnie pokręcił głową.

– O męskich sprawach, Joe – odparł Kaye. – Nie zwracaj tym sobie swojej małej główki.

– Co słyhać u detektyw Forrester? – spytał Fox.

– Wszystko w porządku.

– Jest coś nowego o Carterze?

Naysmith lekko się zawahał.

– Kolejny świadek. Widział mężczyznę idącego ulicą po północy. Chlupotało mu w butach.

Fox zmarszczył brwi.

– I to nie był Paul Carter?

– Ten był łyсы. Albo miał ogoloną głowę. Ale według świadka, na pewno wyszedł niedawno z wody. Był zdenerwowany. I podobno miał tatuaż na szyi. – Joe zrobił pauzę i spojrzał na Tony’ego. – Z boku.

– Kto to jest? – spytał Fox.
Kaye potarł ręką policzek.
– Ktoś, kogo chyba znam.
– To znaczy?
– Tosh Garioch. Chłopak Billie.
Naysmith kiwnął głową.
– Może to nie on, ale pasuje do twojego opisu.
– Garioch? Ten bramkarz? – upewnił się Fox. – Ten, który pracował w agencji Alana Cartera?
– Otóż to – potwierdził Tony. – Duży tatuaż, liście pnącego się ostu. Ogolona głowa. Notowany. Nie wygadałeś się przed Cheryl?
Joe pokręcił głową. Tony i Fox wymienili spojrzenia.
– Decyzje, decyzje... – mruknął Tony. – Ale wolę już nasze niż twoje, Foxy.

* * *

Stirling.

Uzbrojeni policjanci na posterunkach kontrolnych przed Komendą Główną Policji Środkowej Szkocji próbowali utrzymać w ryzach reporterów, wypatrując jednocześnie demonstrantów i sympatyków terroryzmu.

W budynku głównym stan pogotowia podniesiono do KRYTYCZNEGO. Fox widział coś takiego pierwszy raz w swojej karierze. Po stanie KRYTYCZNYM nie było już nic.

Siedział na dole ponad pół godziny. Wokół niego

wrzało z niecierpliwego wyczekiwania. Miał wyraźne uczucie, że to raczej dość nietypowe. Gdzieś w pobliżu przesłuchiowano trzech podejrzanych. Na ulicy obóz rozbiły ekipy telewizyjne. Reporterzy i dziennikarze tłoczyli się w samochodach. Wysyłano gońców na poszukiwanie jedzenia, a ci wracali z pasztecikami, zapiekankami, gorącymi napojami i chipsami. Fox zauważył po drodze reportera, którego widział poprzedniego dnia. W równej mierze wyczerpany i podekscytowany zacierał z zimna rękę, a z ramienia zwisała mu niepotrzebna jeszcze słuchawka. Przed wjazdem na parking stało dwóch policjantów w kamizelkach kuloodpornych i hełmach z osłoną na oczy, filmowanych przez kamerzystów, którzy chwilowo nie mieli nic ciekawszego do roboty.

Jego prośba do dyżurującej za ladą policjantki była jasna i krótka.

– Muszę porozmawiać z panią komendant. Nazywam się Fox. Jestem z Wydziału Etyki i Standardów Zawodowych policji okręgu Lothian i Borders.

Kobieta obejrzała jego legitymację.

– Wie pan, że szefowa jest w tej chwili trochę zajęta? – spytała, nie ukrywając sarkazmu.

– Tak jak my wszyscy, prawda? – odparł.

Sądząc po jej minie, nie zapalała do niego uczuciem.

– Proszę usiąść, panie inspektorze.

– Dziękuję.

Pięć minut później znowu podszedł do lady tylko po to, by dowiedzieć się, że dyżurnej nie udało się złapać

„szefowej”.

Dziesięć minut później – ta sama historia.

Zaczął bawić się telefonem: sprawdzał nowe SMS-y i e-maile, kasował stare i obserwował krzątanicę w holu.

Dwadzieścia minut później – kobieta tylko pokręciła głową.

Pół godziny później też.

A potem weszli reporterzy i kamerzyści. Wydano im przepustki i wskazano drogę do sali konferencyjnej. Fox postanowił do nich dołączyć. Dyżurna spojrzała na niego pytająco.

– Dla zabicia czasu – wyjaśnił. Wypełnił formularz, dostał przepustkę oraz identyfikator z klipsem. Przypiął go do kurtki i ruszył za tłumem.

Duża sala konferencyjna pękała w szwach. Fox stwierdził, że panuje w niej niepisana umowa, według której w pierwszym rzędzie zasiadać mogli tylko dziennikarze z najdłuższym stażem. Siedział tam między innymi jego reporter, tuż przy przejściu. Krzesła ustawiono rzędami. Niektóre przyniesiono z kantyny, inne z biur. Ubrana po cywilnemu młoda kobieta rozdawała tekst oświadczenia dla prasy. Wszyscy wyjęli telefony i zaczęli wysyłać do redakcji SMS-y z najważniejszymi punktami komunikatu. Kobieta spojrzała na Foxa tak, jakby znała tu wszystkich oprócz niego. Fox uśmiechnął się tylko i uwolnił ją od kolejnej kartki.

Trzech aresztowanych, jeszcze bez postawionych zarzutów.

W razie potrzeby areszt zostanie przedłużony zgodnie z Aktem Zapobiegania Terroryzmowi.

Badano materiały znalezione na miejscu eksplozji...

Wciąż czytał, gdy minęła go komendantka; szła w stronę stołu, na którym roilo się od mikrofonów. Włączono kamery, telefony komórkowe przestawiono na tryb nagrywania. Alison Pears towarzyszył jej zastępca oraz inspektor prowadzący sprawę. Pears odchrząknęła i zaczęła czytać oświadczenie. Fox czuł zapach jej perfum, który wciąż utrzymywał się w powietrzu tam, gdzie przeszła. Tony pewnie by go rozpoznał, lecz on nie potrafił. Ktoś dotknął jego ramienia. Odwrócił się i zobaczył, że w progu stoi Jackson. Miał zmarszczone brwi i zmrużone oczy. I oczywiste pytanie wypisane na twarzy.

Co ty tu, do diabła, robisz?

Fox puścił do niego oko i skupił się na ostatnich słowach Alison Pears. Z sali zaczęły padać pytania. I znowu zadziałała zasada hierarchii: jeśli rękę podniósł ktoś z pierwszego rzędu, komendantka zawsze wybierała najpierw jego. Była dobrze przygotowana, wiedziała, o co ją spytają, i na wszystko miała gotową odpowiedź.

Czy podejrzani to miejscowi?

Jakiej są narodowości?

Czy łączy ich coś z wybuchami pod Lockerbie i Peebles?

Pears niczego nie zdradziła, chociaż przez cały czas była otwarta i przyjaźnie nastawiona. Parę razy przekazała pałeczkę swemu zastępcy, oficerowi bardziej szorstkiemu

i mniej elokwentnemu, który jednak też wiedział, co mówić, a czego nie. Jackson znowu pociągnął Foxa za rękaw, wskazując korytarz, ale on tylko pokręcił głową.

Gdy konferencja dobiegła końca, Alison Pears poprowadziła swoją grupkę w stronę drzwi, zbywając zadawane po drodze pytania miłym uśmiechem i machnięciem ręki.

Idąc, nie patrzyła na Foxa, ale on zaszedł jej drogę.

– Zechce pani złożyć oświadczenie w sprawie Francis Vernala?

Przeszyła go wzrokiem, stężała jej twarz.

– Kogo?

– Dobry unik, Alice – powiedział.

Jej zastępca odepchnął go lekko na bok, żeby zrobić przejście. Fox cofnął się, przepraszając młodego reportera, któremu nadepnął na nogę. Pears wyszła na korytarz. Jackson dogonił ją, ale ona mówiła coś właśnie do swego zastępcy. Ten zawrócił, podszedł do Foxa i podał mu wizytówkę.

– Niech pan zapisze swój numer – warknął.

– Trochę już czekam...

– Ona zadzwoni.

Fox zapisał numer i zastępca wyrwał mu wizytówkę z ręki. Gdy odszedł, przyszła kolej na Jacksona.

– Co pan wyczynia? – wysyczał z ustami tuż przy jego uchu, żeby nikt ich nie usłyszał.

– Pan ma swoją sprawę, ja swoją.

– Pan jest ze Skarg! Drugi Simon Schama23 się

w panu odezwał?

– To zabawne, ale historia lubi się powtarzać, prawda?

Jackson łypnął na niego spode łba. Dziennikarze porównywali notatki, gdzieś dzwonili albo przygotowywali się do występu przed kamerą. Ale ciągle zerkali w stronę Jacksona i Foxa, pamiętając co najmniej jednego z nich z miejsca eksplozji w Kippen.

– Niech pan to zostawi – syknął Jackson.

– Muszę z nią porozmawiać.

– Po co?

Fox pokręcił głową.

– Może potem.

– Sukinsyn z pana. Prawdziwy sukinsyn.

– W pańskich ustach zabrzmiało to jak komplement.

– Bynajmniej tego nie chciałem, przeciwnie.

Jackson odwrócił się i wymaszerował na korytarz. Młoda kobieta, która rozdawała oświadczenia, wypraszała wszystkich z sali. Na wszelki wypadek, żeby nikt się nie błąkał, dołączyła do niej asystentka.

– Linda mówi, że nigdy tu pana nie widziała.

– Bo ja tu tylko tymczasowo – odparł.

– Tak jak ja. Zwykle robię w kontaktach społecznych.

– Asystentka rozejrzała się. – Duża zmiana.

Fox kiwnął głową i wraz z innymi wyszedł z sali.

* * *

Alison Pears miała jego numer, więc mógł tylko cze-

kać. Pojechał do miasta, gdzie coraz częściej zaczął widywać strzałki kierujące turystów do pomnika Wallace'a. Dostrzegł go z oddali, coś w rodzaju gotyckiej wieży na szczycie wzgórza. Spróbował sobie przypomnieć, co o nim wie. Tak jak każdy Szkot, oglądał *Braveheart* i był nim urzeczony. To właśnie pod Stirling Wallace pokonał angielskich najeźdźców. Nie mając innych planów, Fox pojechał w tamtą stronę i skręcił na parking. Stało na nim kilka autobusów, które z włączonym silnikiem czekały na powrót wycieczki. Fox wysiadł i wszedł do kawiarni Legends. Przypominał sobie coraz więcej wiadomości o Wallasie, głównie o tym, jak potwornie skończył. W kawiarni był punkt informacyjny i siedząca za ladą kobieta powiedziała mu, że zwiedzanie pomnika kosztuje 7,75 funta.

– Siedem siedemdziesiąt pięć? – powtórzył.

– Łącznie z prezentacją multimedialną. No i jest tam jego miecz.

– Coś jeszcze?

– Cóż, trzeba wejść na wzgórze...

– Jest dość strome.

– Jedzie się autobusem, za darmo.

– Ale tylko wtedy, kiedy zapłacę za bilet, tak? – Fox uśmiechnął się, że się zastanawia. – Ten posąg wciąż tam jest? Ten podobny do Mela Gibsona.

– Przeniesiono go do Brechin – odparła nieco chłodniej kobieta.

Fox uśmiechnął się, dając jej do zrozumienia, że jed-

nak zrezygnuje. Zaoszczędził pięć funtów, decydując się zamiast tego na herbatę miętową w kawiarni, skąd miał ładny widok na wzgórze i sam pomnik. Wallace'a uważano za patriotę: czy to samo można by powiedzieć o Francisie Vernalu? Czy coś „usprawiedliwiało” – słowo, o którym chciał dyskutować MacIver – jego postawę i czyny? Co by pomyśleli o współczesnej Szkocji? Czy był to ten sam kraj, o który walczyli i za który oddali życie?

W części sklepowej obok punktu informacyjnego byli goście. Zastanawiali się nad kupnem ręczników plażowych robionych na wzór kiltu. Szkocja była pewnie dla nich romantyczną krainą pełną jarów, zamków, wysokogatunkowej whisky i skocznych tańców ludowych. Istniało również wiele innych Szkocji – wystarczyło się rozejrzeć – a równie wielu ludzi wolało patrzeć w przyszłość, niż spoglądać tęsknie za siebie, w przeszłość. Stoliki wokół Foxa powoli się zapełniały. Nie miał ochoty na drugą filiżankę herbaty. Gdy wracał do samochodu, ktoś do niego zadzwonił. Ale nie była to Alice Pears.

– Pan Fox? Mówi pielęgniarka z Lauder Lodge. Pana ojciec zasłabł.

Jechał do Edynburga jak ogłuszony. Dopiero przed szpitalem dotarło do niego, że przez cały czas miał włączone radio. Nie pamiętał, żeby czegokolwiek słuchał. Powiedziano mu, żeby najpierw spróbował na szpitalnym oddziale ratunkowym. Ojca znaleziono na podłodze.

– Mógł po prostu upaść. – Pielęgniarka powiedziała to tak, jakby sama w to nie wierzyła.

– Był przytomny?

– Niezupełnie...

Zaparkował na podwójnej żółtej dla karetek i wbiegł do środka. Dyżurna kogoś obsługiwała, więc musiał zaczekać. W poczekalni siedziały tylko dwie czy trzy osoby. Wszyscy gapili się na ekran telewizora w kącie. Dyżurnej się nie spieszyło, więc poszedł do izby przyjęć. Nikt go nie zatrzymał, nikt nie spytał, co tam robi. Pacjenci leżeli na wózkach, kilku za parawanem. Obszedł całą salę. Przy komputerze siedziała jakaś kobieta, pewnie ktoś z personelu. Spytał ją, gdzie może znaleźć Mitchella Foga.

– Przywieziono go godzinę temu – dodał – z domu opieki Lauder Lodge.

– Pewnie nie ma go jeszcze w systemie. – Kobieta podeszła do ściany i przyjrzała się kartkom na tablicy. Potem zawołała do kogoś, kto kiwnął głową i podszedł do Foga.

– Jest pan krewnym?

– Synem.

– Pan Fog pojechał na rentgen. Potem zostanie przewieziony na oddział dzienny.

– Jak się czuje?

– Wkrótce będziemy wiedzieli coś więcej. Tam jest poczekalnia...

– Mogę go zobaczyć?

– Dyżurna panu powie.

Skierowano go z powrotem do poczekalni. Nie było już kolejki, więc podał swoje nazwisko i kazano mu usiąść.

Najwygodniej jak umiał, usiadł na plastikowym krześle i spojrzał w sufit. Telewizji nikt już nie oglądał, wszyscy gapili się teraz na ekrany telefonów. Po poczekalni krążyła kobieta z zabandażowaną ręką. Kiedy przechodziła przed drzwiami, te otwierały się automatycznie, wpuszczając do środka podmuch zimnego powietrza. Chyba jej się to podobało. W pobliżu stała szafka, którą ciągle ktoś otwierał i zamykał. Fox nie miał pojęcia, po co i dlaczego. Dwie toalety były nieustannie zajęte, podobnie jak automaty z przekąskami. Jakiś młody mężczyzna z uporem wrzucał do otworu dziesięciopensową monetę. Ilekroć automat ją wypluwał, mężczyzna oglądał ją uważnie, sprawdzając, co jest z nią nie tak. Fox w końcu nie wytrzymał i wymienił ją na swoje dziesięć pensów. To poskutkowało, ale mężczyzna wcale się nie ucieszył.

– Nie ma za co – mruknął Fox i wrócił na krzesło.

Jednemu z członków personelu powierzono zadanie opróżniania kosza na śmieci i zbierania porzuconych gazet. Duży kosz nie był nawet w połowie pełny, kiedy sprzątac wymienił w nim torbę. Dziesięć minut później wrócił, zajrzał do nowej torby, a potem przesunął kosz na drugą stronę poczekalni. Fox omal nie zapytał go, po co to robi. Na ekranie telewizora jeden mężczyzna mówił drugiemu, ile jest warta jakaś ozdóbka. Potem ozdóbka trafiła na aukcję i nikt jej nie kupił. Facet dostał ją w spadku? Czy ten, kto kupił ją jako pierwszy, mógł przypuszczać, że jego nabytek wystąpi kiedyś w dziennej telewizji, by okrutnie zawieść swego aktualnego właściciela?

Głośny kaszel zapowiedział przybycie miejscowej palaczki, która właśnie wróciła z kolejnego papierosa. Zaraz potem drzwi otworzyły się ponownie, bo przeszła przed nimi kobieta z zabandażowaną ręką. Fox odwrócił się do niej i krzyknął:

– Cholera jasna, może pani przestać?

Kobieta była zaskoczona. Siostra dyżurna też, przynajmniej początkowo, bo zaraz potem posłała mu ostrzegawcze spojrzenie.

Fox skapitulował, podniósł ręce i znowu wbił wzrok w sufit. Zdał sobie sprawę, że chodzi nie tylko o ojca, o całą resztę też. O pytania, które wirowały mu w głowie, o ludzi, których życie zbiegło się nagle z jego życiem, o te wszystkie nieprzespane godziny, o poczucie bezbrzeżnego, całkowitego bezsensu...

Przerwał mu telefon. SMS. Nie znał numeru i kiedy otworzył wiadomość, zobaczył tylko adres, kod pocztowy i godzinę. FK9, 19.15. Wprowadził kod do GPS-u w komórce. Okolice Uniwersytetu Stirling. Domyślił się, że Alice Pears zaprasza go do domu i że mieszka wraz z mężem tuż przy uniwersytecie. Postanowił nie odpowiadać, ale na wszelki wypadek zapisał jej numer na liście kontaktów.

Na wszelki wypadek, no i z nudów.

Gdy godzinę później spytał siostrę dyżurną, czy już coś wiadomo, odparła, że ojciec jest na diagnostyce ogólnej.

– Tam. – Wskazała drzwi.

Fox podziękował jej i kierując się strzałkami na ścianie, doszedł do stanowiska pielęgniarek. Ojca przywieziono przed kilkoma minutami. Wokół jego łóżka wciąż kręciły się pielęgniarki. Jakieś urządzenie monitorowało pracę jego serca. Regularnie popiskiwało do rytmu z inną aparaturą przy łóżku.

- Jak on się czuje? – spytał Fox.
- Lekarz panu powie, zaraz będzie...
- Ale nic mu nie jest?
- Lekarz wszystko panu powie...

Przyniesiono mu krzesło. Ojciec miał zamknięte oczy, a górną połowę jego twarzy zasłaniała przezroczysta maska tlenowa. Fox chciał wziąć go za rękę, ale zobaczył, że ojciec ma na palcu pulsoksymetr. Dlatego dotknął tylko jego nadgarstka i poczuł, że jest ciepły. Poszukał oznak, które wskazywałyby, że ojciec zaraz otworzy oczy. Miał siniaka. Na lekko zapuchniętym czole, pewnie od upadku.

- Tato – szepnął. – To ja, Malcolm.

Żadnej reakcji. Poszukał palcami pulsu. Wolne, regularne uderzenia, do rytmu z popiskiwaniami maszyny.

- Tato – powtórzył.

Pielęgniarki i pielęgniarze o czymś rozmawiali. Fox zastanawiał się, gdzie jest ubranie ojca. Był tylko w szpitalnej koszuli z krótkimi rękawami. Jeden z pielęgniarzy przestał rozmawiać i podniósł słuchawkę telefonu.

- Nie, nie możemy – powiedział. – Nie mamy miejsc. A więc mogłoby być gorzej, ojciec mógłby leżeć na

korytarzu. Zastanawiał się, czy tu też panuje jakaś hierarchia i czy to znaczy, że sytuacja jest poważna.

„Mógł po prostu upaść...”.

– Nie do wiary. – Głos z tyłu.

Odwrócił się i zobaczył Jude. Stała z opuszczonymi rękami. Wstał.

– Podobno upadł... – zaczął.

– Nie mówię o ojcu – powiedziała drżącym głosem. – Mówię o tobie.

Chwilę trwało, zanim zrozumiał, jaką zbrodnię popełnił tym razem.

– Przepraszam...

– Wchodzę tam jakby nigdy nic i słyszę: „Brat pani nie powiedział? Pani ojciec jest w szpitalu”. Dlatego dziękuję ci, Malcolm, bardzo ci dziękuję.

Szła ku nim pielęgniarka, próbowała uciszyć ją gestem ręki.

– Zupełnie zapomniałem. Pędziłem tu na złamanie...

– A ja to nie? Musiałam wziąć taksówkę... – Jude przeniosła uwagę na ojca. – Nie wiedziałam, co tu zastanę.

– Usiądź. Przyniosę ci wody.

– Nie chcę twojej wody!

– Proszę posłuchać – ostrzegła ją pielęgniarka. – Wiem, że przeżywa pani ciężkie chwile, ale proszę mówić ciszej ze względu na innych pacjentów.

– Co mu jest? – spytała Jude.

– Prawdopodobnie udar. Ale jeszcze nie wiemy na pewno.

– Udar? – Jude opadła na krzesło, kurczowo przytrzymując się siedzenia.

– Był już na rentgenie – powiedział Fox.

– Zaraz przyjdzie lekarz – dodała pielęgniarka.

Fox skinął głową, dając jej do zrozumienia, że wszystko będzie dobrze. Ale kiedy ścisnął Jude za ramię, siostra straciła jego rękę.

– Nie dotykaj mnie.

Dlatego po prostu stał i patrzył, jak Jude pochyła się do przodu i dotyka głową brzegu łóżka. Jej ciałem targnął spazmatyczny szloch. Fox zerknął na pielęgniarki, ale one już wszystko widziały. Jedna z nich podeszła do nich z radą.

– Obok głównego wejścia jest kawiarnia. Będzie tam państwu wygodniej. Proszę zostawić numer telefonu. Zadzwonimy, kiedy przyjdzie lekarz.

Ale Jude pokręciła głową. Postanowiła zostać, więc został i on. Ktoś przyniósł drugie krzesło i postawił je obok krzesła siostry. Jude ścisnęła ojcu rękę, nie zsuwając przy tym czujnika.

– Znaleźli go na podłodze – powiedział cicho Fox. – Upadł i uderzył się w głowę. – Umilkł, zdając sobie sprawę, że nie ma nic więcej do dodania, może oprócz kolejnych przeprosin. Siostra nie mogła na niego patrzeć. Gdy podniosła głowę, spojrzała na aparaturę przy łóżku.

Lekarz wydawał się nieprawdopodobnie młody, wyglądał na dwudziestolatka. Nie miał białego fartucha ani słuchawek, był w krawacie i koszuli z podwiniętymi rę-

kawami.

– Żadnych złamań ani pęknięć – mówił, przeglądając wyniki badań. – Można jeszcze zrobić tomografię. Poleży parę dni i...

– To udar? – przerwał mu Fox.

– Hm, możliwe. – Fox myślał, że lekarz poświeci ojcu latarką w oczy, zmierzy ciśnienie krwi i zbada puls, że coś zrobi. Ale on tylko na niego zerknął. Wszystko powie-działy mu wyniki badań. – Będziemy wiedzieć więcej, kiedy się ocknie.

– Może spróbujemy go obudzić?

– Lepiej dajmy mu spokój. – Lekarz skończył czytać. – Tomograf. Dziś po południu albo jutro. Miejmy nadzieję, że dowiemy się czegoś bardziej konkretnego.

Z tymi słowami odszedł, by zająć się pacjentem na drugim końcu sali.

Jude milczała, milczał i Fox. Rzadko kiedy czuł się taki bezużyteczny. Gdy jedna z pielęgniarek spytała, czy napije się herbaty, ze szczerą wdzięcznością kiwnął głową. Jude poprosiła o wodę i szybko podano jedno i drugie. Fox znowu ją przeprosił i tym razem na niego spojrziała.

– Nigdy o mnie nie myślicie, ani ty, ani on.

– Nie teraz, Jude. Zostawmy to na później. – Ruchem głowy wskazał ojca. – Może nas słyszeć.

– Chcę, żeby słyszał.

– Mimo to.

Siostra upiła łyk wody z plastikowego kubka i objęła go dłońmi. Herbata była za mocna. Dało się ją pić dopiero

wtedy, gdy wsypał obie torebki cukru.

– Kiedy do mnie zadzwonili – powiedział – byłem bardzo zajęty. Nie mogłem trzeźwo myśleć, ani tam, ani nawet tutaj.

– W twojej głowie zabrakło dla mnie miejsca, co?

– Możesz choć raz nie robić z siebie męczennicy? – Zdołał wytrzymać jej spojrzenie, ale tylko przez kilka sekund.

– Ale z ciebie ziółko – powiedziała powoli i stanowczo. – Prawdziwe ziółko.

– Lepiej być kimś niż nikim. – Zerknął na zegarek. Kolejny błąd.

– Spieszysz się gdzieś? – spytała.

– Jak zawsze.

– To idź, nie zwracaj sobie głowy rodziną.

Próbował obliczyć, ile czasu zajmie mu dojazd do Stirling. Czy godziny szczytu bardzo go spowolnią?

– Chryste, ty naprawdę chcesz wstać i wyjść. – Jude rozdziawiła usta. – Czy może być coś ważniejszego niż to?

– Ty tego nie rozumiesz, co nie znaczy, że nie zrozumiałaby ojciec.

– A ja mam tu pewnie siedzieć, tak?

– Zrobisz, co zechcesz, jak zwykle.

– Przyganiał kocioł garnkowi.

Trudno było się z nią nie zgodzić, więc nawet nie próbował. Spytał, czy ma pieniądze na kawę. Długo zwlekała z odpowiedzią, wreszcie przyznała, że wydała wszystko na taksówkę. Położył na łóżku dwadzieścia

funtów, tuż obok ręki ojca.

– Przyjadę później – powiedział. – Poradzisz sobie?

– A jeśli nie?

– Poczuję się jeszcze gorzej.

– Odwal się, idź już.

Więc poszedł, ale przedtem dał pielęgniarce swoją wizytówkę z numerem komórki.

Pielęgniarka spojrzała w stronę Jude.

– Nie będzie histeryzowała?

Zdecydowanie pokręcił głową.

– Histeryzuje tylko przy mnie.

To był duży, nowoczesny dom naprzeciwko uniwersytetu, niedaleko pomnika Wallace'a. Od sąsiadów oddzielał go niski ceglany murek. Okna miały fałszywe okiennice, a drzwi strzegły palladiańskie kolumny. Brama była otwarta, podjazd wylano asfaltem. Gdy zaparkował obok eleganckiego maserati i małego, sportowego lexusa, otworzyły się drzwi. Stephen Pears, Fox poznał go ze zdjęć. Zaprosił go do środka gestem ręki, jak gościa na przyjęcie.

– Alison rozmawia przez telefon – powiedział. – Zaraz zejdzie. – Wyciągnął do niego rękę. Był opalony i miał ładne zęby, ale miał również pięć, sześć kilo nadwagi. Jego świeży zarost na próżno próbował ukryć podwójny podbródek i obwisłe policzki. Najwyraźniej życie było dla niego aż za dobre.

– Trafił pan od razu? – spytał, prowadząc go do wysokiego holu.

– Tak, dziękuję.

Do Pearsa podszedł pies, labrador o błyszczącej sierści. Fox pogłaskał go po łbie.

– Jak jej na imię? – spytał.

– To jest on. Max.

– Cześć, Max.

Ale Max stracił już zainteresowanie gościem i odszedł. Fox wyprostował się. Na ścianie wisiały zdjęcia.

Rozpoznał kilka osobistości. Wszystkie pozowały z Pearsem u boku, uśmiechając się i ściskając mu rękę.

– Sean Connery. – Wskazał jedno ze zdjęć.

– Kiedyś wpadłem na niego i po prostu musiałem się z nim sfotografować.

– To chyba w Nowym Klubie.

Pears zrobił zdziwioną minę.

– Należy pan do Nowego Klubu?

Fox pokręcił głową.

– A pan?

– Kiedy chce się komuś zaimponować, to ładny lokal, no i w samym centrum. Proszę dalej. Właśnie robiłem Andy’emu drinka.

Andy’emu, czyli ministrowi sprawiedliwości Andrew Watsonowi. Na widok Foxa wstał z sofy i uścisnęli sobie ręce.

– Malcolm Fox. – Fox uznał, że to wystarczy.

– Z policji okręgu Lothian i Borders? – spytał minister.

Dobra, a więc już wiedział. Fox kiwnął głową i podziękował za szkocką, którą zaproponował mu Pears.

– Wystarczy woda.

Woda była z lodem i trójkątnym kawałkiem cytryny, w ciężkiej kryształowej szklance. Pears trącił się ze szwagrem, powąchał whisky i wypił łyczek.

– Niezła – pochwalił go Watson.

– Niech pan siada, inspektorze – rozkazał Pears i jego ręce znowu poszły w ruch.

Wyglądało na to, że wielki, otwarty salon zajmuje prawie cały parter. Cztery czy pięć sof, duży szklany stół, przy stole dwanaście krzeseł, pięćdziesięciocalowy telewizor na ścianie. Reflektory oświetlały małe obrazy w przestylizowanych ramach. Grała muzyka, fortepian, ale nie widać było głośników. Przeszklone drzwi na końcu salonu prowadziły na taras, za którym ciągnął się trawnik i kort tenisowy. Kort był oświetlony albo po to, żeby komuś zaimponować, albo Pears mógł sobie pozwolić na marnowanie prądu.

– Jak się trzyma Alice? – spytał Watson.

– Twoja siostra się nie „trzyma” – poprawił go Pears. – Twoja siostra dowodzi, pokonuje trudności i triumfuje.

– No więc jak się jej dzisiaj „triumfuje”?

Pears uśmiechnął się do szklanki.

– Tego jej było trzeba. Po tych wszystkich naradach i bilansach to duża odmiana.

– Znam to uczucie – powiedział Watson.

Fox oglądał kostki lodu w szklance.

– Wszystko w porządku? – spytał Pears.

– Tak, tak.

– Na pewno?

– Na pewno. – Fox lekko się zawahał i zmienił zdanie.

– Mój ojciec jest w szpitalu. Dzisiaj go zabrali.

– To przykre – powiedział Pears; Watson tylko chrząknął, chyba ze współczuciem. – Nie powinien pan do niego pojechać? Alison mogłaby przyjąć pana jutro, na pewno znalazłaby czas.

Fox wzruszył ramionami.

– Skoro już tu jestem...

Pears nie odrywał od niego wzroku.

– To coś poważnego? – spytał.

– Robią badania...

– Chodziło mi o sprawę, z którą pan przyszedł – sprecyzował z uśmiechem Pears. – Alice była trochę skryta. Prawda, Andy?

– Trochę.

– Ten ze Scotland Yardu powiedział, że jest pan z Lothian i Borders...

– Inspektor Jackson? – domyślił się Fox.

– Wyszedł pół godziny temu – ciągnął Pears. – Chyba chciał zostać.

Minister poluźnił krawat i rozpiął kołnierzyk koszuli.

– Podobno prowadzi pan jakąś sprawę w Fife.

– Tak – odparł Fox. – Zaczęło się zwyczajnie. A potem się skomplikowało.

– Zupełnie inaczej niż u mnie. – Pears wstał, żeby dolać sobie whisky. zaproponował dolewkę Watsonowi, ale ten pokręcił głową. – Lubię brać skomplikowane sprawy i zmieniać je tak, żeby były łatwe do zrozumienia i wytłumaczenia. Wtedy można sprzedać wszystko. Problem z naszymi finansami polegał na tym, że przez dziesięć lat nikt nic z nich nie rozumiał, dlatego nie próbowano niczego podważyć. Wracajmy do podstaw, to moje credo.

Watson wyglądał tak, jakby słyszał to wiele razy. Mało brakowało i przewróciłby oczami. Pears usiadł

i nachylił się do Foxa.

– Może pan o tym mówić? – spytał. – Przysięgam, że nic nikomu nie powiem, chociaż nie mogę ręczyć za pana ministra.

– Pewien policjant nadużywał władzy – zaczął Fox. Nagle ogarnęło go tak wielkie zmęczenie, że gdyby nie zacisnął mocniej palców na szklance, pewnie by ją upuścił. – Potem umarł jego wuj. Wyglądało na to, że popełnił samobójstwo, ale nie popełnił. Wydział Śledczy wziął na muszkę bratanka...

– Ale? – Pears skupił na nim całą uwagę.

– Ale bratanek też już nie żyje. Ktoś zapędził go do morza i poszedł na dno.

Pears usiadł wygodniej, jakby chciał to przemyśleć. Wyraźnie niezainteresowany Watson przeglądał wiadomości w komórce.

– Wuj tego policjanta zbierał materiały na temat śmierci działacza SPN Francisa Vernala...

Watson znieruchomiał. To go zainteresowało.

– Znam to nazwisko – powiedział. – Kiedy wstępowałem do partii, dużo się o nim mówiło.

– Myślałem, że składałeś przysięgę w wózku – żartował Pears.

– Niezupełnie, chodziłem do ogólniaka. Jeden z nauczycieli był doradcą SPN.

– Indoktrynowali cię? – Pears wypił łyk whisky.

Watson aż się zjeżył.

– Wszyscy wiemy, jak wygląda wasza polityka.

– Ja chyba nie – wtrącił Fox.

Minister przeniósł na niego wzrok.

– To niech pan zgadnie. Na południu rządzą torysi i krążą nawet pogłoski o czyimś szlachectwie. Cameron wciska ich do Izby Lordów jak szalony.

Pears roześmiał się i rozradowany pokręcił głową.

– Założę się o pięćdziesiąt funtów, że twój szef też tam w końcu trafi. Pewnie już po następnych wyborach, bo ani chybi przegracie.

– Prędeż kaktus mi tu wyrośnie.

– Przy takiej przewadze laburzystów?

– Zagłosują na nas liberalni demokraci. Po tym, co zrobiliście z nimi w Westminsterze, raczej was nie lubią.

Pears przemyślał to i spojrzał na Foxa.

– Co pan o tym sądzi, inspektorze? Pan też jest zwierzędziem politycznym?

– Nie, wolę się nie wychylać.

– Słusznie. Ktoś, kto się nie wychyla, nie oberwie odłamkiem. Ale zaintrygował mnie pan. Co ten topielec i działacz mają wspólnego z moją żoną?

– Kiedy zginął Vernal, pańska żona studiowała w Saint Andrews. Mogła go znać.

– W Saint Andrews? – Minister pokręcił głową. – Zaliczyła dwa lata w Aberdeen, a potem wstąpiła do waszej bandy.

– Ktoś źle pana poinformował, inspektorze – dodał Pears.

Watson wybrał numer i przytknął komórkę do ucha.

– Rory? O której po mnie przyjedziesz? – Zerknął na zegarek. – Dobrze – rzucił i rozłączył się.

– Urozmaicone życie – powiedział Pears z udawanym współczuciem. – A za wszystko płaci pan inspektor i ja.

– Bo warto – mruknął Watson. Spojrzał w stronę schodów. – Czy ona kiedyś zejdzie? Może pójdę tam i...

– Dopij drinka, staruszk. – Pears ze zdziwieniem stwierdził, że jego szklanka jest już pusta. Wstał i tym razem Fox poprosił o dolewkę wody. – Jeszcze jedna – powiedział Pears – i na dziś wystarczy.

Minister ściągnął usta, co mogło oznaczać, że niekoniecznie.

Schodząc na dół z telefonem w ręku, poirytowana Alison Pears ciężko westchnęła.

– Czy ja muszę być do dyspozycji przez dwadzieścia cztery godziny na dobę? – Spojrzała na Foxa. – Witam po raz drugi.

– Pan inspektor opowiadał nam o sprawie, którą prowadzi. – Pears podał żonie gin z tonikiem. – Brzmi bardzo tajemniczo, ale chyba zmarnował tylko czas: pomylił cię z jakąś studentką z Saint Andrews.

Pani komendant podniosła szklankę jak do toastu, wypila łyk ginu i wypuściła powietrze.

– Lepiej? – spytał mąż.

– Lepiej. Chodźmy do mnie, panie inspektorze, wszystko sobie wyjaśnimy.

Watson wstał.

– Najpierw ja. Mogę? Co mam powiedzieć szefowi

o tych przeklętych idiotach z bombami? Na pewno mnie spyta.

– Wszystko wskazuje na to, że dostaną zarzuty – odparła Pears po chwili zastanowienia. – Dom, który wynajmowali, to prawdziwa kopalnia złota: materiały, instrukcje obsługi i plany, a nawet lista celów.

– Znowu lotnisko w Glasgow? – domyślił się jej mąż.

– Baza RAF-u w Leuchars. Port marynarki wojennej. I nasz były premier.

– Ten, kto ich złapał, powinien dostać medal – powiedział Pears, patrząc znacząco na ministra sprawiedliwości.

– I może dostanie – zgodził się z nim Watson.

– W takim razie zapraszam, inspektorze – powiedziała Alison Pears. – Wysłuchajmy tej pańskiej historyjki; może choć na chwilę zapomnę o pracy.

– Bądź dla pana łagodna – rzucił jej mąż. – Dostał złe nowiny...

Poprowadziła Foxa do drzwi w kącie salonu i weszli do gabinetu wyłożonego boazerią i ozdobionego półką z fałszywymi książkami. Pod oknem stał na trójnogu mosiężny teleskop. Brązowa sofa na dwie osoby, fotel obrotowy przy biurku – Pears usiadła w fotelu i wskazała mu sofę. Fox usiadł. Zaskrzypiała skóra.

Pears była ubrana na sportowo, w obszerny różowy podkoszulek i czarne spodnie do biegania; na nogach miała najki. Fox zastanawiał się, czy Pearsowie mają w domu salę gimnastyczną.

– Złe nowiny? – powtórzyła.

Fox zbył pytanie wzruszeniem ramion i zadał swoje.

– Mąż nie wie?

Pears rozważyła w duchu zakres możliwych odpowiedzi i uników.

– O czym?

Fox zrobił minę z cyklu: nie bawmy się w to.

– Brat też nie? – Wyjął z kieszeni jej studenckie zdjęcia. – Ciekawe, co by powiedzieli na to. Zmieniła się pani, ale nie tak, żeby pani nie rozpoznać.

Pears bez słowa przyjrzała się zdjęciom.

– Andy wie, że zaraz po wstąpieniu do policji pracowałam pod przykryciem.

– Ale nie wie, że przez dwa lata udawała pani studentkę Saint Andrews?

– Nie wie – przyznała. – Chociaż teraz zacznie się pewnie zastanawiać. – Odbijając się nogą od podłogi, lekko obracała się z fotelem to w jedną stronę, to w drugą. Wyjęła ze szklanki plasterki cytryny i położyła go na rogu biurka.

– Inspektor Jackson wprowadził panią w sytuację?

– Po trosze, chyba nie do końca. – Pears ucisnęła grzbiet nosa, jakby rozboleła ją głowa. – Co to za złe nowiny?

– Nieważne. Skupmy się na pani romansie z Vernalem. – Przeszyła go wzrokiem, lecz to zignorował. – Chciała pani w ten sposób przeniknąć do KMŻ?

Nie odpowiedziała. Wciąż świdrowała go spojrze-

niem.

– Wiem, co pani myśli – ciągnął Fox. – Minęło tyle lat, była pani innym człowiekiem. Niedobrze, żeby to teraz wypłynęło, to nie najlepsza pora. – Schował zdjęcia do kieszeni.

– Powiem panu, co to było – powiedziała w końcu, zniżając głos na wypadek, gdyby ktoś podsłuchiwał pod drzwiami. – To były dwa zmarnowane lata.

– Przez ten wypadek?

– Właśnie. Zaraz potem wszystko runęło. Niektórzy bali się to ciągnąć, myśleli, że MI5 chce wszystkich pozabijać.

– I chciała?

– To nie była MI5.

– Zwerbował panią Wydział Specjalny?

– Potrzebowali kogoś, kto działał wewnątrz, a ładna twarz zwykle skutkuje. Ale to nie mogła być ładna twarz z południa kraju, prawda? Anglicy mieli być naszymi wrogami.

– Ukończyła pani Tulliallan, wyglądała pani jak studentka. Dlatego Wydział Specjalny umieścił panią w Saint Andrews, żeby mogła pani udzielać się politycznie, przeniknąć do ich szeregów i na bieżąco informować przełożonych. Tak?

– Skoro tyle pan wie, po co pan do mnie przyjeżdżał?

– Jest mi pani potrzebna, ponieważ popełniono morderstwo i od ćwierć wieku nikt w tej sprawie niczego nie zrobił. – Fox obserwował ją przez chwilę, ale miała ka-

mienną twarz. – Ten adres domowy w Glasgow...

– Wynajęte biuro. Skrzynka pocztowa.

– I przez cały ten czas próbowała pani zbliżyć się do Vernala?

– Francis był tylko pośrednikiem. Miał doprowadzić mnie do tych, którymi interesowaliśmy się naprawdę.

Fox zmarszczył brwi.

– Był u pani w dniu śmierci?

– Tak.

– I wiedział, że jest śledzony?

Pears powoli kiwnęła głową.

– Wiedziała pani, że miał pieniądze w samochodzie?

– Tak, zwykle trochę woził. Nie było spotkania, żeby ktoś nie potrzebował gotówki.

– Na zakup broni?

– Na wszystko.

– Donald MacIver twierdzi, że w bagażniku mogło być nawet czterdzieści tysięcy funtów. W tamtych czasach to była pokaźna kwota.

– Donald MacIver? – Pears uśmiechnęła się smutno. – On żyje w świecie fantazji, panie inspektorze, od lat.

– Czule panią wspomina.

– Czule wspomina Alice, nie mnie.

– A John Elliot?

– Widuję go w telewizji.

– Nigdy się nie domyślił, kim pani jest?

– Wtedy się jeszcze nie znaliśmy. Interesowały go tylko kobiety napalone. O ile wiem, pan jako pierwszy to

wszystko sobie skojarzył, moje gratulacje. – Jej głos ociekał sarkazmem.

– Alan Carter nie próbował się z panią skontaktować?

– Ten emerytowany policjant? Nic o tym nie wiedziałam, dopiero Jackson mi powiedział.

– Mówi coś pani nazwisko Charles Mangold?

Pears ciężko westchnęła.

– Czy to naprawdę nie może poczekać parę tygodni?

– Niestety. A więc? Charles Mangold.

– Wspólnik Francisa. Pamiętam, że kochał się w jego żonie. Przynajmniej Francis tak twierdził.

– Alan Carter zbierał materiały na temat jego śmierci, Mangold mu za to płacił. Chciał udowodnić coś wdowie.

– Udowodnić? Co?

Fox wzruszył ramionami.

– Albo że jej mąż zginął w zamachu politycznym...

– Albo?

– Albo że przez te wszystkie lata idealizowała terrorystę i kanalię.

– Czuję, że woli pan tę drugą teorię.

– Chyba tak. Nie zna pani jego żony?

Pears pokręciła głową.

– Ona mnie nie interesowała. Interesowało mnie tylko to, co mogłam wyciągnąć od Francisa.

– I wyciągnęła coś pani?

– Niewiele.

– Ale bardzo pani chciała.

Znowu przeszła go wzrokiem.

- To znaczy?
- Sypiała z nim pani.
- Kto tak mówi?
- Twierdzi pani, że to nieprawda?
- Twierdzę, że to nie pańska sprawa.

Fox zamilkł, odczekał chwilę i dodał, że ma listy.

– Jakie listy? – Na jej policzkach wykwitły rumieńce, nic nie mogła na to poradzić.

– Te, które pani do niego pisała. Jego żona znalazła je i zachowała. – Przekrzywił głowę. – Chce pani powiedzieć, że go pani nie kochała?

Pears zamknęła i otworzyła oczy.

– Panie inspektorze, to zamierzchła historia i nie pańska sprawa. Jest pan funkcjonariuszem Wydziału Etyki i Standardów Zawodowych. Ten wydział się tym nie zajmuje.

– Słusznie. Może lepiej przekażę to wszystko kolegom ze śledczego...

– Niech pan nie będzie prostacki.

Fox odczekał chwilę.

– Był taki policjant. Nazywał się Gavin Willis. Przewodził śledztwo w sprawie śmierci Vernala, jakiegokolwiek by ono nie było. Ale pani już wtedy zniknęła.

– Wydział Specjalny postanowił mnie wycofać, chcieli uniknąć niewygodnych pytań. Zresztą komando już się rozpadło.

– Tak, wspominała pani. Willis z jakiegoś powodu zatrzymał samochód Vernala.

Leciutko rozszerzyły się jej źrenice.

– Po co?

– Nie wiem. Ale wiem jedno: Willis sprzedawał broń, między innymi tym z KMŻ. Konkretnie komuś o pseudonimie Sokole Oko. – Fox pokazał jej zdjęcie.

Obejrzała je uważnie.

– Nie widziałam tego zdjęcia od lat.

– To ten, który trzyma panią pod rękę?

– Tak. Trochę dziwnie wygląda, prawda? To ja zasugerowałam, żeby wziął mnie pod rękę. Nie udzielał się towarzysko, za kobietami też nie przepadał. Po zebraniach nigdy nie chodził z nami do pubu. Większość nie mogła się doczekać. Woleli chlać, niż dyskutować o teoriach politycznych.

– Po śmierci Vernala z żadnym z nich pani nie rozmawiała?

Pokręciła głową i objęła się wpół, jakby nagle pochłodziła.

– Byłam wtedy innym człowiekiem – powiedziała cicho.

– Jak pani myśli, jak on zginął?

– Francis? Chyba się zastrzelił.

– Dlaczego?

– Alkohol, nieudane małżeństwo, strach przed wpadką. Wiedział, że go śledzimy.

– Nie pokłóciliście się tego wieczoru?

– Nie. Chyba irytowało go, że chcę rozmawiać tylko o KMŻ. Mówił, że mam w sobie iskrę szaleństwa. – Pears

jeszcze raz przyjrzała się zdjęciu.

– Nie domyślał się, że jest pani wtyczką?

– Nie przypuszczam.

– A gdyby się domyślił?

– Nie wiem, pewnie by jakoś zareagował.

– Czy kiedykolwiek widziała pani broń w jego samochodzie?

– To nie znaczy, że jej tam nie było.

– A więc nie widziała pani, tak? – Fox zrobił pauzę. – Inspektor Jackson wie?

– O mnie i Francisie? – Zawahała się. – Nie sądzę. Skąd mógłby wiedzieć?

– Szperał w archiwum.

– Po co?

– Zaciekawilo go, dlaczego się tym interesuje. Coś mi powiedział...

– Co takiego?

– Agenci śledzący Vernala widzieli go tuż po wypadku. – Fox uważnie obserwował jej twarz. – Wciąż żył. Na głowie nie było rany postrzałowej.

– I co zrobili? – Pears zbladła. Mówiła ledwo słyszalnym szeptem.

– Jeśli wierzyć Jacksonowi, nic. Nie zabili go. Po prostu odjechali. Nie zadzwonili ani po karetkę, ani na policję, ani nigdzie.

Pears jeszcze szczerzej objęła się ramionami.

– To straszne.

– Cieszę się, że się w tym zgadzamy.

Prawie przez minutę w gabinecie panowała cisza.

– Mogli go zastrzelić – powiedziała w końcu. – Zastrzelić i zabrać pieniądze.

– Fakt, mogli. Proszę mi powiedzieć, czy Vernal był dla pani tylko zwykłym zadaniem?

Stężała jej twarz.

– Ile razy mam to powtarzać? Nie chcę o tym rozmawiać.

– To może być jedyna rzecz, którą za pośrednictwem Mangolda mógłbym przekazać jego żonie.

– Za daleko to zaszło, inspektorze.

– Alan Carter naprawdę się z panią nie kontaktował? Nie skojarzył sobie pani z Alice Watts?

– Już mówiłam, pan jest pierwszy. – Pears wstała, dając mu do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca. – Muszę wiedzieć, co pan chce z tym zrobić.

Fox też wstał, choć niechętnie.

– Jeszcze nie wiem.

– To by mnie uspokoiło. Muszę się skupić na pracy.

Kiwnął głową.

– Dziękuję, że zechciała się pani ze mną zobaczyć. – Wyciągnął rękę po zdjęcie.

– Chciałabym je zatrzymać.

Fox nie cofnął ręki.

Zadzwoił telefon i Pears odebrała, oddając mu jednocześnie zdjęcie.

– Melduj – rzuciła, znowu zmieniając się w komendantkę główną policji. Jakby rozmowa, która

właśnie odbyli, trafiła już do przegródki ze sprawami załatwionymi. – Nie, wykluczone. Govan ich nie dostanie. To są moi podejrzani.

Govan: dobrze strzeżony posterunek policji w Glasgow. Trafiali tam podejrzani o terroryzm, ale Pears broniła swego narożnika. Przysłuchując się rozmowie, Fox zdał sobie sprawę, że komendantka łaknie uwagi mediów, ponieważ może dzięki nim błyszczeć. Jak to ujął jej mąż? „Tego jej było trzeba”? Dała swemu rozmówcy do zrozumienia, że nie odpuści, i rozłączyła się. Spojrzała na Foxa wzrokiem, który mówił: ja nigdy się nie poddam. Zawsze wygrywam. Niech pan o tym pamięta. Otworzył jej drzwi. Wyszła z gabinetu, kierując się w stronę schodów.

Pears oglądał telewizję, ale wstał na jego widok.

– Wszystko sobie wyjaśniliście? – spytał, gdy żona zniknęła na górze.

– Mniej więcej – odparł enigmatycznie Fox. Zauważył, że Andrew Watson już wyszedł. I że kort tenisowy tonie w ciemności.

– Wziął ją pan za kogoś innego.

– To się zdarza.

Pears poklepał go po plecach i powiedział, że go odprowadzi.

– Wieczór jest tak ładny, że chyba pójdę z Maxem na spacer.

– Jeszcze raz panu dziękuję. – Fox uścisnął mu rękę.

Pears położył mu dłoń na nadgarstku.

– Przykro mi z powodu pańskiego ojca. Mam nadzieję, że wyzdrowieje. – I wciąż ściskając mu dłoń, dodał: – Gdyby pan czegoś potrzebował...

Fox wiedział, że to tylko słowa, które milioner wygłasza przy każdej okazji. Ale podziękował mu mimo to.

* * *

Jude spała na krześle. Pielęgniarka powiedziała mu, że siostra ani na chwilę nie ruszyła się z miejsca.

– Mówiliśmy jej, żeby poszła rozprostować nogi. Nie chciała. Przyniosłam jej herbatę i ciasteczka, ale niczego nie tknęła.

Stali przy stanowisku pielęgniarek i rozmawiali przyciszonego głosem. Prawie wszyscy pacjenci już spali.

– Ojciec się nie obudził?

– Jeszcze nie.

– Co z tą tomografią?

– Maszyna była zajęta. Zrobimy jutro.

– Dostaje kroplówkę? – Fox ruchem głowy wskazał rurkę z igłą wbitą w ramię ojca.

– Trzeba uzupełniać płyny – wyjaśniła pielęgniarka. – Obudzi pan siostrę, czy ja mam to zrobić?

Kiedy tylko przyjechał, poinformowano go, że ojciec ma już łóżko na oddziale. Sanitariusze mieli go tam wkrótce przewieźć.

– Spróbuję. – Podeszedł do siostry i położył jej rękę na karku. Miała chłodną skórę.

Wciągnęła powietrze, drgnęła i obudziła się gwałtownie z cichym jękiem. – Przenoszą go na oddział – powiedział. – Nic tu po nas. Chodź, podwiozę cię do domu.

– Poradzę sobie. – Rozespana Jude odgarnęła włosy z oczu. – Są autobusy i taksówki.

– Samochodem będzie szybciej. – Odczekał chwilę. – Proszę cię.

Spojrzała na niego i zobaczyła coś w jego oczach. Z jakiegoś powodu musiał to dla niej zrobić. Lekko kiwnęła głową i w tym samym momencie przyszli sanitariusze.

Pielęgniarka podała im numer kontaktowy i nazwę oddziału. Fox podziękował jej i wyszli na korytarz, mijając po drodze poczekalnię przy recepcji szpitalnego oddziału ratunkowego. Nie rozpoznał nikogo z obecnych tam ludzi. Drzwi się otworzyły i Jude wciągnęła kilka haustów chłodnego wieczornego powietrza.

– Lepiej? – spytał.

Mruknęła coś wymijająco i poszli do samochodu.

Jadąc, prawie się do siebie nie odzywali. Fox wrócił myślą do domu w Stirling, do Alice Pears i jej brata polityka. I jej bogatego męża, który dbał o to, żeby wszyscy byli zadowoleni.

Zastanawiał się, czy on jest zadowolony, czy załatwił to, co chciał. Chwilę trwało, zanim dotarło do niego, że Jude płacze. Próbował ją pocieszyć, powiedział, że wszystko będzie dobrze.

– A jeśli nie?

To nie, pomyślał.

Ale tylko pomyślał.

– Będzie.

Podrzucił ją do domu. Miała sąsiadkę nazwiskiem Pettifer i powiedział Jude, że powinna do niej zapukać.

– Jak chcesz, to ja to zrobię – zaproponował.

Ale siostra pokręciła głową.

– Pójdę do łóżka – odrzekła. – Trochę poleżę.

– Jutro po ciebie wpadnę. Pojedziemy razem.

– Nie musisz się dla mnie fatygować.

– Nie zaczynajmy, Jude.

Przetarła oczy.

– To o której?

– Zadzwońię.

– Coś ci może wypaść.

– Nie wypadnie.

– Dzisiaj wypadło, prawda? – Przyjrzała mu się i westchnęła. – No dobrze. Do jutra.

Zamknęła drzwi samochodu i poszła ścieżką do domu z oknami bez firanek i zapuszczonym ogródkiem. Przypomniała mu się obietnica, jaką złożył jej przed trzema czy czterema miesiącami: „Pomogę ci tu posprzątać, uwiniemy się w parę godzin”. Parę godzin, których nigdy nie znalazł. Siostra nie spojrzała na niego przez ramię, nie odwróciła się ani mu nie pomachała. Zapaliła światło, ale nie podeszła do okna.

Fox wrzucił jedynekę i odjechał.

Dwadzieścia minut później siedział przed innym do-

mem, ładniejszym i bardziej nowoczesnym. Tony Kaye nie lubił ogródków, więc był tam wyłożony ładną kostką podjazd, żeby miał gdzie parkować swoje mondeo. Fox schował komórkę. Za zasłonami w salonie poruszyły się cienie. Potem zasłony się rozchyliły i Tony zaprosił go do środka gestem ręki. Ale on pokręcił głową. Otworzyły się drzwi i Kaye wyszedł. Był w skórzanych kapciach i rozpiętej pod szyją koszuli z połami na wierzchu.

– A ty co? – rzucił, wsiadając. – Za niskie progi?

– Nie chciałem wam przeszkadzać. Co u Hannah?

– Pięć minut temu wszystko było dobrze, ale teraz zastanawia się pewnie, czym cię uraziła. – Tony spojrzał w stronę domu, jakby nachmurzona Hannah obserwowała ich z okna.

– Miałem ciężki dzień i muszę się komuś wyzalić – powiedział Fox.

– Ty miałeś ciężki dzień? Przez trzy godziny wisiałem na telefonie, gadając z Cashem i próbując go namówić, żeby wezwał Gariocha na przesłuchanie.

– No i?

– Jutro z samego rana. – Tony powiedział to tak, jakby był z siebie dumny.

– Co z raportem?

– Leży na twoim biurku. McEwanowi się podoba.

– Wysłaliście go do Fife?

– Nie bez twojej zgody.

– Przejrzę go rano.

Kaye zmrużył oczy.

- Czy to ta Mills? – spytał.
- Ale co?
- Narzuca ci się i chcesz mojej rady?
- Nawet z nią nie rozmawiałem.
- To dobrze czy źle?
- Daj spokój, Tony.

Kaye stłumił śmiech, klepnął go w kolano i odwrócił się w fotelu, żeby usiąść przodem do niego.

– Dobra, gadkę szmatkę mamy z głowy. A teraz wal. I nie oszczędzaj mi krwawych szczegółów.

Więc Fox mu powiedział.

Budzik zadzwonił o siódmej. Fox pomyślał: komenda, raport, z raportem do szpitala. Wsypał płatki do miseczki i stwierdził, że resztkę mleka w kartonie zmieniła się w jogurt. Zamiast mleka, dolał wody z kuchennego kranu i jedząc, zrobił listę zakupów. Jadąc na Fettes Avenue, czuł zbitą gulę w żołądku. Właśnie otwierali kantinę, więc kupił kawę i poszedł do biura. Tak jak mówił Tony, kopia raportu czekała na biurku. Do pierwszej kartki była przyklejona karteczka z napisem: „Miejsce na złoty medal”. Fox oderwał ją i wrzucił do kosza. Nie mógł się powstrzymać i spojrzał na ostatnią stronę. Podsumowanie zajmowało cztery linijki i sugerowało, że „konkretne dowody” przeciwko trzem podejrzanym policjantom trudno będzie znaleźć, choć „pozostają uzasadnione obawy co do poziomu ich kompetencji i dyscypliny”.

Uśmiechnął się do siebie, bo wiedział, że mając więcej swobody, Kaye napisałaby to dużo barwniejszym językiem. Przekaz dla tych z Glenrothes był jasny: macie problem, ale to od was zależy, czy będziecie go drażnić.

I dużo brytyjskiego szczęścia na drogę.

Raport liczył dwadzieścia trzy strony, ale lektura mogła poczekać. Fox zwinął kartki w rulon i wetknął je do kieszeni marynarki. Rozejrzał się po pokoju. Joe zostawił wiadomość dla Tony’ego, przypominając mu, że jego część zrzutki na kawę i herbatę wzrosła do prawie dzie-

sięciu funtów. Rozłożył tę kwotę na czynniki pierwsze, jak prawdziwy księgowy, ale Fox wątpił, żeby coś tym wskórał. Sprawdził wiadomości w służbowym telefonie, ale nie było żadnych. Podobnie jak w poczcie. Biurko McEwana było zasłane raportami i innymi papierami. Fox wiedział, że kiedy bałagan będzie za duży, wszystkie trafią do szuflad.

Wyszedł i zamknął drzwi na klucz. Do biura wstęp mieli tylko oni, pracownicy wydziału, nie wchodziła tam nawet sprzątaczką. Raz w tygodniu Naysmith wrzucał do niszcarki zawartość kosztów na śmieci i wysyłał tę sieczkę do recyklingu. Fox popatrzył na drzwi: Wydział Etyki i Standardów Zawodowych. Był zawodowcem? Na pewno? Powinien pisać teraz własny raport, przelewać na papier wszystko to, co wiedział i podejrzewał na temat śmierci Alana Cartera i Francisca Vernala. Powinien go napisać i wysłać do Wydziału Śledczego: macie problem, ale to od was zależy, co z tym zrobicie.

– O wilku mowa – warknął ktoś z tyłu.

Fox odwrócił się i zobaczył komendanta Jima Byarsa, który wymachując rękami, maszerował w jego stronę prawie jak żołnierz. Zatrzymał się dopiero wtedy, kiedy ich twarze dzieliła odległość ledwie kilku centymetrów.

– Co się tu, na Boga, dzieje?

– Nie rozumiem, panie komendancie...

– Jak się panu udało zaleźć za skórę Andrew Watsonowi?

– Musiałem omówić coś z jego siostrą.

Byars łypnął na niego spode łba.

– Z Alice Pears, komendantką główną policji środkowej Szkocji, tak?

– Tak, panie komendancie.

– Moją osobistą przyjaciółką, która prowadzi właśnie najważniejsze, najbardziej prestiżowe śledztwo w swojej karierze...

– I pewnie nie chce, żebym się wtrącał, tak? – Fox powoli kiwnął głową. – Rozumiem. Cóż, odpowiedziała na moje pytania, nic więcej do niej nie mam.

– A w ogóle, o co ją pan pytał?

– O pewien luźny wątek w sprawie zabójstwa Alana Cartera.

Byars przewrócił oczami.

– Luźny jak pana związek z tą przekłętą sprawą.

– Trudno się z tym nie zgodzić, panie komendancie.

– W takim razie...

Fox wyjął z kieszeni raport.

– Tu są nasze wnioski. Muszę tylko sprawdzić kilka szczegółów i wysyłam go do Fife.

– I to będzie koniec?

– Tak, absolutnie.

– Więc mogę uspokoić Watsona?

– Jak najbardziej. Może mu pan również przypomnieć, że w jego tytule służbowym jest słowo „sprawiedliwość”.

– Co to znaczy? – spytał komendant, ale Fox już odszedł.

Pojechał do Jude. Siostra nie odbierała telefonów. Bał

się, że wzięła coś na sen i popiła to kilkoma kieliszkami wódki. Zadzwoił do drzwi, ale nie otworzyła. Przytknął twarz do okna w salonie, lecz nikogo nie zobaczył. Nachylił się nad otworem na listy w drzwiach i zawołał. Nic. W sąsiednim domu też nie było ani śladu życia, więc wsiadł do samochodu i pojechał do szpitala. Zaczynały się poranne godziny szczytu, był duży ruch. Potem przez kilka minut szukał miejsca na parkingu. Wszedł do głównego holu. W kawiarni i sklepie kłębił się tłum nie tylko gości i personelu, ale i pacjentów, których rozpoznał po opaskach z nazwiskiem na rękę. Oddałby życie za kawę, ale spojrzał na kolejkę i poszedł dalej.

Tak jak podejrzewał, Jude siedziała przy łóżku.

– Miałem po ciebie wpaść – rzucił.

– Wcześniej wstałam. – Znowu trzymała ojca za rękę.

– Nie obudził się?

Pokręciła głową. W sali były jeszcze trzy inne łóżka, w tym jedno wolne; na dwóch pozostałych leżeli starsi mężczyźni.

– Ty nie w pracy?

– Już byłem. – Wyjął raport z kieszeni. – Chciałem przy nim posiedzieć i poczytać.

– Dobrze.

Krzesła stały pod ścianą, jedno na drugim. Wziął jedno, żeby postawić je przy łóżku. Nie wiedział, czy Jude zrobiła to świadomie, czy przypadkiem, ale siedziała tak, że gdyby chciał usiąść obok niej, krzesło wystawałoby na przejście i przeszkadzało pielęgniarce. Zamiast poprosić,

żeby się przesunęła, usiadł po drugiej stronie łóżka.

– Powiedzieli, o której zrobią tomografię?

Jude znowu pokręciła głową. Głaskała ojca po włosach. Podbródek i policzki miał porośnięte siwą szczecina, w kąciu ust zaschła mu odrobina śliny. Pielęgniarka sprawdziła odczyt na aparaturze i zapisała coś na karcie pacjenta w nogach łóżka. Fox spytał ją o tomografię.

– Miejmy nadzieję, że przed lunchem – odparła. – Jest spokojny, dobrze spał. – Próbowała pokrzepić go uśmiechem.

Chciał ją poprawić, powiedzieć: on nie jest spokojny, on jest w śpiączce! Ale uśmiechnął się tylko i powiedział „dziękuję”. Kiedy odeszła, zobaczył, że siostra łypie na niego spode łba.

– Co? – spytał.

– Nie możesz się tu trochę porządzić? Porozmawiać z nimi, zobaczyć, czy nie dałoby się przeskoczyć kolejki.

– Oni nie są naszymi wrogami, Jude.

– Ale i niespecjalnie się starają.

Ledwie skończyła mówić, kiedy przyszło dwóch sanitariuszy. Pielęgniarka zaprowadziła ich do łóżka.

– Tomograf – rzuciła.

– Dziękuję – powiedział ponownie Fox.

– Możemy z nim iść? – Jude wstała.

– Lepiej proszę zostać – odparł jeden z sanitariuszy. – Zaraz przywieziemy go z powrotem. – Miał tatuaże na przedramionach. Szerokie bary i dwie blizny na twarzy. Pewnie wyczuł w nim gliniarza, tak jak Fox założyłby się,

że to facet po wyroku. Jude nie chciała puścić ręki ojca. Nachyliła się, pocałowała go w czoło i wybuchnęła płaczem.

– Proszę się nie martwić. – Pielęgniarka spojrzała na Foxa. – Może zabierze pan siostrę na herbatę?

Jude nie chciała herbaty, ale udało mu się skierować ją do kawiarni. Po drodze wyszarpnęła mu się i powiedziała, że idzie na papierosa.

– Myślałem, że rzuciłaś.

– Ktoś mnie poczęstuje – powiedziała w drodze do automatycznie otwieranych drzwi.

Fox kupił w sklepie gazetę i stanął w kolejce po kawę i bułkę z bekonem. Wziął to samo dla Jude i usiadł przy stoliku. Zadzwoił telefon. Tony Kaye.

– Witaj, Tony.

– Jak ojciec?

– Właśnie zabrali go na tomografię.

– Jesteś w szpitalu?

– Tak.

– A my na moście. Wracamy do słonecznego Fife.

– Nie zdążyłem jeszcze przeczytać raportu.

– Nie ma pośpiechu.

– Ale wnioski wyglądają nieźle. – Fox popełnił błąd i zajrzał do bułki. Bacon był szary jak twarze ludzi wokół niego. Odsunął bułkę na bok.

– Dostałem z rana wiadomość od Casha – mówił Tony. – Bierzemy udział w przesłuchaniu. Zakazał nam się odzywać, a jak uznamy, że coś przeoczył, mamy dać mu

znak i obgadamy to za drzwiami.

– Poszedłeś na to?

– Przecież mnie znasz.

Fox uśmiechnął się do siebie.

– Właśnie dlatego pytam.

– Nic nie sprawia mi większej przyjemności jak wykonywanie rozkazów, zwłaszcza rozkazów kompletnego palanta.

Siedzący w fotelu pasażera Naysmith coś powiedział.

– Co on mówi? – nie zrozumiał Fox.

– Że jestem za blisko jadącej przed nami beemki.

– Na zewnętrznym pasie? Ile robicie? Sto dwadzieścia? Sto trzydzieści?

– I?

– I rozmawiasz przez telefon.

– Chcę go trochę nastraszyć, żeby dał z siebie wszystko w Kirkcaldy.

– Daj znać, jak poszło.

– Skup się na ojcu. – Kaye lekko się zawahał. – Jude się trzyma?

– Niezbyt.

– A ty?

– Ja tak.

– Rodzina, Malcolm. Nie ma niczego ważniejszego.

– Mówiłeś mi to wczoraj.

– Bo tak jest. Paul Carter, jego wuj, Francis Vernal: oni już nie wrócą. Czasem pierwszeństwo muszą mieć żywi.

Wróciła Jude. Zobaczyła go i Fox wskazał jej bułkę i kawę na stoliku. Siostra pokręciła głową, machnęła ręką w stronę wejścia na oddział i zniknęła mu z oczu.

– Daj znać, jak poszło – powtórzył Fox. Po czym spytał: – Znowu puszczasz Harveya?

– Ze względu na Naysmitha – odparł Kaye. – Muszę mu ciągle przypominać, że w życiu liczy się nie tylko Lady Gaga. – I rozłączył się.

* * *

Adwokat Tosha Gariocha miał obiekcje co do obecności Kaye'a i Naysmitha.

– Są tylko obserwatorami – wyjaśnił Cash.

Przesłuchanie nagrywano i Joe zerkał złośliwie na zmagającego się ze sprzętem detektywa sierżanta Younga, a nawet – ku jego irytacji – parę razy westchnął.

Tosh Garioch odsunął się z krzesłem od biurka, żeby swobodniej wyciągnąć nogi. Krępy i muskularny, miał ogoloną na łyso błyszczącą głowę i tatuaż na boku szyi, który przedstawiał wijący się oset.

– Czy wie pan, dlaczego pana wezwaliśmy? – zaczął Cash, szykując się do notowania. Adwokat też trzymał w ręku długopis. Klikał nim, aż Cash kazał mu przestać. – Ktoś będzie tego słuchał i pomyśli, że strzelałem w pana zszywkami. – Powtórzył pytanie.

– Tak. – Garioch chwycił się za krocze i poprawił to, co tam miał. – Chyba wiem.

– Więc co robił pan w środę wieczorem?
– Siedziałem w domu. Normalnie to bym pracował.
– Jako bramkarz? W agencji Alana Cartera?
– Teraz byłoby trudno, bo Carter nie żyje.
– Zawsze może pan poszukać pracy u Szafików. –
Cash świdrował go wzrokiem. – Chociaż po tym, jak zadarł
pan z nimi w imieniu swego szefa, wątpię, czy zechcieliby
z panem gadać.

Kaye stał pod ścianą z rękami za sobą. Garioch zerknął
w jego stronę. Pewnie zastanawiał się, skąd Cash o tym
wie.

– To były zwykłe interesy – mruknął. – Wszystko się
wyjaśniło.

– Czy to ma jakiś związek ze sprawą? – wtrącił się
adwokat, mażąc długopisem po kartce.

– Tylko się rozgrzewam – odparł z zimnym uśmie-
chem Cash. Przeniósł wzrok na Gariocha. – Mogę spytać,
kto był z panem w domu?

– Nie.

Klasyczny błąd – Cash musiał się zorientować, bo
drgnęły mu usta: nigdy nie zadawaj pytań, które nie po-
suwają cię do przodu.

– Był pan sam?

– Z dziewczyną.

– Aha. – Inspektor wyjął z kieszeni jakąś karteczkę. –
Z Billie Donnelly?

Garioch nie mógł się powstrzymać i znowu zerknął na
Kaye'a. Kaye puścił do niego oko.

– Czy zmierza pan do czegoś konkretnego, panie inspektorze? – spytał adwokat, udając znudzonego.

– Mamy świadka, który podał nam rysopis pasujący co do joty do pańskiego klienta –

odparł Cash. – Pan Garioch szedł główną ulicą w mokrym ubraniu zaraz po tym, jak Paula Cartera pobito i zapędzono do morza. Inny świadek widział sam pościg. Wygląda na to, że będziemy musieli zrobić okazanie.

– Beze mnie – warknął Garioch i spojrzał na adwokata, chcąc, żeby ten to potwierdził.

Adwokat poprawił okulary w grubej oprawce. Cash nachylił się ku obu mężczyznom i powiedział:

– Dwóch świadków, Tosh. A motyw? Zostałeś bez pracy, bo ktoś stuknął twojego szefa, a całe miasto wie, że tym kimś był młody Carter. I nagle widzisz, jak facet wytacza się z pubu. Jest sam, bez kumpli policjantów. Pada kilka ostrych słów i sprawa zaczyna przybierać paskudny obrót. Wszyscy wiemy, jaki był Carter, wybuchowy jak jasna cholera. Nie twierdzę, że to nie on zadał pierwszy cios. – Cash zmrużył oczy, udając, że szuka obrażeń na twarzy Gariocha. – Ale on wyszedł na tym dużo gorzej. Wyczuł, że nie da ci rady i zaczął uciekać. A ty rzuciłeś się w pogoń. Promenadą do samego morza. Kawał chłopca z ciebie, ale nie jesteś w najlepszej formie. Może nie dałeś rady go złapać, ale Carter tak się wystraszył, że wbiegł do wody. A może go jednak złapałeś... – Cash zawiesił głos. – Tak, chyba złapałeś.

Garioch spojrzał na adwokata.

– Czy ja muszę tego słuchać?

– Myślę – odparł prawnik – że pan inspektor byłby niemądry, próbując oskarżyć pana na podstawie tak wątpliwych zarzutów.

– Znajdziemy więcej świadków – ciągnął Cash. – Nie rozesłaliśmy jeszcze rysopisu. Krzepki, łysy paker idący ulicą w przemoczonych spodniach? Pomyśl tylko, Tosh: dobrze wiesz, że ktoś musiał cię widzieć. Zrobimy piękne okazanie... ale najpierw ściągniemy tu Billie. I porządnie ją wymagujemy.

Kaye zrobił pół kroku do przodu, gotów zainterweniować, bo wyglądało na to, że Garioch zaraz rzuci się Cashowi do gardła. Inspektor też to zauważył, ale nachylił się ku niemu jeszcze bardziej.

– Billie będzie próbowała cię chronić i pewnie skłamię, ale w sądzie obróci się to przeciwko niej. I pójdzie na dno razem z tobą. Pamiętasz ten oklepany frazes, który ciągle powtarzają w filmach kryminalnych? Motyw, środki i sposobność. – Cash pokazał mu trzy palce. – Na mojej zdrapce są trzy złote gwiazdki, Tosh. – Odchylił się do tyłu i splótł ręce.

Garioch podparł się pięściami i powoli wstał.

– Pozwoliłem ci wyjść? – spytał łagodnie Cash.

– Mogę? – Garioch spojrzał na adwokata. Ten skinął głową. – No to wychodzę.

– Im więcej będziecie sprawiać mi trudności, tym lepiej się będę bawił – ostrzegł ich inspektor.

Garioch łypnął na niego spode łba, ale nic nie powie-

dział. Dopiero teraz zauważył, że między nim i drzwiami stoi Kaye.

– Jest interes do zrobienia – powiedział Tony. – Jeśli Paula wrobił jego wuj i jeśli nie miał pan z tym nic wspólnego... Obydwaj już nie żyją, więc jakie to ma teraz znaczenie?

– Pozwoliłem się panu odezwać? – spytał Cash aż zbyt spokojnym głosem.

Kaye zignorował go, nie spuszczał wzroku z Gariocha.

– Jest interes do zrobienia – powtórzył cicho, podając mu wizytówkę.

Garioch spojrział na niego, potem na Casha i pozostałych.

– Walcie się – warknął. – Wszyscy. – Odepchnął Tony'ego i gwałtownie otworzył drzwi.

Ale przedtem wyrwał mu z ręki wizytówkę.

W porze lunchu Fox pojechał do domu. Wyniki badań były niejasne. Wszystko wskazywało na udar, ale lekarze czekali, aż ojciec odzyska przytomność.

– Nie możecie go obudzić? – spytała Jude. – Zrobić mu zastrzyk z adrenaliny czy coś?

Znowu były łzy i lekarz uznał, że powinni odpocząć od szpitala. Fox zaproponował, że ją podrzuci, ale uparła się, żeby pojechać autobusem.

– To po prostu głupie – powiedział, popełniając kolejny błąd. – Będiesz taka do końca życia?

Wzięła zamach, chcąc uderzyć go w twarz, i wypadła ze szpitala. Minął ją na przystanku. Zła na cały świat stała tam z założonymi rękami.

Dojechał w miarę szybko i tuż przed pierwszą zaparkował przed domem. Gdy wysiadał, zadzwoniła komórka: Tony.

– I jak poszło? – spytał.

– Pan inspektor Cash jest na mnie zły.

– Świetnie. – Fox pstryknął pilotem i zamknął drzwi. – Rozumiem, że nie wytrzymałeś i z czymś wyskoczyłeś.

– Zupełnym przypadkiem zaproponowałem Gariochowi pewien układ.

– Jaki?

– Jeśli pogada z nami o swoim szefie, potraktujemy go łagodnie w sprawie utonięcia.

- Cash nie chciał na to pójść?
- Nie do końca. Omal nie wygnał nas z miasta.
- W klubie są jeszcze dwa wolne miejsca. – Fox przystanął, patrząc na drzwi domu.
- Jak tam ojciec?
- Muszę kończyć, oddzwonię.

Schował telefon, podszedł do okna i zajrzał do środka. W salonie nikogo, żadnego ruchu. Znowu drzwi: uszkodzona futryna. Uszkodzenia były niewielkie, pewnie od łomu albo dłuta. Przypomniały mu się drzwi w Gallowhill Cottage. Rozejrzał się. Mieszkał przy spokojnej ulicy, gdzie wszyscy pilnowali własnego nosa. Złodziejowi zajęło to pewnie pół minuty. Udał, że naciska guzik dzwonka albo że wkłada coś do otworu na listy. Trącił drzwi nogą i wszedł do korytarza.

Wyglądało na to, że z pliku leżących na stole dokumentów nic nie zginęło. Może tylko je przejrzeni, trudno było powiedzieć. Zginął za to laptop z kablem i ładowarką, chociaż telewizor i odtwarzacz DVD ich nie zainteresowały. Z kuchni zniknęło stojące przy czajniku radio. Na górze: dokładnie opróżnione szuflady. Brakowało zegarka, ale paszport ocalał. Zawartość szafy wałała się na podłodze. Fox usiadł na łóżku i oparł podbródek na dłoniach.

Warto to zgłaszać? Tak, ale tylko po to, żeby mieć numer referencyjny dla ubezpieczenia. Wątpił, czy znaleziono by odciski palców. Drzwi naprawi dozorca. Złodzieje wyszli, nie zabierając zapasowych kluczy. A więc nie zamierzali wracać. Wyglądało to na zwykłe włamanie,

ale miał wątpliwości. Zszedł na dół i zaczął przeglądać papiery. Z leżącej na wierzchu kartki krzyczało napisane drukowanymi literami nazwisko Mangolda. Były tam też inne nazwiska, daty, pytania...

Gdybym tu był, czy też upozorowaliby samobójstwo?
– Weź się w garść – mruknął.

Próbował przypomnieć sobie, co było w laptopie. Jego przemyślenia, uporządkowane bardziej niż odręczne notatki. Nie zdążył dopisać tam jeszcze uwag o Alison i Stephenie Pearsach ani o Andrew Watsonie. Wspomniał o Vernalu? O związku między Gavinem Willisem i Komandem Mroczne Żniwa, a zwłaszcza o Sokolim Oku? Chyba tak. Niczego nie wydrukował, ale skopiował cały folder na pendrive.

A pendrive też zniknął.

Tak jak książka profesora Martina.

Pendrive za cztery funty i stara, sfatygowana książka – nie zainteresowałby się tym żaden szanujący się złodziej. MI5? Wydział Specjalny? Czy Alana Cartera chcieli ostrzec w ten sam sposób i coś poszło nie tak?

Wyjął komórkę, zgłosił włamanie i poszedł sprawdzić, czy książka napraw samochodu Vernala wciąż leży w schowku na mapy. Leżała. Zapukał do sąsiadów, ale nie było ich w domu. Mieszkający po drugiej stronie ulicy pan Anderson, niedosłyszający staruszek, też nic nie widział.

– Może jakiś samochód? – drażył Fox. – Albo furgonetka? – Ale pan Anderson tylko pokręcił głową i zaprosił go na herbatę. – Może kiedy indziej.

Porozmawiał z dwoma innymi sąsiadami, ale nikt nie widział ani nie słyszał żadnego samochodu. Nikt nie zauważył nikogo obcego.

Było spokojnie jak zwykle.

Przyjechał patrol. Fox pokazał im legitymację i zaprowadził do salonu. Jeden z policjantów zapisywał wszystko w małym elektronicznym notesie.

– Numer seryjny laptopa? – spytał.

Fox poszedł poszukać karty gwarancyjnej. Mógłby powiedzieć, że i tak go nie znajdują, ale wtedy spytaliby, skąd ta pewność.

– To sprzęt służbowy?

Pokręcił głową.

– A więc nie było w nim niczego związanego z pańską pracą?

– Nie – zełgał.

– Przynajmniej nie grozi panu dyscyplinarka – rzucił policjant.

– Szczęście w nieszczęściu – dodał drugi.

– Sarkazm dorzucacie za friko? – spytał Fox. – Poza tym dyscyplinarka grozi tylko w przypadku zaniedbania. Włamanie pod to nie podpada.

Pożartowawszy sobie z funkcjonariusza Skarg, policjanci przestali szydzić i zaproponowali, że wezwą ekipę, która zdejmie odciski palców, chociaż Fox twierdził, że nie warto.

– Nigdy nie wiadomo, panie inspektorze – odparł ten starszy. – W ciągu ostatnich sześciu miesięcy było kilka

włamań w tej okolicy. Może to ci sami.

– A kiedy ich dorwiemy... – dodał młodszy.

– Dobrze – przerwał mu Fox. – Wezwijcie ekipę.

Samochód techników przyjechał godzinę później. Młoda kobieta wniosła do domu swoją czarodziejską skrzynkę i zabrała się do pracy. Tymczasem on doprowadził do porządku sypialnię. Potem wyszedł popatrzeć, jak techniczka nanosi pędzelkiem proszek na framugę drzwi.

– Dużo nie zabrali – zauważyła.

– Nie.

– Nawet telewizor zostawili. Pewnie byli na piechotę.

– Pewnie tak.

Kobieta przyjrzała się framudze.

– Nic tu nie ma.

Kilka minut później była już w salonie. Poprosił, żeby sprawdziła stół. Znalazła tam kilka odcisków.

– To pewnie moje – powiedział.

Zdjęła je mimo to, a potem pobrała jego, dla porównania. Przypomniała mu się scena przed domem Alana Cartera. Ciągle się zastanawiał, czy miał szczęście, że nie było go w domu.

Ale gdyby rzeczywiście chcieli go zastać, wybraliby inny moment. Adres domowy łatwo mogli znaleźć, wystarczyło spytać kogo trzeba albo włamać się do komputera. Miał zastrzeżony numer, ale numer Jude był w książce telefonicznej. Mogli nawet jechać za nim, kiedy wracał z pracy. Albo zaczekali, aż wyjdzie z domu, albo wiedzieli, że wpadł do biura i pojechał do szpitala.

Podśluchiwali go?

Ktoś podrzucił mu „pluskwę” do domu, biura i samochodu?

Próbował odpędzić tę myśl, ale wiedział, że nie da mu spokoju do końca dnia.

– Stójkowi dali panu numer sprawy? – Techniczka skończyła sprawdzać sypialnię.

– Stójkowi?

– Mundurowi – wyjaśniła z uśmiechem. – Pewien inspektor tak ich nazywał.

– Tak, dali.

– W takim razie pozostaje panu tylko złożyć papiery w ubezpieczeniu. I wstawić mocniejsze drzwi.

Fox kiwnął głową.

– Mogło być gorzej, prawda? – dodała.

Chyba się z tym zgadzał.

* * *

Mangold Bain, ten sam pokój. Zgodnie z przewidywaniami Charles Mangold mógł mu poświęcić tylko kilka minut. Nie zaproponował nic do picia, powiedział, że czas na to nie pozwala. Złożył ręce jak do modlitwy i wysłuchał go z czubkami palców przy ustach.

– Włamano się do mojego domu. Pańskich dokumentów nie tknęli, ale zniknął mój laptop. Są w nim notatki na temat Vernala. Mają pana nazwisko...

Mangold lekceważąco machnął ręką.

– Jak pan myśli, kto to był?
– Nie wiem. Kilka razy spotkałem kogoś z Wydziału Specjalnego...

– Aha.

– A wczoraj rozmawiałem z Alice Watts.
Mangold nie ukrywał zaskoczenia.

– Z kochanką Vernala? Znalazł ją pan?

– Tak.

– Gdzie ona jest? Co teraz robi?

Fox bez słowa pokręcił głową.

– Dlaczego? – spytał Mangold.

– Mam swoje powody.

Mangold chciał dążyć, ale Fox uprzedził go, że to nie ma sensu.

– Rozmawialiście o Francisie?

Fox kiwnął głową.

– No i?

– Nie kochała go.

Mangold znieruchomiał.

– Na pewno?

– Na pewno.

– W takim razie, dlaczego zniknęła? Miała coś wspólnego z jego śmiercią?

– Nie przypuszczam – odparł Fox i pomyślał: nie bezpośrednio. – Ale może pan uspokoić panią Vernal...
Chociaż nie jestem pewny, czy taki miał pan zamiar.

Mierzyli się wzrokiem.

– Myślę, że chciał pan, żeby spadły jej łuski z oczu –

dodał Fox.

– Tak?

– Irytuje pana, że przez te wszystkie lata tak kurczowo trzymała się wizerunku męża, wielkiego bojownika i patrioty. Bez względu na to, co pan dla niej robił, a zmienił pan dla niej nawet nazwę firmy, nigdy się panu nie odwdzięczyła. Mam rację?

– Nie przypuszczam, żeby ta przemowa mogła czemuś służyć, panie inspektorze.

Fox wzruszył ramionami.

– Dlaczego na psa gończego wybrał pan akurat Alana Cartera? Miał pan wiele lat, żeby zbadać przyczyny śmierci Vernala, i myślę, że pan próbował. Ale nic pan nie wskórał. Wiedział pan jednak, że Gavin Willis prowadził tamto śledztwo i prawdopodobnie odkrył pan, że był również mentorem Alana Cartera. – Fox zmrużył oczy. – Ale wyniki jego badań pana nie interesowały. Interesowało pana to, co Carter próbował ukryć. Dzięki temu lepiej zrozumiałby pan rolę, jaką odegrał w tym Willis. I miał pan rację: Carter nie powiedział panu choćby o samochodzie, który przez ćwierć wieku stał spokojnie w garażu za jego domem. Widzi pan, to działało na dwie strony, bo on też nie chciał, żeby wiedział pan absolutnie wszystko. Pewnie dlatego przyjął to zlecenie: mógł kontrolować śledztwo i dopilnować, żeby nazwisko Willisa pozostało czyste.

– Nie widzę, żeby posuwało nas to do przodu – powiedział Mangold głosem cichym, lecz drżącym z gniewu.

Fox milczał przez kilka sekund, w końcu wzruszył

ramionami.

– Wypłynęło parę nazwisk. Choćby Andrew Watson.

– Nasz minister sprawiedliwości?

– Tak. Zna go pan?

– Nie.

– Ale zanim został posłem, był prawnikiem, prawda?

– Jest z innego pokolenia. Poza tym praktykował w Aberdeen.

– Prawo karne?

Mangold kiwnął głową.

– Ale co on ma wspólnego ze śmiercią Francisa? –

Uniósł brew. – Chce pan, żeby wznowił śledztwo?

– A pan by chciał?

– Imogen przeżyłaby koszmar.

– Ktoś mógłby potrzymać ją za rękę...

Mina Mangolda mówiła, że był to cios poniżej pasa.

– A to drugie nazwisko?

Fox pokręcił głową, dając mu do zrozumienia, że to mało ważne.

– Po prostu widziałem zdjęcie jego szwagra.

– Stephena Pearsa?

– Tak, zrobione w Nowym Klubie.

– Jest członkiem.

– Myślałem, że to klub dla prawników i sędziów.

– Dla bardzo szerokiego spektrum.

– Dla ministra sprawiedliwości też?

Mangold zmarszczył czoło.

– A wie pan, że chyba nie.

– Czy Vernal mógł go znać? Był prawnikiem i nacjonalistą, tak jak on.

– Kiedy Francis zginął, Watson chodził jeszcze do szkoły. – Mangold szybko to policzył. – Miał szesnaście, siedemnaście lat.

– Wiek idealizmu – zauważył Fox. – Człowiek łatwo się otwiera.

Ale może niekoniecznie na to, że jego własna siostra sypia z kimś dwa razy starszym od niej, żonatym mężczyzną nazwiskiem Francis Vernal...

* * *

Nie mając laptopa, wrócił na Fettes z nadzieją, że nie wpadnie na komendanta. Z radia dowiedział się, że wieczorem trzech podejrzanych o dokonanie wybuchu pod Kippen prawdopodobnie usłyszy zarzuty, ale nawet gdyby nie usłyszeli, pozostaną w areszcie i tak, ponieważ policji przyznano dodatkowy czas na przesłuchanie. Wiedział, że po sprawie Megrahiego²⁴ szkocki rząd będzie na celowniku, podobnie jak szkocki system sprawiedliwości.

Stan pogotowia wciąż był KRYTYCZNY.

– Przecież już ich zatrzymano – rzucił do oficera dyżurnego.

– Nie wiadomo, ilu ich tam jeszcze jest, mogą się mścić.

Strach: Fox zauważył to samo, przeglądając gazety z 1985 roku. Ten zawsze obecny strach. Kiedy przesta-

wano bać się pożogi wywołanej przez radziecko–amerykańską konfrontację albo przez kolejną epokę lodowcową, wymyślano coś innego. Strach przed zbrodnią zawsze wyprzedzał aktualne statystyki. Teraz ludzie bali się o pracę i emeryturę, bali się globalnego ocieplenia i tego, że na świecie ubywa zasobów naturalnych. Kiedy problemy te przestaną być problemami, pustkę wypełni coś innego. Spojrzał na napis nad dyżurką i poszedł w stronę schodów.

Naysmith był w biurze. Pomachał mu na powitanie.

– W Fife wszystko pozamiatane i posprzątane? Więc gdzie jest Tony?

Joe wzruszył ramionami i spytał, czy zaparzyć kawę.

– Koniecznie. – Fox usiadł przy komputerze. Wyjął z kieszeni dwadzieścia funtów, zrobił z banknotu samolot i puścił go w kierunku Naysmitha. Joe uniósł brwi.

– Zrzutka na ciasteczka, spłacam długi – wyjaśnił Fox.
– Wystarczy?

– Z nadmiarem.

– To dobrze.

Zaczął szukać informacji o Andrew Watsonie. Tak jak przypuszczał Mangold, kiedy zginął Francis Vernal, szkocki minister sprawiedliwości dopiero rozpoczął studia na Uniwersytecie Aberdeen. Fox szukał uważnie, ale nie znalazł niczego, co sugerowałoby, że Watson był kiedykolwiek twardogłowym prawnicowcem czy radykałem. Z wyróżnieniem ukończył prawo i rozpoczął praktykę. Doradca prawny Szkockiej Partii Narodowej w wieku

dwudziestu siedmiu lat, poseł do szkockiego parlamentu w wieku lat trzydziestu jeden. Przywódcy partyjni lubili go i szanowali. Był „tym od czarnej roboty” i chwalono go za to, że pomógł partii wejść do parlamentu.

Dwadzieścia funtów wyraźnie pocieszyło Naysmitha. Zrobili razem małą burzę mózgów, a potem, gdy Fox pisał SMS-a do Kaye’a, pytając go, gdzie jest, zaparzył więcej kawy. Kiedy zadzwoniła komórka, Fox myślał, że to Tony, jednak to była Jude z wiadomością ze szpitala.

– Obudził się. Ale źle z nim...

Popędził do szpitala i skręcił na parking za wolno jadącym roverem. Poirytowany zatrąbił klaksonem i gestem ręki kazał kierowcy wdepnąć pedał gazu. Po paru kółkach znalazł wolne miejsce w najdalszym rogu i idąc do wejścia, musiał minąć rovera. Kierowca był w wieku jego ojca i wystraszył się na jego widok. Foxowi rozbłysnął w głowie napis STAN KRYTYCZNY, więc przystanął, mruknął „przepraszam” i poszedł dalej.

Ojciec miał zamknięte oczy i dłonie splecione na piersi. Jude rozmawiała z kobietą, która przedstawiła się jako Mae Ross.

– Pani Ross pracuje w Lauder Lodge.

– Właśnie zastanawialiśmy się, co z pańskim ojcem – powiedziała pani Ross. – Jeszcze raz przepraszam, że nie skontaktowaliśmy się z państwem wcześniej.

Fox kiwnął głową.

– Mówiłaś, że się obudził.

– Tak jakby.

Fox nachylił się nad łóżkiem. Ojciec zatrzepotał powiekami i otworzył oczy. Chwilę trwało, zanim skupił wzrok.

– Chris? – wybełkotał.

– Malcolm. – Fox położył dłoń na jego dłoniach.

– Malcolm? – Ojciec mówił tak niewyraźnie, że trudno go było zrozumieć.

– Po udarze tak bywa – stwierdziła pani Ross. Spojrzała na ojca i śpiewnym głosem, jakim mówi się do małych dzieci, powiedziała: – Wszyscy czekamy na powrót naszego ulubionego klienta!

Fox odwrócił się do niej i warknął:

– On nie jest „klientem”. To mój ojciec!

Pani Ross przestała się uśmiechać. Była chyba w szoku.

– Nie miałam na myśli nic złego...

Jude też zaskoczył jego wybuch. Położyła mu rękę na przedramieniu.

– Chris... – powtarzał ojciec.

– Nie Chris – powtórzył Fox. – Malcolm.

– Kuzyn Chris? – domyśliła się Jude. – Ten z Burntisland?

– Chris nie żyje, tato – mówił Fox. – Spadł z motocykla, pamiętasz?

Wyjął zdjęcie z kieszeni, to z Chrisem i przemawiającym Vernalem. Rozłożył je i podsunął ojcu pod nos.

– Widzisz? To jest Chris. – Postukał palcem w zdjęcie.

– To jest Chris, a ja jestem Malcolm.

– Uspokój się – powiedziała Jude. – Już dobrze.

Pani Ross patrzyła na nich jak na wariatów. Pielęgniarki też się nimi zainteresowały. Fox opuścił rękę. Ojcu pojaśniała twarz.

– A zawsze tak uważnie jeździł.

– Chyba jednak nie. – W głowie Foxa kłuło się pytanie, pytanie, na które mogła odpowiedzieć tylko jedna osoba. Spojrzał na siostrę. Jude wciąż ścisnęła go za rękę. – Muszę gdzieś pojechać. Poradzisz tu sobie sama?

Wystraszona Jude powoli kiwnęła głową. Fox uwolnił rękę i pogłaskał ją po skroni.

– Ale jeśli coś się zmieni...

– Zadzwońię.

– Niedługo wrócę.

– Wrócisz, kiedy będziesz mógł. – Na twarzy Jude pojawiło się nawet coś na kształt uśmiechu, jakby chciała podtrzymać go na duchu.

Wtedy zrobił coś, czego od dawna nie robił: nachylił się i pocałował ją w policzek. A ona stanęła nawet na palcach, żeby mu to ułatwić.

Potem wyszedł.

Komenda w Stirling wciąż była obleżona przez reporterów i uzbrojeni policjanci uważnie obejrżeli jego legitymację. Wysłał SMS-a do Alison Pears: *Proszę powiedzieć Jacksonowi, że jestem na dole.*

Jackson wyrósł przed nim dziesięć minut później. Fox niespiesznie wstał z tego samego krzesła, na którym siedział podczas poprzedniej wizyty.

– Czego pan, do diabła, chce? – warknął inspektor.

– Postawiliście im już zarzuty? – spytał swobodnie Fox.

Jackson bez słowa skrzyżował ręce.

– Wczoraj wieczorem odbyłem miłą pogawędkę z panią komendant – ciągnął Fox. – Przykro mi, że wołała w to pana nie wciągać.

Inspektor głośno wypuścił powietrze przez nos. Zapiszczała jego komórka, spojrzął na ekran. Fox zaczekał, aż znowu skupi na nim uwagę.

– Chris Fox. Czy to nazwisko coś panu mówi?

Jackson spojrzął na niego i leciutko skinął głową.

– Zastanawiałem się, kiedy pan na to wpadnie – wymamrotał. – Chodźmy.

Ta sama dyżurna wydała Foxowi przepustkę. Korytarz, schodami na dół i znowu korytarz, w którym uzbrojony policjant sprawdzał dokumenty. I dwa pokoje przesłuchań, jeden naprzeciwko drugiego. Pod drzwiami stali

policjanci w kevlarowych kamizelkach kuloodpornych. Jackson otworzył drzwi.

– Niech pan spojrzy.

Stanąwszy w progu, Fox zobaczył siedzącego przy stole mężczyznę. Miał skute ręce i spuszczoną głowę. Jasnobrązowa cera, gęste kręcone włosy, ciemne worki pod oczami – lewe oko było zapuchnięte tak bardzo, że nic na nie nie widział. Jackson zamknął drzwi.

– Najpierw cele wojskowe i polityczne, potem cywilne: supermarkety, stadiony piłkarskie, a nawet szpitale. Było mu wszystko jedno, kogo zabije, bylebyśmy tylko zwrócili na niego uwagę.

– Do czego pan zmierza? – spytał Fox.

– Chcę panu pokazać, że dzisiaj też istnieje realne zagrożenie i że bylibyśmy głupcami, żyjąc przeszłością.

Słyszeli ich strażnicy. Jackson ruszył w głąb korytarza, mijając po drodze detektywów, którzy pozdrowili go skinieniem głowy. Za ostatnimi drzwiami było małe, puste biuro i wszedł tam, czekając na Foxa.

– Niech pan zamknie – rozkazał. Fox zamknął drzwi i stanęli naprzeciwko siebie. – Realne zagrożenie – powtórzył Jackson. – Robimy wszystko, żeby ustało.

– Ale ja pytałem o Chrisa Foxa.

– Myślałem, że o to właśnie chodzi. Kiedy zobaczyłem jego nazwisko w archiwum... Musiał być jakiś związek.

– A wtedy, w kantynie...

– Już wiedziałem. Zdziwiłem się, że pan z tym nie

wyskoczył. Zaczynałem już myśleć, że chce pan coś ukryć.

– Na przykład co?

Jackson wzruszył ramionami.

– To pański krewny?

– Kuzyn mojego ojca. Jakim cudem trafił do archiwum Wydziału Specjalnego?

– Nie wie pan? – Jackson był autentycznie zaskoczony. Zaczął kalkulować, ile może mu powiedzieć.

– Tylko między nami – zaproponował Fox.

Inspektor zastanawiał się jeszcze przez chwilę, wreszcie się zdecydował.

– Działał w związku zawodowym robotników portowych, był ich przedstawicielem. Radykalnym przedstawicielem. Lubił mieszać, nic nie sprawiało mu większej przyjemności niż udział w agresywnej pikiecie. Członek partii komunistycznej, w Fife było ich wielu. Ale przerzucił się na separatyzm. Na początku działalności był bliskim przyjacielem Francisa Vernala. Opracowywali razem plany marszów i demonstracji przeciwko odwiedzającym Szkocję członkom rodziny królewskiej. Wystarczyłby jeden narwaniec z pistoletem i... – Jackson urwał. – Wtedy było tak samo jak teraz, realne zagrożenie.

– A Wydział Specjalny robił wszystko, żeby je usunąć?

Jackson przeszył Foxa wzrokiem.

– Nie zabiliśmy go.

– Skąd ta pewność?

– To był wypadek motocyklowy, zwykły wypadek.

Więc jeśli tylko o to panu chodzi...

– Nie tylko.

– Więc o co?

– Nie podoba mi się, że ktoś zabija i uchodzi mu to na sucho.

– Przynajmniej w tym się zgadzamy. – Jackson zrobił pauzę. – Co powiedziała panu wczoraj szefowa?

– Nic, co chciałaby powiedzieć panu, inaczej już by pan wiedział.

– Jej brat jest na pana wściekły.

– Jakoś to przeżyję.

Jackson popatrzył w dół, jakby chciał obejrzeć czubki swoich butów.

– Wygląda całkiem zwyczajnie, prawda?

– Kto?

Inspektor ruchem głowy wskazał drzwi.

– Zawsze tak wyglądają. Są tylko bardziej... zmotywowani.

– Czym?

Jackson tylko wzruszył ramionami.

– Co mu się stało? – spytał Fox. – Ma podbite oko.

– Sam je sobie podbił. Jego zdjęcie trafi w końcu do prasy i chciał tak wyglądać, że niby daliśmy mu wycisk. – Inspektor podniósł wzrok. – Niech pan się nie martwi, wasi już wiedzą, zebraliśmy oświadczenia.

– A więc wszystko w porządku.

– Ten Chris... Mieliśmy go na oku, ale tylko na oku. Uznaliśmy, że nie stanowi realnego zagrożenia.

– A kto je stanowił? Vernal? Donald MacIver?
A może zwykli żołnierze, tacy jak Sokole Oko?

– W domu też go tak nazywają?

– Nie natknął się pan na jego nazwisko?

Jackson pokręcił głową.

– W takim razie czeka pana kolejna wyprawa do archiwum.

– Prościej jest spytać pana.

– Nie mam pojęcia, kto to jest.

– Nieważne. Bez względu na to, co nam wtedy groziło, udało nam się temu zapobiec.

Fox spojrział na niego spode łba.

– Chcę porozmawiać z tymi, którzy śledzili Vernala.

– Wykluczone.

– Inaczej nie dam panu spokoju.

– Powiedzieliby panu tylko to, co ja. Nie mieli nic wspólnego z jego śmiercią.

– Chcę to usłyszeć od nich.

– Dlaczego?

– Po prostu.

Jackson zastanowił się i pokręcił głową.

– To za mało, inspektorze. – Otworzył drzwi, dając mu do zrozumienia, że już skończyli.

– Włamano się do mojego domu – dodał Fox. – Myśli pan, że gdy za kilkadziesiąt lat ktoś zajrzy do waszego bezcennego archiwum, znajdzie tam małą wzmiankę na ten temat?

– Włamywaczy nie brakuje.

– A więc zgadzamy się i co do tego.

Wyszli na korytarz, minęli pokoje przesłuchań i strażników.

– Mam nadzieję, że pana ojcu się polepszy – powiedział Jackson, gdy Fox zwracał przepustkę w dyżurce.

– Dziękuję.

Inspektor wyciągnął do niego rękę.

– My naprawdę jesteśmy po tej samej stronie – podkreślił. – Proszę o tym pamiętać.

– Kiedy wraca pan do Londynu?

– Za parę dni. Ale w razie czego wie pan, gdzie mnie szukać.

– Szczerze mówiąc – odparł Fox – mam nadzieję, że już nigdy się nie zobaczymy.

* * *

O ósmej wieczorem siedział przy łóżku ojca. Jude dała się namówić i poszła do domu, żeby się trochę przespać. Ojciec też spał. Fox wpadł do Lauder Lodge po kilka drobiazgów i przy okazji zabrał również pudełko ze zdjęciami. Przejrzał wszystkie, zastanawiając się, co można z nich wyczytać. Ot, typowa rodzina z dwudziestego wieku, nie różniąca się zbyt od innych. Mieli dach nad głową, mieli co jeść. Wycieczki nad morze, bożonarodzeniowe poranki... Ulubiony podkoszulek, włosy dłuższe, niż chciałby ojciec: młody Malcolm otwiera prezent. Jude pozująca z matką w teatrze. Pewnie były na jakimś musi-

calu, matka za nimi przepadała. On zostawał z ojcem w domu i oglądali amerykańskie programy policyjne.

Znowu Burntisland: Chris z Jude na barana. I Chris ze ściereczką do polerowania w rękę – chwali się motocyklem. „Radykał... Lubił mieszać... Agresywne pikiety...”. Fox żałował, że nie dane mu było go poznać. Gdyby ojciec nie spał, może zadałby mu kilka pytań. Mitch oddychał nierówno. Czasem jakby się dławił i nie budząc się, kaszlał. Wciąż był pod kroplówką. Fox próbował nie patrzeć na rurkę, która wijąc się po prześcieradle, znikwała w plastikowym pojemniku na metalowej ramie łóżka.

Chciał mu powiedzieć: robię to, co każdy detektyw. Nie wiem, jak to się skończy, ale tak jest.

Zawibrowała komórka, spojrział na ekran. Anonimowy numer. Wstał, minął stanowisko pielęgniarek i wyszedł na korytarz.

– Halo?

– Malcolm Fox? – spytał wyraźnie poirytowany głos.

– Tak.

– Kazano mi z panem porozmawiać.

– Tak?

Tamten odchrząknął. Musiał być po sześćdziesiątce.

– Byłem tam wtedy. Podobno chce pan o tym pogadać.

– Mówi pan... o Francisie Vernalu? – Fox przystanął.

– Śledził go pan?

– Obserwowałem go, tak.

– Oddzwonię do pana. Proszę podać mi numer...

– Jestem na emeryturze, ale jeszcze nie zidiociałem.

- W takim razie chociaż imię.
- Może być Colin? Albo James? A może Fred?
- Rozumiem, bez imion i nazwisk.
- Właśnie – potwierdził głos. – Już dawno odszedłem ze służby i nic nie jestem im winien, dlatego niech pan dobrze słucha, bo powiem to raz i tylko raz. – Zawiesił głos, jakby się spodziewał jakiejś reakcji.
- Dobrze – zareagował Fox.
- Vernal jechał jak wariat. Przed wyjazdem z Anstruther wypił kilka drinków.
- Spędził tam cały weekend?
- Z kochanką. Gdyby na tej drodze był ruch, mogłoby być dużo gorzej. Najpierw to usłyszeliśmy, potem zobaczyliśmy. Wpadł prosto na drzewo. Maską w harmonijkę, a jemu brakowało kilku zębów.
- Był nieprzytomny?
- Ale oddychał, miał równy puls. Gdyby ktoś nas zobaczył i zatrzymał się... Nie mogliśmy sobie na to pozwolić.
- Ale przystanęliście, żeby zajrzeć do samochodu.
- Nie mogliśmy przepuścić takiej okazji.
- Ale nie wzięliście pieniędzy ani papierosów, tak?
- Już nas o to pytano. Wtedy.
- Może pana kolega...
- Nie.
- Mógłby to potwierdzić?
- Umarł rok temu. Z przyczyn naturalnych, jak by się pan pytał.

– Przykro mi. Więc jak pan myśli, co się stało z tymi papierosami i banknotem na szczęście?

– Nie mam pojęcia.

– W samochodzie nie było broni?

– Mógł ją ukryć, w każdym jest mnóstwo różnych zakamarków.

– Ukrył również trzydzieści, może nawet czterdzieści tysięcy funtów w gotówce.

– Uprzedzono mnie, że pan o tym wspomni.

– Podobno w bagażniku.

– Nie otwieraliśmy bagażnika.

– Na pewno?

– Nie wiedzieliśmy o pieniądzach.

– Śledziliście go. Musieliście widzieć, jak wychodzi ze spotkania KMŻ, idzie do samochodu i wraca.

– Ale nigdy nie widzieliśmy pieniędzy.

– Wasza wtyczka wam nie doniosła?

Mężczyzna myślał przez chwilę i odparł:

– Mówię panu, co wiem.

– Niech pan udowodni, że pan tam był.

– Że co?

– Bo skąd mam wiedzieć, że to prawda?

W telefonie długo panowała cisza.

– Uciekliśmy dlatego – powiedział wreszcie mężczyzna – że Vernal zaczął odzyskiwać przytomność. „Imogen”. To było pierwsze słowo, jakie powiedział. Tego się nie spodziewaliśmy.

– Wiedzieliście, kto to jest?

– To była jego żona. Musiało go boleć, ale to ją chciał widzieć. Nie Alice. Tylko ją.

– Mimo to zostawiliście go tam, nie pomyśleliście nawet, żeby zadzwonić po pomoc.

– Byliśmy w Służbie Obserwacyjnej, inspektorze Fox, i tylko tym się zajmowaliśmy. Zresztą telefon do lekarza i tak by go nie uratował.

Fox milczał.

– Skończyliśmy? – spytał tamten.

– Czy obserwowaliście kogoś o pseudonimie Sokole Oko?

– Należał do komanda. Szczwany lis.

– To znaczy?

– Kilka razy nasi próbowali go śledzić i za każdym razem robił sztuczkę ze znikaniem, jak Houdini. Albo znikał, albo ich namierzał. – Mężczyzna umilkł i powtórzył: – Skończyliśmy?

– Nie wiem, jak pan może z tym żyć.

– A więc skończyliśmy. – W telefonie zapanowała głucha cisza.

Fox popatrzył wokoło i stwierdził, że opiera się plecami o chłodną ścianę. Oparł o nią także głowę, patrząc na oprawioną w ramkę rycinę na ścianie naprzeciwko. Potem odszukał numer Alison Pears i zadzwonił.

– Słucham? – rzuciła mało przyjaźnie.

– Chcę podziękować, że kazała pani Jacksonowi ze mną porozmawiać.

– Mimo to znowu mnie pan zadręcza.

– Rozmawiałem przed chwilą z jednym z agentów, którzy śledzili wtedy Vernala.

– Naprawdę?

– I tak się zastanawiam... Rozumiem, że ich pani poznała?

– Nie.

– Nie znała ich pani?

– Nie bezpośrednio. Oni byli ze służb, ja byłam młodą policjantką. To wszystko?

– Cóż, skoro już rozmawiamy...

– Tak?

– Taki mały zbieg okoliczności: odwiedzam panią, rozmawiamy i zaraz potem ktoś włamuje się do mojego domu.

– To przykre. Ukradli coś?

– Laptop, pendrive, książkę profesora Martina...

– Rozumiem.

– Uważa pani, że mam paranoję?

– Domyśla się pan, kto to zrobił?

– Nie, nie mam pojęcia. Wspomniała pani o mnie swoim prowadzącym z Wydziału Specjalnego?

– Moim prowadzącym? To nie jest powieść Johna Le Carrégo, panie inspektorze.

– Z nikim pani nie rozmawiała?

– Może pan nie uwierzy, ale mam na głowie ważniejsze sprawy.

Pears umilkła, a potem spytała, jak się czuje jego ojciec.

– Dziękuję, ale to nie pani sprawa.

W tle zadzwonił dzwonek u drzwi i domyślił się, że złapał ją w domu.

– Przyszedł mój brat – powiedziała. – Chce spytać o postępy w śledztwie. Kończymy, czy mam mu otworzyć?

– Zależy od pani.

– Chyba nie mamy już sobie nic do powiedzenia, prawda? Ale chwileczkę... – Trzasnęła zasuwa. – To znowu on, już drugi raz...

Telefon przeszedł w inne ręce i Andrew Watson rozpoczął tyradę. Po ośmiu, dziewięciu słowach Fox rozłączył się i wrócił do ojca.

Tony Kaye czekał na Tosha Gariocha przed wejściem do hotelu Dakota w południowym Queensferry. Na neutralnym terenie po edynburskiej stronie Forth Road Bridge. Hotel, nowoczesne czarne pudło z neonem, mieścił się w centrum handlowym na skraju miasta, gdzie oprócz nocnego supermarketu nie było nic więcej.

– Dziękuję, że pan przyszedł. – Kaye wyciągnął do niego rękę. Garioch zawahał się, lecz w końcu wyciągnął swoją. Nie doszło do pojedynku na siłę uścisku, chociaż mało brakowało. – Pomyślałem, że moglibyśmy się czegoś napić – dodał Tony z lekkim uśmiechem.

Garioch skinął głową i weszli do środka.

W barze było sporo ludzi, jedzących samotnie biznesmenów, par szepczących nad półmiskami owoców morza. Przy ladzie były stołki, ale Kaye wolał sofę. Garioch usiadł w skrzypiącym fotelu po drugiej stronie niskiego drewnianego stołu.

– Dobrze, że zachował pan mój numer – zaczął Tony.

– Musiałem wygrzebać go z kosza. – Garioch pokazał mu wizytówkę. Była przedarta na pół.

Nadszedł kelner i zamówili piwo. Kelner nie mógł oderwać wzroku od tatuażu na szyi Gariocha. Na stole pojawiła się miseczka z orzeszkami: Tosh zaczerpnął garść i wrzucił je do ust.

– Więc co to za układ? – spytał.

Kaye nachylił się ku niemu.

– Widzę to tak: możemy potraktować pana łagodnie. Miał pan pełne prawo być zły na Paula Cartera. Doszło do wymiany ciosów i Carter zaczął uciekać. Gonił go pan, ale zrezygnował, kiedy Carter wbiegł do wody. – Tony wzruszył ramionami. – Nie spytamy, jak daleko go pan zapędził, nie wspomnimy o mokrych nogawkach. Ot, utopił się. Nie pana wina, że głupkowi zachciało się popływać.

Dał mu czas do namysłu. Podano piwo. Tony zapłacił, upił łyk i kontynuował:

– Jeśli natomiast potraktujemy pana surowiej, sprawa będzie wyglądała inaczej: pobił pan policjanta, zaszczuł go pan, zapędził do morza, wszedł pan do wody, żeby odciąć mu drogę ucieczki. – Tony zakreślił piwem w szklance. – Ale żeby układ wypalił, musimy wiedzieć wszystko o nim i jego wuju.

– Pan nie jest nawet ze śledczego – odparował Garrich. – W sądzie będzie zeznawał Cash, nie pan.

– Cash mnie posłucha. Będzie musiał. – Kaye zrobił pauzę. – Jest w tym trochę mojej winy. Przecież widział pan, jak odbieram telefon od kolegi i rozmawiam z nim o Paulu, był pan przy tym. Nawet to zapisałem. – Wyjął notes i pokazał mu odpowiednią stronę. – „Paul Carter... Wheatsheaf...”. Sęk w tym, że jeśli powiem o tym Cashowi, pojawi się nagle nowy element: premedytacja. Rozumie pan? Nie natknął się pan na Cartera przypadkowo... pan na niego czekał.

Tony dał mu czas na przemyślenie i zajął się piwem.

Garioch miał rację: to wykraczało poza jego kompetencje. A to, że Cash będzie musiał go posłuchać... Nieważne. Od czasu do czasu trzeba być pewnym siebie.

Garioch usiadł swobodniej i Tony wiedział już, że go ma.

– Alan był dla mnie dobry – zaczął cicho. – Dał mi robotę i w ogóle. Po odsiadce to nie takie łatwe.

– Więc kiedy poprosił pana o małą przysługę, nie mógł pan odmówić?

Garioch kiwnął głową.

– Paul chodził tam zwykle w piątek wieczorem, do tego klubu; parę razy musieliśmy odciągać go od dziewczyn, do których się ślinił. Billie i Bekkah miały poczekać, aż wyjdzie, pójść za nim, zagadać do niego, a potem złożyć skargę.

– Bez względu na to, czy zrobiłby coś, czy nie?

– Tak. – Głowa Gariocha opadła między potężne ramiona. – Ta kobieta już na niego doniosła, ale ktoś ją nastraszył. Alan kazał nam z nią pogadać, mnie i Melowi.

– Melowi Stuartowi? – upewnił się Kaye. – On też siedział, prawda? Nie czuliście się dziwnie, pracując u byłego gliniarza?

– Alan był w porządku. Przy nim zawsze było wiadomo, na czym się stoi.

– A więc kazał wam przycisnąć Teresę Collins...

– Billie i Bekkah były tylko naszym ubezpieczeniem – przyznał Garioch. – Ale kiedy wyszły z klubu, Carter gdzieś wsiąkł. Potem Bekkah musiała pójść na stronę

i wtedy podjechał do nich samochodem. Nie wiedzieliśmy, że każe je aresztować, ale wszystko wypaliło i tak.

– Szef był zadowolony?

– On go nienawidził, swego własnego bratanka. Nigdy tego nie rozumiałem, ale tak bywa w rodzinie: urazy się pielęgnuje.

– Nigdy nie pytał go pan, dlaczego to robi?

– Nie.

– A te dziewczyny? To był jego pomysł?

– Tak.

– Paul próbował czegoś z Billie i Bekkah?

– Tak jak panu mówiły.

– Kolejny powód, żeby się na niego wściec.

Garioch spojrzał mu prosto w oczy.

– To było za Alana.

– Widzi pan, wcale nie jesteśmy pewni, czy to on zabił pańskiego szefa. Co znaczy, że mógł zginąć za nic. Gdyby miał pan sumienie, powiedziałbym, że fakt ten mógłby je poruszyć. – Kaye niespiesznie wstał. – Musi pan złożyć zeznanie. Najlepiej by było, gdyby porozmawiał pan bezpośrednio z Cashem i powiedział mu to, co mnie.

– Przecież to pan miał z nim pogadać.

– I pogadam. Ale lepiej by było, gdyby wyglądało to tak, jakby się pan namyślił. I niech pan zabierze adwokata.

– Tony zapiął kurtkę. Ruchem głowy wskazał pustą szklanekę Gariocha. – Na dziś już wystarczy. Chyba że chce pan dodać do listy jazdę po pijanemu.

* * *

Kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi, Fox spał w ubraniu na sofie. Bolał go kark i zanim spojrzał na zegarek, przetarł oczy: za pięć dwunasta w nocy. W telewizji nadawali wiadomości, ale dźwięk był przyciszony. Wstał i rozprostował kręgosłup. Dzwonek zadzwonił ponownie. Fox rozsunął zasłony, wyjrzał na ulicę, wyszedł na korytarz i otworzył drzwi.

– Trochę za późno na agitowanie.

W progu stał Andrew Watson.

– Muszę z panem porozmawiać. – Przed furtką parkował samochód z szoferem i włączonym silnikiem.

– W takim razie niech pan lepiej wejdzie.

– Kłopoty? – Watson zerknął na uszkodzoną futrynę.

– Włamanie.

Watson nie wykazał żadnego zainteresowania. Wszedł do środka.

– Nie przywykłem do tego, żeby rozmawiając ze mną przez telefon, ktoś rzucał słuchawką. – Zabrzmiało to jak fragment scenariusza.

Ale Fox nie zamierzał go przeproszać. Wlał do szklanki resztkę soku i wypił. Ministra sprawiedliwości nie poczęstował. Usiadł na sofie i wyłączył dźwięk w telewizorze. Watson nie usiadł.

– Chcę wiedzieć, co się dzieje – powiedział.

– Niech pan spyta siostrę.

– Nic mi nie powie.

- W takim razie nie mogę panu pomóc.
- Dlaczego Wydział Etyki tak się tym interesuje?
- To nasza sprawa, jej i moja.
- Mogę sprawić, że będzie i moja.
- Wierzę.

Watson posłał mu gniewne spojrzenie.

– Ona prowadzi śledztwo, jakiego nie było w tym kraju od kilkunastu lat.

– Może nawet od tego w sprawie Megrahiego – zgodził się z nim Fox.

Oczy Watsona przeszły chyba wszystkie możliwe transformacje, mało brakowało i rozjarzyłyby się na czerwono.

– Dopilnuję, żeby nie miał pan prawa zbliżyć się do niej na odległość mniejszą niż dziesięć kilometrów.

Fox zamrugnął, westchnął i wskazał mu fotel.

– Wolę stać.

– Niech pan usiądzie i posłucha.

Watson usiadł i złożył dłonie, jakby miało mu to pomóc się skupić.

– Pamięta pan, jak byłem u pana siostry? – zaczął Fox.

– Wspomniałem wtedy o Francisie Vernalu.

– Pamiętam.

– Pierwsze zadanie pana siostry po ukończeniu studiów w Tulliallan było ściśle tajne: miała podawać się za studentkę Saint Andrews. Zdała egzaminy wstępne, chodziła na zajęcia i tak dalej. Zaangażowała się w studencką działalność polityczną i coraz bardziej zbliżała się do grup

ekstremistycznych. Przekazywała przełożonym wszystkie informacje, jakie tylko mogła zdobyć.

– Jest pan tego pewny?

Fox pokazał mu jej zdjęcia do legitymacji studenckiej.

– Wygląda znajomo?

Watson przyjrzał się im obojętnie.

– I co z tego wynika?

– Zaczęła spotykać się z Vernalem, spędzała z nim bardzo dużo czasu. Był z nią tamtego dnia, wracał od niej, kiedy doszło do wypadku. I właśnie o tym chciałem z nią porozmawiać. – Fox przyjrzał się Watsonowi, badając jego reakcję.

– Nie wiedziałem – powiedział cicho minister.

– Te ugrupowania miały tendencje separatystyczne, podobnie jak pańska partia.

– Tak, pamiętam. SPN przeżywała wtedy trudne chwile. Niektórzy z nas byli trochę zdesperowani, trochę sfrustrowani. Marginalizowano nas... Zapewniam pana, że to się już nie powtórzy.

– Ale wtedy...

– Tak, to były ciężkie czasy.

– Zna pan któreś z tych ugrupowań? Potomkowie Gaelów? Komando Mroczne Żniwa?

– Tylko ze słyszenia.

– Znał pan Donalda MacIvera?

– Nie.

– A Vernala?

– Nie.

– I nie wiedział pan, co robi siostra?

– Nie miałem pojęcia.

– A teraz? Co pan o tym myśli?

Watson długo się zastanawiał, w końcu wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– Naprawdę nie wiem.

– Wszyscy ci działacze musieli gdzieś się podziać – zauważył Fox. – Może trafili nawet do rządu.

– W nowoczesnej partii nie ma miejsca dla narwańców i rasistów, panie inspektorze. – Watson przyjrzał mu się uważnie. – Mam rozumieć, że jest pan unionistą?

– Moje poglądy polityczne są nieważne.

– Na pewno? Odkopuje pan stare antagonizmy i spiski, bo może brud przywrze...

– Sokole Oko – przerwał mu Fox. – Mówi to panu coś? To pytanie go zaskoczyło. Myślał przez chwilę.

– Postać z *MASH*.

– I z *Ostatniego Mohikanina*.

– Też. – Watson robił wrażenie zmęczonego, jakby zużył całą energię i gniew. – To działa – dodał, podnosząc wzrok. – Nasz rząd. Čwierć wieku temu niewielu było takich, nawet wśród członków partii, którzy powiedzieliby, że za ich życia SPN dojdzie do władzy. Mimo to doszliśmy. – Kiwnął głową. – Doszliśmy – powtórzył. I znieruchomiał. – Ale nie możemy sobie pozwolić na kolejnego Megrahiego. Te wybuchy... Alison musi się skupić, nie może jej rozpraszać byle drobiazg...

– Nie nazwałbym morderstwa drobiazgiem.

– Morderstwa?

– Alan Carter, ten, który badał sprawę śmierci Vernala... Ktoś próbował upozorować to na samobójstwo, ale to była egzekucja.

– Chyba nie sądzi pan, że Alison miała z tym coś wspólnego!

– Dlaczego? Jeśli Carter o niej wiedział i zamierzał to nagłośnić...

– Wykluczone. – Watson pokręcił głową. – Nie może pan zarzucać jej takich...

– To chyba jedyny sposób na zwrócenie czyjejs uwagi. Pańską zwróciłem.

– To nie może nad nią wisieć – naciskał Watson. – Alison ciężko pracowała, żeby zająć tu, gdzie teraz jest.

– Pan chyba też.

– Oczywiście.

Fox zmrużył oczy.

– Martwi się pan o nią, czy o siebie? Nad stanowiskiem ministra sprawiedliwości wisi chyba jakaś klątwa, nie uważa pan? Ma pan komendantkę, na której może pan polegać: to duża sprawa, zwłaszcza jeśli komendantka wskoczy na pierwsze strony gazet...

– Nie rozumiem.

– A gdybym tak wstrzymał ogień i zaczekał, aż terroryści zostaną skazani? Będzie pan miał swoje pięć minut sławy, a potem znowu zacznę zadawać pytania. Co pan na to?

Watson przyjrzał mu się w milczeniu.

– Co chciałby pan w zamian?

– Nic – odparł Fox. – Bo tego nie zrobię. Chciałem tylko sprawdzić, czy pan to kupi.

Watson zerwał się z fotela.

– Na miłość boską!

Fox to zignorował.

– Tak przy okazji: skąd pan ma mój adres?

– Słucham?

– Mój adres.

– Od Jacksona – warknął Watson.

Fox kiwnął głową. A więc pan inspektor znał jego zamiary.

Watson podszedł do okna i zawrócił.

– Czy jest sens pana przekonywać?

Fox wzruszył ramionami.

– W takim razie będę musiał pójść z tym do pańskiego komendanta.

– I co mi robi? Zawiesi mnie? Niech pan nie zapomni opowiedzieć mu historię swojej siostry.

– Ale o co właściwie panu chodzi? Co ona takiego zrobiła?

– Wciąż próbuję się tego dowiedzieć. – Fox spojrzał mu w oczy. – Pomoże mi pan?

– Ja? Jak?

– Wznawiając śledztwo w sprawie Vernala, tym razem porządne. Publiczne dochodzenie. Śledziła go MI5 i policyjny tajniak. Czy miało to coś wspólnego z jego śmiercią? Czy ktoś próbował zamieść to potem pod dy-

wan? Czy ma to jakiś związek ze śmiercią Alana Cartera? – Fox powoli wstał, nie przestając patrzeć na Watsona. – Gdyby udało się panu na to odpowiedzieć, odniósłby pan naprawdę wielki sukces.

Ale minister sprawiedliwości pokręcił głową.

– Komando Mroczne Żniwa, Szkocka Narodowa Armia Wyzwoleńcza... Nikt nie chce wykopywać trupów.

– Nikt z pańskiej partii – poprawił go Fox.

– Nikt. Po prostu nikt.

– Zdziwiłby się pan.

Watson wciąż kręcił głową.

– Więc tylko ja?

Pytanie było retoryczne, ale Watson odpowiedział:

– Tylko pan.

Trzy minuty później Fox podszedł do okna i zobaczył, jak samochód odjeżdża. W środku paliło się światło; minister ślęczał nad jakimiś dokumentami. Zapiszczała komórka. SMS. Od Jude.

Nie śpisz?

Zadzwoił do niej.

– Co się stało?

– Nic. Nie chciałam cię tylko budzić.

– Ty też nie śpisz.

Westchnęła.

– Przewracam się z boku na bok. Ciagle myślę o ojcu.

Malcolm, co my z nim zrobimy?

– Nie wiem.

– Nie może tam leżeć bez końca.

– Nie może.

– Jeśli mu się nie polepszy...

Dokończył za nią:

– ...w Lauder Lodge też nie będzie mógł zostać. Pomyślę o tym, Jude.

– Ja też.

Coś zaszeleściło, jakby zmieniła pozycję, i domyślił się, że siostra leży w łóżku.

– Pamiętasz, jak byliśmy mali? – spytał. – Jak zakradałem się do twego pokoju i śpiewaliśmy piosenki pod prześcieradłem?

– Tak, z naszej własnej listy przebojów, dopóki mama albo tata nas nie usłyszeli. Nie myślałam o tym od lat...

– Parę dni temu byłem w lesie. – Fox usiadł na sofie. – Przypomniał mi się Hermitage i nasze spacerunki. Wtedy wolałaś mnie jeszcze od innych chłopaków.

– Nieprawda – zaczęła droczyć się z nim Jude – nigdy tak nie było.

Fox uśmiechnął się i gawędzili dalej. Miał pilota w rękę i przerzucał kanały. Nocne zakupy, astrologia, quizy telefoniczne. Znalazł wiadomości, ale je pominął. Wybrał kanał z filmami komediowymi. Właśnie zaczynał się stary odcinek *MASH*. Sokole Oko, Traper John, Gorące Wargi i Radar. Postać Sokolego Oka grał Alan Alda: opadająca grzywka, sprężysty krok i żywy dowcip. Jude opowiadała o szałasie, który zbudowali kiedyś w swoim sekretnym miejscu w Hermitage. Ale on nie siedział już tak wygodnie jak przedtem. Mocniej zaciskał palce na pilocie.

Udał, że ziewa, i przeprosił siostrę.

- Idź spać, nie będę cię zatrzymywała.
- Bardzo miło się rozmawia, ale oczy mi się zamykają.
- Jutro w szpitalu?
- O której będziesz?
- Po śniadaniu. A ty?
- Chyba później.
- Coś ci wypadło?
- Dobranoc, siostrzyczko.
- Dobranoc, braciszku.

Fox rozłączył się, poszedł do kuchni, zagotował wodę i zaparzył mocną herbatę. Innym razem mógłby porozmyślać o odwilży w ich stosunkach, ale rozmyślenia musiały poczekać. Wrócił z kubkiem do salonu i spróbował połączyć się z internetem przez komórkę. Ale sprawa była beznadziejna, bo połączenie było za wolne, a ekran za mały. Popatrzył na niego chwilę i doszedł do wniosku, że musi pojechać na Fettes i skorzystać ze służbowego komputera. Gdy szykował się do wyjścia, zadzwonił telefon. Evelyn Mills. Nie odebrał. Dwie minuty później dostał SMS-a: *Muszę z kimś porozmawiać*. Zerknął na ekran, nie wiedząc, co robić. Był już w kurtce, w wolnej ręce trzymał kluczyki do samochodu. Telefon zadzwonił ponownie.

– Evelyn?

Ale odpowiedział mu głos jakiegoś mężczyzny.

– Nie wiem, kim jesteś, ale odwal się od niej. Ona cię nie potrzebuje.

Koniec połączenia. Fox spojrzał na słuchawkę. To

pewnie ten Freddie.

– No i dobra – mruknął, idąc do drzwi.

– To Stephen Pears – powtórzył.

Było kilka minut przed piątą i siedzieli przy śniadaniu w kuchni Tony’ego Kaye’a. Próbował go przekonać prawie od godziny, ale rozmawiali przyciszonym głosem, żeby nie obudzić Hannah. W końcu Tony westchnął, podrapał się w nos i zaproponował, żeby coś zjedli.

Kiedy podsunął mu grzanekę, Fox wiedział, że jej nie tknie.

– I wpadłeś na to, oglądając Comedy Channel? – Kaye dolał mu kawy.

– Tak.

– Byłeś w Carstairs, ale szaleństwo nie jest chyba zaraźliwe. Czy jest?

– Już ci mówiłem: Sokole Oko Pierce²⁵, Sokole Oko Pears. W ogólniaku Pears strzelał z łuku. Rozumiesz? To był oczywisty przydomek. Po studiach przez parę lat „wałęsał się bez celu”, ale zawsze mówił o tym bardzo enigmatycznie. Podobno jeździł po świecie i pracował, w końcu wrócił do Szkocji z dużą kasą. W sektorze finansowym usłyszano o nim dopiero w połowie osiemdziesiątego szóstego, gdy zainwestował prawie trzydzieści tysięcy funtów. Podzielił to między dwie nowo powstałe firmy i rok później miał już cztery razy tyle.

– I wiesz to wszystko od tego dziennikarza?

– Pojechałem do redakcji „Scotsmana”. Na nocnej

zmianie był tylko jeden. Zadzzwonił do naczelnego od wiadomości gospodarczych.

– Nie zaciekało ich, dlaczego się tym interesujesz?

– Powiedziałem, że jestem z Wydziału Mediów...

– Z jakiego Wydziału Mediów?

Fox wzruszył ramionami.

– No, że zbieram materiały o komendant Pears.

– I musisz prosić ich o pomoc? – Kaye pokręcił głową i strzepnął okruszki z kącików ust. – W środku nocy?

– Nic innego nie mogłem wymyślić. Ale dostałem to, co chciałem, czy nie?

– To za mało, Malcolm. Facet ze zdjęcia jest zupełnie do niego niepodobny.

– Mogę go spytać. – Fox wyjął z kieszeni zdjęcie Vernala, Alice i Sokolego Oka. Było podniszczone od częstego oglądania.

– A jak zaprzeczy? Wystarczy, że zaprzeczy.

Fox podniósł uzupełniony kawą kubek i odstawił go, nie pijąc. Wiedział, że Tony ma rację. Zdjęcie to za mało. Hipotezy też.

Kaye wypił łyk kawy i stłumił beknięcie.

– Jeśli to on, żona musi wiedzieć.

– Niekoniecznie. Poznali się dwanaście lat temu, od dziesięciu są małżeństwem. Co znaczy, że odkąd widziała Sokole Oko ostatni raz, minęło trzynaście lat. Zgolił brodę, skrócił i przefarbował włosy na jaśniejsze, przytył trochę w pasie i na twarzy...

– Musi wiedzieć. – Kaye wytarł usta.

Fox zamilkł. Spojrzał na grzanekę na talerzu, posmarowaną bladożółtym masłem. Robiło mu się niedobrze na samą myśl o jedzeniu. Schował zdjęcie do kieszeni.

– Zakładając nawet, tylko na potrzeby naszej dyskusji, że masz rację, nie uda ci się go z niczym powiązać. Twierdzisz, że zabił Vernala i starszego Cartera?

– Miał motyw.

– Bo jego żona jest teraz na świeczniku i nie chce, żeby ktoś robił jej koło pióra?

– Właśnie – zgodził się z nim Fox. – No i Pears ma wejść do Izby Lordów, a terrorystyczna przeszłość nie pasowałaby raczej do godności toryskiego para. Sponсорuje ich partię.

Kaye przyjrzał mu się uważnie.

– Malcolm, nie możesz tak mówić. Nie bez choćby skrawka jakiegoś dowodu.

– Pogrzebałem trochę w internecie. Kilka lat temu Pears przemawiał na konferencji na Barbadosie w tym samym czasie, kiedy handlarz bronią nazwiskiem William Benchley utopił się w swoim basenie. Benchley sprzedawał broń przeschmuglowaną z Falklandów przez żołnierzy.

Kaye świdrował go wzrokiem.

– Malcolm...

Fox poniósł rękę.

– Wiem, wiem, powinienem zgłosić się do Carstairs. – Zrobił pauzę. – Ale co, jeśli jest w tym trochę prawdy?

Tony odsunął na bok pusty talerz i podniósł kubek.

– Wciąż uważam, że masz za mało, żeby coś z tym

zrobić.

– Może i tak – zgodził się z nim Fox.

– Ale skoro już urządziliśmy sobie wieczór opowieści, opowiem ci moją.

Popłynęła relacja ze spotkania z Gariochem: Fox spróbował się skupić.

– A więc jednak wuj go zrobił.

– Niezupełnie – odparł Tony. – Garioch twierdzi, że Paul nagabywał jednak Billie i Bekkah, że to prawda. I że jego wuj wywierał presję na Teresę Collins, ale dopiero po tym, jak złożyła skargę.

Fox zamyślił się.

– Wuj Alan chciał mieć pewność, że brud przywrze.

– On go naprawdę nienawidził, co?

– Tylko dlaczego do niego wtedy dzwonił? Zadzwoił i się nie odezwał? – Fox podniósł wzrok. – Notes z adresami z numerem Paula. Leżał na wierzchu, otwarty...

– I co z tego?

– To, że wystarczyłoby sprawdzić, gdzie stamtąd dzwono, i wyskoczyłby numer Paula. Ale założmy, że to nie wuj dzwonił...

– Morderca?

Fox powoli pokiwał głową.

– Paul ma już zarzuty i nagle wychodzi na wolność. Sędzia nie lubi policji, mimo to zwalnia go przed wydaniem wyroku. – Fox uśmiechnął się leciutko.

– Co ty knujesz, Malcolm? – spytał Kaye.

– Szeryf Cardonald jest członkiem Nowego Klubu. Widziałem go tam, kiedy rozmawiałem z Mangoldem.

– No i?

– Członkiem klubu jest też Stephen Pears.

– Pears prosi swego przyjaciela szeryfa, żeby zwolnił młodego Cartera?

– Paul był idealnym kozłem ofiarnym. Na rozprawie jednoznacznie udowodniono, że nienawidził wuja, a wuj jego.

– Ale to zadziałałoby tylko wtedy, gdyby był na wolności. – Zabrzmiało to tak, jakby Kaye był prawie przekonany.

– To tylko domysły, Tony – przyznał Fox. – Sam powiedziałeś: gdzie dowody?

– Żeby kogoś wypłoszyć, nie zawsze trzeba dowodów. Wiemy to z doświadczenia.

– Dalej myślisz, że zwariowałem?

– Może nie do końca. – Tony dopił kawę. – Sęk w tym, co z tym zrobić?

– Będę musiał pomyśleć.

* * *

Wziąwszy prysznic i przebrawszy się, o wpół do dziesiątej zaparkował przed kancelarią Mangolda. Widział, jak przyszła recepcjonistka, ale nie mógł sobie przypomnieć, jak ma na imię. Wiedział, że musi się przespać.

Obiecał sobie, że jak tylko to załatwi.

Mangold przyszedł na piechotę. Odwrócił głowę, słysząc odgłos otwieranych drzwi.

– Dzień dobry, inspektorze. Byliśmy umówieni?

– Nie, ale zaciekało mnie coś. Czy Colin Cardonald zna Stephena Pearsa?

– Szeryf Cardonald? Co on ma z tym wspólnego?

– To proste pytanie, panie mecenasie.

– Tak, widziałem, jak rozmawiali.

– W Nowym Klubie?

– Tak.

– A więc są dobrymi znajomymi?

– Szeryf lubi grać.

– Grać?

– Na giełdzie.

– I Pears mu doradza – domyślił się Fox. – Dobrze takiemu.

– Też tak myślę. – Mangold zmarszczył czoło. – Czy to ma coś wspólnego z Francisem?

– Nie, absolutnie – skłamał Fox. – Tak jak mówiłem, byłem po prostu ciekawy.

– Na tyle, żeby się tu na mnie zasadzić?

Fox nie mógł temu zaprzeczyć.

– Jest pan blisko, prawda? – Mangold zniżył głos, chociaż w pobliżu nikogo nie było. Podszedł krok bliżej. – Widzę ten żar w pańskich oczach.

– To się jej nie spodoba – uprzedził go Fox.

– Komu?

– Wdowie. Jeśli mam rację i sprawa wyjdzie na jaw,

będzie obwiniała pana. Może skończyć się to tak, że pana znienawidzi.

Mangold chwycił go za ramię.

– Co się stało? – syknął. – Co pan odkrył?

Ale Fox tylko pokręcił głową i wsiadł do samochodu. Mangold podszedł bliżej i zajrzał do środka. Kiedy Fox przekręcił kluczyk w stacyjce, mecenas grzmotnął pięściami w dach. Fox odjechał, a on wciąż stał na jezdni, malejąc w lusterku i tracąc na znaczeniu.

Załatwiał pozwolenie przez kilka dni, ale to nic. Podejrzani o terroryzm zostali tymczasem oskarżeni, przewiezieni do więzienia Saughton w Edynburgu i osadzeni. Minister sprawiedliwości z lubością udzielał wywiadów i ku uciesze tabloidów chwalił swoją „starszą siostrę”. Stan pogotowia, choć wciąż KRYTYCZNY, miał być wkrótce obniżony. Komenda główna okręgu Fife napisała list do policji okręgu Lothian i Borders, gratulując funkcjonariuszom Wydziału Etyki i Standardów Zawodowych „wzorowego” raportu. Tego, czy poinformowano media, czy nie, Fox ani jego podwładni nie wiedzieli, w każdym razie w prasie nic się na ten temat nie ukazało. Scholesa, Haldane’a i Michaelsona czekała nagana i na tym miało się skończyć.

Mitchell Fox wyszedł ze szpitala, ale zamiast wrócić do domu opieki, zamieszkał w salonie syna. Fox kupił dla niego łóżko w Ikei i Tony Kaye pomógł mu je złożyć. Jedyna w domu toaleta była na górze, więc Fox wytropił sedes pokojowy. Jude obiecała robić za pielęgniarkę, ale tylko przez jakiś czas, „nie na zawsze”, jak zastrzegła. Ojciec był spowolniony, czasem zdezorientowany i niewyraźnie mówił, ale jadł i pił prawie bez pomocy. Kierownictwo Lauder Lodge uprzedziło Foxa, że nie mogą trzymać jego pokoju w nieskończoność, ale zapłacił im za cały miesiąc, co dało mu trochę czasu. Wieczorami oglądał

telewizję, on na sofie, ojciec wsparty na poduszkach w łóżku. Za dnia ojciec mógł wstawać, chociaż trudno go było ubrać. Dlatego chodził zwykle w piżamie i szlafroku kąpielowym.

Sandy Cameron, jego kumpel od kieliszka, odwiedził go i pochwalił Foxa i Jude za ich wysiłki: „Wasz ojciec jest z was dumny, poznaję to po jego oczach”. Robili na zmianę kolacje i udawali, że wszystko jest normalnie. Po kolacji, bez względu na pogodę, Jude wychodziła do ogrodu na papierosa – paliła już dziesięć dziennie – a Fox zasiadał na sofie z pilotem i wieczorną gazetą w ręku. W salonie zrobiło się ciasniej, bo łóżko i przenośna toaleta zajmowały sporo miejsca. Ubranie Mitcha zapakowano do foliowego worka na śmieci i umieszczono w przedpokoju. Ponieważ na stoliku do kawy zaroilo się od różnych drobiazgów, a stół jadalny złożyli, dokumenty Foxa wały się teraz na podłodze w sypialni.

Raz w tygodniu miał przychodzić fizjoterapeuta. Myśleli nawet o logopedzie. Dali ojcu gumową piłeczkę, którą trzy, cztery razy dziennie miał ścisnąć dwadzieścia razy jedną i drugą ręką, na zmianę. Pudełko ze zdjęciami stało nietknięte na stoliku. Jude zrobiła listę zakupów: pasta do mebli, zmiękcacz do tkanin, worki do odkurzacza i ściereczki do kurzu. Plus żelazko i deska do prasowania. Spytała go, jak sobie radził przez te wszystkie lata.

– Prałem w pralni chemicznej – odparł z niewyraźną miną.

* * *

We wtorek o dziesiątej Stephen Pears miał wygłosić przemówienie do udziałowców w sali balowej jednego z najszacowniejszych edynburskich hoteli w centrum miasta. Foxowi zdradził to redaktor ze „Scotsmana”, pytając jednocześnie, czy Pears ma jakieś kłopoty.

– Nie wiem, o co tu chodzi, panie inspektorze, ale na pewno nie o profil zawodowy jego siostry.

Fox spytał go, czy krążą jakieś plotki. Dziennikarz odparł, że z doświadczenia wie, iż brak plotek nie jest wielkim pocieszeniem.

– W dzisiejszych czasach można zbankrutować w godzinę.

– Jeśli będę coś miał – zapewnił go Fox – dowie się pan jako pierwszy.

Wchodzący do sali udziałowcy robili wrażenie ludzi, którym powiodło się w życiu.

Każdy miał egzemplarz rocznego sprawozdania finansowego, ten i ów narzekał na wysokość wyliczonych przez zarząd dywidend. Większość zdawała się u schyłku swych lat. Rozważni i ostrożni nie stracili zbyt wiele podczas recesji, co bynajmniej nie znaczyło, że nie ucieszyliby się, gdyby Pears i jego podwładni przekazali im dobre nowiny. Po zebraniu miał być poczęstunek, drinki i kanapki. Odhaczano nazwiska i rozdawano błyszczące broszury. Zdjęcie na okładce przedstawiało uśmiechniętą parę, która siedzi przy stole, trzymając się za ręce. „Dłu-

gowieczna gwarancja dla waszych marzeń” – taki miała tytuł. Fox wziął broszurę i potwierdził, że owszem, nie ma go na liście zaproszonych. Pokazał legitymację siedzącym za prowizorycznym biurkiem recepcjonistom i machnął ręką w stronę trzech towarzyszących mu mężczyzn.

– Panowie są ze mną.

Kilka kroków dalej stał Donald MacIver i dwóch sanitariuszy z Carstairs. Odebrał ich stamtąd kwadrans po ósmej. Gretchen Hughes ciągle powtarzała, że MacIver nie może być narażony na nadmiar bodźców. Fox podpisał dokumenty, wiedząc, że jeśli szefostwo coś zwietrzy, źle to się dla niego skończy. Aby przekonać Gretchen i jej kolegów, wielokrotnie skłamał, mówiąc, że ma wszelkie niezbędne upoważnienia i że bez pomocy MacIvera śledztwo może utknąć w martwym punkcie. MacIver prezentował się całkiem przyzwoicie, chociaż wyjście dużo go kosztowało. Fox spytał go, kiedy ostatni raz był poza terenem zakładu. MacIver w końcu sobie przypomniał.

– Jak zawieźli mnie do szpitala. Podejrzenie zapalenia wyrostka robaczkowego. Cztery, pięć lat temu.

Uznali, że kaftan bezpieczeństwa nie będzie potrzebny. Sanitariusze wyglądali na takich, którzy w wolnych chwilach ćwiczą na siłowni i dadzą sobie radę, cokolwiek się stanie. W samochodzie rozmawiali o sztukach walki i suplementach diety, podczas gdy MacIver patrzył w okno, odpowiadając na pytania chrząknięciem albo krótkim „tak” i „nie”.

– Prawie nic się tu nie zmieniło – wymamrotał, kiedy

wjechali do miasta. – Kilka nowych ulic i domów.

– Możemy zrobić objazd i przejechać przed gmachem parlamentu – zaproponował Fox.

– Po cholere? – burknął MacIver.

– „Kupieni i sprzedani za angielskie złoto”? – zacytował Fox, a on powoli, lecz stanowczo kiwnął głową.

Pojechali więc prosto na George Street, stanęli przy parkomacie i weszli do hotelu.

Sala balowa była za duża. Ustawiono w niej dziewięćdziesiąt krzeseł, po dziesięć w rzędzie. Zespół Pearsa składał się z elegancko ubranych młodych mężczyzn i kobiet, którzy rozglądali się wokoło w poszukiwaniu niezadowolonych i rozdawali notesy i długopisy każdemu, kto ich potrzebował. Szybko ich wypatrzyli. Fox i jego goście stali na końcu sali i nie chcieli usiąść, chociaż im to proponowano. MacIver zdawał się trochę podminowany, ale sanitariusze nie okazywali niepokoju. Jego twarz miała „wiezienny odcień szarości”, jak nazwałby to Fox, ale jego własna nie wyglądała lepiej. Od kilku dni źle spał, nie tylko z powodu ojca.

Scena przed pierwszym rzędem krzeseł robiła wrażenie prowizorycznej. Stał na niej długi stół przykryty obrusem z niebieskiego aksamitu. Na stole umieszczono cztery tabliczki z nazwiskami, ale Fox nie mógł ich odczytać, bo było za daleko. Karafki z wodą i napełnione już szklanki. Mikrofony. Po obu stronach sceny głośniki. Uczestnicy pozdrawiali się krótkim skinieniem głowy. Wyrósł przed nim młody mężczyzna, ale Fox był na to

przygotowany. Podsunął mu pod nos legitymację i przedstawił się.

– Policja. Mogę powiedzieć to głośniej, chce pan?

MacIver cicho warknął i mężczyzna cofnął się i uciekł. Podszedł do kolegów i zaczęli się naradzać. Jeden z nich wyjął komórkę, zadzwonił gdzieś i wdał się w przyciszoną rozmowę, zasłaniając ręką usta, jakby bał się, że zdradzi go ruch warg.

Świetnie: Fox miał nadzieję, że wiadomość dotrze za kulisy.

Być może telefon zadzwonił za późno, ponieważ bocznymi drzwiami weszło czterech mężczyzn. Zdecydowanym krokiem ruszyli w stronę schodków, weszli na scenę i usiedli za stołem. Stephen Pears poprawił spinki w mankietach koszuli i sprawdził, czy krawat nie jest przekrzywiony. Gdy go przedstawiono, skinął głową, uśmiechnął się i objął salę wzrokiem. Z tyłu stało wiele osób, nie tylko Fox, MacIver i dwóch sanitariuszy, ale także grupa recepcjonistów oraz kilku spóźnialskich. Ktoś siedzący w trzecim rzędzie dostał ataku kaszlu i recepcjonistka szybko zaniósła mu szklanekę wody. Czterech siedzących na scenie próbowało nie zwracać na to uwagi. Czytano roczne sprawozdanie finansowe. Fox patrzył tylko na Pearsa, chociaż Pears był skupiony na rządach krzeseł: to byli jego wyborcy. Nie miał przy sobie żadnych papierów. Kiedy na sali zadzwoniła komórka, próbował nie okazywać zirygowania.

Stojący obok sanitariusz trącił Foxa łokciem, dając mu

do zrozumienia, że to jego telefon zawinił. Komórka ucichła, ale pół minuty później zadzwoniła ponownie, z maksymalną głośnością. Fox wyjął ją z kieszeni i zerknął na ekran: Tony Kaye, zgodnie z planem. Mężczyzna czytający sprawozdanie przypomniawszy zebranym, że telefony powinny być wyłączone. Ale ludzie już odwracali głowy. Fox wyciszył w końcu komórkę, lecz przedtem upewnił się, czy na pewno przykuł uwagę Pearsa.

Upewniwszy się, pozdrowił go skinieniem głowy. Znowu zaczęto czytać sprawozdanie, ale język ciała Pearsa wyraźnie się zmienił. Finansista był teraz bardziej sztywny, mniej pewny siebie. Kiedy po raz drugi spojrzął na koniec sali, Fox nachylił się w stronę MacIvera, dotknął jego ramienia i szepnął:

– Wszystko w porządku?

Ot, niewinne pytanie, na które MacIver odpowiedział kiwnięciem głowy, tak jak Fox tego chciał.

– Na pewno?

Kolejne skinienie głową. Fox spojrzął na scenę i posłał Pearsowi lekki uśmiech z nadzieją, że robi wrażenie człowieka zadowolonego. Pears przeczesał ręką włosy, odchylił się do tyłu, spojrzął z uwagą w sufit, potem na stół. Sprawozdanie powoli zmierzało ku końcowi. Poproszono go, aby powiedział kilka słów o przyszłości. Ludzie zaczęli klaskać, więc zaczął klaskać i Fox. Hałas nie spodobał się MacIverowi, który zatkał sobie uszy i cicho jęknął. Pears wstał i aplauz ucichł, ale jęk wciąż było słychać. Pears wziął mikrofon, lecz milczał. Sanitariusze

próbowali uspokoić MacIvera.

– Nie. – MacIver powtórzył to kilka razy.

– Lepiej go wyprowadźmy – szepnął sanitariusz stojący bliżej Foxa.

– Dobra. Zaraz do was przyjdę.

Cała sala patrzyła, jak go wyprowadzają. Potem wszyscy przenieśli wzrok na Pearsa, spodziewając się eleganckiej, mistrzowskiej przemowy. Pears wypił całą szklanekę wody. Dolano mu więcej. Zaczął mówić dopiero po piętnastu, dwudziestu sekundach.

Przemówienie było dobre. Fox wątpił, żeby ktoś, kto nie słyszał go przedtem, dostrzegł jakąś różnicę.

Niezły aktor, pomyślał.

Ale przecież już o tym wiedział. Gdy pięć minut później przechwycił spojrzenie Pearsa, powoli pokiwał głową, podniósł wyżej ręce i bezgłośnie zaklaskał w dłonie. Potem ruszył do drzwi, wydając z kieszeni telefon, jakby chciał do kogoś zadzwonić.

MacIver siedział w recepcji, sunąc palcem po artykułach na pierwszej stronie porannej gazety.

– Już w porządku – powiedział sanitariusz.

Fox usiadł obok MacIvera i spytał, czy ten rozpoznał kogoś spośród mężczyzn na scenie. MacIver pokręcił głową.

– Na pewno? – dążył Fox.

– Na pewno.

Fox pokazał mu broszurę. „Długowieczna gwarancja dla waszych marzeń”. Na tylnej okładce widniały zdjęcia

wszystkich zasiadających przy stole.

– A jego? – spytał, stukając palcem w podobiznę Pearsa.

– Był na sali.

– Właśnie.

– Nie znam go.

– Często jest w telewizji i gazetach. Nazywa się Stephen Pears. Jestem pewny, że znał go pan jako Sokole Oko. MacIver oderwał wzrok od gazety.

– Pan się myli.

– Wojna się skończyła – nie ustępował Fox. – Nie warto kłamać dla przegranej sprawy.

Ale MacIver pokręcił głową, powoli i zdecydowanie.

– Mogę już wrócić?

– Wrócić? – Fox myślał, że chodzi mu o salę.

– Do domu – wyjaśnił MacIver.

– Do Carstairs – sprecyzował jeden z sanitariuszy. – Tak, Donaldzie?

– Tak. Nie podoba mi się tu. – MacIver łypnął na niego spod łba. – I do czasu, aż się lepiej poznamy, jestem dla ciebie „pan MacIver”.

– Znamy się prawie od dwóch lat.

– Ale wciąż jesteś na okresie próbnym.

– Może wrócimy tam na chwilę? – zaproponował Fox.

– Tylko na chwilę, żeby usłyszał pan, jak Pears przemawia. MacIver znowu pokręcił głową.

– Lepiej nie pogarszać sprawy – ostrzegł go sanitariusz.

Fox rozważył dostępne opcje. Czyż nie dostał tego, czego chciał? MacIver, który wrócił już do lektury, spytał sanitariuszy, czy mają kredkę.

– Mam długopis – odparł Fox.

– Musi być kredka – powiedział sanitariusz. – Niezbyt ostra.

Fox westchnął. Zapiszczała komórka. SMS. Tony Kaye pytał go, czy plan wypalił.

Mniej więcej, odpisał Fox.

MacIver przyglądał się zdjęciom na tylnej okładce broszury. Ale po chwili zrezygnował i na powrót zajął się gazetą.

– Cóż, więc jedźmy – powiedział Fox. – Chcę panu podziękować. Za wszystko.

MacIver wstał i po raz ostatni powiódł wzrokiem po luksusowym foyer.

– Rosjanie czy Arabowie? – spytał.

– Nie rozumiem...

– Kto jest właścicielem tego hotelu? Na pewno jedni albo drudzy, niech pan zapamięta moje słowa. A za parę lat sprzedadzą go Chińczykom. Naród kupiony i sprzedany za...

Sanitariusze wymienili spojrzenia. Jeden przewrócił oczami.

– Zaczyna się – mruknął.

MacIver narzekał coraz głośniejsze, więc poprowadzili go w stronę wyjścia.

* * *

Fox podrzucił ich do Carstairs i był już w połowie drogi do Edynburga, kiedy zadzwonił telefon. Domyślał się, kto to może być, i z satysfakcją nie odebrał, przynajmniej nie od razu. Kilka minut później zobaczył znak wskazujący zatoczkę, wrzucił więc kierunkowskaz i zatrzymał się. Nie znał tego numeru, a na poczcie głosowej nie było żadnej wiadomości. Wyjął z kieszeni mały magnetofon cyfrowy. Naysmith zapewnił go, że baterie są nowe i wytrzymają osiem godzin ciągłego nagrywania. Fox nacisnął włącznik, wybrał numer i przełączył się na głośnik.

– Halo?

Tego się nie spodziewał. Kobieta. I gwar rozmów w tle.

– Ze Stephenem Pearsem poproszę. Dzwonił do mnie przed chwilą z tego numeru.

– Chwileczkę.

Telefon zmienił właściciela. Tym razem odezwał się Pears.

– Tak?

– Kanapki smakują? Udało się panu zamydlić oczy udziałowcom i zgarnąć te wszystkie intratne dyrektorskie premie?

– Gdzie pan jest?

– W samochodzie. Musiałem odwiedzić MacIvera.

– Tego, który z panem był? – Pears udał, że to na-

zwisko nic mu nie mówi.

– Pańskiego starego kumpla. – Fox umilkł, odprowadzając wzrokiem przejeżdżającą obok ciężarówkę. – Wciąż ma dobrą pamięć.

– Co pan właściwie robi?

– Myślę o długowiecznej gwarancji dla moich marzeń. W telefonie zapadła cisza.

– Mówimy o pieniądzach? – spytał w końcu Pears.

– Moglibyśmy pomówić, inaczej pańska przyszłość może stracić na jasności.

Pears roześmiał się krótko.

– Jakoś panu nie wierzę.

– Naprawdę?

– Nie wygląda pan na takiego.

– Na takiego?

– Który da się przekupić.

– Co pan właściwie o mnie wie? Ma pan mój numer, ale dałem go pańskiej żonie. Dowiedział się pan czegoś więcej po tym małym włamanku? Tak przy okazji, chciałbym odzyskać mój laptop, kiedy już go pan dokładnie obejrzy. Aha, i zegarek. Książkę profesora Martina może pan sobie zatrzymać. Co pan o niej sądzi? Tyle zmarnowanej energii politycznej...

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Oczywiście. I nie był pan członkiem Komanda Mroczne Żniwa ani Sokolim Okiem. Nie napadał pan na banki i urzędy pocztowe, nie wysyłał pan do Londynu wybuchających ani zatrutych listów. Nie ukradł pan pie-

niędzy z samochodu Francisa Vernala ani nie wpakował mu pan kuli w głowę.

– Pan bredzi, inspektorze.

– Pan przedstawi swoją wersję, ja swoją.

– Skończy pan w Carstairs jako sąsiad swego przyjaciela.

Fox zacmokał.

– Nic nie mówiłem o Carstairs. Ale tak się właśnie zastanawiam: myśli pan, że John Elliot rozpoznałby pana, gdyby trochę go zdopingować? Może z lasu wyszłoby i paru innych? Policja potrafi dziś działać cuda. Weźmiemy pana aktualne zdjęcie, zmienimy kolor i długość włosów, dodamy brodę, trochę pana odmłodzimy... I wtedy zobaczymy.

– Niby co?

– Raczej kogo: Sokole Oko, panie Pears. Tego, który chciał obalić rząd, tego, który miał anarchię we krwi... Dopóki nie zawładnęła nim chciwość.

– Popełnia pan błąd.

– Chyba nie.

– Chyba tak. – Pears znowu umilkł. – A teraz proszę mi wybaczyć, ale mam na głowie ważniejsze sprawy.

– Ależ oczywiście. Zadzwońię po prostu do pani Pears. Kiedyś pani Alice Watts. Widział pan wasze zdjęcie, to, na którym stoicie pod rękę na demonstracji przed posterunkiem policji?

– Niech pan robi, co pan musi, inspektorze.

– Świetnie. W takim razie pozostaje mi tylko rzucić

monetą i zdecydować, o które morderstwo oskarżymy pana najpierw. A może było ich więcej niż dwa? Ostatnio kiepsko rachuję.

Fox rozłączył się, sprawdził jakość nagrania, a potem siedział przez kilka minut z rękami na kierownicy. Miał niewiele, nic, z czym mógłby pójść do sądu. Gdzieś po drodze Sokole Oko nauczył się ostrożności.

Już miał ruszać, kiedy komórka zadzwoniła ponownie. Ten sam numer. Włączył magnetofon.

– Chyba trafiłem w czuły punkt.

– Jestem człowiekiem interesów, inspektorze. Dlatego jeśli mamy coś załatwić, chętnie wysłucham pańskiej propozycji.

– Rozumiem. Instykt zabójcy odzywa się w panu tylko wtedy, kiedy nie może pan postawić na swoim, tak?

– Prowadzenie interesów wymaga dozy bezwzględności – zgodził się z nim Pears. – Ale zawsze lepszy jest rozsądny kompromis.

– A pan jest rozsądny?

– Chyba że ktoś doprowadzi mnie do ostateczności.

Fox zamilkł, udając, że się zastanawia.

– Musimy spotkać się twarzą w twarz – zdecydował w końcu.

– Po co?

– Po prostu musimy.

– To nie jest dobry pomysł.

– Pod pomnikiem Wallace’a. O piątej.

– Mam już plany na wieczór.

– O piątej, panie Pears.

Fox rozłączył się i popatrzył na telefon. Serce waliło mu jak młotem, w uszach świszczła krew, lekko drżały mu ręce.

Poza tym czuł się dobrze.

– Nie podoba mi się to – powiedział Naysmith. – Jest za spokojnie.

Fox musiał się z tym zgodzić. Siedział w swoim samochodzie z telefonem przy uchu i słuchał, co mówią koledzy. Powiódł wzrokiem po parkingu. Ostatni raz był tu w biały dzień i snuli się tu wtedy turyści. Teraz parking był niemal opustoszały. Ot, dwa samochody – należące pewnie do obsługi – i, na przeciwległym końcu, nieoznakowana biała furgonetka z Naysmithem i Kaye'em w środku. Był to ich węzeł komunikacyjny, pełen sprzętu podsłuchowego i obserwacyjnego. Furgonetka nie wyróżniała się zazwyczaj spośród innych, ale tu innych prawie nie było.

– Nie możemy stanąć trochę dalej? – spytał Tony.

– Już i tak mamy słaby sygnał – odparł Joe.

Fox dotknął ręką piersi. Pod koszulą miał plaster, a pod plastrem malutki mikrofon. Joe wolał plaster niż zwykłą taśmę, bo plaster był bardziej odporny na pot. Kabel mikrofonu biegł do małego akumulatora w tylnej kieszeni spodni.

– On siedzi na antenie? – spytał Kaye.

– Powiedz mu, że jeśli to tylko pomoże, chętnie przyczepię ją sobie do głowy – powiedział Fox i Joe przekazał to Tony'emu.

Zanim pozwolono im wykorzystać furgonetkę, przez godzinę wypełniali papierki, ale Fox nie miał nic prze-

ciwko temu, bo sprowadzało się to tylko do odhaczania odpowiednich kwadracików. A on był dobry w odhaczaniu. Wiedział, że kiedyś ktoś z kierownictwa zobaczy wypełniony formularz i zacznie się zastanawiać, ale to była sprawa na później. Bak był prawie pusty. Fox dał Naysmithowi pięćdziesiąt funtów i kazał mu wpaść na stację przy Queensferry Road.

– Za własną kasę? – spytał Kaye.

– Tak chcę – odparł Fox.

– Dlaczego akurat tutaj? – spytał teraz Tony. Co zna-
czyło: dlaczego akurat pod pomnikiem Wallace’a?

– Bo tu jest dobry odbiór – odparł.

W lusterku wstecznym widział, jak w kawiarni wy-
cierają stoły i gaszą światło. Koniec kolejnego dnia pracy.
Za dziesięć piąta. Siedzieli tu od dwudziestu minut. Pró-
bował zgadnąć, którym samochodem przyjedzie Pears,
maserati czy lexusem. Odpowiedź dostał już dwie minuty
później, gdy na parking z cichym warkotem wjechało
czarne maserati.

– Jest przed czasem – powiedział i schował komórkę.

Pears minął furgonetkę, nie zwalniając. Ponieważ
w pozostałych dwóch samochodach nikogo nie było, za-
trzymał się przed wozem Foxa, ale nie zgasił silnika.
Otworzył okno, więc Fox otworzył swoje.

– Niech pan wsiada – rozkazał Pears.

– Może pan wsiądzie do mojego?

Pears pokręcił głową.

– Swój lepiej znam.

W maserati grała muzyka. Fortepian, jazz. Coś podobnego Fox słyszał w domu Pearsów.

– Wóz albo przewóz, inspektorze – ponaglał Pears.

Fox zawahał się, zamknął okno, wyjął kluczyk ze stacyjki i wysiadł. Nie spuszczając z oczu Pearsa, podszedł do jego samochodu. Tymczasem Pears lustrował okolicę w lusterku. Fox otworzył drzwi. Pears był w skórzanych rękawiczkach samochodowych, takich staromodnych, na zatrzaski. Kiedy tylko Fox wsiadł, maserati wycofało, z rykiem silnika ruszyło do przodu i gwałtownie zahamowało przed furgonetką.

– Chce się pan pożegnać z kolegami? – Pears zatrąbił klaksonem i znowu ruszyli, pędząc w kierunku ulicy. Hałas silnika przybrał na sile i Pears podkręcił głośność stereo. – Myśli pan, że jestem głupi?! – krzyknął, obnażając zęby, i wyprzedził jakiś samochód.

– Tak, bo może nas pan pozabijać. – Fox zapiął pas.

Jechali już sto trzydzieści na godzinę, a Pears nie zamierzał zwalniać. Ciągłe zerkał w lusterko, wreszcie uznał, że gdyby ktoś za nimi jechał, musiałby go widzieć.

– Rozumiem, dotarło – powiedział Fox. Rozpiął koszulę, szarpnął za kabel i wyciągnął akumulator z kieszeni. – Widzi pan? – Odłączył akumulator, rzucił go na tylne siedzenie i zaczął zapinać koszulę.

– Przyjechał pan bez broni? – spytał Pears.

– Jak pan widzi.

– Tylko ze wsparciem tego starego rzecha?

– Nie spodziewałem się tu *Szalonych wyścigów*²⁶.

Pears zrozumiał aluzję, zdjął nogę z gazu i spojrzął w lusterko. Przyciszył muzykę.

– Jedziemy w jakieś ładne miejsce? – spytał Fox. Nie znał tej drogi.

– Po prostu jedziemy – odparł Pears. – Jedziemy i rozmawiamy. – Zerknął na Foxa. – Chcę, żeby pan zrozumiał, dlaczego tak to się potoczyło.

– A muszę?

– Może zobaczy pan pewne rzeczy w innym świetle.

– A więc powie mi pan, dlaczego zabił pan Francisca Vernala?

– Musi pan cofnąć się dalej. Zrozumieć, jak to wszystko wyglądało w latach osiemdziesiątych.

– Byłem już wtedy na świecie – zauważył Fox.

– Na pewno? Był pan, czy spał pan? Te wszystkie artykuły, które widział pan w gazetach: pamięta pan chociaż połowę z tego, co się wtedy działo? Te marsze, demonstracje, ten strach. Pamięta pan? Tak szczerze.

– Może byłem za bardzo zajęty życiem.

– Tak jak kilka milionów innych. Ale niektórzy z nas chcieli zmienić świat, a wiedzieliśmy, że politycy na nic się nam nie przydadzą, chyba że... trochę ich zdopingujemy.

– Bombami w listach i węglikami?

– Myśli pan, że terroryzm nie skutkuje? Przyglądał się pan ostatnio Irlandii Północnej?

– Dobrze, rozumiem, chciał pan rozwalić system: do chwili, kiedy zobaczył pan pieniądze w samochodzie Vernala.

– Zaczynaliśmy mieć z nim kłopoty. Za dużo pił i za dużo gadał. Siedziała mu na karku MI5.

– Śledził go pan wtedy?

– Obserwowałem dom w Anstruther. Dwie minuty po jego przyjeździe pojawił się drugi samochód. Było oczywiste czyj. Gdyby Francis mniej pił, bardziej by uważał.

Fox myślał przez chwilę.

– Kiedy odjechał, zaczął pan śledzić i jego, i tych z MI5?

– Zanim ich dogoniłem, było już po wypadku. Widziałem, jak przeszukują samochód. Nie byli w tym zbyt dobrzy. – Pears zrobił pauzę. – Kiedy dali nogę, podjechałem bliżej. Francis myślał chyba, że jestem jednym z nich. Zaczął odzyskiwać przytomność i wycelował we mnie z tego cholernego rewolweru. Chwyciłem za lufę i wypalił. Potem nie mogłem już nic zrobić.

– Wyjął pan tylko z bagażnika zaskórniaki tych z KMŻ.

– Niech panu będzie: to ja wzięłem te pieniądze.

– Zrobił pan dużo więcej. Ci agenci przysięgają, że w samochodzie Vernala nie było broni. A to dlatego, że to była pana broń, nie jego. I to nie był żaden wypadek: to był strzał w skroń, tak jak w przypadku Alana Cartera. Zabił pan Vernala i właśnie zrozumiałem dlaczego. – Fox spojrział na Pearsa, badając jego reakcję, ale on patrzył prosto przed siebie. – Sam pan powiedział: obserwował pan dom w Anstruther. Co znaczy, że to Alice Watts pana interesowała. Więc albo ją pan podejrzewał, albo się pan w niej

kochał. Myślę, że to drugie. Podkochał się pan w niej, tymczasem ona z jakichś powodów wolą chodź do łóżka z otyłym, pijanym prawnikiem. To musiało boleć. Pan – skórzana kurtka, ciemne okulary, człowiek wyjęty spod prawa – przegrywa z Francisem Vernalem. Wystarczy wpakować mu kulę w łeb i Alice pomyśli, że to robota MI5. I kto wie, może wypłacze się na pana ramieniu.

Mówiąc to, Fox pomyślał o Mangoldzie i Imogen Vernal: kolejny przypadek nie do końca odwzajemnionej miłości.

– Ale zanim do tego doszło – ciągnął – Alice zniknęła. Miał pan pieniądze na przetrwanie, a morderstwo Vernala wszyscy brali za samobójstwo. Wasze ugrupowanie się rozpadało, więc spakował pan manatki i pokochał system, którego kiedyś pan nienawidził.

Pears wciąż milczał, więc Fox mówił dalej:

– Szperając w internecie, coś przeczytałem: odnoszący sukcesy biznesmen ma takie same cechy jak zabijający z zimną krwią morderca. Żadnej empatii, żadnych emocji, wszystko, byleby tylko dopiąć swego.

Pears odpowiedział na to lekkim uśmiechem.

– Wiedział pan, że Alice pracowała pod przykryciem?
– ciągnął Fox.

Uśmiech zniknął.

– Nie.

– Więc jak się znowu spotkaliście?

– Na kolacji dobroczynnej. Błyskawicznie awansowała.

– Poznał ją pan?

– Prawie natychmiast.

– Ale ona pana nie pamiętała, tak?

– Bardziej się zmieniłem.

– I udało się panu utrzymać to w tajemnicy? – Fox czekał na odpowiedź, lecz się nie doczekał. – Musiał się pan domyślać, że Alice was wtedy szpiegowała, pana i pana przyjaciół.

Pears powoli skinął głową.

– To nie miało wielkiego znaczenia. A potem już żadnego. – Zerknął na Foxa. – Zakochałem się.

– Znowu.

– Tym razem prawdziwie. Pierwszy raz.

– Musiał pan wiedzieć, że ktoś w końcu pana sobie skojarzy.

Pears wzruszył ramionami.

– MacIver naprawdę rozpoznał mnie na tej scenie?

– Tak.

– Nie wierzę.

– Nie był pewien, skąd pana zna – łągał gładko Fox. – Dlatego się zdenerwował. Ale w drodze do Carstairs...

– Z małą pomocą z pańskiej strony?

– Może, ale niewielką.

– W sądzie nie byłby zbyt wiarygodnym świadkiem.

– Naprawdę pan myśli, że to trafi do sądu?

– Nie, ma pan rację – zgodził się z nim Pears. – Nie wiem nawet, czyby pan tego chciał.

– A niby czego bym chciał?

– Żeby prawda wypłynęła na szerokie wody, zniszczyła mi życie, a przy okazji reputację Alice. Ma mnie pan za bezwzględnego mordercę, który próbuje chronić swój tyłek.

– Podczas gdy tak naprawdę jest pan jej rycerzem, takim w lśniącej zbroi?

– Właśnie.

– Alan Carter nic na pana nie miał?

– Miał nazwisko Alice. Śledztwo w sprawie „samobójstwa” Vernala prowadził jego kolega.

– Gavin Willis, policjant, który dorabiał, sprzedając na lewo broń panu i panu podobnym.

– Dobrali się do niego ci z MI5, powiedzieli, że nazwisko Alice Watts nigdy nie może ujrzeć światła dziennego. Że jest policjantką zaraz po studiach, tajniczką. Cholera jasna, gdyby nie nadali jej pseudonimu tak podobnego do jej prawdziwego nazwiska... – Pears pokręcił głową. Ich błąd wprowadził go w irytację nawet po tylu latach. – Carter znalazł coś w domu Willisa, małą polisę ubezpieczeniową, przyznanie się do winy wraz z nazwiskiem Alice Watts i informacją, że była policyjną agentką i kochanką Vernala.

– Dodał dwa do dwóch i próbował pana szantażować?
– domyślił się Fox.

– Mam pieniądze. Wiedział, co zrobiłyby z tym tabloidy. To był mały, wstrętny człowieczek, nie można było się z nim dogadać.

– Kiedy go poznałem, wydawał się w porządku.

– Widział pan to, co chciał pan widzieć.

– Zaprosił pana do siebie, żeby zapłacił mu pan za milczenie?

– Tak.

– Nie zamknął drzwi na klucz, więc wszedł pan do środka. Carter siedział przy stole. Łatwy cel. Ale psa pan oszczędził, bo to z ludźmi ma pan problemy. Vernala mógł pan zabić pod wpływem chwili, ale Alan Carter wymagał małych przygotowań. Najpierw poprosił pan o przysługę swego starego kumpla szeryfa Cardonalda. Prześwietlił pan szantażystę i dowiedział się, że ma na pieńku z bratanikiem. Kiedy bratanek wyszedł na wolność, musiał pan tylko przygotować scenę: zadzwonił pan do niego parę razy na komórkę i zwabił go do domu wuja. Potem wrócił pan do siebie i przytulił się w łóżku do żony. – Fox umilkł.

– Jak mi idzie?

– To ważne? Jak dotąd nie słyszałem niczego, co sąd uznałby za obciążające.

– Bo jest pan dobry. Cardonald musiał dostać szachu, kiedy aresztant, którego właśnie wypuścił, został nagle oskarżony o morderstwo. Jego reputację szlag trafił.

– Cardonald zna swoje miejsce. Zarobił dzięki mnie sporo pieniędzy.

– Poza tym, kiedy wymaga tego sytuacja, potrafi być pan przekonujący. Jak to było z tym handlarzem z Barbadosu? On też zaczął sprawiać kłopoty?

– Chyba nie sugeruje pan, że...

– Nazywał się Benchley.

– Wiem. Utopił się w swoim basenie.

– To był zwykły przypadek?

– Oczywiście.

Fox zmarszczył brwi.

– Z samochodu Vernala zginęły papierosy i pięćdziesiętofuntowy banknot na szczęście.

– Więc ktoś musiał je wziąć, niewykluczone, że któryś z waszych, inspektorze. – Pears pozwolił sobie na lekki uśmiech i włączył kierunkowskaz.

– Widzę, że jedziemy w konkretne miejsce – zauważył Fox.

– Możliwe. – Pears znowu spojrzął w lusterko: nikogo, żadnych reflektorów. Zadzwoiła jego komórka i nie odbierając, zerknął na ekran.

– Pani komendant się niepokoi? – domyślił się Fox.

– Czyżby był pan zazdrosny?

– Zazdrosny?

– Kiedy poznajemy kogoś, kto ma coś, czego my mieć nie możemy, to zupełnie normalne uczucie. To właśnie zazdrość kierowała Alanem Carterem. Nie ma znaczenia, czy chodzi o pieniądze, status czy miłość: zazdrość może doprowadzić do szaleństwa. – Pears jakby sobie o czymś przypomniał. – Jak się czuje pana ojciec?

Fox łypnął na niego spode łba.

– Wiem, że pańskie małżeństwo długo nie przetrwało – ciągnął Pears. – I że ma pan siostrę po przejściach. A teraz do szpitala trafił pana ojciec. Ale mieszka z panem, prawda? Nie w domu opieki, tylko z panem, prawda?

Fox wciąż patrzył na niego bez słowa. Pears nie musiał nawet odwracać głowy.

– Prywatne leczenie dużo kosztuje – mówił. – Niepracująca siostra też. Nagle widzi pan mnie i Alison, to, co razem osiągnęliśmy. Nie, żeby łatwo to nam przyszło, ale owszem, czasem pomaga szczęście. – Zrobił pauzę. – Wiem, że nie zależy panu na pieniądzach, co jednak nie znaczy, że szczęście innych nie wywołuje w panu goryczy. – Posłał Foxowi długie spojrzenie i odbił piłeczkę: – Jak mi idzie, inspektorze? Świat stracił szantażystę i kobieciarza alkoholika. Hip, hip, hurra! Niech żyje świat!

– Chyba już wiem, gdzie jesteśmy – powiedział cicho Fox, patrząc w okno.

– A gdzie indziej mielibyśmy być? – Pears zjechał do zatoczki i gwałtownie zahamował. Zazgrzytał żwir. Pears zgasił silnik i spojrzał na Foxa. – Pójdziemy na spacer do lasu?

– Dzięki, tu mi dobrze.

Ale Pears sięgnął pod fotel i wyjął broń. Tym razem pistolet.

– Zachowałem kilka pamiątek z dawnych czasów. – Wycelował w jego pierś.

– Zapomina pan o świadkach – powiedział Fox. – Choćby o naszej furgonetce.

– Żaden plan nie jest doskonały – przyznał Pears.

– Aha, więc strzelę sobie w głowę?

– Nie. Powiesi się pan.

– Naprawdę?

– W miejscu, które stało się pana obsesją. W pana domu widziałem wystarczająco dużo dowodów, te wszystkie papiery, te rozważania zapisane w laptopie. Francis Vernal załatwił panu za skórę. Dodać do tego ostatnie problemy w pracy i chorego ojca...

– Aha, postanowiłem ze sobą skończyć? A gdzie wtedy był pan?

– Jechaliśmy razem. Snuł pan obłąkane teorie. Sprowadził mnie pan tu, myśląc, że miejsce to coś dla mnie znaczy. Ale potem szaleństwo wzięło górę i uciekł pan do lasu. Zostawiłem pana i wróciłem do domu.

– To wszystko i tak wyjdzie na jaw, pan i Alice, Vernal i Carter...

– Tak, pewnie będą różne pogłoski – zgodził się z nim Pears. – Ale wątpię, żeby media się do tego wzięły. Mam armię prawników, inspektorze, a zakazy sądowe to ostatnio krzyk mody. Proszę mi wierzyć, nie wyjdzie na jaw prawie nic. Rzuci pan komórkę na tylne siedzenie? Nie będzie już panu potrzebna.

Fox zawahał się i Pears dźgnął go lufą w bok. Fox skrzywił się, wyjął komórkę i rzucił ją do tyłu przez przerwę między fotelami.

– Wsiadaj – rozkazał Pears. Trzymając Foxa na muszce, otworzył drzwi.

Fox rozpiął pas i wysiadł. Powietrze było chłodne i czyste: wieś. Stali w pobliżu kamiennego kopczyka upamiętniającego życie Francis Vernala.

Patrioty.

To była cicha wiejska droga. Kolejny samochód przejedzie tędy pewnie za pół godziny. Pears będzie miał mnóstwo czasu na egzekucję – bez żadnych świadków. W oddali czekało jakieś zwierzę, podwórkowy pies, a może lis. Fox żałował, że nie jest bardziej podobny do swego zwierzęcego imiennika, że nie jest bardziej szczupły, szybki i zwinny.

Ale był przebiegły: zawsze mógł wykorzystać swoją przebiegłość.

Pears zamknął drzwi od strony kierowcy i obszedł samochód. Zatrzasnął drzwi od strony pasażera.

– Nieczęsto parkują tu drogie sportowe samochody – powiedział Fox. – Na pewno nie chce pan zaparkować w mniej widocznym miejscu?

– Będę musiał zaryzykować – odparł Pears. – Ruszajmy.

– Nie mam sznura – zauważył Fox.

– Sznur już czeka. – Pears machnął pistoletem w stronę lasu.

– Włożył pan w przygotowania więcej pracy, niż myślałem.

– Jakiś czas temu pisano o tym w prasie. Mężczyzna poszedł do lasu. Był za stary, żeby zarzucić sznur na wysoką gałąź, więc zawiązał go na niższej, założył sobie pętlę na szyję, pochylił się mocno do przodu...

– Aha, rozumiem, że mnie też to czeka, tak? To wolę już odmówić i oberwać kulkę. Przynajmniej zrobię pana w morderstwo.

Pears wzruszył ramionami.

– Moje słowo przeciwko pańskiemu, z tym że pan nie będzie już mógł mówić. Ciało może leżeć tu przez wiele lat, zanim ktoś je znajdzie. – Znowu machnął ręką w stronę lasu. – Ale nie myślmy teraz o tym. Chodźmy.

Fox zrobił kilka kroków i przystanął tuż przed pierwszą linią drzew.

– Że też nikt tego nie wie... – Powiedział to głosem człowieka pokonanego i pogodzonego z losem.

– Czego?

– Ale pan powinien.

Zaintrygowany Pears powtórzył pytanie.

– O które drzewo rozbił się Vernal.

Pears zmarszczyło czoło.

– Chyba o tamto. – Wskazał je pistoletem.

I kiedy tylko lufa wskazała skraj lasu, Fox chwycił go za nadgarstek i wykręcił mu rękę. Pears głucho stęknął i mimowolnie rozluźnił palce. Wypuścił pistolet i Fox kopnął broń najdalej, jak tylko mógł. Ale Pears był silniejszy i szarpiąc się z nim, Fox oberwał kilka silnych ciosów. Wystarczyło parę sekund i zdał sobie sprawy, że z nim nie wygra, nie w walce wręcz. Nie widział pistoletu, więc odepchnął napastnika i rzucił się do ucieczki.

Pears za nim nie pobiął, przynajmniej nie od razu, dlatego Fox zdążył wpaść między drzewa. Był sześć, dziewięć metrów od niego – sprzyjał mu gęstniejący mrok – kiedy kula odłupała korę z drzewa ledwie kilka centymetrów od jego lewego ramienia. Drzazga przebiła mu

policzek i zapiekło go jak wszyscy diabli. Dał sobie spokój z jej wyjmowaniem i zygzakując, pędził dalej.

Nie wiedział, jak duży jest las. Kiedy wybiegnie na otwarty teren, stanie się łatwym celem. Na niebie wisiał półksiężyc przesłonięty cienką warstwą szybko sunących chmur. Światła wystarczyło. Pearsowi też.

Kula utkwiała w pniu drzewa: dowód, który tylko czekał na bystre oko. Tylko czy takie się znajdzie? Czasy się zmieniły, ale policja w dalszym ciągu bywała nieudolna. Fox poklepał się po kieszeniach. Gdyby zaczął rozrzucać karty płatnicze czy jakieś świstki, mogliby je zauważyć nie tylko śledczy, ale i Pears. Nad głową świsnęła kolejna kula, ta też utkwiała w korze. Pears był dość tęgi i pewnie rzadko korzystał z domowej siłowni – czy Fox miał szansę zostawić go w tyle?

Nieważne: to od kul musiał uciec i wiedział, że nie da rady.

W takim razie trzeba wyprowadzić go w pole, tylko jak? Jego największą szansą była droga. Wszystko zależałoby od tego, czy napotka tam jakiś samochód, ale mogło zacząć mu sprzyjać szczęście, prawda? Inne wyjście: wrócić do samochodu, do maserati. Pears go nie zamknął, ale Fox nie pamiętał, czy kluczyki zostały w stacyjce. Komórka leżała na tylnym siedzeniu. Tak jak mały magnetofon, który pożyczył od Naysmitha. Włączył go i rzucił tam wraz z akumulatorem. Miał nadzieję, że ich rozmowa się nagrała i da się ją odsłuchać.

Ale przyda mu się to tylko pod warunkiem, że Pears go

nie znajdzie...

Kolejny strzał, kolejne pudło. Może usłyszy ich jakiś farmer? Albo kłusownik? Plecy spływały mu potem. Mógłby zdjąć marynarkę, ale była ciemniejsza niż koszula, a on nie chciał wystawiać się bardziej na cel. Bolało go w piersi. Przypomniało mu się, jak dostał kolki na Forth Road Bridge. Kolka czy nie, tym razem nie mógł się zatrzymać.

Czwarta kula dosięgła celu. Poczował silne uderzenie w lewe ramię. Kula weszła i wyszła, a jego na chwilę sparaliżowało. Ugięły się pod nim nogi, ale jakoś wytrzymał i nie upadł. Silne pieczenie, a zaraz potem ból promieniujący aż po czubki palców.

Zacisnął zęby. Wiedział, że nie może przystanąć, nawet na sekundę. Ciepła krew sączyła się z rany coraz silniejszym strumieniem. Ścisnął lewą rękę palcami prawej, przytulił ją do piersi...

I pobiegł dalej.

Zaryzykował i zerknął przez ramię, ale nikogo nie dostrzegł. Domyślił się, że Pears próbuje go podejść. Że nie wpadł w panikę. Że jest jak zwykle metodyczny. Że obserwuje, nadśłuchuje i przewiduje. Że próbuje zmęczyć swoją ofiarę. Zmusić go do biegania w kółko, żeby go w końcu zabić. Nie zwalniając kroku, Fox przeklął swoją głupotę. Przed oczami mignęła mu seria obrazów: ojciec i Jude, Imogen Vernal i Charles Mangold. To Mangold go w to wpakował.

Nie. Kogo próbował oszukać? To była jego i tylko

jego wina.

Paul i Alan Carterowie...

Scholes, Haldane i Michaelson...

Evelyn Mills i Fiona McFadzean...

Aktorzy dramatu jego życia i śmierci.

Alice Watts zmieniająca się w Alison Watson.

Sokole Oko kryjący się za oczami Stephena Pearsa.

Inspektor Jackson, strażnik państwowych tajemnic.

Chris Fox.

I znowu ojciec i Jude.

Biegł teraz pod górę, wyraźnie pod górę, i wszyscy ci ludzie wirowali mu w głowie. Pod nogami ugiął się mech i liście. Każdy haust powietrza, który wciągał do zmęczonych płuc, smakował jak glina.

– Fox!

Ten krótki krzyk powiedział mu, że Pears jest trzydzieści, czterdzieści metrów za nim. Usłyszał w jego głosie również nutkę zirytowania, co dało mu trochę nadziei. Próbował się uśmiechnąć, ale nie mógł. Oblizał tylko usta, czując, że ślinę ma lepłą jak klej do tapet.

Wciąż biegł.

– Fox!

Krzycz, krzycz, kolego. Będę wiedział, gdzie jesteś.

Każdy ruch wywoływał silny ból w ramieniu. Krew kapłała na spodnie i buty. Myślenie o tym przyprawiało go o mdłości. Z trudem przełknął ślinę, czując w ustach smak żółci i żelaza. Wybiegł na małą polanę i na sekundę przystanął, żeby popatrzeć na pętlę zwisającą z gałęzi niemal

dokładnie na wysokości jego oczu, na owinięty wokół pnia sznur z mocno zaciśniętymi węzłami.

Biegnij, Malcolm.

Skarpa, pojedyncza linia drzew, a dalej prześwit. Wiedział, że to droga. Żeby wspiąć się na skarpe, musiał orać ziemię palcami prawej ręki. Gdy wreszcie wstał, stwierdził, że jest kilka centymetrów od asfaltowej jezdni. Spojrzał w lewo i prawo. Maserati parkowało tuż za zakrętem i widać było tylko bagażnik. Pobiegnął w przeciwną stronę. Był teraz na otwartej przestrzeni. Szosą nic nie jechało, w każdym razie niczego nie słyszał, nie widział też żadnych świateł. Piekły go zalane potem oczy, więc je wytarł. Zawsze mógł dać nura do lasu po drugiej stronie. Tam byłoby bezpieczniej, ale wtedy nikt by go nie zauważył.

Zaraz...

Niebo pojaśniało. Na tle ciemnego nieba widział teraz sylwetki drzew. I słyszał słaby ryk silnika. Przypomnieli mu się miejscowi rajdowcy, imiona wyryte na kamiennym kopczyku. Zatrzymają się? Czy hamulce dorównają ich czasowi reakcji? Byłoby typowo, cholera: uciekł mordercy tylko po to, żeby rozjechał go pryszczaty gówniarz w podrasowanym fordzie.

Ryk silnika był coraz głośniejszy. Fox stał na ładnym, prostym odcinku drogi. Zdjął marynarkę: jasna koszula mogła się teraz przydać.

– Fox!

Odwrócił się. Pears robił wrażenie wściekłego. Wy-

szedł z lasu z pistoletem w opuszczonej ręce. Wyglądało na to, że potknął się i upadł. Wyraźnie kulał, ubranie i twarz miał usmarowane ziemią.

Wziął kilka głębokich oddechów, wyprostował się i podniósł broń. Fox stał niecałe dziesięć metrów od niego. Ale samochód był coraz bliżej. Fox zaczął machać zdrową ręką. Pears wycelował, lecz w tym samym momencie wóz wypadł na prostą, migając światłami i trąbiąc klaksonem. Mały samochód z potężnym silnikiem. Fox próbował osłonić oczy. Zerknął przez ramię i zobaczył, że Pears robi to samo. Samochód gwałtownie zahamował, zarzucił i zatrzymał się w poprzek drogi. Otworzyły się drzwi od strony pasażera.

– Szukasz śmierci, kolego?

Młody chłopak, najwyżej szesnastoletni. W samochodzie dudniły basowe głośniki. Wysiadł i kierowca, a zaraz potem nadjechał drugi samochód. Z niego też wysiadło kilku nastolatków. Znowu zadudniła muzyka.

Fox patrzył na Pearsa. Pistolet zniknął za plecami. Pears wycofywał się, odchodził.

Ktoś spytał:

– To krew? Rozbił się pan na motorze?

Pearsa nie było już widać.

Fox spytał, czy któryś z nich mógłby pożyczyć mu komórkę.

– Jasne.

Ale za bardzo trzęsła mu się ręka, palce miał śliskie od

krwi. Dlatego podyktował numer, chłopak wybrał go, przytknął mu telefon do ucha i Fox zaczął rozmawiać z Tonym Kaye'em.

* * *

Mondeo przyjechało parę minut po tych z Oddziału Szybkiego Reagowania. Fox przekazał im podstawowe informacje: rodzaj broni, liczbę wystrzelonych pocisków, kierunek ucieczki napastnika. Rajdowcy byli trochę zdenerwowani; mimo jego zapewnień bali się chyba, że coś się za tym kryje. Stali, opierając się o samochody, paląc papierosy i przyglądając się broni czterech funkcjonariuszy. Jeden chciał zrobić zdjęcie, ale wystarczyło kiwnięciem palcem i zrezygnował.

Tony wysiadł pierwszy, za nim Joe. Gdy ruszyli w stronę Foxa, w lesie zniknął ostatni z czwórki policjantów.

– Boli? – Joe wskazał ranę.

– Jak cholera – odparł Fox.

– Dzwoniłeś po karetkę?

Fox pokręcił głową.

– Straciłeś trochę krwi.

– To draśnięcie. – Kaye przyjrzał się pobieżnie jego ramieniu. – Może lepiej sprawdzimy, co tam robią? – Machnął ręką w stronę lasu.

Fox zawahał się i kiwnął głową.

– A wy zostańcie tutaj – rzucił do nastolatków. –

I żadnych telefonów i SMS-ów. Jasne?

W lesie było cicho, ani głosów, ani wystrzałów. Tylko trzask gałązek pod nogami.

– Szybko przyjechaliście – powiedział Fox.

– Nie ma to jak wariat za kierownicą – odparł Naysmith.

– Co on knuł? – spytał Kaye, przebijając się przez zwisające gałęzie.

– Samobójstwo przez powieszenie.

Tony pokręcił głową.

– Myślałem, że to fachowiec.

– Kiedyś się z tego wywijał.

– Zbytnią pewnością siebie? – domyślił się Naysmith. –

A jeśli dopadniemy go przed tamtymi?

– Jest nas trzech – warknął Kaye. – Jestem w takim nastroju, że zaczniesz strzelać czy nie, dam mu taki wycisk, że popamięta.

– Dobrze się czujesz? – Naysmith zauważył, że Fox lekko się zachwiał. – Na pewno?

– Trochę kręci mi się w głowie. – Naysmith go podtrzymał. – Nic mi nie będzie, Joe. – Fox wytarł czoło czystym rękawem koszuli.

Kiedy Tony spytał go, w którą powinni pójść stronę, chciał wzruszyć zdrowym ramieniem, ale w tym samym momencie usłyszeli głośny krzyk. Ostrzegawczy krzyk któregoś z policjantów.

– Może w tamtą – odparł.

Przyspieszyli kroku. Wkrótce dobiegły ich głosy, ale

były to głosy ludzi w ruchu. Fox czuł, że niemal dokładnie idzie po swoich śladach. Część mózgu nakazywała mu, żeby przystanął, ale on wciąż parł naprzód, nie zważając na to, że zalewa go pot.

Nagle usłyszeli warkot odpalanego silnika. Zduszony pomruk, który przeszedł w ryk.

– Maserati? – rzucił Naysmith.

To było maserati – i czterech policjantów z wycelowanymi w przednią szybę pistoletami. Ale to nie wystarczyło, by powstrzymać kierowcę. Samochód wypadł tyłem na szosę, obrócił się wokół własnej osi i nie włączając świateł, szybko odjechał.

– Do wozu! – warknął dowódca do kolegów. – Ronnie, zgłoś to!

– Mamy wóz, moglibyśmy spróbować – powiedział Kaye. – Co ty na to, Fox?

– Trzeba go trochę pocerować – zauważył Naysmith.

Ale Tony zignorował go, czekając na decyzję Foxa. Nagle zapiszczały opony i rozległ się głuchy huk.

Znowu szpital Wiktorii.

Fox nie miał wątpliwości, że gdzieś w pobliżu czyha Brian Jamieson, ten reporter. Oczyszczono i zszyto mu ranę. W głowie szumiało mu od środków przeciwbólowych, w kieszeni miał receptę na więcej. Założono mu temblak i kiedy próbował poruszyć lewą ręką, czuł tępy ból. Marynarkę i koszulę zatrzymano jako dowód rzeczowy. Rano, kiedy tylko zrobi się jasno, do lasu miała pojechać ekipa techników; musieli odszukać łuski, pistolet i sznur.

W samochodzie pistoletu nie było. Pears musiał go gdzieś wyrzucić. Fox stał teraz w jego pokoju szpitalnym. Znajdowało się tam tylko jedno łóżko. Lekarz zrobił listę obrażeń: dwa złamane zębra, uszkodzone kolana i stłuczenia twarzy.

– Dlatego trzeba zawsze zapinać pasy – dodał.

Druciana klatka pod prześcieradłem odciążała nogę. Kiedy Fox wszedł, Pears otworzył oczy. Na korytarzu pod drzwiami stał policjant. Zanotował nazwisko Foxa i uważnie obejrzał jego legitymację. Nic dziwnego: w pożyczonej bluzie z kapturem i obszernych spodniach do biegania Fox nie wyglądał jak typowy policjant.

– Chyba śpi – uprzedził go mundurowy.

Ale dla Foxa Pears się obudził.

– Znajdziemy ten pistolet.

– I czego to dowiedzie? Że tak się pana bałem, że chciałem się zabezpieczyć?

– Bał się pan mnie?

– Pana i pańskich zwariowanych teorii. – Pears spróbował odchrząknąć; miał spierzchnięte usta. Spojrzał na dzbanek z wodą na stoliku, ale Fox nie zamierzał mu usługiwać.

– Naprawdę myśli pan, że to wypali?

– Oskarżył mnie pan o morderstwo – ciągnął Pears. – Kazał mi pan jechać na miejsce śmierci Vernala. Wpadłem w panikę, myśląc, że taki sam los zgotował pan dla mnie. – Przeszył Foxa spojrzeniem.

– I to wszystko? Nie ma pan żadnych innych zabawek?

– Nic więcej ze mnie nie wyciągniecie. – Pears odwrócił głowę. Robiąc to, cicho jęknął z bólu.

Fox czekał na właściwy moment, wiedząc, że zaraz zjawi się kolejny gość. Jakby na zawołanie otworzyły się drzwi. Alison Pears ruszyła prosto do łóżka, nie zwracając na niego uwagi.

– Stephen! – Nachyliła się nad mężem i pocałowała go w policzek. – Na miłość boską, co się stało?

– Dasz wiarę, że zostawili mnie tu samego z tym szaleńcem?

Alison Pears wyprostowała się i spojrzała na Foxa.

– Pani mąż chciał mnie zabić. Tak jak zabił Francisca Vernala i Alana Cartera. Kiedy nie poskutkował sznur, próbował mnie zastrzelić.

– Niech pan wyjdzie – rozkazała komendantka.

Fox powoli pokręcił głową.

Alison Pears zmrużyła oczy.

– To rozkaz, inspektorze.

Fox wytrzymał jej spojrzenie.

– Zastanawiam się, od kiedy pani wiedziała. Bo pani wie, prawda?

– Niby co?

– Że wyszła pani za Sokole Oko. Domyśliła się pani przed czy po ślubie? Pewnie nigdy o tym nie rozmawialiście. Ostatecznie to prehistoria, byliście wtedy innymi ludźmi. Po co grzebać w przeszłości? Jesteście szczęśliwi, zdrowi, bywali...

– Niech pan stąd wyjdzie! – Komendantka obnażyła zęby i zabrzmiało to niemal jak warknięcie.

– Żebyście mogli ustalić swoją wersję wydarzeń? – domyślił się Fox. – Rozumiem, ten wielki gmach nie może przecież runąć. Prawda?

– Mówiłem, że to wariat – powiedział Pears. – Ma jakąś obsesję.

– Chyba tak – zgodziła się z nim żona nieco łagodniejszym głosem. – Obsesję i paranoję, wszędzie widzi spiski.

– Wszędzie – powtórzył Pears.

Zapadła cisza. Fox ani drgnął, w końcu lekko skinął głową.

– Będziecie zaprzeczać?

– Do samego końca – odparła Pears.

Fox wyjął z kieszeni magnetofon Naysmitha i nacisnął guzik. Głośnik był malutki, ale z nastawioną na maksimum głośnością rozmowa była zupełnie zrozumiała.

„A więc powie mi pan, dlaczego zabił pan Francisa Vernala?”.

„Musi pan cofnąć się dalej. Zrozumieć, jak to wszystko wyglądało w latach osiemdziesiątych”.

Fox przewinął nagranie i znowu nacisnął guzik.

„Niech panu będzie: to ja wziąłem te pieniądze”.

„Co znaczy, że to Alice Watts pana interesowała”.

Patrząc na Alice Pears, Fox po raz trzeci przewinął nagranie.

„Alan Carter nic na pana nie miał?”.

„Miał nazwisko Alice”.

I jeszcze trochę do przodu.

„To był mały, wstrętny człowieczek, nie można było się z nim dogadać”.

Fox wyłączył magnetofon i ujął go dwoma palcami.

Alison Pears zamarła, wciągnęła i wypuściła powietrze, i spojrzała na męża.

– Jesteś głupcem, Stephen – powiedziała – i wygląda na to, że zawsze byłeś.

Pears zacisnęła powieki, jakby każdym swoim słowem zadawała mu więcej bólu. A ona stała nad nim i trzymając się metalowej poręczy łóżka, próbowała zapanować nad oddechem. Miała zaczerwienione policzki i pocierała je ręką, jakby chciała, by zbladły. Zwilżyła językiem usta i spojrzała na Foxa.

– Nic o tym nie wiedziałam – oznajmiła. – I jestem wstrząśnięta. – Poprawiła zakiet i odgarnęła z twarzy kilka niesfornych kosmyków.

Foxowi przypomniało się, jaką transformację przeszła, odbierając przy nim telefon w gabinecie.

– Dobraliście się jak w korcu maku – powiedział. – Nie wiem, które z was jest bardziej zimne i wyrachowane. – Nie odrywając od niej oczu, lekko poruszył kącikami ust. – Dobrze. Pani przedstawi swoją wersję, ja swoją. Bez względu na rezultat, wyszła pani za mordercę i wąpiew, żeby spodobało się to głównemu. Kto wie, to może być nawet sprawa dla Skarg...

Magnetofon wrócił do kieszeni. Fox zdrową ręką nacisnął kławkę. Stojący na korytarzu policjant próbował nie wykazywać zbytniego zainteresowania odgłosami zamieszania, które słyszał za drzwiami. Wychodząc, Fox jeszcze raz spojrzął na Pearsa. Ale Pears wciąż miał zamknięte oczy, więc Fox puścił kławkę, pozostawiając go własnemu losowi.

Nie był to wielki powrót.

Ojciec spał w salonie. A Jude nawet nie posprzątała. Talerze i kubki trzeba było zanieść do kuchni, gazety wrzucić do torby i oddać na makulaturę. Cmoknęła go w policzek i powiedziała, że dobrze go znowu widzieć.

– Ile dali ci zwolnienia?

– Jeśli pytasz, czy będę mógł opiekować się ojcem, to będę.

– Nie o to mi chodziło – powiedziała, nie patrząc mu w oczy.

Nogi miał zeszywniałe od biegania, paliło go w płucach. Wciąż na nowo przeżywał tamte chwile, ale gdy ktoś pytał go, jak się czuje, zawsze odpowiadał tak samo: „Dobrze”.

Jak dotąd udawało mu się unikać oglądania dzienników. Na komórce miał wiadomości od Evelyn Mills, Fiony McFadzean i Charlesa Mangolda. Odsłuchał je, ale nie oddzwonił. Na SMS-y też nie odpisał, bo co im miał powiedzieć? Czuł się podle, że nie odezwał się do Evelyn, ale nie wiedział, co innego mógłby zrobić. Zepsuł zbyt wiele związków i nie chciał się bardziej dręczyć.

Jude robiła herbatę, a on siedział na sofie, patrząc na ojca. Jego pierś unosiła się i opadała. Miał lekko rozchyłone usta. I brudne włosy, a w pokoju pachniało talkiem.

– Coś się działo? – spytał, gdy siostra podała mu ku-

bek.

– Dużo telefonów, ale poza tym nic. Aha, zajrzał tu twój sąsiad. Pytał o ciebie, taki starszy, z naprzeciwka.

– Pan Anderson.

Jude kiwnęła głową, zupełnie tego nie rejestrując.

– Cieszę się, że już jesteś, bo muszę wyskoczyć po papierosy.

– Wciąż dziesięć dziennie?

– Chcesz mi zrobić wykład?

– Nie. Idź.

Nie tracąc czasu, wzięła kurtkę i spytała, czy coś mu kupić. Niczego nie chciał. Zawahała się i wiedział już, że znowu nie ma pieniędzy. Wyjął z kieszeni dwadzieścia funtów.

– Dzięki – powiedziała. – Na pewno nie chcesz soku pomidorowego czy czegoś?

– Nie.

Drzwi się zamknęły i został sam na sam z ojcem. Z krzesła przy łóżku zrzucił jakieś szpargały, usiadł i wziął go za rękę. Ojciec zatrzepotał powiekami, ale się nie obudził. Fox wyjął zdjęcie z kieszeni, to z Chrisem i przemawiającym Vernalem. Napisał z tyłu ich nazwiska i wrzucił je do pudełka na buty. Zobaczył na kominku butelkę whisky, a obok niej butelkę wódki. Butelka wódki, ulubionego trunku Jude, była prawie pusta, butelka whisky prawie pełna. Popatrzył na nie, wstał i podszedł do kominka. Otworzył whisky, przytknął nos do otworu, wciągnął i wypuścił powietrze. Wiedział, że łatwo mógłby

przytknąć butelkę do ust, wypić łyk, podelektować się trochę smakiem i przełknąć. Ale nie, wrócił do łóżka i zanurzywszy palec w whisky, przesunął nim po wargach ojca. Powieki znowu zatrzepotały.

– Co to za maniery? – Stary Fox otworzył oczy i uśmiechnął się do syna. – Nalej do szklanki, tak jak trzeba.

Fox nie zaprotestował. Wziął dwie czyste szklanki i jedną, tę dla siebie, napełnił wodą.

– Dla mnie bez niczego – przypomniał mu ojciec.

Fox nalał mu na dwa palce. Ojciec usiadł i podniósł szklankę jak do toastu.

– Za nas – powiedział. – Kto jeszcze jest taki jak my?

– Nieliczni – wyrecytował Fox, podnosząc swoją. – I wszyscy już nie żyją...²⁷ – Patrzył, jak ojciec pije. – Mogę być detektywem, kiedy tylko zechcę – powiedział cicho. – Wiesz?

– Dobry w tym chyba nie jesteś, inaczej nie podziurawiliby ci ramienia. – Ojciec podał mu pustą szklankę, domagając się wzrokiem repety.

– Upijesz się i Jude mnie zabije.

– Przynajmniej nie umrzesz na darmo.

– Chyba masz rację.

Fox otworzył nową butelkę i nalał ojcu jeszcze raz.

Przypisy

1 Wiszący most drogowy nad zatoką Firth of Forth w środkowowschodniej Szkocji. Łączy Edynburg z North Queensferry w hrabstwie Fife.

2 Premier Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej od 27 czerwca 2007 do 11 maja 2010 roku.

3 Rejects (ang.) – odrzuty, na przykład z eksportu.

4 Szkocki klub piłkarski z siedzibą w Kirkcaldy.

5 James Connolly (1868–1916) – irlandzki działacz narodowościowy i robotniczy, marksista, syndykalista i rewolucjonista. Skazany i stracony przez Brytyjczyków.

6 Jimmy Reid (1932–2010) – szkocki związkowiec, mówca i polityk, członek SPN.

7 Berwick Law – wzgórze wulkaniczne z widokiem na miasto North Berwick.

8 Góra Artura – zwana również Fotelem Króla Artura. Najwyższy szczyt Parku Holyrood w centrum Edynburga.

9 Campaign for Nuclear Disarmament – Kampania na rzecz Rozbrojenia Nuklearnego, organizacja założona w 1958 roku przez pacyfistów, lewicowych intelektualistów i polityków. Domagała się zakończenia wyścigu zbrojeń.

10 Hilda Murrell (1906–1984) – słynna hodowczyni róż i działaczka ekologiczna, zamordowana w tajemniczych okolicznościach w swoim domu.

11 Seed of the Gael (Potomkowie Gaelów) – ekstre-

mistyczna organizacja separatystyczna dążąca do oderwania Szkocji od Wielkiej Brytanii.

12 *Spycatcher*, kontrowersyjna książka autorstwa Petera Wrighta, pracownika MI5 i MI6.

13 *Edge of Darkness* (Na krawędzi mroku) – brytyjski miniserial emitowany przez BBC w 1985 roku.

14 Aberdeen FC – szkocki klub piłkarski.

15 *2000 AD* – cotygodniowy komiks science fiction.

16 Bob Woodward, Carl Bernstein – amerykańscy dziennikarze śledczy, którzy wpadli na trop afery Watergate.

17 Horace Rumpole – postać wymyślona przez Johna Mortimera, bohater około 30 książek i serialu telewizyjnego BBC. Prawnik lubiący niezdrowe jedzenie, palący drogie cygara, pijący tanie wino, noszący stare ubrania i starą używaną perukę.

18 *Such a Parcel of Rogues* (Banda łajdaków) – szkocka piosenka ludowa i kojarzony ze szkockim nacjonalizmem wiersz Roberta Burns'a z 1791 roku potępiający szkockich posłów, którzy podpisali akt zjednoczenia z Anglią w 1707 roku.

19 Royal Ordnance Factories – brytyjskie przedsiębiorstwo zbrojeniowe sprywatyzowane w 1984 roku. Funkcjonuje do dziś i skupia 14 zakładów.

20 Jedna z głównych ulic w Glasgow.

21 Hugh MacDiarmid (1882–1978) – szkocki poeta i krytyk literacki, nacjonalista, członek Brytyjskiej Partii Komunistycznej i jeden z założycieli Szkockiej Partii Na-

rodowej.

22 Barlinnie i Peterhead – szkockie więzienia.

23 Simon Schama – brytyjski profesor historii i historii sztuki, twórca seriali dokumentalnych BBC.

24 Abdelbaset al-Megrahi – oficer wywiadu libijskiego, skazany w Wielkiej Brytanii za udział w zamachu na samolot nad Lockerbie w 1988 roku i zwolniony z więzienia ze względów humanitarnych.

25 Kapitan Benjamin Franklin „Sokole Oko” Pierce – główny bohater serialu *MASH*.

26 *Wacky Races* – animowany serial wytwórni Hanna-Barbera.

27 *Here's tae us; wha's like us? Gey few – and they're a' deid!* – stary szkocki toast.